

The image is a promotional cover for the video game Battlefield 4. It features a central figure of a soldier in full combat gear, including a helmet, tactical vest, and boots. The soldier is running through a dark, rainy environment, with water splashing around his feet. In the background, there are blurred lights and a large, bright orange and yellow explosion or fire. The overall atmosphere is gritty and action-oriented.

BATTLEFIELD 4

ODLICZANIE DO WOJNY
PETER GRIMSDALE

Peter Grimsdale

BATTLEFIELD 4

ODLICZANIE DO WOJNY

przełożył

Przemysław Bieliński

Tytuł oryginału
Battlefield 4™: Countdown to War

First published in Great Britain in 2013 by Orion Books
an imprint of the Orion Publishing Group Ltd
Orion House, 5 Upper St Martin's Lane, London WC2H 9EA

An Hachette UK Company

www.orionbooks.co.uk

Battlefield 4 © 2013 Electronic Arts Inc.

Battlefield 4 and the DICE logo are trademarks of EA Digital Illusions CE AB
EA and the EA logo are trademarks of Electronic Arts Inc.

All rights reserved.

Przekład

Przemysław Bieliński

Redakcja i korekta

Tomasz Brzozowski, Dominika Pycińska, Lidia Kowalczyk

Konwersja

Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN-13: 978-83-63944-28-5

The logo for Insignis Media, featuring a stylized 'i' symbol followed by the word 'Insignis' in a bold, sans-serif font.

Insignis Media

ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków

telefon / fax +48 (12) 6362519

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

twitter.com/insignis_media

Wszystkie postaci występujące w niniejszej książce są fikcyjne, a ich podobieństwo do osób żyjących bądź zmarłych jest czysto przypadkowe.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[1 Granica Chin i Korei Północnej](#)

[2 Strefa lądowania, Korea Północna](#)

[3 USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie](#)

[4](#)

[5 Granica Chin i Korei Północnej](#)

[6 USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie](#)

[7 Koncesja Francuska, Szanghaj](#)

[8 USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie](#)

[9 Koncesja Francuska, Szanghaj](#)

[10](#)

[11 Konsulat USA, Szanghaj](#)

[12 Szanghaj](#)

[13 Dzielnica Huangpu, Szanghaj](#)

[14](#)

[15 Szanghaj, Stare Miasto](#)

[16](#)

[17 Koncesja Francuska, Szanghaj](#)

[18 Koncesja Francuska, Szanghaj](#)

[19](#)

[20 Hotel Majesty Plaza, Szanghaj](#)

[21 USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie](#)

[22 Hotel Majesty Plaza, Szanghaj](#)

[23 Dzielnica Jing’an, Szanghaj](#)

[24 Apartament Victora Vaughana, Szanghaj](#)

[25 Huangpu, Szanghaj](#)

[26 Fudan Road, Szanghaj](#)

[27 Huangpu, Szanghaj](#)

[28](#)

[29 Autostrada G60, siedem godzin na zachód od Szanghaju](#)

[30](#)

[31](#)

[32 Siedziba MBP, Szanghaj](#)

[33 Dzielnica Huangpu, Szanghaj](#)

[34 Prefektura Huang Shan](#)

[35 Dzielnica Huangpu, Szanghaj](#)

[36 Rezydencja dyrektora, Lilac Park, Szanghaj](#)

[37 Góry Huang Shan](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47 Fudan Road, Szanghaj](#)

[48 USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie](#)

[49 Góry Huang Shan](#)

[50](#)

[51 Siedziba MBP, Szanghaj](#)

[52 USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie](#)

[53 Autostrada Hangrui](#)

[54 Góry Huang Shan](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58 Autostrada G25, obrzeża Szanghaju](#)

[59 Hotel Majesty Plaza, Szanghaj](#)

[60 Dzielnica Pudong, Szanghaj](#)

[61 Hotel Majesty Plaza, Szanghaj](#)

[62 Dzielnica Huangpu, Szanghaj](#)

[63 Dzielnica Pudong, Szanghaj](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[68 Centrum Konferencyjne Continental, Szanghaj](#)

[69 USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie](#)

[70 Centrum Konferencyjne Continental, Szanghaj](#)

[71](#)

[72 USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie](#)

[73 Zhi You Towers, Szanghaj](#)

[74](#)

[75](#)

[76](#)

[77 USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie](#)

[78](#)

[79](#)

[Podziękowania](#)

1

Granica Chin i Korei Północnej

Zasieki ciągnęły się przez tysiąc czterysta kilometrów. Wysokie na cztery metry, co sto metrów wsparte betonowym słupem, rozwidlonym na kształt litery Y, wysyłały bardzo czytelny sygnał: przejścia nie ma.

Kovic żałował, że nie posłuchał.

Patrzył, jak granica znika w dole, ledwie widoczna w ciemności; para na szybie sea hawkka już zaczęła zamarzać. Olsen, pierwszy marine, zbliżył mikrofon do ust. W poświęceniach pokładowych instrumentów jego twarz zyskała niezdrowy, zielonkawy odcień.

– Może rozpętasz kolejną wojnę koreańską.

Jego mina mówiła jasno, co myśli o CIA.

To miał być popisowy numer dyrektora placówki. „Postaraj się – powiedział Kovicowi Cutler – a Biały Dom zadzwoni osobiście z gratulacjami. »Highbeam« to nasza największa operacja od czasów bin Ladena”.

Ile razy Kovic już to słyszał? Cutler był nowy w rejonie, bardzo chciał wyrobić sobie reputację. Chiny były dla niego tylko kolejnym szczeblem drabiny prowadzącej na szóste piętro Langley. „W Pekinie wszystko dogadane, stoją po naszej stronie. To pierwsza w dziejach tajna operacja chińsko-amerykańska; szkoda, że nie możemy się nią pochwalić”. Kovic wiedział, że Chińczycy nigdy by się na to nie zgodzili. Preferowali działania zakulisowe. Pekin poszedł im na rękę, zapewnił wysunięte lądowisko do zatankowania śmigłowca i załatwił odcięcie prądu, żeby zaciemnić korytarz na czterdzieści kilometrów w głąb Korei Północnej na dziesięć minut przed lądowaniem.

Kovic skubnął lód na oknie. Kawałek tafli odpadł, ukazując w dole przepastną ciemność. Za szybą przemknęło kilka strzępków chmur. Sea hawk szarpnął, odbijając mocno w lewo; marines wyrzuciło z rozkładanych krzesełek, które ze sobą zabrali. Pilot wydał z siebie tryumfalny okrzyk.

– Spokojnie, Tex, to nie rodeo.

Kovic chciał przeprowadzić tę akcję z własnymi ludźmi, wybranymi osobiście w Szanghaju, ale szef się nie zgodził. „Highbeam spodziewa się Johna Wayne’a – jak zobaczy zjeżdżającą gromadę Chińczyków, może spanikować”.

Co ten Cutler sobie wyobrażał? Że to będzie spotkanie w blasku fleszy? Przy ich sprzęcie, przy ilości światła, jaką go zaleją, gość ich nawet nie zobaczy; równie dobrze mogliby być Klingonami. Ale Cutler musiał postawić na swoim, nieważne, czy decydował się na najlepszy możliwy sposób – a to oznaczało jedno: marines.

– Dziesięć minut do lądowania – oznajmił głos Texa w słuchawkach.

Nagły podmuch z dołu uciszył go i znów wyrzucił wszystkich z krzesełek.

– Ej, panie pilocie, chce pan, żebym panu obrzygał śniadaniem ten odpicowany helikopter?! – krzyknął Faulkner.

– Lepiej, żeby ta przejażdżka była tego warta – powiedział Olsen, patrząc na Kovica.

„Ma pan przywieźć moich chłopców w jednym kawałku” – uprzedził Kovica Garrison, ich dowódca, kiedy się dowiedział, że Kovic będzie dowódcą misji. Miał powody, żeby to powiedzieć – powody, do których żaden z nich nie miał ochoty wracać.

Kovic spojrzął na żołnierzy. Nawet w kamizelkach kuloodpornych wyglądali na zbyt młodych, żeby tu być, choć wiedział, że jego trzydzieści cztery lata to dla nich wiek średni. Cały kłopot z doświadczeniem polega na tym, że człowiek wie, co może pójść nie tak.

Uznał, że pora wprowadzić ich w szczegóły. Cutler nalegał, żeby zaczekać z tym, aż będą w powietrzu. Kovic włączył mikrofon.

– Słuchajcie, chłopaki, ten cały Highbeam stworzył kompletny protokół odpalania rakiet Ukochanego Przywódcy, kod źródłowy – no, wszystko. To on stoi za arsenałem jądrowym Korei Północnej. Wyżej postawionych zdrajców już nie ma.

Kovic nie umiał zagrzewać ludzi. Jego standardową metodą działania było walenie prawdy prosto z mostu, bez upiększania i pieprzenia – ale musiał jakoś tych gości zachęcić.

– No i zajebicie! – Deacon, najmłodszy i najbardziej hałaśliwy z grupy, zareagował pierwszy, jakby chcąc entuzjazmem nadrobić różnicę wieku. – Będziemy tworzyć hi-sto-rię!

– Taki jest plan, stary – przytaknął Kovic z nadzieją, że będzie to ta historia, o którą im chodzi.

Osiem godzin wcześniej patrzył, jak wysiadają z sea hawk w bazie pod Xi'an. Rzucali ostrymi tekstami, bujali się jak wyluzowani raperzy; przyszło mu do głowy, jak obco tu wyglądają i uświadomił sobie już po raz któryś z rzędu, jak bardzo przesiąkł Chinami. Tamci sprawiali wrażenie najeźdźców, trzymających wartość przy swoim śmigłowcu, zupełnie jakby wylądowali w Mogadiszu; na wszystkich podchodzących spoglądali jak na wrogów, nawet na obsługę naziemną, która przygotowywała maszynę do tankowania. Chińczycy nie przesadzali z manierami, ale jeśli chciałeś coś z nimi zdziałać, musiałeś im okazać trochę szacunku.

– To bardzo cenna zdobycz, więc traktujcie go dobrze, niech czuje, że nam na nim zależy – dodał Kovic, wiedząc, że po pół roku walk z piratami na Morzu Południowochińskim marines muszą zresetować swoje nastawienie. Całą szóstką zapakowali się do ciasnego wnętrza sea hawk, obleczeni w sprzęt: hełmy z wysokomolekularnego polietylenu, kamizelki kuloodporne pod bluzami, każdy z M4 i berettą M9 – typowa przesada marines – do tego

nowe, czteroobiektywowe gogle noktowizyjne. Deacon i Kean bawili się swoimi jak dzieci w Boże Narodzenie. Tex – pilot – zabrał ze sobą przerabiany granatnik M79 z lufą obciętą tak krótko, że wyglądała jak muszkiet z *Piratów z Karaibów*.

– Za cholerę nie potrafię celować, a to coś zabije wszystko w promieniu osiemdziesięciu metrów, nawet jak strzelę z zamkniętymi oczami.

– To prawda, on lepiej strzela z zamkniętymi, co nie, Tex?

Kovic nie kombinował, zabrał zwykłe, dwuobiektywowe gogle i sig sauera P226 z celownikiem optycznym nightforce, tłumikiem oraz pięcioma czy sześcioma magazynkami.

– Fajna zabawka, stary.

Deacon podziwiał P226, cały czas potrząsając głową do rytmu dobiegającego z jego słuchawek. Faulkner był zajęty grą na swoim telefonie. Kean zwinął się w kłębek jak kot i spał, co nie przeszkadzało mu puszczać bąków, do tego całkiem często.

– Ej, Kovac! – Faulkner podniósł wzrok, wymachując zjedzonym do połowy batonikiem hershey, który w jego wielkiej niczym rękawica bejsbolowa łapie wyglądał jak zapalka.

– Kov-ic.

– Nie tęsknisz za domem na ten widok?

Kovic pokręcił głową. Stracił gdzieś po drodze upodobanie do amerykańskich słodyczy i do wielu innych typowo amerykańskich rzeczy. Pomyślał, co by teraz zjadł, na przykład krewetki ze słuchotkami u Mancuna. Jeśli gdziekolwiek jeszcze miał dom, to w Szanghaju. Było tam wszystko, czego potrzebował, wszystko na świecie: importowane bądź podrabiane, w centrach handlowych, w kinach i na ulicach, gdzie można było znaleźć każdy przysmak, parujący smakowicie na talerzu. A do tego Louise, nie-Amerykanka i nie-Chinka, która pojawiła się w jego życiu właśnie w Szanghaju. Co mogła teraz porabiać? Nie licząc zachodzenia w głowę,

gdzie go, kurwa, tym razem wywiało.

Faulkner odgryzł kolejny kęs czekoladki.

– Dobra, Jasonie Bourne – powiedział, przeżuując – jak to się stało, że siedzisz w hawku wypchanym marines, zamiast skakać gdzieś po dachach?

To było dobre pytanie. Kovic mógł bez trudu wykręcić się od tego przydziału. Jego uprawnienia do działań za granicą straciły ważność, od czasów Afganistanu nie używał broni, stracił formę, a do tego miał pełne ręce roboty w Szanghaju. Całym sobą czuł, że nie powinien się zgadzać, ale wiedział, że jeśli chce zachować stanowisko, musi się czymś wykazać przed Cutlerem. Ich współpraca nie układała się przesadnie dobrze. „Uważaj na siebie – ostrzegł go Krantz jeszcze w Langley. – Cutler leci do Chin, żeby się wybić. Zrób mu dobrze od czasu do czasu, bo twoje CV wygląda ździebko lepiej niż jego”.

To prawda, Kovic zaliczył sporo newralgicznych przydziałów: Liban – sabotowanie działań Hezbollahu; Liberia – wykiwanie handlarza bronią; Groznie – szpiegowanie pod przykryciem wracającego do kraju Czeczena. Do tego dwie długie tury w Iraku, potem w Afganistanie. Jego oliwkowa cera i wydatne kości policzkowe sprawiały, że mógł uchodzić za tubylca wszędzie od Władystoku po Wenezuelę. Szanghaj miał być dla niego nagrodą, „okazją, by określić się na nowo”, jak ujęli to w kadrach. Przez pierwsze dwa lata męczył się, nie radził sobie z językiem i usiłował złamać tajemniczy kodeks, który obowiązywał w Chinach. Teraz nie umiał już sobie wyobrazić, że miałby mieszkać gdziekolwiek indziej. Gdyby to od niego zależało, chciałby tu umrzeć – tylko nie w Korei Północnej i nie dzisiaj.

Odezwał się Price, wysoki, cichy chłopak.

– Jak coś się popieprzy, to kogo wzywamy?

– Ej, młody! – uciszył go Olsen. – Nic się nie popieprzy, jasne?

Najwyższa pora, w końcu powiedział coś z sensem. Obaj – on i Kovic – wiedzieli, że jeśli coś się rzeczywiście popieprzy, będą zdani wyłącznie na

siebie. To była operacja z rodzaju tych, od których umywa się ręce. Reszta nie zdawała sobie z tego sprawy, ale kto mógłby mieć do nich pretensje? Byli żołnierzami, grającymi według jasnych zasad. W CIA podstawowa zasada to: nie daj się złapać, bo nikt nie pospieszy ci z pomocą.

– Jak zrobi się jasno, wynosimy się stąd – powiedział Price. – Z przesyłką albo bez.

Kovic przytaknął.

Wojownicze nastroje zaczynały opadać w miarę zbliżania się do celu. Czasami okazywało się, że ci, którzy wyglądali na największych twardzieli, pomylili wojsko z siłownią.

– Jasne. Ale nie ma przesyłki, nie ma premii – zauważył Faulkner.

Wzmianka o pieniądzach obudziła Keana.

– Jak nie będzie premii, to będę musiał odbębnić jeszcze jedną turę albo adwokat mojej starej dobierze mi się do dupy...

Bardziej martwi się alimentami niż tym, że Koreańczycy mogą odstrzelić mu jaja, pomyślał Kovic. Łatwiej bać się znanego diabła niż nieznanego. Wszyscy zgłosili się na ochotnika, jako porządni patrioci, ale liczyły się przede wszystkim pieniądze. Kovic nie miał serca im powiedzieć, że mityczne premie za operacje specjalne są uznaniowe i zależą od widzimisie jakiegoś anonimowego liczykrupy w trzewiach Pentagonu.

– ...a ja nie załatwię sobie jutro jakiejś chińskiej laseczki.

– A to nie z tego powodu twoja stara szczuje cię adwokatem? Bo nie potrafisz utrzymać go w gaciach?

– Tak właśnie, małeńka! Nie darmo zwał go Bestią!

Kovic uśmiechnął się. Milion dyrektyw Pentagonu dotyczących właściwego języka, a ci używają tych samych określeń co jego ojciec. To musi być prawda, że podróże zawężają horyzonty. Kiedyś, po jakiejś ksenofobicznej uwadze, odważył się upomnieć Cutlera; szef popatrzył wtedy

na niego znad okularów. „Nie szukamy tu przyjaciół, agencie Kovic, jesteście tu po to, żeby się odegrać”.

To było najlepsze podsumowanie amerykańskiej polityki zagranicznej, do tego padło z ust człowieka, który zbudował karierę na zręcznym miganiu się od wszystkich większych afer. Kovic nie cierpiał biurw takich jak Cutler, który z kolei czuł się zagrożony dokonaniem Kovica w terenie. Właśnie to wkurzało dyrektora najbardziej, pomyślał, to wyjaśniało, dlaczego Cutler cały czas musi mu przypominać, kto tu jest szefem. A broń Boże, żeby to był akurat rok wyborów.

Kean się rozochocił, nakręcał pozostałych.

– W Susie’s Bar w Ningbo mają takie bliźniaczki...

– To wcale nie są bliźniaczki, palancie. Po prostu wszystkie wyglądają dla ciebie tak samo. Pokazaliby ci laskę z jej babcią, a ty i tak byś powiedział, że to bliźniaczki.

– Ja przynajmniej nie muszę za to płacić.

– Deacon, przecież ty jesteś prawiczkim! Nie wiesz nawet, gdzie się wsadza.

Składane krzeselka zatrzęsły się od chóralnego śmiechu.

– Dość tego – warknął Olsen. – Zmieńcie płytę, co?

– Ej, Kovic, bo jestem ciekawy: one naprawdę mają proste łoniaki?

Olsen uciszył Deacona spojrzeniem. Zapadła cisza. Tex zwalniał. Odwrócił się na chwilę i wskazał w dół.

– Iii-ha! Gwiazdka na trzy metry!

Śnieg. Ultradokładne – ponoć – zdjęcia meteorologiczne Dowództwa Floty potwierdzały bezchmurne niebo. Tymczasem wystarczyło obejrzeć pana pogodynkę z koreańskiej telewizji i wysłuchać zatwierdzonej przez partię prognozy. No i proszę, pomyślał Kovic, z każdą chwilą coraz lepiej.

Nie wiedział jeszcze, że ten śnieg uratuje mu życie.

2

Strefa lądowania, Korea Północna

Wycie silnika sea hawk przeszło w basowy, dudniący puls, kiedy wirnik zmienił kąt nachylenia i śmigłowiec zawisł w powietrzu. Kovic odsunął drzwi i lodowaty wicher wydmuchnął ciepłe ludzkie wyziewy, które nagromadziły się w kabinie. Spojrzał w dół na księżycowy krajobraz. Nic z tego, co zobaczył, nie przypominało w najmniejszym stopniu zdjęć z satelity. Informacje Cutlera były skąpe. Powiedział tylko tyle, że samochód Highbeama będzie stał na północ od skupiska betonowych bloków, w materiałach z odprawy określonych na wyrost mianem „opuszczonego osiedla”. „Zwijacie i spływacie” – dodał i uśmiechnął się pod nosem, zadowolony ze swojego nowego błyskotliwego powiedzonka.

Kovic wypatrzył zaparkowane przy drodze ciemne kombi. Oby to był on, a nie jakaś parka, szukająca towaru jeszcze trudniej tu dostępnego niż jedzenie – prywatności.

Przełączył się na kanał ogólny, powtórzył jeszcze raz plan działania.

– Otaczamy samochód, po jednym na każdym rogu, nie bliżej niż trzy metry, broń opuszczona, ale w pogotowiu. Nie chcemy, żeby pomyślał, że przyłecieliliśmy go zabić. Kiedy potwierdzą tożsamość, on wysiada z samochodu i możemy go przeszukać. Gdyby miał bagaż, będę musiał go sprawdzić. Jesteśmy na ziemi dziesięć minut, nie więcej.

– Ty jesteś szefem – stwierdził Kean.

– A mnie mówili, że dwie minuty – wtrącił Olsen.

– Odlatujemy, kiedy powiem, że odlatujemy. Kiedy już wszystko załatwię.

Nie było czasu na dyskusje o tym, dlaczego Olsen miał takie, a nie inne zdanie o wykonywaniu rozkazów kogoś z CIA. Kovic świetnie to wiedział. Znali się z Garrisonem od dawna. Olsen słyszał o ich niezałatwionych sprawach. Teraz musiał po prostu zrobić swoje. Nie wybierali się razem na wakacje – tylko lądowanie, start i do domu. Nie będą znajomymi na Facebooku.

– Jak chcesz się stąd zwinąć szybciej – podsumował Kovic – to powiedz swoim ludziom, kto idzie na który róg.

Olsen westchnął, a potem przydzielił chłopakom pozycje. Kovica nie interesowało, kto dostał którą, zależało mu tylko na tym, żeby było jasne, jaka panuje tu hierarchia.

– Dobra, Tex, posadź nas.

Kiedy opadali, Kovic włączył noktowizor. Płatki śniegu zbiły się w białe kłębki waty. Pieprzony złom. Skute lodem zbocze wzgórza było puste i jałowe; Kovic wolał działać w tłumie, gdzie przeciwnika rozprasza mnóstwo czynników. A tutaj nawet nie było się gdzie schować.

Padał gęsty śnieg. Zmienił okolicę w marcową świąteczną scenkę, zupełnie jak z bożonarodzeniowej pocztówki; na tej grubej jasnej pokrywie będą widoczni jak figurki na weselnym torcie. Ale dziś i tak nie mogli liczyć na niewykrywalność. Zadbali o to łoskot wirników sea hawka.

W Korei Północnej nie było nowych samochodów, tak samo jak nowych pralek czy telewizorów. Gdyby ktoś zobaczył, jak przed jego domem w Ameryce przejeżdża poobijany, stary nissan – taki jak ten, na którego teraz patrzyli – z miejsca przywołałby do siebie swoje dzieci; tutaj fakt, że coś podobnego robi za środek transportu głównego programisty krajowego programu atomowego, nikogo nie dziwił.

Wycieraczki zmiotły śnieg z szyby. Kovic dostrzegł niewyraźny zarys postaci za kierownicą. Z doświadczenia wiedział, że uciekinierzy często bywają upierdliwi. Niektórzy mieli o sobie wygórowane mniemanie

i próbowali targować się w ostatniej chwili albo przyjeżdżali z ludźmi, których nie mogli zostawić – dziewczynami, chłopakami, matkami lub innymi przybłędami, mającymi nadzieję wskoczyć na amerykański latający dywan i jak w bajce uciec z dziury, w której mieli pecha przyjść na świat. Pewien facet, którego Kovic zabierał z Bejrutu, próbował wywieźć ze sobą swojego psa. Inni, obawiając się konsekwencji, w ostatniej chwili zmieniali zdanie. Z takimi bywało ciężko – gułagi pełne były ich krewnych; każdy, kogo kiedykolwiek kochali albo poczuli, stawał się potencjalnym zakładnikiem.

Tex posadził sea hawka na drodze.

– Wylądowaliśmy właśnie w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej. Prosimy cofnąć zegarki o pięćdziesiąt lat.

– Nie gaś silnika, Tex.

Kovic wyskoczył ze śmigłowca i zgarbił się pod wirnikiem.

– Będę szedł lewą stroną drogi, dopóki nie zrównam się z oknem kierowcy. Olsen, ustaw ludzi na pozycjach, kiedy zacznę mówić.

Warstwa śniegu na ziemi szybko rosła. Kovic zbliżył się do samochodu, zatrzymał w odległości kilku metrów i wycelował latarkę w postać za kierownicą: wysokie czoło, zapadnięte policzki, szerokie usta, drobna nieciągłość lewej brwi – zgadza się. Mężczyzna miał na sobie o wiele za duży garnitur, bez wątpienia ostatni krzyk mody w KRLD. Szcherzył zęby w nienaturalnie szerokim uśmiechu i dygotał tak mocno, że drgały mu kłapy marynarki. Kovic cicho odchrząknął i przestawił się na koreański; szybko upewnił się w myślach, że dobrze wymawia nazwisko tamtego.

– *Shun-kin, przekazuję pozdrowienia od rządu Stanów Zjednoczonych.*

Mężczyzna za kierownicą wciąż się szeroko uśmiechał, ale nie poruszył się, nawet nie obejrzał. Deacon, Kean, Faulkner i Price zajęli pozycje, każdy na rogu samochodu, Olsen osłaniał Kovica z tyłu. Kovic chciał, żeby Highbeam zobaczył marines. Spodziewał się, że da mu to poczucie

bezpieczeństwa i przekonanie, że to się dzieje naprawdę.

Nie opuszczając noktowizora, żeby wyglądać bardziej jak człowiek, podszedł do szyby kierowcy. W środku śmierdziało papierosami i potem. Na tylnym fotelu leżała duża walizka ze skaju, podobna do tej, z jaką dziadkowie Kovica przyjechali do Ameryki w latach trzydziestych.

– *Jest pan gotów na odważny krok ku wolności?*

Milczenie, tylko seria gwałtownych potaknięć.

– *Może pan do mnie mówić, zrozumiem.*

Zdolności językowe Kovica były jeszcze jedną rzeczą spośród tych, które tak peszyły jego zwierzchnika; Cutler najczęściej porozumiewał się za pośrednictwem tłumaczy.

I znów ten głupkowaty uśmiech, znów potaknięcia. Highbeam cały czas ani drgnął. Kovic zbliżył się do niego o krok. W Pakistanie musiał przypiąć jednego faceta do noszy i nieść go, bo tamten zemdlał ze strachu.

– *Shun-kin. Proszę wysiąść z samochodu. Zabieramy pana do Ameryki. Rozumie pan? Zabieramy pana w tym momencie.*

Co go tak przykuło do miejsca? Wątpliwości, które pojawiły się w ostatniej chwili, strach przed nieznanym? Świadomość, że nigdy nie wróci do domu?

Może za dużym wstrząsem okazał się dla niego głos jankesa przemawiającego w jego ojczystym języku. Tym razem Kovic spróbował po angielsku, trochę bardziej nagłaco.

– *Panie Shun-kin, zbierajmy się, dobrze?*

Koreańczyk otworzył drzwi i z wahaniem wysiadł z samochodu. Mimo mrozu był zlany potem. Z przyklejonym do twarzy głupkowatym uśmiechem nie wyglądał zbyt inteligentnie. Z bliska sprawiał wrażenie bardzo młodego – zbyt młodego. Albo musiał być genialnym dzieckiem, albo...

Kiedy Kovic wyciągnął do niego rękę, Koreańczyk uskokzył w lewo

i zaczął biec. Stojący najbliżej Kean zastąpił mu drogę.

– Odsuń się! – wrzasnął Shun-kin po angielsku. Pchnął Keana, ale w jego chudym ciele nie było dość siły, żeby poruszyć zwalistego, masywnego marine. – Musicie się odsunąć! Oni...

Kean złapał go już prawie w niedźwiedzi uścisk.

Wtedy Kovic zrozumiał.

– Uciekaj, człowieku, uciekaj! – wrzasnął do Keana. – Puść go! Biegiem! Biegiem!

Pierwsza detonacja, zapalająca, huknęła gdzieś na piersi Koreańczyka. Kovic zobaczył to w przelocie, odwracając się do ucieczki. Druga eksplozja zmieniła noc w dzień, uniosła go w powietrze i cisnęła w kierunku sea hawk. Przeleciał połowę odległości do śmigłowca, rąbnął o drogę i potoczył się w śniegu.

Shun-kin zniknął – odparował w wybuchu. Samochód płonął; trzeci raz huknęło, kiedy ogień dotarł do baku. Kean leżał pięć metrów od miejsca, w którym stał jeszcze przed chwilą, bez jednej ręki, z twarzą zalaną krwią. Deacon, powłócząc nogą, dotarł do niego pierwszy. Kean wyciągnął w jego stronę ocalałą rękę, a potem opadł na plecy. Martwy. Twarz Deacona zastygła w grymasie.

Tex rzucił się do sterów i krzyczał do mikrofonu.

– *Kovic, co się dzieje?!*

Kovic przejściowo stracił słuch, ale jego mózg pracował na podwyższonych obrotach. Shun-kin próbował uciekać; nie zdetonował ładunku sam. Bomba nie mogła mieć zegara, bo nie było wiadomo, kiedy dokładnie przylecą. A zatem zdetonował ją ktoś, kto ich obserwował. Kovic odwrócił się i krzyknął do Texa, żeby startował, uciekał poza zasięg. Na ziemi helikopter był bezbronny, poza tym potrzebowali pary oczu na górze.

– *Zrób kółko, powiedz, co widzisz!*

Sea hawk wzbił się w górę, Kovica omiółł śnieg i żwir.

– Hej, wracaj tu, natychmiast!

Olsen wrzeszczał i wymachiwał rękami, jakby Tex mógł go dostrzec w ciemności. Kovic minął go i zobaczył Deacona, który leżał zwinięty w pozycji półpłodowej, obejmując pierś, jakby jej zawartość miała się wylać. Podbiegł do niego, wyciągając z bocznej kieszeni spodni opatrunek. Cały korpus Deacona zmienił się w krwawą masę.

– Spokojnie. Nie oddychaj tak głęboko.

– Pieprzony samobójca...

Kovic wiedział, że to, co się stało, wcale nie było inicjatywą Shun-kina. Próbował ich ostrzec, chociaż miał świadomość, że jest już po nim. Prawdopodobnie uratował Kovicowi życie.

– Hej, patrzcie!

Faulkner wskazał coś palcem. „Opuszczone osiedle” zaroilo się od ludzi biegnących w ich stronę.

– No, kurwa, zajebicie – warknął Olsen.

Kovic złapał Deacona i powlókł go za szczątki kombi, a potem wrócił po swoje M4. Eksplozja zerwała mu z głowy gogle, w oczach miał kurz. Kusiło go, żeby posłać długą serię i mieć nadzieję, że kogoś trafi. Lepiej się pohamować, powiedział sobie, lepiej pomyśleć. Ściągnął z hełmu Deacona noktowizor i założył go sobie na głowę. Koreańczyków był jakiś tuzin; czarne sylwetki na białym tle, uzbrojone w standardowe, rosyjskie kałasznikowy RPK. Przynajmniej nie będzie im łatwo w ciemności i śniegu, bo domyślił się, że nie mają noktowizorów ani laserowych celowników. Z drugiej strony bębnowe magazynki RPK zawierały siedemdziesiąt pięć nabołów, można z nich było prażyć bez celowania. M4 Deacona miał nie więcej niż trzydzieści nabołów; każdy był więc na wagę złota. Widząc ruch przed sobą i po lewej, Kovic poderwał się i posłał kilka strzałów. Trzej Koreańczycy padli w śnieg z ranami głowy. Kałuże krwi zlały się, tworząc na

śniegu wielką plamę w kształcie stożka. Jeśli Amerykanie mieli się z tego w ogóle wykaraskać, krwi będzie o wiele więcej.

Kovic zobaczył biegnącego w ich stronę snajpera; zanim się spostrzegł, mężczyzna zniknął w ciemności. Wycelował w tamto miejsce, strzelił, usłyszał krzyk.

– Gdzie Faulkner?

Marine zataczał się w ich stronę, brnąc przez dym. Ścisnął swój bark, bezużyteczna już broń zwisała mu z posiekanej ręki. Kovic podbiegł do niego i pchnął go na ziemię, kryty przez Price'a. Wyciągnął bandaż, zębami oderwał Faulknerowi rękaw bluzy i opatrzył ranę najlepiej, jak umiał. Miał w apteczce morfinę, ale jego uwagę zaprzętnęło coś innego.

Olsen krzyczał przez radio do Texa:

– Co ty, kurwa, robisz?! Kryj się, do kurwy nędzy!

– Musimy się stąd wynieść.

– Nie. – Kovic teraz nie miał czasu na dyskusje. – Najpierw musimy ich zneutralizować. Jak podleci bliżej, będą go mieli na widelcu.

Olsen nie słuchał. Kovic złapał go za ramię i siłą odwrócił do siebie.

– Niech go trafią choćby raz i po nas, rozumiesz? Nikt po nas nie przyleci.

Olsen strząsnął rękę Kovica, jego twarz wykrzywił grymas gniewu.

– Zabrałeś nas prosto w zasadzkę, jebany debilu. Wystawili cię. Dostałeś główniane informacje. Od początku wszystko spierdoliliście. Zabieram stąd chłopaków, ta misja jest oficjalnie spierdolona. Zabieram chłopaków, a ty... ty się możesz pierdolić.

Kovic rzucił się na Olsena, ale ten zrobił unik. Uderzył Kovica kolanem w krocze, a potem kopnął go w brzuch, posyłając w śnieg.

Wtedy usłyszeli basowy łopot śmigłowca. Ledwie widoczny, szara plama za zasłoną śniegu niczym nieostry obraz na ekranie telewizora, sea hawk

znalazł się nad nimi. Tex zawracał.

– Sayonara, dupki! – wrzasnął przez radio. Cała ta tajna misja uderzyła mu chyba do głowy. Odsunął boczną szybę i wymachiwał swoim granatnikiem w kierunku, w którym wydawało mu się, że są Koreańczycy. Wypalił przy drugim zejściu.

Ale kiedy Olsen gestem kazał Price'owi zabrać Faulknera na miejsce lądowania, sea hawkiem szarpnęło w bok, jakby nagle chwyciła go sięgająca z chmur, niewidzialna ręka jakiegoś olbrzyma. Silnik zawył, wchodząc na wysokie obroty, nos śmigłowca skierował się ku niebu, jakby walczył o utrzymanie wysokości. Maszyna zaczęła sunąć w bok, wirnik na ogonie już orał ziemię tam, gdzie swoje pozycje zajęli Koreańczycy. Jedna z łopat głównego wirnika oderwała się i koziołkując, zniknęła w ciemności. Potem śmigłowiec zaczął kreślić nieudolną beczkę i w końcu runął na ziemię. Kovic rzucił się na Faulknera i Price'a, a Olsen skoczył za szczątki kombiaka. Helikopter eksplodował kulą ognia, zasypując okolicę odłamkami zniszczonej maszynerii, a później buchnął z niego grzyb płomieni i dymu.

Sytuacja nie wymagała żadnego komentarza. Znajdowali się czterdzieści kilometrów w głąb koreańskiego terytorium, bez transportu powrotnego, bez przewagi zaskoczenia, a kolumna dymu i ognia biła w nocne niebo, alarmując w promieniu piętnastu kilometrów wszystkich, którzy jakimś sposobem nie zdążyli się jeszcze dowiedzieć o ich obecności. Gdyby Kovic był sam, mógłby się przyczać i unikając patroli, spróbować dotrzeć do granicy. Ale z dwoma trupami i trzema rannymi...

Olsen spojrział na niego z pogardą.

– Kolejna akcja, którą dopiszesz do listy wtop CIA.

Kovic nie miał już siły się wściekać.

– To ty mu kazałeś zawracać.

Olsen wojowniczo wysunął szczękę, jakby chciał powiedzieć: „Tak? No to dawaj!”, i otworzył usta. Przez krótką chwilę Kovic myślał, że marine

obmyśla kolejne wyzwisko, lecz tamten nagle drgnął, oczy uciekły mu pod czaszkę, wypuścił karabin i padł twarzą w śnieg. Price podbiegł ku niemu.

– Trafili go!

– Snajper! Kryć się!

Strzał padł z wzniesienia po lewej, prawie niewidocznego w śnieżycy. Z rozdarcia na udzie Olsena trysnęła struga krwi; jeśli kula rozerwała tętnicę, nie miał szans. Price rozdarł opatrunek. Kovic zdążył już rozerwać strzępy spodni rannego, po czym założył prowizoryczną opaskę uciskową i mocno ją zawiązał.

– Masz.

Price podał mu morfinę. Obsypali ranę śniegiem, żeby obkurczył naczynia krwionośne, dopóki nie będą mogli zabrać stąd Olsena.

Błyski wystrzałów i szalone wycie silnika zwiastowały, że w ich stronę po zboczu pędzi duży, terenowy pikap, zaraz za nim drugi.

– A to, kurwa, co znowu?

– Ochrona pogranicza. Kaengsaeng 69, koreański jeżdzący złom.

Żaden z nich się nie poruszył. Nie było dokąd uciekać.

– Mamy przejebane.

Kovic patrzył, jak oba samochody się zatrzymują.

– Jeszcze nie. Chcę to auto.

Uświadomił sobie, że w jednym mają przewagę: Koreańczycy byli zwykłymi poborowymi, a nie żołnierzami sił specjalnych. Nigdy przedtem nic podobnego ich nie spotkało. Mógł mieć nadzieję, że wystrzela tyłu, ilu da radę, a reszta ucieknie. Wycelował przez podczerwoną lunetę M16 w kierowcę pierwszego dżipa. W punkt. Kierowca wypadł z siedzenia, a pasażerowie rzucili się szukać osłony. Kovic śledził ich przez lunetę i odstrzelił jeszcze dwóch. Może i nie miał już takiej kondycji jak dawniej, ale nie stracił dobrego oka. Niedobitki wskoczyły na pakę drugiego

samochodu, który odjechał, zarzucając tyłem na śniegu.

Kovic podbiegł do porzuconego dżipa i wskoczył do środka. Silnik nadal pracował. Szarpnął kilka razy dźwignię zmiany biegów, odszukał jedynkę, puścił sprzęgło, a potem podjechał do grupy przy wypalonym kombiaku.

– Ja was tu przywiozłem i ja was stąd zabiorę, jasne?

– Jak?

Olsen był już półprzytomny. Faulkner trzymał się lepiej, ale pozostawał w szoku. Zamknął oczy, czekał, aż morfina zacznie działać.

– Plan B: jedziemy przez wojskowe przejście graniczne.

Po naleganiach Kovica Chińczycy zgodzili się zapewnić naziemną, awaryjną drogę ewakuacji przez nieużywany, górski posterunek graniczny.

Price pomógł Kovicowi zapakować rannych na pakę. Dygotał ze strachu.

– A teraz się stąd wynośmy.

Padał coraz gęstszy śnieg, wiatr zawiewał nim prosto w szybę. Kovic zgasił światła i przeszedł na noktowizyjne gogle, chociaż płatki śniegu wydawały się w nich olbrzymie, jakby jechali przez pierze z gigantycznej, rozerwanej poduszki.

– Przy tej prędkości nie damy rady – zauważył niepotrzebnie Olsen.

– Możesz wyjść i popchać.

W lusterku Kovic spostrzegł, że drugi dżip zawrócił i ruszył w pościg. Był coraz bliżej. Tyle w temacie odstraszenia żołnierzy. Spróbował wrzucić wyższy bieg. Nie było takiego, a przez tę chwilę na sprzęgle wytracił prędkość.

Kiedy drugi samochód się zbliżył, Kovic krzyknął do Price'a, żeby go odpędził. Strzały nic jednak nie pomogły. Droga wciąż pięła się w górę, ale biegła prosto, jak okiem sięgnąć – czyli jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt metrów. Druga terenówka była już prawie obok nich. Kovic szarpnął kierownicę. Rozległ się zgrzyt zgniatanego metalu, ale przeciwnik uparcie

trzymał się drogi. Kovic znów odbił. Tym razem ścigającym ich dżipem zarzuciło. Jego zewnętrzne koła zahaczyły o rów; samochód zjechał z drogi i przewrócił się na bok.

Ulga nie trwała długo. Ze śnieżycy wychynął zakręt, ostry łuk w lewo, do tego zdradziecko wyprofilowany na zewnątrz. Kovic mocno skręcił kierownicę, ale więcej do powiedzenia miał impet. Wóz wystrzelił z szosy, wzbił się w powietrze, spadł i wzbił się raz jeszcze, wysypując wszystkich na śnieg, zanim znieruchomiał w kępie drzew.

To wybitnie nie mój dzień, pomyślał Kovic.

Rozplaszczył się na skraju drogi i wyjrzał na drugiego dżipa. Jego pasażerowie zdążyli już postawić go na koła i wsiąść z powrotem do środka. Silnik odpalił. Po chwili dżip jechał w stronę zakrętu. Kovic schował się, kiedy samochód go minął, zarzucając w rozmiękłym śniegu. Koreańczycy nie wiedzieli, że Amerykanie wypadli z drogi. Kovic pobiegł przed siebie, poślizgnął się w śniegu, złapał równowagę i wskoczył na pakę jadącego wozu. Wycelował. Tłumik jego siga sprawił, że dwaj na tyle zginęli, nim siedzący z przodu zdążyli cokolwiek zauważyć, ale wtedy dżipem rzuciło na wyboju. Kovic poleciał na kierowcę i broń wypadła mu z ręki. Drugi żołnierz usiłował wyciągnąć lufę RPK, która utkwiała mu między kolanami. Kovic uderzył go lewym łokciem w bok głowy i rzucił się na broń, zanim tamten zdołał ją podnieść. Ale kierowca, wystraszony jego nagłym pojawieniem się, puścił kierownicę. Samochód uderzył w słup.

Siła uderzenia rzuciła Kovica głową naprzód pod deskę rozdzielczą; rozbił sobie podbródek o lufę karabinu. Bezskutecznie usiłował wyciągnąć własną broń, zaklinowaną teraz pod pedałami. Pasażer uwolnił karabin maszynowy i wypuścił serię w niebo, centymetry od twarzy Kovica, która zdrętwiała mu tak, że przez chwilę myślał, że dostał. Co za bajzel, pomyślał, szamocąc się z bronią i przeciwnikami. Chwycił RPK za lufę – przez rękawiczki poczuł jej żar – i szarpnął za nią w stronę kierowcy akurat w chwili, kiedy jej właściciel wypluł kolejną serię. Kule trafiły kierowcę

w szyję; było ich tyle, a strzały padły z tak małej odległości, że jego głowa, prawie zupełnie oderwana, opadła mu na pierś, zwisając na strzępach skóry. Pasażer ze zgrozą wytrzeszczył oczy. Kovic spostrzegł, jaki jest młody, i przelotnie zrobiło mu się go żal. Potem wyrwał mu karabin, uderzył go kolbą w pierś i wyrzucił na śnieg.

To nie był koniec. But bezgłowego kierowcy zaklinował się na pedale gazu. Kovic złapał za kierownicę – za późno. Dżip uderzył w niski murek i wyrzucił go do przodu, nad maską i murkiem w lodowaty rów. Kovic uderzył nosem o kamień i usłyszał chrzęst pękającej kości. W locie przeklął Olsena, przeklął Cutlera, agencję i na końcu samego siebie za to, że okazał się tak głupi, by podjąć się tej misji.

Przez dobrą minutę leżał nieruchomo. Prawie ślepy z bólu walczył, żeby nie stracić przytomności, ale czuł, że jego mózg się poddaje i wyłącza. W rowie, ukryty za murkiem, mógł zostać na ziemi i mieć nadzieję, że być może Koreańczycy go nie znajdą... Przysypie go śnieg i już nikt nigdy go nie znajdzie. Zazna spokoju i odpocznie. Poczul, że tonie.

Ktoś krzyczał. Kovic ocknął się, podniósł na łokciach i wyjrzał nad murkiem na dżipa. Był pusty. Gdyby udało mu się go uruchomić, samochód byłby ich. Przeszedł przez murek i wskoczył do środka. Kierownica była śliska od krwi i mózgu. Przetarł ją szybko rękawem, odszukał stacyjkę, przekręcił kluczyk i nacisnął gaz. Silnik zaskoczył i zgasł. Kovic znów zakręcił, dżip ponownie warknął i zgasł. Przez śnieg brnął w jego stronę Price, włokąc Olsena i Faulknera. W wirującym śniegu już teraz wyglądali jak duchy.

Kovic w końcu odpalił silnik, kilka razy nadepnął mocniej gaz, a potem rozkołysał dżipa w przód i w tył, aż koła złapały twardey grunt. Podjechał tyłem do tamtych.

Wyciągnął telefon. Przed misją ustalili SMS-owy szyfr: „Alfa” oznaczała misję zakończoną sukcesem, „Beta” – misję przerwana, „Gamma” –

ewakuację drogą lądową. Kovic zamierzał napisać „Gamma”, żeby powiadomić Cutlera, który potwierdzi przejście przez granicę – o ile udałoby im się tam dotrzeć.

– Pieprzyć to, i tak jesteśmy spaleni – mruknął do siebie.

Zadzwoił do Cutlera.

Cutler odebrał natychmiast.

– Co się stało?

– Krewa. Dwóch nie żyje plus pilot. Wpadliśmy w pułapkę. Highbeam miał na sobie kamizelkę z niespodzianką.

Cisza. W słuchawce słyhać było tylko szybki, krótki oddech Cutlera. Kovica naszała ochota, żeby go opieprzyć, ale to musiało poczekać. Miał na głowie ważniejsze sprawy.

– Jesteśmy trzydzieści kilometrów w głąb KRLD. Zdobyłem wóz, ale musisz potwierdzić, że posterunek graniczny będzie otwarty. W przeciwnym razie będziesz miał na sumieniu sześciu martwych marines plus jednego ze swoich i to po niewłaściwej stronie zasieków. Odbiór.

– Zajmiemy się tym. Jedźcie ostrożnie.

Cutler rozłączył się. Chińczycy byli teraz ich jedyną nadzieją; oby tylko otworzyli przejście. Ale Pekin też na pewno wszedł w tryb ograniczania strat, a Cutler będzie zachodził w głowę, jak też wypadnie w oczach Langley i jak w związku z tym zabezpieczyć własny tyłek. Ale teraz nie warto było się wściekać. Ściana dymu z płonącego helikoptera zaczynała się powoli rozwiewać.

Gniew dodał mu sił. Zapakują się do tego złomu, przejadą przez granicę, a Olsen i Faulkner przeżyją, i nie przeszkodzi im w tym śnieg ani nie wiadomo ilu Koreańczyków, którzy jechali w ich kierunku.

Kovic pomógł żołnierzom wsiąść do dżipa, który tymczasem znów zgasł.

– Dokąd jedziemy, stary? – Faulkner był półprzytomny z zimna i bólu.

– Do domu. Dojedziemy tym do granicy, po chińskiej stronie ktoś nas zabierze.

Nikt więcej się nie odezwał. Wszyscy mieli przed oczami dwóch zabitych i płonącego sea hawk'a z Texem w środku.

Olsen jęknął.

– Garrison mnie przed tobą ostrzegał. O tak, wiem wszystko o...

– Daruj sobie – przerwał mu Kovic. – Załatwiłem wam transport. Jak tylko przekroczymy granicę, nie będziemy musieli więcej nawet na siebie patrzeć. Ale póki co mamy się zachowywać jak zespół i kryć się nawzajem. W ten sposób zwiększamy szanse na przeżycie, tak? To spróbujcie się od siebie ogrzać, przed nami pół godziny jazdy.

Nie czekał na odpowiedź. Szarpał dźwignią biegów, aż weszła jedynka, a dżip skoczył do przodu. Droga zniknęła całkowicie pod warstwą śniegu.

Kiedy sprawy przyjmowały tak zły obrót jak teraz, mógł tylko wspominać inne paskudne sytuacje, z których się wykaraskał. Tak jak ta w Sudanie, kiedy złapały go dzieci-żołnierze naćpane herą, wetknęły mu w dupę lufę karabinu i zaczęły się kłócić, kto ma pociągnąć za spust. Albo w Kurdystanie, gdzie rozwścieczona dziwka z nożem była przekonana, że jej nie zapłaci, bo dowódca talibów, którego miała uwieść, okazał się gejem. I pierwszy miesiąc w Chinach, gdy indonezyjski handlarz bronią trzymał go do góry nogami na krawędzi dachu wieżowca, bo wziął go za rywala...

Ale o synu Garrisona myśleć nie chciał.

Śnieg gęstniał z każdą minutą, a koła coraz bardziej traciły przyczepność. Kovic zwolnił do trzydziestu, ale i tak jechał za szybko.

Droga przekraczała granicę na górskim zboczu. Dżip wściekle protestował przeciwko takiemu nachyleniu. Sprzęgło trafił szlag, ale Kovicowi udało się siłą zrzucić bieg z dwójki na jedynkę. Trzymał się blisko zbocza, jednak na źle wyprofilowanym zakręcie w prawo samochód zsunął się w bok. Kovic dodał gazu – koła tylko zabuksowały. Potem obroty

skoczyły w górę i przez chwilę wydawało się, że im się uda. Kovic wyteżył wzrok, skupił się z całych sił, odtwarzając w pamięci widziane mapy i zdjęcia satelitarne; przypominał sobie, jak droga zwęża się po ostrym zakręcie i na którym odcinku osunęła się na nią lawina. Trzymał gaz, dżip skakał po nierównej nawierzchni, ale kąt nachylenia pokonał w końcu przyczepność opon i metaliczny szczęk spod podwozia oznajmił pęknięcie wału napędowego. Kovic wcisnął w podłogę pedał hamulca, lecz koła i tak były już zablokowane. Zsuwali się do tyłu, a silnik uwolniony od swojego brzemienia wył na wysokich obrotach.

– Nie utrzymam go! Wyskakujcie!

Wyskoczyli. Kovic wyciągnął Olsena, a Price złapał Faulknera; po chwili dżip zniknął za krawędzią drogi i przewrócił się na bok, ukazując zwisający niczym bezwładna kończyzna pęknięty wał. Silnik wciąż pracował na wolnych obrotach, ale samochód popadł w kliniczną śmierć.

– Dobra. Dalej pieszo.

– Jak daleko?

– Dwa kilometry.

Taka odległość na płaskim terenie, w tych okolicznościach, to minimum dwadzieścia minut. Pod górę – dwadzieścia pięć. Niosąc rannych...

Kovic wciągnął sobie na plecy Olsena, a Price zarzucił sobie na ramiona rękę Faulknera, na pół go niosąc, na pół prowadząc. Faulkner był największy z nich wszystkich, ale Olsen ciążył jak balast, wydawał się co kilka metrów podwajać swoją wagę. Kovic zmobilizował resztki sił, wysiłkiem woli odciął się od swojego zmęczenia. Zimno spowolniło krwotok z uda Olsena, ale marine bladł coraz bardziej. Kovic czuł, że ziąb kąsa go przez ubranie, mrozi twarz, skleja włosy w nosie. W Afganistanie, zimą 2008 roku, natknął się na dziwnego kształtu kopczyk w śniegu. Zaciekawiony, rozkopał go i znalazł w nim całą rodzinę, przytuloną do siebie w ostatniej, rozpaczliwej próbie ogrzania się. Ich trupy były złączone w jedną bryłę, zamarznęte na kamień;

zmienili się w swój własny nagrobek.

– Ej, widzisz?

Price, który szedł kilka kroków z przodu, zatrzymał się i wskazał coś w ciemności.

– Ogrodzenie.

– Już prawie jesteśmy – powiedział Faulkner.

Kovic wystrzelił flarę alarmową, która zniknęła w chmurach śniegu. Wiatr wiejący zza wzgórza przybrał na sile, smagał ich twarze i dodatkowo spowolniał marsz. Kovic zaczął liczyć kroki tylko po to, żeby skupić się na czymś innym niż zimno. Z każdym kolejnym wyobrażał sobie inne danie z menu w Mancun's, obiecując sobie podwójną porcję wszystkiego, jeśli tylko uda mu się z tego wyjść cało. W tej białej pustce jaskrawy, hałaśliwy Szanghaj wydawał się rajem na ziemi.

Posterunek był opustoszały, ale wielka, siatkowa brama stała otworem. Coś wreszcie poszło dobrze, choć w duchu Kovic liczył na chiński komitet powitalny. Wspiął się na wieżę wartowniczą i znalazł telefon w metalowej, wodoszczelnej skrzynce. Aparat nie miał tarczy ani guzików: trzeba było podnieść słuchawkę i czekać na zgłoszenie. Kovic miał nadzieję, że ktoś w kwaterze głównej straży granicznej odbierze. Spojrzał w dół, na Price'a obejmującego ramionami Faulknera i Olsena, osłaniającego ich przed wiatrem, który chłostał bezlitośnie.

Na linii zatrzeszczało. Głos zabrzmiał, jakby dobiegał z drugiego końca świata. Kovic próbował coś powiedzieć. Mroźne powietrze paliło go w tchawicę. Pot po dźwiganiu Olsena zamarzał mu na twarzy niczym lukier. Padł na kolana, mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa, pamięć też. Jak, do cholery, powiedzieć po mandaryńsku „pomocy”? Przeszukiwał zakamarki mózgu, czuł, że świadomość ustępuje pod działaniem mrozu. W końcu, po – zdawałoby się – wieczności, znalazł. Spróbował poruszyć ustami, ale nie chciały go słuchać.

– *Yu-cheng*... Pomocy.

Puścił telefon i powlókł się do schodów. Miał tylko nadzieję wrócić do pozostałych, podzielić się ich gasnącym ciepłem, zanim będzie za późno dla nich wszystkich. Znalazł oparcie dla stóp, stracił równowagę, próbował ją odzyskać, a potem spadł z wysokości jakichś trzech metrów w śnieg, którego nawiało wokół podnóża wieży. Wylądował miękko, cały zniknął w białym puchu. Udało mu się, przeprowadził ich przez granicę. Teraz pokonało go zmęczenie. Może zostanie tu na zawsze, wystarczy się poddać. Czemu nie? Przecież mówił, że chciałby umrzeć w Chinach.

Jaka jest ostatnia rzecz, o jakiej chcesz pomyśleć, zanim umrzesz? Mówią, że trzeba się skupić na czymś wyjątkowym i cennym, na kimś, kogo się kocha. Zobaczył ją, jak idzie w jego stronę. *Tu jesteś. Zastanawiałam się, kiedy się pojawisz.* Twarz Louise, patrzącej na niego z góry, kręcącej głową z rozwianymi włosami. Śmiała się i wyciągała rękę. *Chodź, chodź do łóżka. No chodź...*

Obudziło go coś, co brzmiało jak kilka głuchych uderzeń, być może tupot stóp w ciężkich butach, zeskakujących z samochodu. Raz, potem drugi. Otworzył oczy, ale wszędzie było ciemno, jeszcze ciemniej niż przedtem. Miał coś na twarzy. Zamrugał oczami i poczuł wilgoć. Był zagrzebany w śniegu. Jak długo tu leżał? Mrugał, aż strzepnął śnieg z jednego oka i mógł zobaczyć częściowo to, co się przed nim działo.

Zbici w gromadkę Olsen, Price i Faulkner zniknęli. Kovic zobaczył terenówkę. Przybyła pomoc. Dwaj mężczyźni ładowali coś na pakę. Zdało mu się, że czuje bijące od samochodu ciepło – ciepło, wygodę, bezpieczeństwo. Spróbował się poruszyć, odkrył, że nie może. Zobaczył trzeciego mężczyznę stojącego nad czymś leżącym na ziemi z podniesioną ręką.

Znów dwa głuche łupnięcia, wraz z nimi – małe rozbłyski. Potem dwaj od terenówki dołączyli do strzelającego. Jeden zdjął rękawiczkę i sięgnął po

papierosy; jego ręka na ciemnym tle nocy była biała, spod rękawa wyłaniały się trzy przypominające strzały rysunki na skórze. Przez chwilę stali nad trupem, palili i rozmawiali. Wiatr porywał unoszące się nad nimi smużki dymu i pary. W końcu dwaj się pochylili i dźwignęli ciało za rękę i nogę, jak świeżo upolowaną zwierzynę, i zawlekli je do terenówki. To był Olsen.

Kovic zamknął oko.

Więcej się nie poruszył.

3

USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie

Komandor Garrison spojrzął znad okularów na młodego radiooperatora.

– Pozwól, że ci w tym miejscu przerwę, synu.

Wiedział, że chłopak ma dobre intencje, ale w tej chwili wyglądał tak, jakby miał ochotę zapaść się pod pokład. Bale wziął kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić. Przypomniawszy sobie, że komandor ma obsesję na punkcie mówienia wprost; słyszał, jak opieprzył oficera wywiadu, który zaczął opowiadać o „zaspokojeniu zapotrzebowania na zdolność informacyjną”. Zerknął na porucznik Duncan, ale ona wpatrywała się z wielką uwagą w czubek swojego buta. Garrisonowi zrobiło się chłopaka żal i spróbował dać mu możliwość wybrnięcia z sytuacji.

– Wyobraź sobie, że tłumaczysz to swojej...

Nie, to zabrzmiało seksistowsko. W dzisiejszych czasach trzeba uważać. Zerknął na Duncan, która uśmiechała się prawie niedostrzegalnie, a potem powędrował wzrokiem na pierwsze, fioletowe odcienie wschodu słońca.

Bale brnął dalej.

– Sir, chodzi mi po prostu o to, że jest stos pewnego algorytmu i przez ostatnie trzy godziny on... to znaczy nasze detektory odbicia...

Urwał nierówno jak silnik, któremu skończyło się paliwo. Garrison nieskutecznie spróbował powstrzymać śmiech.

– Bale, kiedy się urodziłeś?

– W 1991, sir.

– A wiesz, gdzie ja byłem w dziewięćdziesiątym pierwszym? Tu, na tym okręcie, w samym środku pierwszej wojny w Zatoce. A kiedy się jest na

wojnie, trzeba mówić jak jest. Bez pieprzenia, bez żargonu.

Bale z całego serca żałował, że się odezwał. O tej porze w ogóle nie powinien był skanować północy. Ale sygnał, o ile to faktycznie był sygnał, nie przypominał żadnego, z jakim zetknął się do tej pory. Powiedział o nim Ransome'owi, kiedy tamten przyszedł na dyżur, ale Ransome zlekceważył go, uznając sygnał za zakłócenia. Jednak Bale był przekonany, że coś się za tym kryje. Jak na zakłócenia sygnał był o wiele za silny, poza tym pulsował w charakterystyczny sposób. Radiooperator wyszedł z dyżurki prosto na Garrisona, robiącego swój poranny obchód, i po prostu nie zdołał się powstrzymać.

– Spróbuj jeszcze raz.

Bale wziął głęboki oddech.

– Nie spiesz się.

– Odbieramy strumień łączności z punktu w obrębie kontynentalnych Chin.

Garrison kiwnął głową. Wschodzące słońce nadało szklistej powierzchni morza widowiskowy, różowy odcień.

– Dobrze, rozumiem. Mów dalej.

– Transmisja rozpoczęła się o czwartej dziesiąt i trwała trzydzieści sekund. Potem była kolejna, o piątej pięćdziesiąt, jakieś pół stopnia na południe. Oba sygnały zostały odbite do odbiornika dwa i pół tysiąca kilometrów w głąb Chin.

– Dobrze, cały czas rozumiem. Coś odszyfrowaliście?

– Właśnie o to chodzi, sir. Nie możemy tego rozgryźć. Sygnał z pozoru wygląda na zwykły biały szum. Nie ma konturów, brak też okresowości.

– A odbiornik?

– Nie mamy go w bazie danych. Możliwe, że dopiero wszedł do użytku, ale nie odbiera z żadnej znanej bazy wojskowej czy wywiadowczej.

– Czy możecie go... przechwycić?

Garrison nie wiedział, co się robiło z takimi rzeczami, więc użył słowa, które znał.

– To kolejny problem, sir. Nie da się. Nie ma... jest jak dym. Po prostu znika.

– Ładna analogia, Bale. Zapiszcie to, nasz wywiad się tym zajmie.

Garrison ścisnął radiooperatora za ramię. Nie chciał zgasić jego inicjatywy po tym wszystkim, co się właśnie... Cholera. Ciąg jego myśli się urwał, zastąpiony zupełnie innym.

– Gdzie w Chinach, powiedziałaś?

– Na granicy z Koreą Północną, to górzysty rejon z...

Garrison zerwał się na równe nogi.

– Zdobądź dokładne współrzędne. Natychmiast.

4

Garrison szybko szedł przez okręt. Marynarze uskakiwali mu z drogi i salutowali. Każdemu odpowiadał skinieniem głowy, bo tak miał w zwyczaju, ale w tej chwili byli dla niego prawie niewidzialni. Kazał Olsenowi dać sygnał, jak tylko się wydostaną. Minęła siódma, więc Olsen się spóźniał, a od Cutlera nic jeszcze nie przyszło. Satelita wychwycił na granicy blisko ich sektora pożar, podejrzewano, że skutek wypadku lotniczego. Garrison chciał wyjaśnić.

– Wszystko gotowe, panie komandorze. Mamy na linii chiński dział Langley, Pentagon słucha. – Duncan przytrzymała mu drzwi.

– Dziękuję, pani porucznik. Obawiam się, że będzie pani musiała wyjść.

– Rozumiem, sir.

Cokolwiek miał usłyszeć, chciał to najpierw przetrwać sam.

Zamknął drzwi na klucz. W pomieszczeniu cuchnęło stęchlizną. Minął miesiąc, odkąd ktokolwiek tu był po raz ostatni. Duncan postawiła dzbanek z wodą i szklankę, kazała też przynieść świeżą kawę. Szkoda, że musiał to zrobić bez niej. W jej obecności zawsze zachowywał się lepiej. Potrzebował jednak, żeby tamci rozmawiali z nim szczerze, a gdyby zobaczyli panią porucznik, mogliby zacząć się czegoś obawiać. Przygładził bluzę munduru i poczęstował się czymś mocniejszym ze srebrnej piersiówki Jacka. Wstukał osobisty kod i nacisnął enter. Dwa ekrany ożyły.

– Dzień dobry, sir. – To był Krantz z działu chińskiego w Langley. – Jest z nami pułkownik Benskin z Pentagonu.

– Cześć, Roland.

– Cześć, Brad.

Wszystko mają wypisane na twarzach, pomyślał Garrison. Krantz uniósł

brwi tak wysoko, że wyżej się nie dało, rozpaczliwie próbując znaleźć jakieś pozytywne strony sytuacji. Benskin wyglądał starzej niż zwykle – biurowy wojownik, o dziesięć kilo cięższy niż ostatnio, kiedy ze sobą rozmawiali.

Garrison usiadł wygodnie przed monitorem.

– Dobrze, panowie, słucham.

– A więc jak dotąd wiemy tyle, sir – zaczął Krantz. – Mamy meldunki z chińskiej strony o rozbitej jednostce latającej w wydzielonym korytarzu, do tego zdjęcia termowizyjne potwierdzające dym z pożaru, prawdopodobnie tejże jednostki latającej, przebijający grubą pokrywą chmur.

Garrison spojrzał na Benskina.

– Nie wygląda to dobrze, Roland.

– Tyle ma do powiedzenia Pentagon? „Nie wygląda to dobrze”?

Pułkownik ponuro skinął głową. Garrison stracił rachubę, ile razy już to przerabiali. Odwrócił się do Krantza.

– Co w ogóle robi Cutler? To jego przedstawienie.

– Zajmuje się tym, sir. W tej chwili właśnie rozmawia z Pekinem. – Krantz podniósł komórkę. – Jedną chwilę, sir, może będę wiedział coś więcej.

– W dupie mam Pekin. Chcę mieć z powrotem swoich ludzi.

Boże, jak nienawidził tajnych operacji. Żołnierze za nimi przepadali, uwielbiali tajemnice, naginanie czy nawet łamanie zasad, odskoczną od nudy, która nieodmiennie dopadała ich na rutynowych manewrach. Marines byli stworzeni do działania; bezczynność znosili niewiele lepiej niż śmierć. Ale tajne akcje zawsze stwarzały problemy. Wielość zaangażowanych agencji i ich sprzeczne cele burzyły hierarchię dowodzenia. Najgorsze było Langley – za dużo misji obmyślanych w ostatniej chwili i planowanych na kolanie. Mieli jakiś problem – wysyłali ludzi, a jak sprawa szła się jebać, wszystkiego się wypierali. Garrison poczuł, że znika jego chłodne

oprowadzenie. Z biegiem czasu nie było mu łatwiej – przeciwnie, coraz trudniej. Dlatego właśnie młodszy od niego szli na emeryturę.

Spróbował powiedzieć coś tonem, z którego przebija rozsądek.

Krantz poruszył się niespokojnie w fotelu.

– Rozumie pan, że sytuacja jest drażliwa, sir?

– Tak, ja jestem kurewsko drażliwy, to rozumiem bardzo dobrze.

Benskin podniósł dłoń.

– Rolandzie, wszyscy nad tym pracują. Uważamy, że mieli niesprzyjającą pogodę, nieprognozowany śnieg.

– Ten pilot potrafiłby latać w smole. Musicie postarać się bardziej.

Krantz rozpaczliwie szukał czegoś, co mógłby rzucić Garrisonowi.

– Sir, o wszystkim został powiadomiony Biały Dom. Dopóki się nie odezwą, sprawa jest wyciszona.

Garrison wyłączył ekrany, a potem zapatrzył się w pustkę. Czuł pod sobą ruch okrętu. Wiedział, że nie ma sensu szukać winnego. Obwinianie prowadziło donikąd. Ale tym razem dowie się wszystkiego. Pozna każdy szczegół. Obmacał kieszenie, szukając papierosa, ale po chwili przypomniał sobie, że rzucił palenie. Znowu. Z Cutlerem też się rozmówi. Teraz jednak zaczęło zaprzętać go inne nazwisko – to, którego wolałby nigdy w życiu nie usłyszeć.

Kovic.

5

Granica Chin i Korei Północnej

Kovic leżał w zaspie, dopóki nad górami nie rozpostarł się brudnoszary świt. Zasnął albo zemdłał, bo był sztywny z zimna, co dowodziło, że można znaleźć się w stanie *rigor mortis*, nie będąc martwym. Zaspą co prawda chroniła go trochę przed wiatrem, ale ciepło ciała roztopiło warstwę śniegu bezpośrednio dookoła i przemókł. Rozpaczliwie chciało mu się pić, ale wiedział, że śniegu jeść nie wolno. Pozwolił sobie na łyk z manierki, potem ją opróżnił i napełnił śniegiem, który następnie roztopił własnym ciepłem.

Słyszał, jak terenówka odjeżdża. Próbował dosłyszeć, o czym rozmawiali kaci, ale nie dało się przez świst wiatru. Choć twarze mieli odsłonięte, w ciemności nie było widać ich rysów. Jedynym szczegółem, jaki Kovic dostrzegł, był znak na dłoni tego, który zdjął rękawiczkę i sięgnął po papierosy. Blizna, a może fragment tatuażu – trzy linie zakończone jakby strzałkami, wystające spod mankietu. Swoboda ich ruchów, nawet śmiech, to, jak przerzucali trupy – jakby to była pospolita, codzienna czynność... Kim byli ci ludzie? Nie mieli w sobie nic z wojskowych. Kovic zgubił telefon, więc nie dysponował GPS-em ani kompasem, ale nie było wątpliwości, że przekroczyli granicę. Terenówka odjechała na zachód. Był w Chinach.

Zgarnął z siebie śnieg i rozpoczął mozolny proces wstawania. Niebo jaśniało, ciężkie chmury zniknęły. Widoczność poprawiała się z każdą chwilą. Niżej, na zboczu, śniegu było już mniej i Kovic zobaczył drogę, która wiała się od posterunku na zachód. Wciąż czekał, obserwując i nasłuchując, żeby upewnić się, że jest sam. Nie miał ochoty znów używać telefonu na wieży. Czy to w ten sposób ściągnął ludzi w terenówce?

Musiał zwalczyć odruch, żeby zostać w zaspie i poddać się wyczerpaniu.

Rozprostowywał się kończyzna po kończyźnie, wstawał. Powoli, nie spiesząc się, powiedział sobie w duchu.

Szedł drogą żałośnie wolno, ale dotarł do miejsca, gdzie się rozszerzała. Uświadomił sobie, że zapomniał o mrozie – to znak, że wyłączały mu się nerwy. Nic z tego nie będzie. Opadł na kolana. Wtedy coś usłyszał – jakieś sto metrów dalej, od wschodu. Jeśli to wracali tamci z terenówki, nic nie mógł już zrobić.

Dopiero kiedy samochód się zbliżył, Kovic mógł go zidentyfikować. To był jakiś leciwy pikap. Kierowca zwolnił, żeby przyjrzeć się niespodziewanemu zjawisku, ale nie zamierzał się zatrzymywać. Kovic, przewidując to, zastąpił mu drogę. Chińczyk odbił w bok i jeszcze zwolnił, ale nie stanął. Nie chciał ryzykować spotkania z dziwnym człowiekiem na drodze. Kovic złapał wysięgnik, na którym zamocowane było lustro i postawił nogę na resztkach stopnia pod drzwiami. Rozumiał kierowcę i jego strach przed upapranym błotem i krwią mężczyzną z rozbitą twarzą, do tego *lǎowài* – cudzoziemcem. Chińczyk natychmiast przyspieszył, ale Kovic przytknął do szyby banknot pięćdziesięciyuanowy, który rozwiał obawy kierowcy. Mężczyzna opuścił szybę, zza której buchnęło ciepło. Kovic dałby mu znacznie więcej – zegarek, nawet nerkę, za choćby pół godziny w cudownie przytulnej kabinie. Nie przeszkadzało mu nawet, że w środku mocno czuć było kozą.

Samochód stanął.

– Dzień dobry. Dziękuję, że się pan zatrzymał. Muszę się dostać do miasta.

Kovic próbował się uśmiechnąć. Mięśnie twarzy odmówiły współpracy, ale przynajmniej poradził sobie z mandaryńskim. Kierowca sięgnął po banknot i gestem kazał mu wsiadać. Co za ulga! Kovic szybko wymyślił historyjkę o tym, jak to zabłądził na pieszej wycieczce i wpadł do rozpadliny. To było coś wystarczająco głupiego, żeby mogło przytrafić się człowiekowi

z Zachodu na tych odludnych wzgórzach.

Kierowca ruszył, wciąż mu się przyglądając, próbując go ocenić.

– Amerykanin? – Ukazał samotny, długi, brązowy ząb.

Kovic pokręcił głową. Dziś ta narodowość raczej nie była pożądaną.

– Francuz. Wie pan? Wieża Eiffla?

Kierowca się ożywił.

– Paryż! Dobrze! Mój syn studiuje tam neurobiologię.

Dobra. Witamy we współczesnych Chinach, pomyślał Kovic.

– Znajdę go i powiem mu, jakim dobrym człowiekiem jest jego ojciec.

Chińczyk nagle zrobił groźną minę.

– Jak go pan spotka, niech mu pan ode mnie przekaże, że ma się trzymać z daleka od francuskich dziewczyn. Ma się tam uczyć.

Kovic z powagą przytaknął, w duchu życząc młodemu neurobiologowi czegoś wręcz przeciwnego.

Kierowca wysadził go przy torach kolejowych w Longjing, ponurym, szaroburym mieście. Horyzont zasłaniała huta, plująca siarkowym dymem, który opadał szarym pyłem na całą okolicę. Na ulicach roiło się od zmierzających do pracy robotników w identycznych, szarych tunikach. Kovic wiedział, że za czasów Mao tak wyglądały całe Chiny; chiński kapitalizm, jak prężny by nie był, nie zdołał całkowicie zatrzeć przeszłości.

Powinien się zameldować, ale nie mógł ryzykować rozmowy z Cutlerem na niezabezpieczonej linii. Nawet e-mail z kafejki internetowej mógł zdradzić jego położenie. Chiny – jeszcze niedawno jego rewir – nagle zmieniły się we wrogie terytorium.

Przestawił się w tryb przetrwania. Nie ryzykuj, opuść lokację. Telefon stracił po koreańskiej stronie granicy, skąd urządzenie prawdopodobnie wciąż emitowało sygnał. Cutler mógł pomyśleć, że Kovic nie uciekł, lecz zginął razem z innymi. A to było jego przedstawienie; szybki awans na szóste

piętro mógł w każdej chwili okazać się marzeniem ściętej głowy.

Kovic był głodny, a rzut oka na odbicie w szybie powiedział mu, że wygląda fatalnie. Obok torów rozciągało się wielkie targowisko. Niezależnie od celu misji zawsze zabierał ze sobą gotówkę, i to dużo. Usiadł przy kramie i zjadł miskę smażonej wieprzowiny z kluskami w towarzystwie pół tuzina kolejarzy, przyglądających się ponuro jego opuchniętej, cudzoziemskiej twarzy. Odmrożone, fioletowe palce nie radziły sobie z pałeczkami, więc Kovic wlewał sobie zawartość miski prosto do ust, zresztą jak większość pozostałych jedzących. W Chinach nie przykładano zbyt wielkiej wagi do manier przy stole.

Na innym stoisku kupił prosty, niebieski garnitur i koszulę, a potem zapytał o drogę do publicznej łaźni. Jak łatwo było o to w Chinach – zrób tylko coś takiego w Ameryce i nie zostań aresztowanym...

Prysznic był letni i ledwie ciurkał – jakby sikało jakieś małe zwierzę – ale Kovic chyba nigdy w życiu nie brał lepszego. Ściekająca z niego woda przybrała rudy odcień od tego, co nazbierał przez noc – krwi, trochę swojej, trochę Koreańczyków, trochę marines. Wpatrywał się w kałużę pod stopami. Jak niewiele zostawało z człowieka po śmierci. Wyszedł, wytarł się małym, wilgotnym ręcznikiem. W świeżym ubraniu zaczął znów czuć się bardziej jak człowiek.

Złapał taksówkę, która zawiozła go na lotnisko Yanji. Za szybą życie toczyło się swoim zwykłym torem. Kovic nigdy nie potrafił pogodzić się z tym, że w jednym miejscu dzieją się rzeczy okropne, a kilka kilometrów dalej wszystko wygląda jak zwykle. Widział kiedyś statek wiozący setki na wpół zagłodzonych uchodźców, próbujący przybić do plaży w Bejrucie, podczas gdy dookoła na falach śmigali surferzy.

Lotnisko było nowiutkie, jak zresztą spora część chińskiej infrastruktury. Kiedy płacił taksówkarzowi, ten spojrział na niego spod zmarszczonych brwi.

– O co chodzi? Dałem dobry napiwek.

– Pana twarz – kierowca wskazał na nią palcem. – Nie wygląda za dobrze.

Na lotnisku Kovic kupił bejsbolówkę i podkład kosmetyczny, po czym udał się do łazienki. Taksówkarz miał rację. Nie wyglądało to aż tak źle w mieście, gdzie wszystko było szare i brudne, ale tutaj, w lśniącym nowością terminalu, nawet w nowym garniturze, Kovic przypominał wrak człowieka. Nałożył grubą warstwę makijażu na rozbity nos i rozcięcie na czole, potem założył czapkę. To musiało wystarczyć.

Przez cały swój pobyt w Chinach zazwyczaj czuł się swobodnie. Nie dziś. Na wszelki wypadek posłużył się swoim południowoafrykańskim paszportem, który zawsze zabierał na misje. Kupił bilet za gotówkę – mało gdzie na świecie można to jeszcze zrobić – i stanął w kolejce mężczyzn w garniturach, czekających na przeszukanie. W hali odlotów zalogował się na jedno ze swoich kont e-mailowych i wysłał Cutlerowi zaszyfrowaną wiadomość „nie odpowiadaj”, nie podając w niej żadnych szczegółów oprócz tego, że żyje.

Wnętrze samolotu jeszcze nigdy nie wydawało mu się tak bezpieczne i przytulne. Opadając na fotel, pomyślał, nie po raz pierwszy zresztą, jak wariacki wybrał sobie zawód. Zanim zamknął oczy, spojrzął jeszcze na ekran telewizora na oparciu fotela przed sobą. Wiadomość z ostatniej chwili: „Żołnierze amerykańskich sił specjalnych zabici w Korei Północnej”.

6

USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie

Komandor Garrison spojrział na porucznik znad okularów.

– Czy nie powinniśmy poczekać na potwierdzenie, sir?

Dlaczego wszyscy podważali dziś jego rozkazy?

– Marion, pani akurat nie muszę przypominać, że żyjemy w czasach natychmiastowego przepływu wiadomości. To nie my kontrolujemy media, tylko one nas. Chcę porozmawiać z każdą żoną, matką, dziewczyną czy krewną, zanim zobaczą coś w internecie. Chcę, żeby to ode mnie dowiedziały się, że oni zaginęli, że robimy wszystko...

Wszystko, czyli co? Gdyby to zależało od niego, zorganizowałiby akcję poszukiwawczo-ratunkową, a przestrzeń powietrzna nad Koreą Północną roiłaby się już od amerykańskich maszyn. On sam miałby połączenie z Pjongjaniem i dyplomatycznie przekonywałby Koreańczyków o obopólnych korzyściach współpracy przy tym zdarzeniu. Ale to nie zależało od niego. Był w tym burdelu tylko statystą; to było przedstawienie CIA, a oni mieli zwyczaj załatwiać takie rzeczy po swojemu. Langley będzie się publicznie i zawzięcie wypierać jakiegokolwiek wiedzy o tym zajściu, twierdzić, że to kolejny paranoiczny wymysł Koreańczyków. Pjongjang ciągle przecież protestował, że jego przestrzeń powietrzna, wody terytorialne czy granice zostały naruszone przez kolejnego „wrogię agresora”. Tymczasem Departament Stanu, Pentagon i Biały Dom będą się wstrzymywać od komentarza „do czasu wyjaśnienia sprawy”, co w waszyngtońskim żargonie oznaczało wzajemne krycie tyłków wszystkich zaangażowanych agencji tak długo, aż temat przycichnie z braku nowych informacji.

Duncan poczuła, że się czerwieni.

– Całkowicie rozumiem, sir. Zachowałam się niestosownie.

Popatrzył na nią. Była mniej więcej w tym samym wieku, co jego syn, kiedy... Odpędził tę myśl.

– Proszę przynieść ich akta, pani porucznik. Ja będę dzwonić.

Miał doświadczenie z takimi telefonami. Nie tylko je wykonywał. Raz taki odebrał. Siedział tu, przy tym biurku, osiem lat temu, kiedy zadzwonili do niego w sprawie Tommy'ego. Gruba szyszka z Pentagonu, z najwyższej półki.

„Panie komandorze, z żalem muszę zawiadomić...”

Domyślił się, kiedy łączyli rozmowę, już sobie wyobrażał nagłówki: „Pierwszy oficer marynarki traci syna w Afganistanie”. Ale kiedy skończyli mącić, to, co trafiło do prasy, było bardzo dalekie od realiów brudnej misji CIA, do której Tommy się zgłosił. I nawet nie zająknęli się słowem o agencie, który wyszedł z tego niedraśnięty.

Duncan wróciła z archiwum z aktami wszystkich żołnierzy. Zauważyła, że komandor ma jakby zaróżowione oczy, ale mądrze udała, że nie widzi.

– Sir, myśli pan, że ktoś przeżył?

Jego spojrzenie wystarczyło za odpowiedź.

7

Koncesja Francuska, Szanghaj

– Musimy pogadać.

Odsunął się od lustra na tyle, na ile pozwalała przywodząca na myśl schowek na miotły ciasnota jego łazienki. Ciemnobrązowe włosy Kovica, krótkie i gęste, były przylizane od przodu i na bok krwią z rany, jakby nieporadny fryzjer nałożył tam żel. W bezlitosnym świetle jarzeniówki jego cera, tak skutecznie maskująca pochodzenie, przypominała teraz karnację uzależnionego od nikotyny zombie. Może powinien znów nałożyć podkład? Wzruszył ramionami. W ciasnych, sypiących się *shikumen* Francuskiej Koncesji w Szanghaju, gdzie postanowił zamieszkać, rzucał się w oczy nawet z daleka; choćby dlatego, że był dobre kilkanaście centymetrów wyższy od pozostałych. Z siniakami wyglądał jak typowy przybysz z Zachodu, który zabłąkał się za daleko od domu, świeżo po awanturze o narkotyki albo kobietę.

Podniósł ciemne okulary i delikatnie opuścił je na nos. Zatrzymały się na opuchliźnie, krawędź oprawek wchodziła w pole widzenia. Odłożył je z powrotem na półkę. Kto by się tym przejmował? Do Brada Pitta mu niestety daleko.

– Słyszysz mnie?

Louise opierała się o drzwi ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, w klasycznej kobiecej postawie obronnej.

Wiedział, co go czeka, to była tylko kwestia czasu.

– Wiem, wyglądam jak „prawdziwy chuligan” – odwrócił się do niej i uśmiechnął szeroko. – Jak to mawiacie w Wielkiej Brytanii.

– Przestań.

Zupełnie jak w oklepanej scenie filmowej, Louise wyglądała wyjątkowo ponętnie, kiedy była zła. Jej granatowe oczy były tak ciemne, że prawie czarne, a skos brwi nadawał jej swoistej kociej agresji, która zawładnęła Kovicem, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy.

Rozłożył ramiona, żeby ją objąć, ale nie podeszła.

– Przepraszam za twoje urodziny. Ale serio, powinnaś zobaczyć tego drugiego.

Znów kłamstwo. Kiedyś wydawało mu się, że kłamać dla chleba to będzie ubaw. Łganie przychodziło mu naturalnie; mówiła mu o tym i matka, i dyrektor liceum. „To może być jedyna rzecz, w której jesteś dobry” – powiedział mu. Kovic nie przypuszczał, jak rzadkim towarem stanie się prawda. Louise popatrzyła na niego z odrazą, a tania bujda rozplynęła się w powietrzu między nimi.

Dał jej w prezencie srebrne, plecione kolczyki z bursztynami, które tak bardzo się jej spodobały, kiedy przechodzili przez targ antyków przy Dongtai Road. Ale wręczone w pudełku, bez kolacji i szampana, nie wywarły należytego efektu. Louise odwróciła się i zrobiła dwa kroki w głąb równie maleńkiej kuchni.

To, że Kovic niespodziewanie zniknął na cztery dni, nie było niczym niezwykłym. Z początku Louise traktowała jego nagłe nieobecności jak coś normalnego, przyjmowała jego mętne tłumaczenia, że musiał nieoczekiwanie wyjechać w sprawach biznesowych do Shenzhen albo Pekinu. Ale wyparowując w jej urodziny, przesadził. Do tego wrócił w takim stanie. Oprócz poobijanej twarzy miał na lewym barku głębokie skaleczenie po koreańskim odłamku. Powiedział Louise, że po pijanemu spadł ze schodów w klubie. A nos – cóż, to mógł złożyć na karb swojego imponującego arsenału mandaryńskich wyzwisk; Louise dobrze wiedziała, że jego cierpliwość słabła z każdym wypitym drinkiem. Do tego stopnia, że po jej

namowach już od kilku tygodni nie pił, teraz więc musiał nakłamać o chwili słabości. Co do odmrożonych rąk, które opuchły i nabrały pięknego, fioletowego odcienia... Ich stan to obrażenia uboczne, dowód na to, jak bardzo bezużyteczne są pięści w roli narzędzia walki.

Potem jednak pomyślał: „Kogo ja chcę oszukać? Przecież patrzy na mnie jak na wypadek samochodowy w zwolnionym tempie”. I tak właśnie było. Bijatyki sprawdzały się jako doskonała przykrywka, nieważne, jak bardzo czuła się wtedy zawiedziona. W żadnym razie nie mógł podzielić się z nią wydarzeniami ostatnich trzydziestu sześciu godzin. Nie mogła wiedzieć, czym się zajmował – ani nawet jak się naprawdę nazywał.

– Obawiam się, że ja tak po prostu nie mogę.

Usiadła przy kuchennym stole, otworzyła kompakt i zaczęła pudrować twarz.

Kovic spróbował skruchy.

– Skarbie, naprawdę wiem, jak się czujesz. Zrobiłem poważny błąd i wynagrodzę ci to.

Żadnej reakcji. Tolerancja każdej szanującej się kobiety na „cyrkowe sztuczki”, jak Louise zaczęła je nazywać po pewnym czasie, miała swoje granice, podobnie jak wzruszanie ramionami i milczenie. Taka była cena, którą się płaciło, chcąc zbudować jakiś związek na służbie. Jak tylko zaczynało się robić poważniej, pojawiały się problemy. Kovic przypuszczał, że żona Cutlera siedzi bezpiecznie zamknięta w domu na jakimś przedmieściu w okolicach Beltway w Virginii, a jej ciekawość tłumi prozac i przekonanie, że tępe, bezwarunkowe posłuszeństwo to jakaś odmiana patriotyzmu. Louise była inna. Kovic zaczął rozumieć, że zasługiwała na coś więcej i na tym właśnie polegał problem.

Patrzył, jak nakładała swoje wojenne barwy. Boże, ależ jej pragnął.

Dostał tę robotę właśnie dlatego, że był dobrym kłamcą. W CIA prawda była czymś niedozwolonym. Dlaczego uwierzył, że z nim będzie inaczej?

Lekcja numer jeden pierwszego dnia na Farmie: nie będziesz miał bogów cudzych przed Agencją. Lekcja numer dwa: kimkolwiek byłeś, ten ktoś przestał istnieć. Lekcja numer trzy: twoje życie osobiste w każdej chwili może trafić szlag, więc lepiej ogranicz się do jednonocnych przygód.

Całkiem szczegółowo opisał Louise nudną pracę w Departamencie Stanu; nazwał swoje stanowisko specjalistą do spraw współpracy handlowej, obowiązki sprowadził do nieustannej użerki z chińskimi firmami i robienia reklamy Wujowi Samowi. Praca Louise – nauczanie angielskiego mężczyzn w garniturach, żeby mogli rozmawiać z innymi mężczyznami w garniturach i mówić zachodnim dziwkom, czego od nich chcą, nie okazała się aż tak absorbująca czy nieprzewidywalna, żeby nie miała czasu zastanawiać się, czemu Kovic ciągle znika.

Zanim związał się z Louise, nie rozumiał kobiet. Opanowanie mandaryńskiego było pestką w porównaniu z rozszyfrowaniem kobiecych procesów myślowych. Można je było studiować latami i kiedy już człowiekowi zaczynało się wydawać, że zasłużył na dyplom, dostawał strzał z boku i w jednej chwili cofał się do trzeciej klasy. Ale Louise zorganizowała mu szybki kurs i dała okazję się podszkolić. Za ten wysiłek był jej coś winien.

Zatrzasnęła kompakt i zerknęła na jego poobijaną twarz.

– I wiesz co jeszcze? Nawet jak tu jesteś, to przez większość czasu jest tak, jakby cię nie było.

To prawda, również i w tej chwili myślami był zupełnie gdzie indziej; bezlitosna egzekucja zapętlila się w jego głowie jak koszmar, z którego nie można się obudzić; piętrzyły się pytania o to, co się właściwie stało i dlaczego.

Popatrzył na Louise, czując się jak oszust.

– Tak nie będzie zawsze. Zmienię się.

Choć każde z różnych powodów, oboje wiedzieli, że do tego nie dojdzie.

Louise skinieniem głowy wskazała kawę, stojącą na stole między nimi, na ziemi niczyjej. Kovic wypił ją szybko i wyciągnął kubek w nadziei, że Louise będzie chciała go wziąć, a on będzie mógł ją objąć. Myśl o jej ciele na chwilę wyparła wszystkie inne. Ale ona pokręciła tylko głową i kubek zawisł niechciany między nimi. Wszystko sprowadzało się do tego, że oboje zaczęli się za bardzo do siebie nawzajem przywiązywać. Kovic naiwnie myślał, że uda mu się zachować kontrolę, ale Louise była za dobra, a on był jej winien więcej, o wiele więcej, niż pozwalała mu na to jego praca.

Na szkoleniu na Farmie miał kumpla, od którego bez ostrzeżenia odeszła żona. Osiem lat małżeństwa, a ona znika w niedzielny poranek, kiedy on wyszedł pobiegać. „Dość” wyciśnięte z tubki z kremem do rąk firmy Olay na kuchennym stole. Jedyne, co było w tym niezwykłego, to narzędzie użyte do napisania wiadomości. Związki oficerów rozpadały się raz za razem. W Langley powinni mieć jeszcze jeden pomnik – upamiętniający wszystkie małżeństwa rozbite przez Agencję.

Patrzył, jak Louise w ponurym milczeniu szykuje się do pracy. Nie zamierzała się zniżyć do skomentowania jego obietnicy. Miała rację, on też by tego nie zrobił.

A zaczęło się tak dobrze. Oboje byli uciekinierami ze swoich krajów. Louise nie interesowała Ameryka, co jemu nie przeszkadzało. Szanghaj, ze swoim tygłem zderzających się kultur, z nieustającym pojedynkiem przeszłości z przyszłością, bawił ją tak samo jak jego. Kiedy był z nią, czuł się tu jeszcze bardziej zdomowiony, jeszcze mniejszą miał ochotę wracać tam, skąd przybył. Louise od razu mu oznajmiła, że nie jest zainteresowana dbaniem o dom ani o niego. „Jak ci na tym zależy, możesz sobie poderwać jakąś miejscową dziewczynę, która będzie chciała wyjechać z tobą do Ameryki”, na co on odpalił: „A kto by chciał mieszkać w Ameryce?”. Sam się tym zdziwił. Szanghaj nim zawładnął, odciął go od korzeni jak żadna inna placówka do tej pory.

Jej brutalna szczerość zaskoczyła go, ale jednocześnie odpowiadała mu.

Na pierwszym spotkaniu, ledwie pół godziny po tym, jak się poznali, w sportowym barze w Pudongu powiedziała: „Możemy pójść do mnie i się pieprzyć, chyba że rano nie będziesz mógł spojrzeć w lustro”. Szybko dał się złapać. Jej sposób bycia stanowił odświeżające antidotum na nużącą nieśmiałość miejscowych dziewczyn; nawet te do wynajęcia zachowywały się jak mormonki. Do tego te jej faliste, jasne włosy, niczym latarnia morska na morzu prostej czerni; widać ją było z kilometra. W promieniach słońca w jej włosach lśniła miedź, jakby zostały wykute z jakiegoś rzadkiego stopu, używanego tylko w najnowocześniejszym sprzęcie wojskowym. No i seks, oczywiście, i to nie tylko to, że był przyjemny, ale też otwierał przed nim jakąś przestrzeń, w której mógł być kimś innym niż Kovicem kłamcą, a czasem zabójcą. Kimś lepszym, niż ośmielał się marzyć.

Ruszył w stronę Louise. Nie zdołał się powstrzymać.

– Spóźnię się do pracy.

Cofnęła się o krok, złapała torebkę i zarzuciła ją sobie na ramię. Torebka wyglądała na cięższą niż zwykle. Ale założyła kolczyki. No już, Kovic. Spróbuj.

– Posłuchaj, w tej chwili nie ma ze mnie pożytku; mam na głowie od cholery rzeczy do załatwienia. Może porozmawiamy później? Możemy pojechać do Zhujing, do tego lokalu nad jeziorem, który lubisz.

Jeździły tam skryć się przed rodziną młode parki, niemające własnych pokojów, a co dopiero mieszkań. To właśnie jej się tam podobało – ten romantyczny kicz.

Kovic odsunął się na bok, przepuszczając Louise w wąskich drzwiach.

– Na laseczkę raczej nie mam co liczyć?

Jego dowcip roztrzaskał się z hukiem o podłogę. Louise zamknęła za sobą drzwi. Debil, powiedział sobie Kovic. Nie spodziewał się jej tu wczoraj zastać. Założył, że pierwszy wieczór spędziła, czekając w restauracji, potem poszła do siebie, a kiedy wciąż się nie odzywał, tam właśnie została. Może

nawet martwiła się; przyjechała do niego, otworzyła drzwi swoim kluczem, czekała, aż w końcu zasnęła, z delikatną, smukłą dłonią wsuniętą zamiast zakładki w książkę.

Kiedy Kovic wrócił, był na nogach już od trzydziestu sześciu godzin. Rany, ależ się ucieszył na jej widok – po przygranicznej masakrze wydała mu się symbolem człowieczeństwa. Ale teraz, rozglądając się po mieszkaniu, zauważył, że te kilka drobiazgów, które u niego trzymała – suszarka do włosów, zaparzaczk do kawy, pigułki antykoncepcyjne – zniknęły.

Zabrzączał zapasowy telefon. SMS od Cutlera. „Przyjeżdżaj natychmiast”.

8

USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie

Garrison był na mostku, siedział w swoim szarym skórzanym obrotowym fotelu. „Wow, zupełnie jak kapitan Kirk w Star Treku!” – zawołał Tommy, kiedy miał osiem lat i pierwszy raz odwiedził wieżę kontrolną. To były najbardziej pożądane miejsca w całej marynarce; zliczając plusy swojego życia, Garrison starał się nigdy o tym nie zapominać. Owszem, ceną za wspięcie się na szczyt było prawdopodobnie jego małżeństwo, ale okręt był jego królestwem, a ten fotel – tronem, tak długo, jak długo pozwoli na to Pentagon.

Na lewo od niego Merrick, bosmanmat, sterował stu sześćdziesięcioma arami suwerennego terytorium USA płynącymi po Morzu Południowochińskim; romantyczne, drewniane koło sterowe było jedynym ustępstwem na rzecz przeszłości na pokładzie maszyny godnej XXI wieku. Obok niego Danes, kwatermistrz, zajmował się nawigacją. Zazwyczaj bez przerwy się przegadywali, ale teraz odczytali nastrój Garrisona, podobnie jak reszta załogi. Nieprzyjemną ciszę przerwał tylko E-2C hawkeye na pokładzie trzydzieści metrów niżej, startujący z rykiem silników do rutynowego przelotu nad resztą floty w sektorze. Ekrany komputerów wokół komandora migotały nieustannie aktualizowanymi informacjami, pokazywały wszystko, co tylko było potrzebne, żeby za jednym naciśnięciem klawisza rozpętać wojnę w którymkolwiek miejscu planety. Ale Garrison nawet nie spojrzał w ich kierunku.

Tyle mocy obliczeniowej, a on mógł tylko wpatrywać się bezradnie w zdjęcia na swoim telefonie. Tożsamość uwiecznionych na nich osób można było zidentyfikować bez cienia wątpliwości; ktokolwiek zrobił te fotografie,

zadbał, żeby twarze były dobrze widoczne. Wyciągnęli nawet ze śmigłowca resztki Texa. Tex, głośny kowboj, był najbardziej lubiany; Price, zdystansowany, niedoszły dżentelmen; Kean, łamacz serc; Faulkner, solidny, niezawodny; Deacon – nieledwie dziecko. A do tego Olsen, mądry ponad swój wiek, na ostatniej turze. Jego było Garrisonowi żal najbardziej. Posłał go, żeby pilnował pozostałych.

Kiedyś takie zdjęcia były oceniane, cenzurowane i archiwizowane tak, by nikt ich nie zobaczył. Można było nawet liczyć na to, że agencje informacyjne zniszczą te, które mogłyby kogoś urazić czy zasmucić. Te czasy dawno minęły. Każdy mężczyzna i kobieta na okręcie na pewno już to widzieli. Ale jednej twarzy brakowało. Gdzie był Kovic?

9

Koncesja Francuska, Szanghaj

Stojąc przy kuchennym oknie, Kovic przepowiadał sobie w głowie kwestie przeznaczone dla Cutlera i rozważał, co dodać od siebie. Odejście Louise pogorszyło mu dodatkowo nastrój, ale miał mocne postanowienie nie dać się ponieść nerwom, nieważne, jak bardzo go to kusiło. Przynajmniej się dowie, co tam się właściwie wydarzyło.

Na dziedzińcu w dole trwała kłótnia o pęknięty sznurek do prania, które spadło na ziemię w miejscu, gdzie właśnie szczał pies sąsiadów. Kovic przez chwilę słuchał pełnych jadu wrzasków dwóch staruszek, które od czterdziestu lat dzieliły jedno przepołowione mieszkanie, ale porozumiewały się wyłącznie obelgami, dotyczącymi zwykle niewierności ich nieżyjących mężów. Potem zaczął szczekać pies, w końcu ktoś podkręcił radio, chcąc zagłuszyć psa i kłótnię. Louise mówiła, że nie pojmuje, jak można mieszkać w takim hałasie. A Kovic po prostu nienawidził ciszy. Cisza zmuszała do nasłuchiwania, trudniej więc było się w niej wyłączyć. To była kolejna rzecz, która podobała mu się w jego przybranym domu. W Szanghaju cisza była rarytasem.

Kovic wsunął laptop do plecaka, jeszcze raz przymierzył okulary, w końcu dał sobie z nimi spokój i zamknął drzwi.

Kiedy wyszedł z klatki, starsze panie nagle przestały na siebie wyrzaskiwać i spojrzały na niego. Pomachały mu niepewnie, a potem zaczęły znów się kłócić, tym razem ciszej, ewidentnie o niego. Zawsze, kiedy była u niego Louise, żywo się nim interesowały. Na pewno widziały, jak wychodziła. Może jej mina odpowiedziała im, co się dzieje. Kovic lubił je, mimo ich jazgotu. Często zagadywał je o codzienne sprawy – o tempo

budów, smog, niedawny skandal z zakażoną wieprzowiną – i żegnał się uprzejmie, kiedy tylko zaczynały napomykać o jego „pięknej przyjaciółce” i „planach na przyszłość”. Obawiał się, że na pierwszą wzmiankę o ich bliskości – albo o jej braku – zostanie zalany potokiem małżeńskich porad. Wszystkie starsze panie na całym świecie są ich niewyczerpanym rezerwuarem. Louise też je obłaskawiła, pytała o ich wnuki i, co ważniejsze, o nękające je dolegliwości, a one ją lubiły. Kovic pielęgnował swoje dobre stosunki ze starszankami również z innego powodu: zastępowały mu kamery. Ktokolwiek o niego pytał, pukał do drzwi – one pierwsze to zauważały i donosiły mu o tym poważnym tonem, zatroskane, a przy tym wścibskie.

Odwrócił się do nich i wskazał swoją twarz.

– Jest na mnie bardzo zła.

Starsze panie uznały, że to prześmieszne i zapomniały o swojej kłótni.

Kovic wyszedł z podwórka główną bramą shikumen na wąską ulicę. Dwa samochody, chery i miejscowej produkcji audi, stały naprzeciwko siebie jak dwa jelonki na łące; żaden z kierowców nie zamierzał ustąpić drugiemu. Trochę to potrwa. Urbaniści Szanghaju nawet w najśmielszych planach nie mogli przecież przewidzieć samochodowej rewolucji, która skończy się chaosem na wąskich uliczkach i która ze świeżo zmotoryzowanych mieszkańców wydobędzie wszystko, co najgorsze. Kilka dni temu razem z Louise był świadkiem podobnej sytuacji:

– Ciekawe, jaki jest rekord? – zapytała.

– Kiedyś dwóch kłóciło się całą noc. Z pobliskiej restauracji przynieśli im śniadanie.

Louise uśmiechnęła się. Kovic nie pamiętał, czy faktycznie było, jak opowiedział, ale historia świetnie nadawała się do opowiadania.

Skręcił w prawo, w jeszcze węższą uliczkę, gdzie parkował swojego buicka – niechętnie ustępstwo na rzecz Ameryki, ale zarazem popularny import, który nie rzucał się w oczy. Rzadko go używał, ale dziś nie czuł się

na siłach przebijać metrem. Ciężarówka służb miejskich zaparkowana w poprzek drzwi garażu nie była dla niego zaskoczeniem. Grupa mężczyzn w kaskach nachylała się nad dziurą w drodze, z której zionął smród.

Zabrzączał telefon Kovica. Cutler zaczynał się niecierpliwić. „Jak długo jeszcze?”

Kovic odpisał. „Korki. 40 min”. Chciał się spotkać, ale nie dawał się poganiać, co prawdopodobnie było kolejną jego cechą irytującą Cutlera. Przede wszystkim inicjatywa musiała być po jego stronie. Wiedział, jak zazwyczaj kończyły się takie sprawy, i nie zamierzał dać zwalić winy na siebie.

Wskazał zablokowane drzwi garażu.

– Ile jeszcze?

– Dwie minuty – bez przekonania odparł mężczyzna w kasku.

Kovic pomyślał, czy by nie zapalić, ale przypomniał sobie, że rzucił – namówiony przez Louise. W kieszeni wciąż miał paczkę. Spróbuj zrobić dziś choć jedną rzecz dobrze, powiedział sobie.

Kilka godzin temu przejrzał gazety. Pekin, jak zwykle, „nie był w stanie potwierdzić” doniesień o zajściach na granicy. Potrafili to przeciągać w nieskończoność. Północnokoreańska agencja prasowa wypuściła swój typowy absurd: „Grupa zagranicznych intruzów została odparta przez dzielnych obywateli”. Nikt nie weźmie tego poważnie. Ale z Waszyngtonem było inaczej. Amerykańska prasa i telewizja na pewno obskoczyły już Biały Dom, domagając się oficjalnej wersji wydarzeń.

W tej chwili Kovic martwił się nie tym, co powiedzą media, ale tym, co naprawdę się wydarzyło. Jeszcze raz przemknął w myślach przez znane fakty. Niewiadomych było znacznie więcej. Nie miał nawet stuprocentowej pewności, że Highbeam był podstawiony; wiedział tylko tyle, że zrobiono z niego żywą bombę wbrew jego woli. Nie podlegało za to wątpliwości, że zastawiono na nich pułapkę, a oni w nią wpadli. Tylko kto to zrobił? Była

prosta i nieefektywna. Wysyłanie do takiej akcji poborowych z karabinami maszynowymi to przepis na katastrofę – prędzej sami się nawzajem wystrzelają, niż zaszkożą swoim ofiarom. Nie było tam żadnego widocznego łańcucha dowodzenia; oficerowie, którzy mieli dowodzić akcją, próbowali uciec z miejsca zasadzki swoimi dżipami. Nawet jak na żałosne północnokoreańskie standardy – była to porażka.

Ale późniejsze wydarzenia miały już zupełnie inny wymiar. Kovic jeszcze raz przywołał wspomnienie tego, co widział z zasy. Według niego zabójcy nie byli żołnierzami, ani nawet agentami. Nie chodziło tylko o brak mundurów; raczej o szybką egzekucję, a potem swobodne zachowanie przy trupach, papierosy i żarty, sposób, w jaki wrzucali zwłoki na samochód – jakby to dla nich była codzienność. Najbardziej zaś dręczył go fakt, że znajdowali się wtedy w Chinach. Kim byli ci ludzie? I kto ich przysłał?

I co chcieli osiągnąć? Zwabić Amerykanów w pułapkę po jednej stronie granicy, żeby ich zabić po drugiej? To przecież bez sensu. Czy gdyby Kovic dostał pozwolenie, żeby zwerbować swoich ludzi na miejscu, skończyłoby się to inaczej? Może nie, ale wtedy nie mówiliby o tym w wiadomościach na całym świecie. W hierarchii medialnych wydarzeń śmierć Amerykanów plasowała się znacznie wyżej niż śmierć Chińczyków i Koreańczyków.

– Panowie! – zawołał do kanalarzy. – Spiesz mi się!

Jeden z mężczyzn odłączył się od grupy i z wystudiowanym brakiem pośpiechu ruszył do ciężarówki.

Co z tego wynikło dla Cutlera? Kovic wiedział, że napotka rwące i niebezpieczne prądy agencyjnego krycia dupy. Na pewno nie zamierzał się godzić, żeby zrzucili winę na niego. To było przedstawienie szefa, jego plan, a nieprawdziwe informacje, na których oparto całą tę nieszczęsną misję, pochodziły z jego własnych źródeł.

Kovicowi przeszło przez myśl, że może oto właśnie przyszła pora się wymiksować, powiedzieć Cutlerowi, gdzie może sobie wsadzić tę parszywą

robotę. Nie musiałby więcej kłamać Louise. Ale wiedział, że to niemożliwe. Nikt nie odchodził z Agencji dobrowolnie. A nawet jeśli, to nie dało się jej zostawić za sobą. Każda taka osoba była do końca życia podejrzana. Do tego dochodził jeszcze jeden problem: Kovic nie przepadał za przyszłością jako taką. Bo to tam, niezależnie od tego, ile człowiek przeprowadził analiz, modeli, gier wojennych i ile przewidział najgorszych scenariuszy – tam działo się wszystko. Nie tylko to, co się przeoczyło, ale rzeczy, których nie sposób było sobie wyobrazić nawet w koszmarach, czających się w najgłębszych zakamarkach chorej podświadomości: Pearl Harbor, Zatoka Świń, Lee Harvey Oswald, zakładnicy w Iranie, bin Laden, Maraton Bostoński. Może była to jeszcze jedna oznaka jego nieprzemijającej niedojrzałości – to, że rozsmakował się w życiu chwilą i nie potrafił z tego zrezygnować, dla Louise ani dla nikogo innego. A może był to po prostu naturalny lęk przed przyszłością.

Strzały rozległy się bez ostrzeżenia, jeden za drugim, obrazy wyświetliły się w zwolnionym tempie. Wyprostowana ręka unosząca broń, celująca, potem wystrzał, podejście do następnego w śniegu, na wpół zamarznętego i wyczerpanego.

Gość w ciężarówce przekręcił kluczyk, silnik prawie odpalił i zgasł. Za drugim razem zapłon wydał tylko śmiertelny charkot. Kovic westchnął, zapalił papierosa, a potem zadzwonił do Wu.

10

- Agent K! Co u ciebie?
- Utknąłem. Gdzie jesteś?
- Rozejrzyj się.

Kovic podniósł wzrok i zobaczył błysk świateł BMW X6, zbliżającego się z basowym, metalicznym pomrukiem swoich wyuzdanych ośmiu cylindrów. Był to jeden z licznych detali, które Kovic zapamiętał z wyczerpujących opowieści Wu o osiągnięciach jego maszyny. Wu wybrał egzemplarz w czarnym macie z przyciemnionymi szybami. Nazywał to „stylem *stealth*”, choć Kovic dostrzegał w tym wewnętrzną sprzeczność; dla niego był to raczej styl „hej, patrzcie na mnie, jestem gangsta dilerem!”.

Dzieciństwo w Detroit wykształciło w nim głęboką niechęć do motoryzacji. Tamtejsze olbrzymie fabryki zwabiły jego rodziców do Ameryki, a potem zniewoliły ich oraz ich dzieci po to tylko, by wypluć kilkadziesiąt lat później na zrujnowaną pustynię. Ale Kovic nie psuł tymi opowieściami humoru Wu, który zachwycał się swoją najnowszą zabawką. Lekko myślnie wyraził nawet pewien podziw dla niemieckiej precyzji, co Wu odczytał niestety jako zaproszenie, by zasypać rozmówcę szczegółami. Owszem, pięć zainstalowanych w wozie kamer, które dawały prawie kompletny widok na to, co się działo z przodu, z tyłu, a nawet nad dachem przydałoby się w robocie operacyjnej, gdyby tylko samochód tak cholernie nie rzucał się w oczy.

Szeroko uśmiechnięty Wu otworzył drzwi pasażera jeszcze w ruchu, niczym kierowca zabierający współnika po skoku na bank. Kovica uderzył jak młot ryczący Bruce Springsteen – jego idol, choć nie przy takiej głośności. Fale dźwięku wprawiały w drżenie witryny pobliskich sklepów.

– Ścisz trochę, co?

– Co?

– ŚCISZ TO!

Wu wyszczerzył się jeszcze szerzej.

– Dziewięciokanałowe wzmacniacze o mocy 825 watów, spięte z szesnastoma głośnikami na rzadkich neodymowych magnesach, dają kryształowo czysty, idealnie wierny dźwięk.

– Mówisz do siebie, stary. Jedź.

Kovic nie chciał wiedzieć, gdzie Wu zdobył albo od kogo pożyczył ponad milion juanów na swój luksusowóz. Nie mógł tego odłożyć z pieniędzy, które płaciła mu Agencja. Wsiadł do środka i zaciągnął się zapachem skóry.

– Co tu właściwie robisz? Nie wzywałem cię.

Wu był ochroniarzem Kovica, co mogło się wydawać śmieszne, bo Kovic był od niego wyższy i mocniej zbudowany. Jedną z zalet przydziału w Szanghaju miała być rzekoma dostępność miejscowych zabijaków. Kovic z początku nie chciał o tym słyszeć. Nie życzył sobie, żeby ktoś za nim łąził i ściągał na niego niepotrzebną uwagę, a wszelkimi intruzami wolał zajmować się osobiście. Wszyscy dostępni kandydaci okazali się zwalistymi osiłkami, którzy pracowali dotąd za jakimś biurkiem w wojsku – w każdym starciu tylko by przeszkadzali. Wu był inny i Kovic wybrał go sobie sam. Szczupły, bystry, zaangażowany, z celnością olimpijczyka, został zwolniony z *Zhōngguó tèzhōng bùduì* – Sił Specjalnych Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej – po urazie oka. Kovic spotkał go, kiedy Wu pracował jako ochroniarz i tłumacz rosyjskiego handlarza broni, którego Kovic miał nadzieję zwerbować. Akcja poszła źle, Kovic niepotrzebnie spróbował szantażu i w wynikłej szamotaninie Wu, usiłujący interweniować, niechcący zabił swojego szefa. Na Kovicu wielkie wrażenie zrobiły jego umiejętności – ale też poczucie winy, Wu bowiem uważał, że spotkała go straszliwa hańba.

Kovic bez namysłu złożył mu propozycję: pracuj dla mnie i zapomnimy o całej sprawie. Jak Wu mógł odmówić?

Kovic wsiadł do samochodu. Wciąż czuł się nieco słabo. Wu przyjrzał mu się z podziwem.

– Rany, twoja twarz wygląda jak porzucony na targowisku owoc, który nie znalazł kupca.

– Do konsulatu, szybko.

Wu nie trzeba było prosić dwa razy. Wcisnął pedał gazu i BMW poderwało się z miejsca.

– Od zera do setki w pięć przecinek cztery sekundy!

– I od zera do szpitala, jak nie zwolnisz, stary! Wszystko mnie boli. Zresztą nie chcesz chyba mieć na swojej kosztownej tapicerce moich płynów ustrojowych.

Wu od razu zwolnił.

– Impreza musiała być ostra.

Tak tłumaczyli sobie wszystkie swoje awantury – za obopólną zgodą.

Przed sobą ujrzeli panoramę centrum. Wyglądała jak futurystyczna wizja szalonego architekta, tyle że już zbudowana. Najnowocześniejsze, najwyższe, najbardziej lśniące wieżowce niknęły w nisko wiszącej chmurze smogu. Choć Kovic mieszkał tu już sześć lat, ten widok wciąż go zaskakiwał – niepowstrzymane parcie w górę w tempie zawstydzającym Amerykanów. Sto lat temu takiego samego gwałtownego rozkwitu doświadczyło Detroit. Czy Szanghaj miał podzielić jego los? Kovicowi przypominały się rośliny w szklarni ojca, pnące się w górę, ku słońcu, a potem więdnące, bo rosły za szybko, by się utrzymać. Pod całą tą szklaną pozłotką było coś, co sprawiało, że fundamenty Szanghaju wydawały się kruche.

– Pojadę Fuzhou. Na Placu Ludowym zaczyna się protest.

– Jaki protest?

Wu puknął palcem w ekran dotykowy na desce rozdzielczej. Nawigacja ustąpiła miejsca lokalnej telewizji; leciała akurat reklama jakiegoś lakieru do włosów dla psów, jego skuteczność demonstrował shih tzu z sierścią powywijaną w drobne kędziorki. Zwierzę wyglądało na wystraszone, jakby podczas fryzjerskich zabiegów rażono je prądem w jądra.

Wu dotknął ekranu jeszcze raz i włączył CNN.

– ...od wczesnych godzin rannych, wznosząc hasła sprzeciwu wobec, jak twierdzą, wrogich działań z poparciem Ameryki...

Kovic skupił się na wiadomościach, cały zewnętrzny świat przestał dla niego istnieć: ponad setka młodych mężczyzn i kobiet z kamiennymi twarzami maszerowała w kółko, wznosząc tablice z hasłami.

Kovic wcisnął pauzę. Wszyscy demonstranci byli elegancko ubrani i młodzi – tacy ludzie zazwyczaj uwielbiali wszystko, co amerykańskie. Dotknął „play”.

– ...wśród zabitych są niezidentyfikowani Amerykanie i Chińczycy...

I Chińczycy? A to nowość.

– Faktycznie, jakaś afera. – Nie chciał, żeby Wu zauważył jego zainteresowanie i zaczął zadawać pytania.

– No, jakaś grubsza awantura. – Chińczyk pokiwał głową z entuzjazmem.

Choć Kovic nie miał powodu wątpić w jego lojalność, nie powiedział mu o misji na granicy. Podobnie jak Louise, Wu przywykł już do nagłych zniknięć szefa.

Kovic zmienił zdanie i stuknął w ekran.

– Zawieź mnie tam. Chcę to zobaczyć.

– Ale możesz zobaczyć na ekranie.

Kovic rzucił mu wymowne spojrzenie. Byli już na wjeździe na trasę Yan'an, ale stali w prawie nieruchomym korku. Bez słowa protestu Wu wrzucił wsteczny i wśród kakofonii klaksonów przepchnął się na pas

awaryjny, po czym tyłem zjechał na dół. Lubił takie wyzwania – zwłaszcza kiedy zatrzymywała go drogówka; mógł wtedy machnąć swoimi dyplomatycznymi papierami i napawać się wyrazem zawodu na twarzach policjantów, kiedy puszczali go wolno. Na skrzyżowaniu zawrócił i ruszył przez miasto. Jego opanowanie chińskiego stylu jazdy – płynnego, a zarazem powściągliwego – było obiektem zazdrości Kovica, który często irytował się za kierownicą i utykał w korkach. Kiedy Wu kierował, jego celem było nigdy się nie zatrzymywać, każdą przeszkodę – pieszego, pralkę załadowaną na skuter czy czerwone światło – omijał bez mrugnięcia okiem.

Policja zablokowała wyjazd z Wusheng Road. Policjant na motorze zrównał się z nimi i zastukał w szybę.

– *Tíng chē* – stop. Nie ma przejazdu.

Spojrzał na Kovica i zmarszczył brwi.

– To niedobra pora, żeby pokazywał się tam ktoś z Zachodu.

Wu machnął swoim dyplomatycznym prawem jazdy, ale dziś nie zadziałało. Za szybą słychać było odbijające się echem od budynków skandowanie.

Kovic otworzył drzwi.

– Idę tam.

– Spóźnisz się do szefa.

– Pieprzyć szefa.

Policjantowi nie spodobało się jego nieposłuszeństwo. Przejechał na drugą stronę samochodu i zablokował mu drogę. Kovic wiedział, że o ile to możliwe, policjant będzie wolał nie dotykać *lǎowài*; niektórzy wciąż uważali, że cudzoziemcy roznoszą choroby niczym kanałowe szczury.

– *Powiedz okrągłookiemu, że nie jest tu dziś mile widziany i żeby zrobił coś ze swoim nosem!* – krzyknął policjant do Wu, nieświadom, że Kovic zna mandaryński.

– *Powiedz mu* – odparł Kovic w tym samym języku – *że jego matka to...*

– *Sha-bi* – wszedł mu w słowo Wu. Tylko w Chinach można było powiedzieć przy policjancie „głupia pizda”.

– Mówisz o nim, prawda? – spytał Kovic.

Wu się uśmiechnął.

To była kolejna rzecz, jaką uwielbiał w tym kraju – pospolitość zapierających dech w piersiach wulgaryzmów.

Jeden z demonstrantów wspiął się na wóz transmisyjny amerykańskiej telewizji i zaczął szarpać za talerz anteny satelitarnej. Kovic musiał się mu bliżej przyjrzeć. Trzej policjanci w rynsztunku prewencji skoczyli na furgonetkę, złapali mężczyznę i zrzucili go na ziemię. Inni Chińczycy łomotali pięściami w szybę; kierowca kulił się za kierownicą. Za samochodem pojawiła się następna grupa demonstrantów, otworzyli przemocą tylne drzwi, wywlekli Bogu ducha winnego technika i cisnęli go na bruk. Ogarnęła ich histeria. Kovic bał się, że mogą Amerykanina stratować. Ruszył przez tłum w ich stronę.

– Amerykanie do domu! – ryknął mu w ucho jakiś chłopak, najwyżej osiemnastoletni. Wu, idący tuż za Kovicem, położył mu dłoń na twarzy i pchnął go w tył. Inny policjant złapał Kovica za ramię.

– Tu niedobrze, idź stąd!

– On ma rację, szefie, powinniśmy stąd iść.

Ale Kovic wyrwał się im obu i wepchnął w zbiegowisko wokół technika. Przez całe sześć lat spędzone w Chinach nigdy nie widział takiego zachowania. Większość Chińczyków, zwłaszcza młodzi z wielkich miast, wielbiła USA. Przecisnął się do bezradnego mężczyzny leżącego na ziemi. Tłum, który go przewrócił, teraz jakby nie wiedział, co zrobić dalej, jakby nie mieli dość odwagi, by posunąć się do prawdziwej, niepohamowanej przemocy. Kim byli ci demonstranci?

– Proszę, nie rób tego – prosił Wu, który z trudem za nim nadążał,

zrozpaczony nagłym zainteresowaniem, jakie wzbudziła w jego szefie lokalna rozróżba.

Takie rzeczy nie należały do obowiązków Kovica. Jego zadaniem było trzymać się z dala od kłopotów, obserwować, analizować i meldować. Zawsze meldować. Do diabła z tym! Dotarł do grupy otaczającej technika leżącego na plecach i próbującego osłaniać głowę. Jakiś chłopak chciał Kovica odepchnąć. Kovic złapał go za kłapy i przyciągnął do siebie.

– *Cào nǐ zǔzōng shǐbā dài* – pieprzyć twoich przodków osiemnaście pokoleń wstecz!

Chłopak odskoczył. Wu był przerażony.

– Gdzieś ty to, do cholery, usłyszał?

Kovic wzruszył ramionami.

– W jakichś rozmówkach.

To wystarczyło, żeby odwrócić ich uwagę. Kovic przepchnął się między ludźmi, złapał technika za ramię i postawił go na nogi.

– Rany, dzięki, człowieku! To jakiś obłęd! Nie widziałem czegoś takiego od czasu Kairu.

Kovic go otrzepał, a potem zwrócił się do protestujących w perfekcyjnym mandaryńskim.

– *Jeśli nie podoba się wam Ameryka, idźcie łomotać do drzwi konsulatu. Ten facet wykonuje tylko swoją pracę – mówi światu o waszym proteście, czego na pewno nie robią wasze wiadomości. Napadliście niewłaściwych ludzi, dzieciaki.*

Wepchnął wstrząśniętego technika z powrotem do samochodu i krzyknął do kierowcy, żeby się stąd szybko wynosili. Na miejscu zjawiono się kilku następnych policjantów z prewencji; zaczęli spychać demonstrantów z powrotem na plac. Kovic chciał zobaczyć, ile osób się zebrało, ale Wu z zaskakującą siłą pociągnął go z powrotem do samochodu.

– Szefie, proszę, zanim się zrobi nieciekawie.

– Chyba zapomnieli, kto im dał Iron Mana i Lady Gagę.

– Szef na pewno będzie miał o tym coś do powiedzenia – stwierdził Wu, po raz drugi tego dnia popisując się nadludzką zręcznością w jeździe do tyłu. Jego wiara w Agencję była tyleż rozbijająca, co niesłuszna. Kovic jednak widział, że jego ochroniarzem wstrząsnęło to, czego przed chwilą był świadkiem. Już samo dotknięcie cudzoziemca było rzeczą niezwykle rzadką. Podobnie rzadko dochodziło do publicznego niszczenia mienia: groziły za to surowe kary – trzy lata ciężkich robót – więc demonstranci musieli mieć jakąś poważną motywację. Kovic odwrócił się do Wu, który znów płynnie przeciskał się przez uliczne korki.

– A co ty o tym myślisz?

– Hę?

– Tak, ty! Słucham.

Wu osłupiał. Kovic nigdy dotąd go o nic takiego nie pytał.

– Nie masz własnego zdania?

– Chiny i Ameryka ba... są bardzo blisko. – Puścił kierownicę, żeby spleść mocno dłonie, a potem skręcił gwałtownie, żeby uniknąć zderzenia ze skuterem wiozącym chybotliwą stertę materacy.

– Nie pytam, na co masz nadzieję, pytam, co myślisz.

Wu przez chwilę milczał, rozważając, jaka to różnica. Bardzo poważnie traktował kwestię swojej lojalności, przez co Kovic nigdy nie mógł wydusić z niego szczerzej opinii. Wu nie różnił się w tym od wielu swoich rodaków, przekonanych, że amerykański styl życia jest najlepszy – nie dlatego, że próbowali innych, ale dlatego, że właśnie nie spróbowali. Stanowiło to odświeżającą odskocznnię od jego własnego cynizmu, ale teraz akurat zależało mu na czymś innym.

– No już, twój pogląd. Nie obrażę się przecież.

Wu nagle bardzo spoważniał.

– Uważam, że ktoś nie chce, żeby Chiny i Ameryka zostały przyjaciółmi.

Zagęszczenie sił policyjnych wokół budynku amerykańskiego konsulatu było kolejnym znakiem, że dzieje się coś złego. Skręcili na ciemny, podziemny parking w sąsiednim budynku o finezyjnej nazwie Commerce Centre Building. Parking był gęsto zastawiony najnowocześniejszymi owocami niemieckiej myśli motoryzacyjnej, poza tym śmierdział szczynami. Zobaczyli, jak parkingowy bezwstydnie odlewa się pod ścianą. Jakie to szanghajskie, pomyślał Kovic, jakie to swojsko niekonsekwentne.

11

Konsulat USA, Szanghaj

Kovic kazał Wu wrócić za czterdzieści pięć minut i wjechał windą na dwudzieste siódme piętro. Plakietka na drzwiach głosiła: „Attaché handlowy Stanów Zjednoczonych” – nie był to przesadnie wymyślny kamuflaż. Korzystał z niego najrzadziej, jak mógł. Cutler był tu dopiero trzeci raz, odkąd przysłano go do Pekinu, ale cały czas miał tam pokój dla siebie, ze swoim nazwiskiem na drzwiach, jakby oznaczał swoje terytorium.

Kovic nie wiedział, czy Cutler po prostu nienawidzi Szanghaju jako takiego, czy tylko chodzi mu o niego. Tak czy inaczej, nigdy nie zostawał tu długo, co Kovicowi akurat pasowało. Przed Highbeamem ich spotkania polegały na opieprzaniu Kovica za zbyt wysokie wydatki, niedyskrecje któregoś z jego polowych agentów, o których wieści dotarły do Pekinu, albo brak postępów w tropieniu Armistead, osławionego superhakera, którego NSA chciało dopaść – czy też lepiej: permanentnie zneutralizować. Kovic nie podlizywał się, nie leżało to w jego naturze. Na spotkaniach z Cutlerem zazwyczaj ograniczał się do odpowiadania monosylabami na nawałę pytań dotyczących szczegółów jego pracy. Dzisiaj, dla odmiany, sam zamierzał je zadawać.

Pani Chan spojrzała na niego i szybko odwróciła wzrok. Miała czterdzieści dwa lata, twarz nieruchomą jak maska po operacjach plastycznych i poszerzone chirurgicznie oczy, nadające jej wyraz permanentnego zdziwienia, jakby ktoś niespodziewanie wszedł w nią od tyłu. Włosy układała w trwałą, kruchą skorupę, wyglądającą, jakby miała się rozpaść, gdyby tylko ktoś w nią stuknął. Kovic śmiał się w myślach, wyobrażając ją sobie jako swoją Moneypenny. Łatwo było ją zawstydzić,

a Kovic nieustannie zachowywał się zawstydzająco, na co reagowała wyjątkowo irytująco piskliwym, drażniącym śmiechem. Zawsze zwracał się do niej po mandaryńsku, co miała prawo odbierać jako pogwałcenie biurowej etykiety i zawołowaną kpinę z jej bardzo niepewnej angielszczyzny. Musiała jednak znosić jego zachowanie, bo wiedział, że brała pieniądze z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego za dostarczanie okruchów informacji swojemu kontrolerowi, z którym łączył ją ognisty romans. Nie miała pojęcia, że Kovic podsycił ów romans plotkami, niemal w całości zmyślonymi.

– Przepraszam, jeśli mój widok jest dla pani krępujący, pani Chan. – Nachylił się bliżej. – Mój informator z żandarmerii wojskowej był niezadowolony z wysokości zapłaty. Jest bardzo nerwowy i ma paranoję od kokainy.

Jej wystarczająco już wielkie oczy omal nie wyskoczyły z orbit. Kovic upajał się myślą, że te bujdy pójdą dalej, a departament spraw wewnętrznych policji będzie gorączkowo usiłował ustalić, kim jest ten tajemniczy „kret”.

– Przy okazji: czy wolno mi zauważyć, jak pięknie pani dziś wygląda?

Pani Chan wybuchła swoim doprowadzającym do szału chichotem. Mimo skrępowania była wrażliwa na komplementy. Kovic sprawdził jej przeszłość. Zawsze starał się dowiadywać jak najwięcej o każdym, z kim miał regularny kontakt, nieważne jak przyziemny, i odkrył, że pani Chan na ostatnim roku administracji została wybrana przez kolegów studentów... „najatrakcyjniejszą fizycznie kobietą”.

Spoglądała na niego przez długą chwilę, zastanawiając się gorączkowo, czy to odpowiedni moment, żeby wykonać polecenie swojego kontrolera i pocałować Kovica. Ale on się odsunął i czar chwili prysł.

– Pan Cutler na pana czeka – wydukała po angielsku, uważając, żeby nie potknąć się na „l” w „Cutler”. Wstała zza biurka, potruchtała do podwójnych drzwi, zastukała w nie prawie niesłyszalnie i zaczęła chwilę, jakby

pozwalając Cutlerowi dokończyć modlitwę.

– Przyszedł agent Kovic, proszę pana.

Dyrektor siedział za olbrzymim biurkiem, które zamówił na koszt szanghajskiej filii na okoliczność swoich rzadkich wizyt. Miał krótki tułów, więc blat wypadł odrobinę za wysoko i nadawał mu wygląd uczniaka w gabinecie nauczyciela. Choć przyleciał dopiero dziś rano, biurko już było zavalone papierami, zupełnie jakby spędził przy nim całą noc. Stukał wściekle w klawisze laptopa z obudową w kolory maskujące; komputer musiał mieć dla niego jakąś wartość sentymentalną albo też był nieudolną sugestią, że jego właściciel nie zawsze pracuje za biurkiem. W swojej wykrochmalonej, białej koszuli ze spinkami i w wąskim, ciemnym krawacie, Cutler podtrzymywał image typowego oficjela z Langley, którego nie sposób sobie wyobrazić ubranego jakkolwiek inaczej. Kovic wizualizował go sobie grającego w golfa, stojącego przy grillu czy posuwającego panią Cutler, cały czas w tym samym, anonimowym garniturze.

– *Zǎoshànghǎo* – dzień dobry.

Cutler kiwnął głową, schował do szuflady paczkę niedojedzonych oreo i dopił kawę, nie podnosząc wzroku.

– Siadaj, Kovic.

Zabrzęczała jego komórka. Przycisnął ją do ucha i odwrócił się.

Fajny początek, pomyślał Kovic.

Z doświadczenia wiedział, że istnieją dwa rodzaje dyrektorów biura: działający i czytelnicy. Cutler był czytelnikiem. Mierzył efekty ilością zdobytych informacji, więc Kovic dostarczał mu ich całymi tonami. Materiały, które powinien był zacytować, streścić albo wprost wyrzucić, wysyłał w całości; wyjątkowo rozwlekłe transkrypcje każdego okręgowego zebrania wywiadu, które podsłuchał, niekończące się zapisy rozmów z agentami terenowymi, w tym ogłupiające szczegóły ich osobistych problemów i nużące prośby o więcej pieniędzy czy o inne korzyści.

Przesiewał jednak wszystko bardzo dokładnie, bo wiedział, że cokolwiek dostarczy, będzie to otwarte i przeczytane przez jego odpowiedników w chińskim Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego.

Cutler nie wykazał zainteresowania nauką języka. „Nie bawię się w specjalizację” – tak to wyjaśnił Kovicowi, co miało oznaczać, że nie zamierza się rozpraszać podczas wspinaczki po drabinie agencyjnej hierarchii. Wszędzie na świecie stołował się w McDonalddie albo w Pizza Hut, a wszystkie potrzebne rzeczy zamawiał przez Internet, byle tylko uniknąć konieczności rozmowy ze sprzedawcą w sklepie. W Agencji często występował ten typ człowieka: osoby, która wszelkie zagraniczne wpływy uważa za potencjalnie niebezpieczne i pozostaje cały czas czujna, obawiając się skażenia. Kovic stanowił jego całkowite przeciwieństwo: pochodził znikąd, wtapiał się w każdą napotkaną kulturę, czynił użytek ze swojej nieokreślonej karnacji, a złego Amerykanina odgrywał tylko wtedy, kiedy mu to pasowało. Jadł miejscowe jedzenie, mieszkał w sercu prawdziwego Szanghaju i doskonale władał językiem. Cutler wszystko to uważał za mocno niepokojące, a wręcz nieamerykańskie.

Teraz słuchał w skupieniu tego, co ktoś mówił do niego w słuchawce, i uciskał palcami czoło. Na większości innych placówek panowało wszechobecne przekonanie, że Ameryka to supermocarstwo, które wszystkim dyktuje swoje warunki. Cutlera to podniecało: szczególnie te rejony świata, gdzie Amerykanie usuwali rządy i zastępowali je własnymi, marionetkowymi; państwa, których głowy były na każde skinienie Agencji. Ale Chiny do nich nie należały, a już na pewno nie dziś.

Dla ludzi pokroju Cutlera Państwo Środka było czymś w rodzaju nierozwiązywalnej łamigłówki. Nigdzie indziej na świecie nie można było znaleźć skrajnego kapitalizmu połączonego z usztywnioną centralną ideologią. Komunistyczne kierownictwo pałało uczuciem do wolnego rynku, tyle że bez przymiotnika „wolny”. Nieważne, ilu by nie otwarto McDonalddów, ilu nie sprzedano buicków, wierchuszka nigdy nie zgodziłaby

się na wprowadzenie demokracji. Chińskie społeczeństwo przypominało zachodnie tylko z pozoru. Podobnie jak podróbki Prady sprzedawane przy Nanjing Road, wyglądało praktycznie tak samo – ale pochodziło zupełnie skądinąd.

Cutler słuchał bardzo uważnie, przytakując niezidentyfikowanemu dzwoniącemu. Po samym jego zachowaniu Kovic ocenił, że to ktoś wyższy rangą. Ciekawe, czy Cutler dostawał ochrzan, czy rozmawiali o ograniczaniu strat? Kovic musiał przyznać, że sytuacja przerosła także jego. Przez cały okres, jaki tu spędził, nigdy nie wydarzyło się nic na taką skalę. A i przyszłość nie jawiła mu się zbyt różowo.

W końcu Cutler skończył rozmowę, schował telefon do kieszeni, podniósł wzrok i zmarszczył czoło.

– Chcesz powiedzieć, że tak chodziłeś po mieście?

Kovic nie miał nastroju na wykłady.

– Dziękuję za przywitanie.

Cutler chusteczką otarł pot z czoła.

– Dopiero co przyleciałem z Pekinu, to raczej ty powinieneś mnie przywitać.

Kovic nie zdołał się powstrzymać.

– Właśnie wróciłem z KRLD i znad swojego grobu, a ty przyleciałeś samolotem.

Cutler zrobił urażoną minę. Opanuj się, powiedział sobie Kovic. Szef patrzył na niego przez chwilę, a potem, jakby nagle odebrał pilną wiadomość od swojego mózgu, całkowicie zmienił ton. Wykrzywił twarz w grymasie nagłej troski, podniósł się jak żuraw – mimo krótkiego korpusu miał zaskakująco długie nogi – wyszedł zza biurka i złapał Kovica za ramię. Chciał mu uścisnąć dłoń, ale zobaczył opuchliznę.

– Słodki Jezu.

– Niezupełnie, to odmrożenie.

Cutler wrócił na fotel i zamasyście pokręcił głową, jakby podziwiał szerokość blatu.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z powagi sytuacji.

Jego kolejną charakterystyczną cechą była niespotykana skłonność do mówienia rzeczy oczywistych.

– Pracuję nad tym.

Cutler zignorował sarkazm. Pochylił się nad laptopem i przycisnął palce do policzków, wywołując na nich białe plamy. Miał sporą łysinę okoloną siwiejącymi włosami, co nadawało mu wygląd pobożnego mnicha. Kovic mimowolnie poczuł się jak w szkole, na dywaniku u dyrektora, czekając na karę za swój ostatni wybryk.

– Chińczycy też traktują to bardzo poważnie. Byłem przed chwilą na Placu Ludowym.

Przycinek Olsena z sea hawkka okazał się teraz znacznie bliższy prawdy, niż mogło mu się wtedy wydawać. Ale Cutler nie słuchał.

– Mamy przed sobą cholernie poważny problem.

Kovic znał tendencję szefa do „przywłaszczania” sobie powagi sytuacji, jakby tylko on jeden potrafił w pełni ją docenić. Tak samo było z Armisteadem, którego Kovic rzekomo ścigał. Cutler zrobił mu wykład na temat konieczności pojmania go, „zanim będzie za późno”.

Z początku taktyka Kovica, by zalać przełożonego papierami, działała i trzymała go na dystans. Ale potem nastąpiła zmiana. Cutler zaczął sprawdzać raporty i oceny osobowe swoich podwładnych. Zrobił się bardziej asertywny, dopytywał o działania Kovica i doszukiwał się w nich błędów. Ostrzegał go, żeby nie „spoufalał się” zanadto ze swoimi informatorami. Cutler przypominał relikwiarz najciemniejszych czasów zimnej wojny: sympatię Kovica do Chin brał za skutek prania mózgu.

Wciąż kręcił głową.

– Mamy spory problem.

– Sporym, kurwa, problemem jest to, że zginęło pięciu ludzi, w tym trzech rozstrzelano.

Cutler skrzywił się; nie spodobał mu się wulgaryzm czy wzmianka o rodzaju śmierci?

– No dobrze – westchnął przeciągle – opowiadaj od początku.

Dotknął przycisku dyktafonu. Musiał mieć wszystko nagrane – słowo w słowo. Kovic zdał mu więc drobiazgową relację zgodnie z życzeniem, obrazowo opisując egzekucję, którą oglądał przez szczelinę w śniegu.

– I na pewno cię nie widzieli? Jesteś pewien?

Cutler spojrział na biurko, przycisnął palec do okruszka oreo, podniósł go i strzepnął.

– Gdyby widzieli, to raczej by mnie tu nie było, prawda?

Cutler przyjrzał się koniuszkom palców, jakby mogły skrywać odpowiedź.

– Szkoda, że nie masz żadnych świadków – powiedział w końcu.

Kovic zastanowił się, co to mogło znaczyć. Dziesięć lat temu uznalby, że poddawana jest w wątpliwość jego prawdomówność i być może nawet rzuciłby się na Cutlera, co zakończyłoby jego karierę. Ale Chiny nauczyły go mądrości. Obserwować, słuchać, czekać.

– Co oznacza, że musicie mi uwierzyć na słowo.

– Nie chciałeś tej misji.

– Ale poleciałem, prawda?

– Ale ją krytykowałeś.

Kovic prychnął.

– I miałem rację.

Cutler popatrzył na niego spode łba. Kovic oparł łokcie na biurku.

Czuł, że jego samokontrola puszcza, a czysty gniew wzbiera w nim niczym kawa w ekspresie. Odmrożonym palcem dźgnął powietrze.

– Zaryzykowałem życie, żeby przeprowadzić ich przez granicę, wlokłem ich przez kilometr, a potem nagle znikąd – czy raczej skądś w Chinach – zjawili się jacyś goście i ich zamordowali.

– Śnieg jest dość głęboki, co?

Kovic przytaknął.

– Widoczność kiepska?

Kovic znów kiwnął głową, zastanawiając się, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Czyli mówimy o sporej dezorientacji: słaba widoczność, zmęczenie, nieznanymi teren...

– O czym ty, kurwa, mówisz?

Kuszące katharsis poddania się wściekłości wabiło go niczym ten jeden zakazany drink alkoholika. No dalej, przyłóż mu. Przecież chcesz.

Cutler westchnął.

– Przygotowuję się tylko na to, co może nas czekać.

Sięgnął do teczki stojącej obok jego fotela i wyjął szary folder. Otworzył go. W środku był plik zdjęć.

– Lepiej rzuć okiem.

Pchnął fotografie przez biurko.

Zdjęcia były kolorowe, ale przez śnieg i słabe światło można je było wziąć za czarno-białe. Nawet krew wydawała się szara. To był ten sam samochód, ten gówniany koreański dziup, który porwali podczas ucieczki. Wyglądał, jakby stał w tej samej pozycji, w jakiej go porzucili. Ale na zdjęciu nie był pusty. W środku znajdowały się poukładane trupy: Olsen, Kean, Price, Deacon i Faulkner. I nie tylko. Razem z nimi leżało trzech innych – sądząc po mundurach, Chińczycy.

Kovic spojrział na Cutlera, który wpatrywał się w niego z uwagą. Znow skierował wzrok w dół, podniósł jedną fotografię, przechylił ją do Cutlera i wskazał na Chińczyków.

– To podrzutki.

Cutler nic nie powiedział. Kovic poczuł, że jego poobijana twarz robi się czerwona. Przyjrzał się jeszcze raz zdjęciom.

– Ci pozostali to nie Koreańczycy. To mundury chińskiej armii.

– Pekin tego nie potwierdza. Najwyraźniej nie ma pewności...

Umilkł.

– A co w ogóle mówi Pekin?

– Nic. To wielki wstyd.

Wstyd, hańba, utrata twarzy: chińskie koszmary.

– Kto zrobił te zdjęcia?

Cutler wzruszył ramionami.

– Zostały załadowane w nocy na serwis udostępniający zdjęcia. Jak tylko rozeszły się wirusowo, konto zamknięto. Zakładamy, że to Koreańczycy.

Kovic znow spojrział na zdjęcia. Nie miał chęci niczego zakładać. W tle widać było posterunek graniczny i płot, nieco wyraźniejsze w dziennej poświacie. Na budce wartownika powiewała flaga, której nie pamiętał. Ktoś tam zadał sobie bardzo dużo trudu.

– I Langley twierdzi, że to wszystko robota Koreańczyków?

– To logiczne.

– Oprócz katów, którzy odjechali w kierunku Chin. To zupełnie nielogiczne.

Cutler przyjrzał się swoim dłoniom.

– Cóż, ty to tak zapamiętałeś. Będziemy potrzebowali potwierdzenia.

Kovic zerknął na dyktafon. Rozmowa zaczynała się zmieniać

w przesłuchanie. Nie zamierzał na to pozwalać.

– Albo dane wywiadu były sfałszowane, bo komuś od początku zależało, żeby się nam nie udało, albo był przeciek. Które z tych dwóch jest prawdą?

Cutler zrobił zaniepokojoną minę.

– To wykaże dochodzenie.

– Jeszcze jak, kurwa. Skąd były te informacje? Kto wam sprzedał Highbeama?

Cutler machnął ręką.

– Langley dwanaście godzin temu wysłało do Seulu zespół, który to sprawdza.

– To nie jest żadna odpowiedź.

Westchnienie.

– To głęboko utajniony człowiek Pekinu, nie mogę wchodzić w szczegóły.

Kovic popatrzył na Cutlera.

To przecież on był autorem jednych z najlepszych akcji Agencji w całym teatrze wschodnim. To dzięki Kovicowi wytropiono w Langley kreta, który załatwił Pekinowi wgląd do głównej bazy danych CIA. To on zwinął Berkhoffera, supergeeka z Doliny Krzemowej, rzekomego filantropa, którego fundacja w Szanghaju okazała się przykrywką dla podróbek amerykańskich patentowanych leków. Kovic miał też własną sieć szpiegów w chińskiej administracji, których tożsamość znał tylko on, którzy współpracowali tylko z nim, którzy rzadko coś dostarczali, ale zawsze był to dynamit, a on dbał, żeby Chińczycy o tym nie wiedzieli.

Czuł jednak, że jego niechęć do stawania w szeregu i do pracy z oficjalnego biura (lubił trzymać się z dala od konsulatu), jego kolejne wypadki drogowe i okazjonalne awantury po pijanemu – wszystko to irytowało Cutlera i dawało mu pod dostatkiem powodów, żeby pozbyć się

Kovica. Co najgorsze Kovic, który pracował już na wielu kryzysowych placówkach, żył i działał pod przykryciem, był dla Cutlera nieustannym przypomnieniem o jego własnym braku wiarygodnego doświadczenia w terenie – co odróżniało go od innych agencyjnych szyszek.

Kovic znów przyjrzał się fotografiom. Widział, jak trzech żołnierze dostają kulkę w czoło. Na zdjęciach nie mieli żadnych ran wlotowych na twarzach. Ktoś albo ich połatał, albo obrobił zdjęcia, bo widoczne obrażenia wyglądały jak skutek wybuchu granatu albo innej broni tego rodzaju. Czy Cutler chciał, czy nie, Kovic zamierzał przedstawić mu swoją analizę sytuacji.

– Zostali zabici po chińskiej stronie, musimy to sprawdzić. Wiesz dobrze, o co tu chodzi – ktoś chce wbić klin między nas a Chińczyków, a sądząc po demonstracjach na zewnątrz, idzie mu całkiem dobrze. Trzeba się za to natychmiast zabrać.

Cutler splótł palce i przytknął je do nosa.

– Nie rozpędzajmy się z teoriami spiskowymi. Polityka Langley nakazuje, żeby zajął się tym ktoś neutralny. Obawiam się, że nie mam na to wpływu. A w końcu będą chcieli porozmawiać i z tobą. – Założył ręce za głowę i przyglądał resztki włosów. – Tymczasem wysyłam cię na urlop. Odpocznij sobie.

Spróbował się szeroko uśmiechnąć.

– Idź na dupeczki.

Te słowa tak do niego nie pasowały, że Kovic, gdyby nie był wściekły, parsknąłby śmiechem.

Cutler myśli, że mam z tym coś wspólnego, przeleciało mu przez głowę. Szczeka mu opadła, ale szybko zamknął usta. Jeśli dyrektor tak podejrzewał, Kovic nie zamierzał zdradzać, że się tego domyśla. Choć nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności, niż przeskoczenie przez biurko i uduszenie drania jego własnym krawatem, przełknął gniew.

Cutler przełożył papiery na biurku i zerknął na laptopa.

– Sam rozumiesz... Po prostu zniknij, dopóki sprawa nie przycichnie.

Kovic wbił w niego wzrok, aż Cutler zaczął mrugać. Kiedy zrobiło się już naprawdę niezręcznie, nagle, jak to on, zmienił nastrój. Wstał, wyszedł z biurka i wyciągnął rękę; przypomniał sobie o odmrożeniu, cofnął ją i zdecydował się na braterski uścisk ramienia, tak sztuczny i pozbawiony przekonania, że Kovic po prostu odwrócił wzrok.

– Sporo przeszedłeś. Jesteś poobijany i nie mówię teraz wyłącznie o twoim nosie. To skomplikowana sprawa, ale damy sobie radę. Chcę, żebyś wziął trochę wolnego. Jedź na Hawaje albo na Guam. Wyrwij się z... – wskazał ręką okno – z tego... wszystkiego.

Najwyraźniej nie miał pojęcia o życiu osobistym Kovica. Kovic nigdy oficjalnie nie zarejestrował Louise jako swojej partnerki, co powinien był zrobić. Cutler prawdopodobnie nie umiał go sobie wyobrazić z nikim innym niż z prostytutką.

– Zbadamy tę sprawę dokładnie i wszystko wyjaśnimy.

Najpierw podkreślał powagę sytuacji, a teraz mówił o tym, jakby to była sztuczka. Ale sugestia była oczywista: nie wtrącaj się. W tym momencie do pokoju wszedł bez pukania Randall, tłumacz i chłopiec na posyłki Cutlera.

– *Zǎoshànghǎo* – dzień dobry.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, miał nadzieję popisać się jeszcze swoim mandaryńskim, ale szybko do niego dotarło, że źle ocenił panujący w pokoju nastrój.

Kovic nie zwrócił na niego uwagi, ale Randall podszedł do jego krzesła i wskazał drzwi. Kovic spojrzał na Cutlera, oczekując wyjaśnienia.

– Odprowadzi cię.

To, że Cutler uważał za konieczne odprowadzić go do drzwi, powiedziało Kovicowi wszystko, co potrzebował wiedzieć. Był balastem, zagrożeniem, które trzeba zneutralizować. Przyszedł z pytaniami i niczego się nie dowiedział. A ponieważ wrócił żywy, a nie w worku na zwłoki, z wersją

zdarzeń zupełnie nieprzystającą do tego, co przedstawiały zdjęcia, palec oskarżenia wskazywał na niego, jedyne ocalałego i jedyne świadka. Co się tam naprawdę stało? Kovic musiał się tego dowiedzieć i to szybko.

12

Szanghaj

Kiedy wrócił na parking, Wu nie było nigdzie widać. Od razu zorientował się dlaczego. Randall, który odprowadził go na sam dół, zrobił zawstydzoną minę.

– Kurwa. Odesłał moją ochronę, tak?

Tamten współczująco westchnął.

– Znasz Cutlera, bardzo dba o wydajność.

– To co my robimy w tej zaszczonej piwnicy? Mogłem wyjść frontowymi drzwiami.

– Ekh, w tej chwili uważa się, że to niezalecane.

Sądząc, że zaraz zarobi w szczękę, pomachał spiesznie ręką i oddalił się do windy.

Kovic ruszył do wyjścia. Jeśli Cutler zamierza uczynić z niego kozła ofiarnego, to pożałuje. Nie będzie czekał beczynn timer, nie da się zrobić.

Starając się nie wdychać smrodu moczu, wbiegł po pochylni. Chemiczny, słodki zapach smogu był ulgą dla jego nosa. Po spotkaniach z Cutlerem zawsze miał ochotę na coś bardzo chińskiego.

Przeszedł kilka przecznic, znalazł Songshan Lu, schylił się pod markizą, dopchał do zatłoczonej lady i usiadł na stołku.

– *Shengjianbao!* – zawołał, przekrzykując gwar.

Właściciel nie zwrócił na niego uwagi i dalej rąbał mięso; jego wielki tasak pobłyskiwał w kłębach pary. Obok niego córka pilnowała *shengjianbao*, obracając je w wielkiej kadzi oleju, a jej mąż kroił warzywa. Tylko ich mała córeczka, siedząca w głębi przed telewizorem, odwróciła się

i spojrzała na Kovica. Pomachał do niej. Skrzywiła się i na powrót utkwiała wzrok w ekranie.

Kovic przywykł już do tego braku uprzejmości. To nie była wrogość; w codziennym zamieszaniu po prostu nie zwracano na niego uwagi. Właściciel – chudy, łysy, z jednym tylko zębem, najgorsza chyba reklama własnej kuchni – kręcił głową, jakby właśnie zamykał, albo jakbyś mu się nie podobał, ale jeśli nie ustępowałeś, w końcu dostawałeś jeść. Kovic, czekając, zapalił papierosa. To kolejna zaleta Chin, pomyślał: można wszędzie palić. Zaraz potem dotarło do niego, że kolejna obietnica dana Louise właśnie wzięła w łeb.

Po kilku minutach stanęła przed nim miska zrumienionych od spodu pierożków, a obok niej maleńki spodeczek z różowobrazowym płynem. Kovic złapał pierwszy z brzegu, zanurzył go w occie, ugryzł i wyjął telefon.

– Wu, zakładam, że znów cię zwolnili?

– Tak, wiem!

Wu miał w zwyczaju wypowiadać swoje kwestie z takim entuzjazmem, jakby każda okazja powiedzenia czegoś po angielsku napawała go niepohamowaną radością. Zwolnienie z Agencji – co już raz miało miejsce podczas poprzednich cięć budżetowych Cutlera – oznaczało tylko tyle, że Kovic zatrudniał go bezpośrednio. Nie wspominając o pewnych zaletach podatkowych tego rozwiązania, taki układ bardzo odpowiadał jego wizji ich dwóch jako duetu śmiałków, którzy nie mają nikogo nad sobą. „Jak Butch Cassidy i Sundance Kid” – powiedział kiedyś, na co Kovic odparł: „Jasne, stary. A pamiętasz, jak się skończył tamten film?”.

Usta Kovica wypełniło zmysłowe połączenie wieprzowiny i zielonej młodej cebuli, zalane falą mięsnego wywaru. Jak oni to robili, że rosół zostawał w pierożkach, pozostawało nieodgadnioną tajemnicą.

– Cholera, ależ to ostre! Jesteś w okolicy?

– Oczywiście, agencie K. – Wu nigdy nie nauczył się wymawiać jego

nazwiska, a ponieważ był fanem *Facetów w czerni*, stanęło na „agencie K”.

– Możesz coś dla mnie zrobić, Wu?

– No jasne!

Kovic zdawał sobie sprawę, że w końcu wyczerpie zasoby dobrej woli Wu, które, jak się obawiał, pozostawały nierozzerwalnie związane z jego marzeniem o zamieszkaniu w Ameryce. „Kiedy pojedę do Ameryki, wybiorę się w długą podróż. Route 1, a potem wzdłuż wybrzeża Kalifornii, aż do Big Sur”. Jego rodzice nie żyli, a ponieważ był jedynakiem, nie miał żadnych zobowiązań rodzinnych. Kovica niepokoiło, że jedynymi rzeczami, jakie Wu uważał w życiu za ważne, były praca i samochód. Mieszkał w hostelu dla samotnych mężczyzn, nie pił i nie palił. Nawet kiedy był na liście płac Langley, Kovic uzupełniał jego mizerne dochody dodatkową gotówką z funduszu specjalnego, który zgromadził z biegiem lat z myślą o swoich informatorach i częstych łapówkach, którymi dysponował wedle uznania, bez konieczności rozliczania się z każdego centa przed Langley i ludźmi pokroju Cutlera. Pieniądze gwarantowały mu lojalność Wu i pozwalały zlecać na zewnątrz niektóre mniej przyjemne zadania, które czasem przypadły Kovicowi w udziale.

W świecie, w którym wszystko dawało się namierzyć, gotówka była czymś wspaniałym. Pozwalała mu działać bez zwracania na siebie uwagi i nie przyciągała audytorów CIA. Kovic tak już był stworzony – pasowało mu to. Jego dziadek, Chorwat, nigdy nie założył konta w banku. Gospodarowanie własnymi pieniędzmi po swojemu Kovic miał we krwi.

Ale to, czy mógł spełnić życzenie Wu i wywieźć go do Ameryki – to już była zupełnie inna sprawa, zwłaszcza w obecnym politycznym klimacie. Lepiej trzymać się tego, co dzieje się tu i teraz.

– Dobrze, wracaj na Plac Ludowy, dowiedz się, kto organizuje protesty. Zapisz się do nich, jak będzie trzeba. Sfotografuj tablice i transparenty i weź wszystko, co rozdają, w szczególności ulotki – *chuándān*. I dowiedz się, czy

to studenci, robotnicy, czy jeszcze kto inny.

– Super!

– No, powiedzmy. Odezwij się do mnie, jak skończysz.

Kovic rozłączył się, wziął następnego pierożka i wyjrzał na ruchliwą ulicę. Dwie starsze panie wyładowywały skrzynię z kurami z vana Toyoty, a trzecia, zamiatająca chodnik przed sklepem miotłą z witek, rzucała im burkliwe polecenia. Na balkonie nad nimi nieogolony mężczyzna w szortach i górze od piżamy, z papierosem wetkniętym w kącik ust, rozwieszał pranie. Wąski pasek nieba widoczny nad praniem poprzecinany był linkami obwieszonymi reklamami: masażu stóp, tradycyjnego ziołolecznictwa, smartfonów, rozwodów, leków na ból zębów, szkół sztuk walki, wrózek i środków na hemoroidy. Obok przeszła elegancka para, wyglądająca na dwójkę prezesów, głośno obwiniając się nawzajem za stopnie ich syna. Zatrzymali się, kobieta wymierzyła mężczyźnie policzek i poszli dalej. Młoda dziewczyna z pomarańczowymi lokami, prowadząca na smyczy dwa ujadające miniaturowe szpice cynamonowej maści, podeszła do mieniącego się złotym metalikiem range rovera i przez okno podała psy mężczyźnie ze srebrnymi dreadami. Mężczyzna wysiadł i oboje ruszyli w dół po schodach metra, wpatrzeni w wyświetlacze telefonów. Kovic uśmiechnął się. Jeśli ktoś by się uparł, mógłby stwierdzić, że w Szanghaju nic nie ma sensu. Lepiej było tak po prostu cieszyć się z niespodzianek, zwłaszcza z absurdalnych zderzeń przeszłości z przyszłością.

Kiedy tu przyjechał, wiele starszych osób wciąż nosiło zapinane na guziki niebieskie spodnie i tuniki z czasów Mao i jeździło rowerami. Teraz przez całą dobę ulicami przewalala się kawalkada najnowszych mód i gadżetów z całego świata, podziwianych, kopiowanych i przerabianych. Chiny pędziły na łeb, na szyję, nie bacząc na ograniczenia prędkości. Nikt nie był w stanie przewidzieć, do czego to wszystko zmierza, ale Kovicowi bardzo się to podobało. Może tak samo czuli się jego dziadkowie, kiedy przyjechali do Detroit: podziwiali samochody, drogi, telefony i spłuczki w toaletach.

Zadrzał na samą myśl o tym wszystkim, co wydarzyło się potem; na myśl o mieście, które zmieniło się w scenografię filmu katastroficznego, w miejsce, z którego się ucieka, tak jak uciekł on sam.

Wu wrócił. Stał przed nim z tryumfalną miną i machał ulotką. Kovic wyrwał mu ją, gestem polecił mu sięść, poprosił okrzykiem o herbatę i *xiaolongbao* – pamiętając, że Wu woli przyrządzane na parze.

Zdjęcie – to samo, które pokazał mu Cutler – było wykadrowane tak, żeby ukazywać twarze zabitych, nie pozostawiając wątpliwości, że to biali i Chińczycy.

„Agresja amerykańskich imperialistów wplątała kwiat chińskiej młodzieży w zdradę wymierzoną przeciwko naszemu bratniemu sąsiadowi” – głosił podpis.

– Brzmi jak wyjątek z Mao. – Kovic wskazał chińskie mundury. – Co to za jedni?

– Chińskie siły specjalne, zobacz! – Wu wskazał oznaczenia widoczne na kieszeni na piersi jednego z zabitych – sztylet skrzyżowany z błyskawicą.

– Poznajesz kogoś?

Wu pokręcił głową.

– Co wiesz o protestujących?

Wu wziął głęboki oddech. Kovic przygotował się na potok informacji.

– To studenci rachunkowości z szanghajskiego Uniwersytetu Handlowego Li Xin, uczelni wyższej podlegającej bezpośrednio szanghajskiej administracji miejskiej. Jako część szanghajskiego Parku Uniwersyteckiego Songjiang, w którym się mieści, uniwersytet posiada 9300 studentów dziennych, studiujących na rozmaitych czteroletnich kierunkach, które obejmują zwłaszcza zagadnienia z dziedziny handlowości, ale i...

Kovic podniósł rękę.

– Dobra, wróćmy to trybu zwykłej rozmowy.

– OK, przepraszam.

– Nic się nie stało. Dobra robota.

Kovic odwrócił ulotkę.

Przyjrzał się jej dokładnie. Drobnym druczkiem na dole z tyłu umieszczono nazwisko drukarza: Le-wou.

– Pora zagrać gliniarza. Zmusz ich, żeby ci powiedzieli, kto je zamówił.

Oprócz tego, że doskonale jeździł samochodem, Wu posiadał także inną przydatną umiejętność, którą Kovic odkrył u niego przypadkiem pewnego dnia, gdy Wu dla zgrywu podszył się pod właściciela jego mieszkania. Był doskonałym aktorem. Wyjął telefon, znalazł nazwisko drukarza i wybrał numer. Potem odetchnął głęboko, zmarszczył brwi i wyprostował się, żeby wejść w rolę.

– Mówi komisarz Jin Tai! – warknął. – Jesteście podejrzani o rozpowszechnianie wyrotowej propagandy wymierzonej przeciwko państwu i ukierunkowanej na podburzanie obywateli!

To było niesamowite. Wu, wciąż marszcząc czoło, potakiwał i słuchał tłumaczeń drukarza. Kovic z podziwem pokręcił głową. Chłopak miał wrodzony talent.

– A zatem twierdzicie, że nie jesteście wydawcą tych materiałów?!

Kovic słyszał rozgorączkowanego drukarza, który błaga o litość i – oby – zdradza nazwisko klienta.

– Tak, cóż, na przyszłość ostrożniej dobierajcie klientelę. Macie zachowywać czujność!

Wu się rozłączył.

– Firma nazywa się Panamvan albo jakoś tak, to zachodnia nazwa.

Przyszły jego *xiaolongbao*.

– Parnham Vaughan.

Wu pokiwał głową z ustami pełnymi krewetek.

– Właśnie. Co to za jedni?

– Szlifierze gówna.

Wu przerwał jedzenie i spojrzał pytająco na Kovica.

– Zarządzanie reputacją. Zmieniają ci markę, jeśli podpadłeś wymiarowi sprawiedliwości i musisz zacząć od nowa albo zajmujesz się czymś kontrowersyjnym, na przykład burzysz miasto buldożerami, żeby dostać się do minerałów pod spodem, albo zalewasz dolinę pod tamę i musisz przekonać do tego pomysłu miejscowych, którym zabierasz dach nad głową. Każda duża firma ma kogoś takiego.

Wu już ich wyszukiwał w swoim telefonie.

– Jin Mao Tower, bardzo dobry adres.

– Tak, pewnie schowek na miotły w piwnicy.

– Nie. Osiemdziesiąte ósme piętro. Dobry numer.

Liczba osiem była w Chinach kojarzona z pomyślnością. Najwyraźniej firma, odkąd Kovic miał z nią do czynienia po raz ostatni, zdążyła się rozwinąć. Wsunął pieniądze pod talerz i wyszedł na ulicę. Starzec coś za nim zawołał.

– Przecież zostawiłem ci dobry napiwek, bezzębny stary draniu!

Mała dziewczynka wybiegła spod markizy, niosąc resztki *xiaolongbao* Wu, zapakowane w pudełko.

13

Dzielnica Huangpu, Szanghaj

Kovic wyciągnął z kieszeni listek gumy do żucia i wsunął go sobie pod policzek, uważając, żeby nie zgryźć ukrytego w środku mikroodbiornika. Winda wiozła ich w górę, na osiemdziesiąte ósme piętro. Poczł wzbierające mdłości. Przez wysokość albo perspektywę spotkania z Victorem Vaughanem.

Brytyczyk z pochodzenia, playboy z natury, Victor Vaughan w wieku lat dwudziestu sześciu zdążył już zaliczyć hongkońskie więzienie. Rodzinny majątek roztrwonil w kasynie w Makau, co uczyniło go także wrogiem triad – nieźle jak na utracjusza pozbawionego jakichkolwiek talentów. Został mu tylko niewyczerpany wdzięk absolwenta brytyjskiej prywatnej szkoły i właśnie dzięki niemu zrobił karierę. Zaprzyjaźnił się z policjantem, który go aresztował, Jackiem Parnhamem, skorumpowanym byłym żołnierzem sił specjalnych RPA, a kiedy Hongkong wrócił do Chin, we dwóch przenieśli się do Szanghaju i założyli firmę świadczącą usługi ochroniarskie i PR. Wdzięk i manery Vaughana w połączeniu z siłą Parnhama pozwoliły im wkraść się w łaski tutejszej nowobogackiej elity. Gdy na listę ich klientów trafili politycy, Kovic – wciąż nowy w Szanghaju – zainteresował się nimi. Z Parnhamem poszło łatwo; dał się uwieść pięknej agentce, którą Kovic na niego napuścił, a ona skopiowała jego kartę SIM, zanim oboje zostali zamordowani – otruci przez mściwą, zdradzoną dziewczynę. Kovic zajął się więc Vaughanem, ale napotkał dwa problemy. Pierwszym był wojskowej jakości poziom zabezpieczeń jego bazy danych. Drugim – fakt, że ulubionymi kochankami Vaughana byli młodzi mężczyźni. Świętoszkowatość CIA nie pozwalała Agencji opłacać chłopców do wynajęcia. Niezrażony Kovic postanowił spróbować bezpośredniego

podejścia: skoro nie może Vaughana zhakować, zwerbuj go. A to – zważywszy na jego seksualne skłonności – nie powinno być specjalnie trudne.

Vaughan z przyjemnością dał się ugościć i wysłuchał z uwagą opowieści o kuszących możliwościach, jakie otwierała współpraca z CIA. W końcu nachylił się nad stołem.

– Wszystko to bardzo piękne, ale jedno przeoczyłeś, mój drogi chłopcze. Któż teraz potrzebuje Ameryki? Nie macie mi nic do zaoferowania. Nadeszła era Chin.

Żeby Kovic dobrze to zrozumiał, tego samego wieczora jego mieszkanie zostało przetrzepane przez funkcjonariuszy Ministerstwa Stanu. Najwyraźniej Vaughan miał dojścia jeszcze wyżej, niż Kovic sobie wyobrażał.

Winda zatrzymała się z cichym szumem i wyszli na pełne dobrych wibracji osiemdziesiąte ósme piętro. Kovic przystanął, poruszony rozciągającym się stąd widokiem na wyłaniające się z mgły smogu wieżowce.

Może Vaughan faktycznie miał rację – cóż takiego miała do zaoferowania Ameryka, na czym mogłoby zależeć Chinom?

Po jednej stronie lobby stało całoscienne akwarium, w którym pływały karpie koi. Wejścia pilnowała para antycznych psów Fo. Z tą wyrafinowaną elegancją kontrastowała ochrona – dwóch krępych Mongołów o posturach zapaśników. Czyngis-chan uważał, że zapasy utrzymują jego armię w gotowości bojowej. Ale jeśli ci dwaj byli na coś gotowi, to chyba wyłącznie na drzemkę.

Pojawiły się dwie kobiety w czarnych, obcisłych sukienkach, z identycznymi, zaczesanymi w tył fryzurami, i skierowały ich obu do lotniskowego skanera. Musieli odłożyć wszystkie metalowe przedmioty na tacki i dać się prześwietlić.

Kovic uśmiechnął się do Wu.

– Witamy w Hogwarcie.

Ochroniarze obszukali ich wykrywaczami metalu.

– Na pewno nie powinniście przeszukać nas jeszcze dokładniej?

Brak reakcji. Wu także zachowywał kamienną twarz, patrzył na zapaśników wzrokiem przedsiębiorcy pogrzebowego, dopasowującego w myślach rozmiar trumien. Wykrywacz zapiszczał na wysokości jego twarzy. Wu wyszczerzył się, pokazując złoty ząb.

Siedząca za wielkim marmurowym biurkiem rudowłosa Europejka na widok poobijanej twarzy Kovica zmarszczyła brwi.

– Przykro mi, panie Kovic, pan Vaughan właśnie jest na spotkaniu.

– Proszę mu powiedzieć, że zaczekam... Nie, proszę mu dać to.

Wyjął ulotkę zabraną z Placu Ludowego, na zdjęciu przedstawiającym zabitych w dziupie zakreślił pusty fotel kierowcy i napisał: „Tu był Kovic”.

– Proszę mu to przekazać, dobrze? Dziękuję. Myślę, że wtedy znajdzie dla nas czas.

Zostali zaproszeni do kolejnego pomieszczenia, w którym stały dwie jasnoniebieskie skórzane kanapy. Goryle weszli za nimi, strzepując rękawy tak, jak widzieli to na filmach.

Kovic usiadł, wyjął przeżutą gumę i przykleił ją do doniczki.

Po chwili podwójne drzwi się otworzyły i wyszedł z nich Vaughan. Był pulchniejszy, niż Kovic zapamiętał, miał na sobie granatowy, prążkowany garnitur za jakieś pięć tysięcy dolarów, różowy krawat i chusteczkę w butonierce. Widać było, że dobrze mu się powodzi. Ruszył w ich stronę; w rękę trzymał ulotkę, na twarzy zdeorientowany uśmiech.

– Agencie Kovic, cóż za przyjemność.

Kovic nie wstał. Vaughan wyciągnął do niego rękę. Kovic trzymał obie dłonie splecione na kolanach.

– Widzę, że zaczął pan działać w zabójstwach na zlecenie.

Vaughan uśmiechnął się półgębkiem.

– Doprawdy, nie mam nawet bladego pojęcia, o czym pan mówi.

– Owszem, ma pan, inaczej nie wyszedłby pan do mnie. Ładna kompozycja, Vaughan. Zadał pan sobie dużo trudu, układając trupy, dorzucając kilku Chińczyków i wsadzając to wszystko do dżipa. Szkoda, że jeden niedoszły umrzyk wymknął się pańskim katom.

Vaughan wydał z siebie coś między kasznięciem a serdecznym śmiechem, a potem zerknął na swoich ochroniarzy, którzy posłusznie zarechotali.

– Jeśli szuka pan kozła ofiarnego za ostatnie... faux pas pańskiego kraju... – Pokręcił głową z udawanym politowaniem.

– Kto jest pańskim klientem?

– Ha, ha. Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że polityka prywatności firmy nie pozwala zdradzać tożsamości żadnego klienta.

Pewność siebie tego zboczonego Brytola działała na Kovica jak płachta na byka. Miał ochotę kopnąć go w krocze, a potem razem z Wu zrobić pośmiewisko z ochroniarzy, kiedy ci rzuciliby się na nich. Ale niezależnie od tego, jak kusząco by to nie brzmiało, pozostawała jeszcze jedna drobnostka: wydostanie się z budynku. Ktoś w recepcji bez wątpienia włączyłby alarm i zablokował wszystkie windy. A zanim zbiegliby na dół, zaroiliby się tam od policji. Obejrzał się na goryli. Jeden z nich skrzyżował ręce, odsłaniając mięsiste dłonie. Znak na jednej z nich poruszył Kovica. Obejrzał się na Wu, żeby zobaczyć, czy tamten też go spostrzegł, ale on całą uwagę skupiał na Vaughanie.

Kovic wstał. Zbliżył twarz do twarzy Anglika.

– Zrobimy tak, Victorze. Jeszcze nie teraz, ale już bardzo niedługo, opowie mi pan wszystko, co pan wie na ten temat. – Pstryknął palcem trzymaną przez Vaughana ulotkę.

Brytyjczyk wciąż nie tracił rezonu.

– Jest pan pewien, że stanowisko nie uderzyło panu do głowy?

– Nie jestem tu w imieniu rządu USA. Jestem tu dla tych ludzi z dżipa. I ich rodzin. I gwarantuję, że jeszcze tu wrócę.

Spojrzenie Kovica nie pozostawiało wątpliwości, że mówi poważnie. Agent odwrócił się i wyszedł, przeciskając się między ochroniarzami. Wu podążył za nim.

Czas działania odbiornika w gumie do żucia wynosił około dwunastu godzin. Urządzenie skanowało wszystkie sieci Wi-Fi w promieniu pięćdziesięciu metrów, logowało się do jednej z nich, po czym przechwytywało wszystkie SMS-y oraz e-maile wysyłane i odbierane przez każde urządzenie w tym zasięgu. Potem, kiedy zaczynała wyczerpywać się bateria, gadżet przesyłał zebrane dane w jednej transmisji i wyłączał się, wykonawszy zadanie. Przy założeniu, że w ogóle zadziała. Chińczycy bili wszystkich na głowę, jeśli chodzi o konstrukcję mikrotechnologii szpiegowskiej, ale liczyli sobie za sprzęt majątek, a nie był on zawsze tak niezawodny, jak obiecywali sprzedawcy.

W windzie dwie kobiety rozmawiały o nowym botoksie, od którego ich znajoma nabawiła się pomarańczowej skórki. Przerwały, kiedy zobaczyły twarz Kovica. Winda zatrzymała się na czterdziestym drugim piętrze i do środka wszedł mocno zbudowany mężczyzna. Kovic zauważył u niego mikroodbiornik wetknięty w lewe ucho. Na wierzch dłoni mężczyzny spod mankietu wypełzały trzy wytatuowane węże, splecione szyjami w kształt trójzębu. Kovic odwrócił wzrok, potem spojrzał raz jeszcze. Serce zabiło mu szybciej. Gdzieś już coś takiego widział. Zerknął na Wu i na dłoń nieznajomego, tak że Wu podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Prawie niedostrzegalnie kiwnął głową. Mężczyzna był innej postury, ale bez wątplenia Kovic widział już taki tatuaż – na dłoni jednego z zabójców.

14

Kiedy wysiedli na parterze, mężczyzna ze słuchawką oddalił się i wyszedł przez drzwi pożarowe. Kovic zauważył, że nieznajomy porusza ustami, i miał przeczucie, że to nie ostatni raz, kiedy widzi jego i węzowy trójzab. Wyszli z budynku i ruszyli szeroką promenadą prowadzącą do schodów publicznego garażu, gdzie Wu zostawił swoje X6.

– Hej, Jake, jak leci?

Rumiany Amerykanin, który znał Kovica z Shenzhen jako analityka finansowego Jake’a Coultera, wołał i machał ręką przez tłum przelewający się przed wejściem do budynku. Przypominał Cutlera; podróżował po świecie, otaczając się aurą amerykańskości i wszędzie zwracając na siebie uwagę swoim głośnym, nachalnym zachowaniem. Kovic pozdrowił go, unosząc dłoń; w tej samej chwili zauważył, jak jakiś młody Chińczyk splunął mu pod stopy.

Chwycił Wu za ramię, nim tamten zdążył zareagować.

– Spokojnie, zostaw go.

Skupił się na tłumie, lustrował morze ludzi za ich plecami w poszukiwaniu ogona. Przykucnął, udając, że wiąże sznurówki, potem nagle zmienił kierunek. Mężczyzna po lewej zwolnił, a potem przyspieszył kroku. Ilu jeszcze? Kovic znowu skręcił, a Wu poszedł za nim. Byli już blisko dwóch wejść na parking – rampy i schodów. Kovic rozważył pomysł porzucenia samochodu i przywołania taksówki – anonimowość za cenę mobilności – ale zdecydował się na samochód. Czy słusznie? Wkrótce się przekonają.

Wu odpalił X-szóstkę i wyjechał z miejsca parkingowego w kierunku rampy. Przed nimi znalazło się audi, kierowca wychylił się i wsunął bilet do

czytnika bramki. Nagle z tyłu podjechał drugi samochód, corolla. Szlaban się podniósł, audi ruszyło, zaporą znów się opuściła. Wu podjechał do czytnika i umieścił w nim swój bilet, ale bramka pozostała zamknięta. W audi zapaliły się światła cofania. Byli wciśnięci między dwa samochody.

– Jedź! Jedź! – wrzasnął Kovic.

Wu spojrział na niego ze zboląłą miną.

– Odkupię ci zderzak.

Na udreżonej twarzy Chińczyka poczucie obowiązku zmagало się z miłością do samochodu. Obowiązek wygrał; Wu nadepnął pedał gazu. X6 wystrzeliło do przodu i rąbnęło w audi w deszczu pogruchotanego plastiku. Wu nie zdejmował stopy z gazu; przekładnia wyła w proteście, gdy pchali ustawiony ukosem samochód przed nimi rampą w górę. Między audi a odbojnikiem wzdłuż ściany było niewiele miejsca.

– Przejedź bokiem!

– Nie zmieścimy się!

– Rób, co mówię!

W pierwszej chwili myślał, że to próba porwania, ale wkrótce stało się jasne, że tamtym wcale nie zależy na wzięciu go żywcem. Tylne szyby eksplodowały, rozsadzona pociskami wystrzelonymi z corolli. X-szóstka kaleczyła uszy Wu zgrzytem, kiedy przeciskali się między audi a stalową barierką. Popędzili w górę rampy, podskoczyli na progu zwalniającym i wypadli z parkingu. Zalało ich światło dnia.

– Dobra, kupię ci nowy samochód. Tylko się nie zatrzymuj.

– Dokąd?

– Nie wiem, wszystko jedno.

Kovic przekrzywił do siebie lusterko wsteczne, chcąc sprawdzić, co się dzieje z tyłu. Drzwi audi otworzyły się, a kierowca wycelował przez nie w ich kierunku z pistoletu QSZ-92 z tłumikiem. Corolla, próbując pościgu,

zatrzasnęła mu drzwi na ręce. Kovic uśmiechnął się; nie ma to jak nieoczekiwana pomoc ze strony wroga, który sam sobie wchodzi w paradę. Zdawał sobie jednak sprawę, że mają tylko chwilę oddechu. Było jasne, że tamci nie bali się wywołać chaosu w miejscu publicznym ani zaalarmować policji; zachowywali się tak, jakby mieli na to pozwolenie.

Wydało mu się, że w oczach Wu widzi łzy.

- Mam ten samochód trzech tygodni.
- OD trzech tygodni! Myśl o gramatyce!
- Myślę o swoim samochodzie!
- Lepiej pomyśl o własnym tyłku.

Ulica była jednokierunkowa, ruch gęsty, ale pas dla autobusów pusty. Wu, wyraźnie pogodzony już z faktem, że to jeszcze nie koniec dewastacji jego auta, odbił w lewo, pod prąd. Skutery rozprysnęły się na boki jak groszki. Przebił się do następnego skrzyżowania i skręcił w lewo w wąską uliczkę, przy akompaniamencie wyjącego klaksonu przedzierając się między wolno jadącymi furgonetkami i motocyklami. Akurat ten moment wybrał na przejście przez ulicę mężczyzna z drabiną. X-szóstka zaczepiła o jej koniec, drabina obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i strąciła jakiegoś motocyklistę z siodelka.

Skrzyżowanie na końcu ulicy też było zakorkowane, do tego dogoniła ich corolla. W Wu odezwał się instynkt przetrwania; wepchnął się między dwa samochody, oba obcierając. Przeciwny pas jechał, czemu z tego nie skorzystać?

– Dobrze, że wyłączyłem ACC – powiedział, skręcając między nadjeżdżające z przeciwka samochody.

– Czemu? – spytał Kovic; uznał, że Wu należy się z jego strony choć szczypta zainteresowania.

– Bo wyhamowuje samochód, kiedy czujniki wyłapią wolniejszy albo nieporuszający się samochód z przodu. Chodzi o zachowanie bezpiecznej

odległości.

Znaleźli wolny skrawek pasa. Wu wcisnął gaz do dechy.

– Dobra, trzymaj kierownicę! – krzyknął do Kovica, a sam zanurkował między fotele i sięgnął do specjalnej skrytki pod tylną kanapą, gdzie trzymał broń. Klapka się zacięła.

– Gazu! – wrzasnął Kovic.

Wu szarpał się ze schowkiem, a Kovic manewrował wśród nadjeżdżających samochodów, które z wyciem klaksonów uskakiwały im z drogi.

– Hamuj!

Wu posłuchał. Kovic wjechał na pas zieleni, widząc wolne miejsce na lewo od autobusu, a potem z powrotem na asfalt.

Szarpnięcie wepchnęło Wu z powrotem w fotel, teraz już z pistoletem w rękę. Rzucił broń na kolana Kovica i chwycił za kierownicę w samą porę, żeby uskoczyć z drogi pomocy drogowej, holującej popsutego vana.

– Dobra robota.

Kovic spojrział na pistolet. Sig sauer P226, który kiedyś podarował Wu. Nieużywany. W swojej pracy w Szanghaju nie potrzebowali pistoletów – aż do tej pory.

Niebo w kolorze gniewnej szarości pękło rozpołowione błyskawicą. Zagrzmiało i lunęło; deszcz zmienił wszystko przed nimi w bezkształtne, kolorowe plamy. Wu włączył wycieraczki i dokładnie w tym samym momencie szyba eksplodowała, zasypując ich odłamkami szkła i różowymi, plastikowymi butami z bagażnika dachowego minivana, w którego wjechali. Wycieraczki nie przerwały swojego niezgrabnego tańca.

– Noż kurwa...

– To zdecydowanie nie nasz dzień.

Maska X-szóstki wyskoczyła z zatrząsków i podniosła się, zasłaniając ich

jak tarcza. Chwilę później podziurawiły ją kule. W takich chwilach o niczym bardziej nie marzę, jak o tym, żeby usiąść przy kominku z dobrą książką, pomyślał Kovic. Czemu takie rzeczy przychodzą mi do głowy zawsze w najgorszym możliwym momencie?

– Jak nie urok...

Ale Wu wszedł w tryb walki o życie, nie martwiło go już bezczeszczenie nieskazitelnego jeszcze niedawno samochodu. Wrzucił wsteczny, Kovic poleciał do przodu, szarpnięty nagłym przyspieszeniem i zahipnotyzowany gibkością swojego partnera, który pędził do tyłu, wciąż z obiema rękami na kierownicy, ale wykręcony prawie całkiem za siebie. Zanotował sobie w pamięci, żeby w wolnych chwilach poćwiczyć jogę.

– Widziałeś, skąd strzelali?

Nie musiał pytać. Jakiś motocyklista zrównał się z nimi i praktycznie w tej samej chwili rozprysnęła się boczna szyba. Kovic poczuł podmuch powietrza rozstępującego się przed kulą tuż przed jego nosem. Podniósł się Wu, wycelował i zamknął sprawę strzelającego motocyklisty, ale niecałą sekundę później kolejna kula wytrąciła mu pistolet z ręki.

Wu skręcił ostro w prawo i przy pisku gum wjechał pod kątem prostym w wąską przecznicę, zatarasowaną prawie całkowicie przez śmieciarkę. Byli w pułapce. Corolla, o której Kovic przestał już myśleć, założywszy, że ją zgubili, jakby za sprawą magii znów pojawiła się za nimi. Wu zahamował, znacząc na asfalcie dwa czarne pasy, a maska samochodu opadła, odsłaniając następnego motocyklistę wyjeżdżającego zza śmieciarki. Jego pasażer celował z pistoletu.

– Opuścić pokład!

Kovic wyskoczył z samochodu i padł jak długi na mokry chodnik u stóp jakiejś staruszki. Jej rozdziawione usta ułożyły się w idealne „o”, jakby właśnie pokazywała dentyście swoje bezzębne dziąsła.

– Pani wybaczy, zły dzień.

Poderwał się z ziemi i zniknął w ciemnym zaułku. Miał nadzieję, że ta uliczka dokądś prowadzi. Pomylił się. Od ścian odbił się echem ryk ścigającego go motocykla. Kovic uskoczył w jakieś drzwi, pobiegł schodami w górę i znalazł się w warsztacie pełnym kobiet, maszyn do szycia i wielkich bel materiału. Kobiety znieruchomiały i popatrzyły na niego z kamiennymi twarzami. Kovic już słyszał tupot na schodach. Pobiegł wyżej, rzucił się przez pokój pełen porzucanych zabawek i małych dzieci: przyzakładowe przedszkole. Znalazł się na ostatnim piętrze, więc otworzył rozsuwane okno i wyjrzał na ulicę. Pod oknami biegł gzyms, prowadzący do narożnika budynku i rynny. Rynna wyglądała na delikatną, ale obok niej z dachu zwisało kilka kabli, zresztą nie było innego wyjścia.

Kovic złapał się framugi, przedostał na zewnątrz i ruszył po gzymsie w kierunku rynny. Z okna wyjrzał jeden z jego prześladowców. Kovic kopnął go najmocniej jak mógł w tej ciasnocie, trafiając w twarz. Niestety, uderzenie nie było wystarczająco silne i tamten chwycił go za stopę. Kovic stracił równowagę. Spadając, złapał się kabli. Albo go utrzymają, albo się zerwą... i będzie po wszystkim. Utrzymały, ale wpiły mu się boleśnie w dłoń. Chwycił przewody drugą ręką, kopnął jeszcze raz i wytrącił przeciwnikowi broń. Pistolet ze stukotem spadł na ulicę w dół, ale siła uderzenia odepchnęła Kovica od rynny, zmieniając go w wielkie wahadło. Parę osób krzychało coś do niego z dołu. Kovic wykorzystał rozpęd, żeby dosięgnąć parapetu okna sąsiedniego budynku, gdzie dwóch nastolatków w fartuchach wyciągało szyje, żeby nie uronić choćby chwili z rozgrywającego się przed ich oczami spektaklu. Nagle pojawił się za nimi wielki, łysy mężczyzna i plasnął ich po głowach akurat w tej samej chwili, kiedy stopy Kovica dotknęły parapetu.

– Mogę wejść? – Tylko to przyszło mu do głowy, kiedy wylądował na podłodze ich warsztatu jak wyciągnięty z wody marlin. Łysy nie chciał, by Kovic wstał z podłogi, i zamachiwał się na niego długim kijem, ale agent wyrwał mu go z ręki.

– Pokażcie mi, jak wyjść na dach, i daję wam spokój.

Jeden z chłopców wskazał świetlik w dachu, do którego otwierania służyła tyczka. Kovic potrzebował jedynie, żeby ktoś go podsadził. W tym samym momencie rozległ się brzęk tłuczonego szkła i tuż obok pojawił się ścigający. Kovic bez wahania wbił mu tyczkę w brzuch i powalił na podłogę; prześladowca wyglądał teraz niczym okaz przyszpilony na wystawie.

Dostrzegł drugi świetlik, a pod nim piecyk. Wskoczył na niego, wybił szybę pięścią i podciągnął się. Świeże powietrze i mżący deszcz cudownie orzeźwiały po ciężkim warsztatowym zaduchu. Kovic przebiegł po dachach na koniec szeregu budynków i spojrzał w dół. Nigdzie nie widział Wu. Podciągnął się na krawędź muru i znalazł w ogrodzie na dachu, pełnym roślin w donicach i wyłożonym sztuczną trawą, po której walały się świeże psie kupy. Nagle dach zadygotał w dziwnych wibracjach: coś pędziło w jego stronę. Pies. Ryczący, ujadający, przysadzisty, galopujący pies. Kovic odskoczył do tyłu, ale zwierzę nagle poderwało się w powietrze, szarpnięte znienacka przez napięty łańcuch. Kovic podniósł się, szerokim łukiem obszedł skaczącego na tylnych łapach psa, który mimo duszącego go łańcucha nie przestawał ujadać. Kovic wspiał się na murek i krawędzią dachu dotarł do miejsca, gdzie przymocowany był łańcuch. Pies biegł za nim, rzucał się w jego kierunku i próbował kąsać w stopy. W pewnej chwili udało mu się chwycić zębami but Kovica i zerwać mu go z nogi; zajął się zdobyczą na dość długo, by Kovic zdążył dotrzeć do słupka. Pies nagle znieruchomiał, nie mogąc się zdecydować między całym człowiekiem a jego butem. W tym momencie na dach wskoczył motocyklista. Co prawda znajdował się poza zasięgiem psa, ale Kovic wykorzystał sposobność, zeskoczył i odpiął łańcuch. Pies rzucił się na motocyklistę. Tarmosili się przez chwilę, aż zwierzę żałośnie zaskomlało i bezwładnie padło na ziemię. Motocyklista wyciągnął z jego szyi długi, zakrwawiony nóż.

Kovic tymczasem dobiegł już do wyjścia i pędził w dół po schodach. Minął pokój pełen odkurzaczy, gdzie jakiś mężczyzna i kobieta schylali się

nad jednym tak, jakby chcieli udzielić mu pierwszej pomocy.

– Wyjście awaryjne?

Mężczyzna wskazał ruchem głowy duży otwór w głębi pomieszczenia i dźwig towarowy do wciągania rzeczy z ulicy. Kovic wyjrzał na zewnątrz. Zaulek obwieszony był sznurkami z praniem; wisiało na nich kilka mokrych rzeczy, których nie zdjęto przed deszczem. Poniżej z haków zwisały świńskie tusze z podstawionymi na ostatnie krople krwi wiadrami. Zza świń dobiegał odgłos rąbania, a z kontenera po prawej rytmiczne posykiwanie, jakby pracowała tam miniaturowa maszyna parowa. Kovic zobaczył skuloną postać w zakrwawionej koszuli. Od lewej zaułkiem nadchodziło dwóch mężczyzn. Widzieli kucającego; to był Wu. Nawet z daleka widać było, że z trudem łapie oddech.

– Hej! Panowie! Tu, na górze! – wrzasnął do nich Kovic.

Obaj spojrzeli w górę. Kovic poczuł uderzenie adrenaliny, od którego przestały go boleć wszystkie sińce i skaleczenia z incydentu na granicy. Był napompowany, gotów stawić czoło całemu światu, ale wiedział też, że w takim stanie potrafi czasem robić głupoty. Tyle że cóż innego mu pozostało?

Rzucił się z krawędzi i spadł na pierwszego mężczyznę, który zamortyzował jego upadek. Kovic na krótką chwilę stracił świadomość, ale ocknął się w samą porę, by odtoczyć się szybko spod ostrza zmierzającego prosto ku jego oczom. Wu wybiegł zza śmietnika. Kuśtykał, był ranny i wyczerpany. Drugi mężczyzna rzucił się na niego. Kovic zebrał siły i skoczył na nożownika. Obaj runęli na Wu. Kovic usiłował złapać przeciwnika za rękę z nożem, zastanawiając się, kiedy dźgnie go ten drugi. Obejrzał się i zobaczył grubego mężczyznę, wychodzącego ze sklepu rzeźnika z miską pełną zwierzęcych resztek. Nożownik wpadł na niego i obaj się przewrócili, rozsypując po ulicy mięso i kości. Napastnik, rozwścieczony, ciął wstającego grubasa nożem; mężczyzna osunął się na kolana z wielką,

czerwoną raną w poprzek kamizelki.

Okrutny bezsens tego czynu do reszty rozwścieczył Kovica. Odgiął nadgarstek człowieka, z którym się szarpał, i wyrwał mu nóż z dłoni. Broń potoczyła się ze stukiem po asfalcie. Złapał ją Wu. Kovic kopnął przeciwnika w twarz obutą stopą. Nożownik numer dwa rzucił się na nich obu. Kovic kątem oka zobaczył, jak nieszczęsny rzeźnik łapie się za brzuch i pada twarzą w kałużę. Uniknął cięcia i wyrznął nożownika czołem w nos. Tamten zatoczył się w tył, tnąc powietrze. Kovic kopnął go w pierś, ale stracił równowagę, pośliznął się na jakichś podrobach i runął na plecy. Nożownik zwałił się na niego. Wu próbował go odciągnąć, ale tamten, rozwścieczony, odepchnął go. Ostrze noża pomknęło w kierunku twarzy Kovica i zatrzymało się, drżąc, kilka centymetrów nad nią. Najwyraźniej jego przeciwnik zamierzał napawać się tą chwilą. Kovic dostrzegł szansę. Odzyskawszy czucie w rękach, złapał nożownika za nadgarstki. Przez długie pół minuty napastnik próbował pchnąć go nożem w twarz, podczas gdy Kovic odsuwał jego ostrze. W oczach tamtego widział mordercze zamiary.

– Mam nadzieję, że wypracowałeś sobie dobrą emeryturę, kolego. Będzie potrzebna twojej rodzinie.

Nożownik warknął coś w odpowiedzi, ale jego słowa ugrzęzły w krwi i ślinie. Powoli ostrze zaczęło się odwracać, jednak Kovic czuł, że opuszczają go siły. Wu, wyswobodziwszy się w końcu od przeciwnika, złapał nożownika za głowę i pociągnął do tyłu. W końcu Kovic zapanował nad ostrzem, mimo że wciąż znajdowało się w rękach tamtego. Obrócił je siłą tak, że czubek noża znalazł się pod szyją mężczyzny. Wu, dokładnie wymierzywszy, pchnął jego głowę w dół. Klinga weszła w miękkie tkanki między gardłem a jabłkiem Adama. Wu pchał, aż nóż wbił się po samą rękojeść. Nożownikowi z ust połała się krew, zwiotczał i runął na ziemię.

Kovic powoli wstał. Wu klęczał i wycierał zakrwawione dłonie w uda. Pierś unosiła mu się ciężko i szybko opadała z wysiłku.

Kovic wyrwał nóż z martwej dłoni przeciwnika i ostrzem podniósł jego mankiet. Tatuaz ciągnął się do połowy długości ręki. Przedstawiał trzy wężowe głowy trójzębu, dzierżonego przez ognistą pięść.

Wu nachylił się, żeby popatrzeć.

– Jakież pomysły?

Chińczyk pokręcił głową.

– Chyba chciałbym to komuś pokazać.

Z rzeźni wyszło paru mężczyzn, chcących pomóc koledze. Kovic podszedł do jednego z nich, tego trzymającego tasak.

– Mogę?

Jego mina sprawiła, że właściciel tasaka nie protestował. Podał mu go. Kovic wrócił do nożownika i jednym, zdecydowanym ciosem odrąbał przedramię tuż za tatuazem. Oddał tasak przerażonemu właścicielowi.

– Dziękuję. Panowie, macie może jakąś torbę?

15

Szanghaj, Stare Miasto

Pomieszczenie było pełne dymu, a żółty, papierowy klosz na nisko wiszącej, pojedynczej żarówce sprawiał, że bielone, drewniane ściany nabierały ciepłego, złotawego odcienia. Xiang kojarzył się Kovicowi z noworodkiem – rzadkie kosmyki włosów, gładkie, bezzębne dziąsła, połyskujące czoło i błyszczące, ciekawe świata oczy. Kovicowi przypomniła się bożonarodzeniowa szopka ze szkoły podstawowej. Tyle że Xiang przez dziewięćdziesiąt siedem lat, które upłynęły od chwili jego narodzin, nawet nie otarł się o świętość.

Po toaście likierem sorghum, który porównał do petardy w płynie, Kovic rozpakował przedramię i położył je na stole niczym ofiarę. Xiang nie zareagował w żaden widoczny sposób, co mówiło bardzo wiele o świecie, w którym żył na co dzień, a także o tym, dlaczego Kovic przyszedł akurat do niego.

Obejrzał się na chłopca stojącego w drzwiach.

– Podaj mi moją lupę, proszę.

Chłopak zniknął i wrócił z największym szkłem powiększającym, jakie Kovic w życiu widział. Xiang powoli podniósł je do oczu i pochylił się nad ręką. Przesunął lupę nad trzy węzowe łąby, a potem z powrotem do ognistej pięści.

Wydał z siebie kilka kurzych gdaknięć, które Kovic w końcu zidentyfikował jako śmiech.

– Wy, Amerykanie, zawsze macie nienasycony apetyt na kłopoty.

Pogdakał jeszcze chwilę, odłożył lupę i pokiwał głową. Kovic zaczął

pakować rękę. Xiang wskazał tatuaż, zaciągnął się mocno swoją długą, cienką fajką i wypuścił dym.

– Bardzo ostentacyjny.

– Słucham?

Xiang machnął ręką, a potem podwinął rękaw i pokazał prosty krzyż z rozwidlonymi ramionami, tak wyblakły, że prawie niewidoczny na jego brązowej, wysuszonej skórze.

– Bardzo prosty, widzisz.

Kovic wiedział, że nie należy starca popędzać. Siedzieli na zapleczu baru, który przy Danfeng Lu Street prowadził jego wnuk. Xiang urodził się w pokoju na piętrze, tu w 1931 roku założył swój pierwszy gang, będąc wciąż nastolatkiem po raz pierwszy zabił człowieka, przywódcę konkurencyjnego gangu – odrąbał mu głowę maczetą, żeby pokazać, kto tu rządzi – a także tu właśnie wynegocjował rozejm między czterema największymi szanghajskimi gangami, kiedy Japończycy bombardowali Pearl Harbor. Oprócz tego, że wyróżnił się działalnością w ruchu oporu, został także pierwszym Chińczykiem zwerbowanym przez CIA. Kovic dowiedział się o tym wszystkim tylko dzięki temu, że wyszperał jego zarchiwizowane w Langley akta.

– Dali mi mój własny samolot, bardzo byli hojni. Niemieckiego junkersa Ju 52 z pływakami, mogliśmy więc lądować na każdym skrawku wody. I paliwo. Lataliśmy regularnie na Hokkaido po broń i opium. Po wojnie były okropne braki. Robiliśmy, co tylko się dało, żeby powstrzymać czerwonych, ale...

Wydał westchnienie tak długie, że Kovic przez moment obawiał się, czy nie jest ono ostatnim. Może Xiang bezgłośnie opłakiwał minioną, szaloną erę Szanghaju, sprzed nadejścia Mao, który wszystko popsuł? Miasto było wtedy drugą stolicą Wschodu, a gangi, takie jak Xianga, uchodziły za legalnie działające firmy.

– Używaliśmy własnej papeterii, zatrudnialiśmy księgowych. Pełen profesjonalizm.

W tym, jaką wagę przywiązywał Xiang do takich symboli statusu, było coś niemal wzruszającego.

Kovica przyprowadziła do niego ciekawość. Zakładał, że legendarny gangster, a później informator CIA, zgnił w jakimś gułagu dziesiątki lat temu. Zaintrygowany nieszablonową postacią, odnalazł bar i zastał Xiangą całego i zdrowego na zapleczu. Starzec cudem przetrwał najgorsze czasy Mao. Nie dość, że był przestępcą, to popierał nacjonalistyczną partię Kuomintang w walce z czerwonymi aż do czasu, kiedy ci wycofali się na Tajwan, by nigdy stamtąd nie wrócić. Co gorsza brał pieniądze od Amerykanów, a to powinno się dla niego skończyć karą śmierci.

– Na czym polega pański sekret?

– Prostota – odparł Xiang. – Prostota to wielka zaleta. – Postukał palcem w tatuaż na nadgarstku i wskazał bielone ściany dookoła. – Wielu moich rywali gromadziło dowody sukcesu – drogie samochody i posiadłości. Trzeba było ich przykładowo ukarać. A ja zawsze żyłem jak prawdziwy komunista, prawdziwszy niż większość spośród tych, którzy tak o sobie mówili.

Dość długo śmiał się z tego porównania. W końcu zawtórował mu Kovic.

Nie warto było go popędzać. Xiang działał we własnym tempie. Odpowie na pytanie, kiedy będzie gotów... A może nigdy? Może nie wprost?

Znów zaciągnął się fajką.

– Kiedy przyszli czerwoni, skazali nas na zagładę. Wielu moich rywali poszło pod nóż. Przestały istnieć prawie wszystkie gangi. Ci, których nie stracono, pomarli z głodu albo zostali złamani harówką w obozach. Bardzo nieliczni z nas mieli szczęście. Po prostu schowaliśmy się jak żółwie do swoich skorup.

Wykonał gest chowania głowy między ramiona.

Kovic poruszył się na krześle. Marzył o długiej kąpieli, która ukołaby

jego poobijane ciało, ale z drugiej strony fascynował go Xiang i jego tajemniczy, zapomniany świat.

Starzec postukał główką fajki w tatuaż.

– To nie jest tylko jeden.

– Dziś było ich więcej.

Xiang zaśmiał się i pokręcił głową.

– Nie, nie, źle zrozumiałeś. Ten symbol oznacza, że dwa gangi zawarły sojusz. Płonąca Pięść, oni mieli najwięcej szczęścia. Nie urządzono im czystki. Zostali wchłonięci przez Armię Ludowo-Wyzwoleńczą. Mao potrzebował zaufanych ludzi, którzy dla niego rozwiązywaliby... trudności, na przykład gdyby jakiś jego akolita nabrał zbyt wysokiego mniemania o sobie albo jakiś lokalny komisarz nie okazał należnego szacunku...

– A trójzęb z węzami?

Xiang opuścił fajkę.

– Zostali wybici. Nie ma ich. Nie został nikt.

Obrócił się w lewo, splunął obficie do spluwaczki.

Kovic wyczuł zmianę atmosfery.

– Wygląda na to, że wrócili.

Xiang odłożył fajkę, wyciągnął sękatą dłoń i położył ją Kovicowi na ramieniu.

– Wiesz, że zawsze byłem ostrożny. Wybieram przeciwników po długim namyśle. Ty powinieneś robić tak samo.

Kovic kiwnął głową.

Xiang zmierzał do końca rozmowy.

– Jako przyjaciel Ameryki, krytyczny, owszem, ale w głębi ducha przyjaciel, powiem tyle: cokolwiek wiąże cię z tymi ludźmi, zapomnij o tym. Bo nie wygrasz, choćbyś walczył z całych sił.

– Skąd pan wie?

Xiang znów zagdakał.

– Mam dziewięćdziesiąt osiem lat. Wiem.

Postukał we wciąż leżący na stole pakunek.

– Zakop to głęboko. Nie chcesz, żeby cię z tym złapano. Wyczuwam, że jesteś porywczym człowiekiem, Kovic. Nie pozwól, by cię to zgubiło.

– Wydaje mi się, że wie pan coś więcej. Może mógłby mi pan powiedzieć coś jeszcze o tamtym gangu.

Xiang powoli zamrugał i wziął głęboki oddech.

– Znaleźliśmy się na rozstaju dróg. Stare z nowym muszą rozstrzygnąć swój spór. Ja, na szczęście, jestem już za stary, żeby walczyć.

Odwrócił się i machnął na chłopca.

– Odprowadź pana do drzwi. Już wychodzi.

Potem, po raz ostatni, przeszył Kovica spojrzeniem.

– Dobrze było cię znów widzieć, Kovic. Ale nie wracaj tu więcej.

Powoli zamknął oczy i opadł na oparcie fotela. Spotkanie dobiegło końca.

16

Kovic wrzucił rękę do kontenera na śmieci i ruszył szukać Wu. Znalazł go w warsztacie samochodowym jego kuzyna, pochylonego nad poobijanym X6. Wu przesuwiał rękami po zniszczonej karoserii jak fizjoterapeuta szukający nadwreżonego kręgu. Przedniego zderzaka i świateł nie było w ogóle, maskę podziurawiły kule. Po tylnej i dwóch bocznych szybach zostały tylko odłamki, a tylna kłapa wisiała na jednym zawiasie. Do tego wzdłuż całego boku z głębokich bruzd świecił się goły metal, jakby jakiś potwór przeorał samochód pazurami.

– Przykro mi, stary. Naprawdę. – Kovic objął Wu ramieniem. – Ale to tylko samochód.

Nic z tego. Nie umiał się zachować w takich chwilach. Rozpaczliwie szukał czegoś pozytywnego, co mógłby powiedzieć.

– Twój kuzyn to zdolny blacharz. Widziałem, co potrafi. Niewiarygodne. Wu milczał. Jego zazwyczaj entuzjastyczny optymizm zniknął.

Spojrzał na Kovica pustym wzrokiem.

– Dobrze się dzisiaj spisałem, tak?

Kovic objął go ramieniem.

– Lepiej niż dobrze. I samochód tak samo, uratował nam tyłki. Posłuchaj, zobaczę, co może zrobić Wujek Sam.

Będzie musiał sięgnąć do swoich awaryjnych funduszy.

– Będzie więcej razy takich jak dzisiaj?

Kovic wziął głęboki oddech.

– Chcesz się wycofać? Zrozumiem.

– Będzie źle?

– Gorzej. Tak, będzie gorzej.

– *Ai ya!* – odezwał się głos za nimi.

Wu odwrócił się i zobaczył swojego kuzyna, który z niedowierzaniem patrzył na X6.

Nastąpiła krótka wymiana zdań w lokalnym dialekcie zhujin, którego Kovic nie znał i cieszył się z tego. Wu spochmurniał jeszcze bardziej.

Kuzyn odwrócił się do Kovica.

– Wyjaśnij – powiedział po angielsku. – To jest total. Do widzenia samochód.

– Spokojnie, stary – odparł Kovic. – To dla niego ciężkie chwile. – Podszedł bliżej do kuzyna, niczym zrozpaczony krewny błagający doktora. – Nic nie możesz zrobić?

Kuzyn powoli obszedł samochód, oceniając szkody i kręcąc głową.

– Będzie kosztować duże dolary.

– Ile będzie trzeba.

Kuzyn wymienił sumę w yuanach, która nieprzyjemnie przekraczała równowartość dziesięciu tysięcy dolarów.

– A zniżka rodzinna?

– To już ze zniżką.

– Dobrze. Masz samochód zastępczy?

– Może. Wróćcie rano.

Kovic wyprowadził Wu.

– Wszystko będzie dobrze, stary. Popatrz na to w ten sposób: jak pojedziesz do Stanów, kupisz sobie nowy.

Wiedział, że wzmianka o Ameryce rozchmurzy Wu – chociaż nie miał jeszcze pojęcia, jak załatwić mu wyjazd.

Poszli do ulubionej jadłodajni Wu na Fanbang Lu i zamówili piwo snow.

Telewizor na ścianie był włączony. Wu popatrzył na ekran i nagle poweselał.

– Jin Jié wrócił!

– Świetnie, wypijmy za to.

Kovic słyszał o tym młodym polityku, ale zlekceważył go jako kolejnego celebrytę, którego gwiazda rozbłysła jasno i przelotnie na firmamencie Nowych Chin. Obaj utkwili wzrok w ekranie telewizora. Na lotnisku Pudong, na małym podwyższeniu ustawionym przed samolotem, młody mężczyzna o nieprawdopodobnie niewinnej twarzy pozdrawiał tłum i w bardzo niechiński sposób wyrzucał ręce w górę. Za każdym razem, kiedy to robił, ludzie wydawali okrzyk radości i skandowali jego nazwisko.

– No i? – W całym tym przedstawieniu było coś, co irytowało Kovica.

– Bardzo dobry człowiek, bardzo dobry dla przyszłość. – Angielski Wu w chwilach ekscytacji zawsze wyraźnie tracił na jakości.

– To przecież tylko dzieciak z dyplomem MIT i dobrym dentystą.

Kovic wiedział, że jest trochę niesprawiedliwy. Jin Jié właśnie został wybrany człowiekiem roku magazynu „Time”. Jego książka o nowej globalnej ekonomii stała się bestsellerem. Bardzo przypadł do gustu Amerykanom. Kovica interesowało, jak ta zamorska popularność odbije się tutaj, zwłaszcza po tym, co widział dziś rano.

Zauważył, że niektórzy goście knajpy oglądają transmisję z uwagą. „Jin Jié! Jin Jié!” – skandowało kilkadziesiąt tysięcy podekscytowanych zwolenników na lotnisku. Przez ten ciągły niemal ryk tłumu i trajkoczącego komentatora przebijały się urywki tego, co Jin Jié mówił:

– ...wiem, że możemy osiągnąć wszystko, za co się weźmiemy... spełniać swoje indywidualne marzenia, ale wciąż występować razem jako naród... podtrzymać w XXI wieku obietnicę...

Potem przerwał i rozłożył ręce, żeby uciszyć ludzi.

– ...nasze władze powinny pracować dla nas, nie przeciwko nam, słuchać

wszystkich głosów...

Na wzmiankę o setkach dysydentów maltretowanych w chińskich więzieniach tłum wybuchł pełnym uniesienia rykiem. Kovic obejrzał się na Wu, wpatrującego się szklistym wzrokiem w ekran.

– Pekin raczej nie będzie tym zachwycony.

Wu nie zwrócił uwagi na jego ostrzegawczy ton.

– Ten człowiek to wizjoner. Nigdy wcześniej nikogo takiego nie mieliśmy.

Kovic pomyślał o kontraście między protestem, którego był świadkiem rano, kontraście między rozwścieczonym tłumem, który o włos nie zlinczował Amerykanina, a tym młodym wilkiem, który pociągał rzesze, choć właśnie wrócił z Ameryki, gdzie przyjmowano go z honorami. Xiang miał rację – Chiny znalazły się na rozdrożu.

17

Koncesja Francuska, Szanghaj

Taksówka wysadziła Kovica pod bramą jego domu. Powiedział kierowcy, żeby zatrzymał resztę, i ostrożnie wysiadł. Kiedy samochód odjechał, Kovic stał przez chwilę na ulicy. Była noc, niebo miało kolor przydymionego fioletu. Zewsząd dobiegały niczym nietłumione wieczorne odgłosy: kakofonia telewizji, radia, zachodniego popu, chińskiego folku, dzingli reklamowych i ciężkich bitów reggae pod przeszywającym, rozedrganym falsetem.

Kovic padał z nóg, czuł się poobijany jak worek treningowy. Perspektywa wysiłku koniecznego do pokonania furtki i schodów omal go nie przytłoczyła. Pomyślał o Louise. Może powinien ją znaleźć, przeprosić. Teoretycznie miał na to czas, skoro Cutler posłał go na urlop – gdyby tylko udało mu się rozgryźć, co zaszło na granicy.

Wtem obok niego z piskiem opon zatrzymał się czarny mercedes i wysiadło z niego dwóch osiłków. Nie byli gangsterami – nosili zbyt tanie garnitury. Stanęli na baczność obok samochodu, a zza kierownicy wysiadła młoda Chinka. Była drobnej budowy, miała na sobie czarną, skórzaną kurtkę i spodnie bojówki. Surowy, urzędowy wyraz twarzy maskował jej chłodne piękno. Para czarnych, zimnych i połyskujących oczu utkwiała spojrzenie w Kovica. Kobieta ruszyła w jego stronę. Można było bezpiecznie założyć, że nie chciała się z nim umówić na randkę.

– Agent Kovic?

Pokazała legitymację. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego.

– Właśnie szedłem pod prysznic. Przyłączy się pani?

Zanim zdołał ocenić jej reakcję, podniosła rękę i Kovic znalazł się na

ziemi, z głową w czymś wilgotnym. Spiczasty but kobiety wbił mu się w brzuch, a potem wszystko ogarnęła ciemność, kiedy jeden z osiłków naciągnął mu na głowę kaptur. Druga para rąk spętała mu nadgarstki plastikowymi, zaciąganymi kajdankami. Potem wrzucono go na tył terenówki i usłyszał trzask zamykanej klapy. Samotny czy w towarzystwie, prysznic musiał zaczekać.

Kovic był zarazem wściekły i zdezorientowany. Zdarzało się, że MBP rutynowo go przesłuchiwało, ale zazwyczaj uprzejmie zapraszano go do samochodu, a cała procedura była raczej teatrykiem, mającym mu przypomnieć, że jest obserwowany. Teraz został po prostu porwany. Wybór samochodu – terenowego mercedesa – sugerował, że chodzi o kogoś na wysokim stanowisku, albo że ktoś w ministerstwie zaczął z jakiegoś powodu sypać forszą. Auto było zdecydowanie niepatriotyczne, wręcz zakrawało na dekadencję. A może lokalny przedstawiciel Mercedesa uznał, że ministerstwo używające jego samochodów będzie dobrą reklamą marki i zaczął im je wypożyczać? A kobieta? Podczas gdy jej goryle byli typowymi rządowymi osiłkami, ona sama zdecydowanie do tego wzorca nie pasowała. Właściwie Kovic jak dotąd nie widział żadnej agentki MBP.

Usłyszał, jak mówi do telefonu:

– Cel na pokładzie, ETA dwadzieścia minut.

Jej pedantycznie dokładny, monotony ton wydał mu się absurdalny. Kovic uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony – nie miał nawet ochoty stawiać oporu. Mercedes miał koguta, co potwierdzało, że Kovic znalazł się w rękach władz; może to był dobry znak – lepszy diabeł znany niż tajemniczy kryminaliści z tatuażami. Próbował ułożyć się wygodniej, ale z rękami skutymi na plecach było to niemożliwe. Dzień, który trwał już i tak stanowczo zbyt długo, nagle przeciągnął się jeszcze bardziej. Nie było jednak sensu protestować, nic by to nie zmieniło. Kovic postanowił się zdrzemnąć. Potrafił zasnąć wszędzie, niezależnie od niewygód – no, prawie wszędzie.

Podróż trwała krótko; wciąż byli w mieście. To oznaczało, że raczej nie wywozili go na jakieś pustkowie, żeby go zastrzelić – plus. Sądząc po odległości, zawieźli go prawdopodobnie do Piłki Golfowej – szanghajskiej siedziby MBP. Samochód zjechał stromo w dół, warkot silnika zaczął odbijać się echem od bliskich ścian, opony przy skręcaniu piszczały na gładkiej powierzchni – następny podziemny parking, wspaniale.

Zatrzymali się, otworzyły się drzwi. Nie śmierdziało tu szczynami, więc parking był co najmniej o klasę lepszy niż ten CIA. Potem Kovic został wyciągnięty z samochodu, przeprowadzony przez drzwi z elektronicznym zamkiem i powleczony niekończącym się korytarzem do windy, która zjechała kilka poziomów niżej. To już gorzej. Doświadczenie uczyło, że im głębiej zwożą, tym większe kłopoty. Usłyszał szcęk otwieranych drzwi – znów zły znak – i poczuł mocny smród środka odkażającego – też niedobrze. Potem pchnięto go ostro w lewo i posadzono na twardym, płaskim krześle z poprzeczką zamiast oparcia, więc przynajmniej miał gdzie podziać ręce. Nikt nic nie mówił. Uznał, że go zostawili, więc spróbował znów się zdrzemnąć, ale za każdym razem, kiedy głowa opadała mu na piersi, ktoś ją brutalnie prostował. Kovic naprawdę miał już tego dość.

– Ej, odpierdol się, co?

Nagle znalazł się na boku na podłodze – wykopane spod niego krzesło odjechało ze stukotem. Poczuł ostry ból szyi i natychmiast zrobiło mu się dziwnie wesoło.

– Dobra, tu jest dobrze – mruknął z wdzięcznością, tracąc przytomność. – Ja tu sobie poleżę...

Śniła mu się toksyczna mieszanka egzekucji w śniegu, pościgu przez Szanghaj i spotkania z Cutlerem; wszystko to odtwarzało mu się w głowie jak zapętlone.

Później, może dużo później – nie wiedział, bo razem ze wszystkimi rzeczami zabrali mu zegarek – odzyskał przytomność. Nie miał już kaptura

na głowie i siedział na twardym, drewnianym krześle z poręczami. Pomieszczenie – podłogi, ściany i sufit – pomalowano na kolor „szarość przesłuchań”. Nie było tu okien. Tak, na pewno znajdował się w Piłce Golfowej – niedawno odremontowanej szanghajskiej siedzibie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, nazwanej tak z powodu wielkich, okrągłych wklęsłości na betonowej fasadzie. Ale powietrze wciąż śmierdziało tu tak samo – jakby od czasów Rewolucji Kulturalnej przeszło przez płuca cierpiących na nieświeży oddech pokoleń.

Za każdym razem, kiedy dochodziło do demonstracji, zamachów bombowych albo jakichkolwiek napięć politycznych, standardowo ściągano agentów z zagranicznych placówek na rutynowe rozmowy. W Chinach wywiad był właśnie tym: grą. A za każdym razem, kiedy Chińczycy ściągali Kovica, FBI robiło to samo z jakimś ich człowiekiem w Waszyngtonie czy Los Angeles. Kovic wykreował sobie wizerunek, który chiński wywiad chyba kupił. Był dla nich agentem średniego stopnia, typowym Amerykaninem za granicą, leniwym, znanym z upodobania do picia i od czasu do czasu wywołującym rozróby, zbierającym mało znaczące informacje, na tyle tylko istotne, żeby jego szefowie mogli być z niego zadowoleni i zostawili go na placówce. Kovic wiedział o tym, bo włamał się do ich akt na swój temat. A kiedy ściągali go na przesłuchanie, zawsze starał się udawać zaskoczonego ich ustaleniami.

Podczas takich przesłuchań najgorsza była nuda. Zadawano setki pytań pro forma, na które padały setki szablonowych odpowiedzi. Nie chodziło o ich treść, liczyło się samo zajście; MBP musiało pokazać Waszyngtonowi, że zna jego agentów. To była zwykła formalność, mało istotne strozenie piórek, bo i tak chińscy hakerzy robili, co mogli, żeby ich przełożeni byli na bieżąco ze wszystkim, co dotyczyło Kovica: przechwytywali jego e-maile, telefony do i z Langley, a także całą komunikację z Cutlerem w Pekinie. Mając to na uwadze, Kovic dbał, żeby wszystkie te kanały pozostawały należycie aktywne i przesyłał nimi starannie wyselekcjonowane informacje,

umiarkowanie istotne albo przynajmniej na tyle ważne, by przekonać MBP, że mają go na widelcu, ale zarazem na tyle nieznaczące, by sprawiał wrażenie niezbyt skutecznego. Żeby dać zajęcie analitykom ministerstwa Kovic wymyślił nawet fikcyjnych kretów w Partii, których sfabrykowane wiadomości do niego były pełne rządowych plotek uzyskanych z innych źródeł. Przez takie materiały tracili setki godzin na próbę zidentyfikowania nieistniejących wtyczek.

Kovic zauważył, że został zapakowany w kombinezon z suwakiem, zdecydowanie nieprany po poprzednim właścicielu, a może nawet od czasów pierwszego. Świadczyło o tym kilka rudobrazowych plam i jedna mniej jaskrawa, za to sztywniejsza. Miał bose stopy, a podłoga wydawała się sztucznie schładzana. Obok stały dwie identyczne, metalowe miski. Jedna zawierała jakiś płyn – Kovic miał nadzieję, że to woda; przynajmniej nie było jej czuć niczym ludzkim ani trującym. Druga przypuszczalnie miała służyć mu za toaletę.

Nie było sensu spekulować na temat tego, co nastąpi, to była strata czasu i sił. „Wiedźcie jedno – powiedział kiedyś jego grupie stary, siwy instruktor na Farmie, zanim wypuszczono ich w świat jako pełnoprawnych agentów. – Ile by nie wydano miliardów dolarów na wasze szkolenie, ile godzin byście nie poświęcili na kombinowanie, jaki będzie następny ruch waszego przyjaciela albo wroga, jedno przyjmijcie za oczywistość: na pewno nie będzie taki, jak przewidujecie. Od zakładników w Iranie po samoloty, które wbiły się w Twin Towers, z reguły dzieje się to, czego się najmniej spodziewacie. Nigdy nie wolno wam zapomnieć, jak mało wiecie”.

Usłyszał kroki na zewnątrz – nie ciężkie, łomoczące kroki osiłka, ale lekki, rytmiczny krok kogoś, kto nie został tu zatrudniony ze względu na swoje mięśnie. Kobieta wróciła.

Weszła do środka, usiadła i otworzyła grubą teczkę. Kovic po angielsku wyrecytował standardową formułkę, którą miał obowiązek wyrecytować, kiedy zatrzymywały go władze innego kraju.

– Jestem urzędnikiem państwowym rządu USA i domagam się wytłumaczenia, na jakiej podstawie państwo działacie. Muszę zaprotestować i przypomnieć, że w obecnych...

Kobieta stanęła nad nim. Wydawała się nieco poirytowana.

– Zamknąć, kurwa, jadaczkę – powiedziała po angielsku, z ustami o centymetry od jego ucha. Coś twardego uderzyło go w bok głowy. Pięść.

– Domagam się rozmowy z moim...

– Poinformowaliśmy już pańskie biuro o tym zatrzymaniu.

Usiadła i sięgnęła po lampkę biurową, która stała obok jej krzesła. Umieściła ją na stole, włączyła i skierowała strumień światła na twarz Kovica. Kovic zaczął się śmiać. Nagle zapiekł go policzek. Nawet się nie spostrzegł, jak się zamachnęła.

– Co to ma być, punkt drugi z podręcznika przesłuchań MBP? Skieruj na więźnia światło, żeby zmaksymalizować jego niewygodę. A może zrobi mi pani makijaż? A może nowy nos, akurat by mi się przydał. Jest pani chirurgiem plastycznym? Czy tylko makijażystką? Wiem – to jakieś szanghajskie święto! Dzień malowania cudzoziemców?

Zignorowała go i dalej czytała leżące przed nią akta.

– Ale tak na serio, to co ja tu robię? I nie dosłyszałem, jak się pani nazywa.

Zaczęła czytać z akt.

– Kovic, Laszlo...

– Nikt tak na mnie nie mówi.

Czytała dalej:

– Dyrektoriat Operacyjny Centralnej Agencji Wywiadowczej Stanów Zjednoczonych, placówka Szanghaj.

– Nie jestem i nigdy nie byłem pracownikiem żadnej organizacji o takiej nazwie. – Zasadniczo była to prawda. W jego papierach figurował tylko

wpis: „urzędnik państwowy”.

– Pańskie kłamstwa są daremne.

– A pani akcent – doskonały! Gdzie pani studiowała?

Dalej wczytywała się w akta, ignorując jego spojrzenie. To była dla niego nowość. Po samym jej sposobie poruszania się widać było, że spędziła jakiś czas na Zachodzie. Mówiła po angielsku płynnie i naturalnie. MBP, które Kovic znał, było organizacją stricte męską, a chińska ministerialna paranoja nakazywała, by wszyscy agenci byli czystymi produktami systemu, nieskażonymi przez groźne zewnętrzne wpływy. Wymogiem przy rekrutacji było rodzinne oddanie Partii, co oznaczało, że przyjmowano niekoniecznie najlepszych czy najbystrzejszych. Jedyne kobiety w MBP, o jakich Kovic słyszał, pracowały albo jako pomoc biurowa, albo jako uwodzicielki, kierowane przez zupełnie osobny wydział, żeby ferment nie przedostał się w głąb organizacji.

Kobieta czytała dalej.

– Po przeniesieniu z Afganistanu mieszkał pan w Szanghaju przez sześć lat.

– Jak już mówiłem, doskonale mówi pani po angielsku.

– Lepiej, niż pan po mandaryńsku.

– A skąd to pani może wiedzieć?

Odchrząknął i wyrecytował po mandaryńsku:

Któż jest piękniejszy od niej?

A przecież mieszka sama w pustej dolinie.

Mówi, że pochodzi z dobrej rodziny

Której duma obróciła się w pył...

Kobieta zmarszczyła lekko czoło, poza tym jej twarz pozostała bez

wyrazu.

– Du Fu, *Samotna w swojej urodzie*. Znam cały ten poemat.

Kovic czerpał pewną satysfakcję z faktu, że irytował kobietę, uporczywie nie traktując jej serio.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, w jak poważnych jest kłopotach?

– Zawsze jestem w kłopotach.

– Proszę spróbować się nie przechwalać.

– Postaram się. Czy to długo potrwa?

Zignorowała pytanie i wygładziła kartkę przed sobą.

– Zwerbowany w 1999 roku, po wyrzuceniu z liceum w Detroit.

– To nie było miejsce dla młodego człowieka z ambicjami.

– Dyrektor szkoły stwierdził, że jedyne cechy pańskiego charakteru, które zapadają w pamięć, to kłamliwość i pogarda dla zwierzchnictwa.

– Zawsze zbierałem pochwały.

– Oblał pan Szkolenie Podstawowe na Farmie.

– Moim zdaniem po prostu poczuli się zagrożeni moim geniuszem.

– Pana poprzednia tura w Afganistanie nie obyła się bez kontrowersji.

– Chyba nie doczytała pani o niektórych moich lepszych numerach.

Westchnęła ciężko. Dobrze, wkurzał ją.

– Pana zadaniem tutaj jest namawiać obywateli do zdrady własnego kraju poprzez wykradanie tajemnic w zamian za korzyści pieniężne. Zaprzecza pan?

Jej głos zdradzał, że traciła cierpliwość. Kovic widział, że była nowa. Pora spróbować innej sztuczki.

– Oczywiście, że nie zaprzeczam. Oboje to robimy, przecież pani wie.

– Oprócz tego, że zajmował się pan szpiegostwem – powiedziała głosem, który nabrał piskliwego tonu – jest pan zepsutym degeneratem. Zadawał się

pan z elementem przestępczym. Nie tylko przynosi pan wstyd swojemu krajowi, ale stanowi zagrożenie dla naszego.

Brzmiało to jak podręcznikowe oskarżenie z czasów Rewolucji Kulturalnej Mao.

– Proszę przestać, bo się zaczerwienię.

– Jest pan pod wpływem substancji odurzających?

– Niestety nie, ale przydałaby mi się szklaneczka czegoś mocniejszego.

Co pani na to, żebyśmy przeszli się do Denny’ego Tanga i...

Znów wymierzyła mu policzek, mocno.

Jej oburzenie sprawiało wrażenie autentycznego. Chyba że bardzo przekonująco grała przed przełożonymi, którzy mogli ją obserwować. Zresztą koniec końców w praktyce wychodziło na to samo.

Otworzyła laptop, włączyła go i obróciła, żeby pokazać mu nagranie wideo: kompilację ujęć z kamer przemysłowych, ucieczkę – najpierw samochodem Wu, potem pieszo i po dachach, pięknie zmontowaną, niczym zwiastun filmu akcji.

– Ładny montaż. Ten główny bohater to niezły przystojniak, co?

– Spowodował pan straty w wysokości wielu tysięcy juanów, dopuścił się aktów przemocy wobec licznych osób trzecich, okazał całkowity brak troski o bezpieczeństwo publiczne...

– Ratowałem swoje życie. Jeśli przyjrzy się pani tym nagraniom nieco dokładniej – najlepiej wersji oryginalnej – to może pani zobaczyć, że pani towarzysze współobywatele próbowali mnie zabić.

– To kryminaliści i degeneraci, z którymi się pan zadawał, przypuszczalnie w celu zakupu narkotyków.

– Nie używam narkotyków, mam to w kontrakcie.

– Albo prostytutek.

– Jestem szczęśliwym, seryjnym monogamistą.

A raczej byłem, pomyślał.

Kobieta podniosła rękę, jakby zatrzymywała ruch na ulicy.

– Agencie Kovic, Ameryka może myśleć, że wolno jej bezkarnie deptać inne kraje, pozostawiając za sobą zniszczenie i... chaos. – Wzięła głęboki oddech i prawie wysyczała mu w twarz: – Ale nie Chiny!

Przerwała, zniżyła głos i zapanowała nad sobą.

– Przez ostatnie sześć lat pana zadaniem tutaj było namawiać obywateli do zdrady własnego kraju poprzez wykradanie tajemnic w zamian za korzyści finansowe. Pańskie działania były skrupulatnie monitorowane, a wielu zdrajców, którzy zgodzili się na kolaborację, zostało należycie ukaranych.

To była prawda. Niektórzy z jego mniej istotnych informatorów zostali wykryci, zazwyczaj dlatego, że szastali pieniędzmi, które dostali od Kovica. Agencja, oszczędna wobec swoich etatowych pracowników, pozwalała im na hojność wobec zwerbowanych informatorów; Kovic mógł więc wydawać setki, czy nawet tysiące dolarów na informacje często mało istotne lub niemożliwe do sprawdzenia, a nawet w oczywisty sposób fałszywe.

Popatrzył na kobietę, zbity z tropu.

– Wie pani co? Moim zdaniem nie ma pani pojęcia, co ja tu robię. Wydaje mi się, że kazali pani mnie zwinąć, ale nie wie pani dlaczego. Uważam, że całe to przesłuchanie to ściema. Ma pani swoje akta i swoje nagrania, ale może pani tylko próbować mnie nastraszyć.

Kobieta nie drgnęła, nawet nie mrugnęła okiem, ale jej nagły bezruch powiedział Kovicowi wszystko. Miał rację. Co ona wiedziała o incydencie na granicy? Czy wiedziała w ogóle, że tam był? O udziale Vaughana w protestach, o tym, dlaczego Kovic musiał ratować się ucieczką?

– Czego ode mnie chcą? Powiem to pani. Chcę wrócić do domu.

Patrzyła na niego, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Kovic poczuł, że traci cierpliwość.

– Proszę posłuchać. Do czego to wszystko zmierza? Mimo chemicznie wywołanej drzemki jestem bardzo zmęczony. Mam za sobą wyjątkowo ciężki dzień i chciałbym wrócić do domu, żeby wreszcie wziąć prysznic.

Wstała i popatrzyła na niego gniewnie, a potem przez jej twarz przemknął wyraz satysfakcji.

– Pana życzenie się spełni. – Zamknęła akta. – Wraca pan do domu.

Kovic nie od razu zrozumiał.

– Ma pan zarezerwowany bilet na lot Deltą do Waszyngtonu, jutro o ósmej trzydzieści rano.

18

Koncesja Francuska, Szanghaj

To musiała być jakaś pomyłka. Cutler by przecież interweniował, wszystko by wyjaśnił. Chińscy agenci w USA dość często wpadali w kłopoty, kiedy z czymś przeholowali. Ale wydalenie... Przecież cały ten teatrzyk był tylko na pokaz. Metalowe drzwi otworzyły się, do środka weszło dwóch osiłków w garniturach – dwaj z mercedesa – i zaczęli go uwalniać. W reklamówce mieli jego ubranie. Kobieta wstała i ruszyła do wyjścia. Garnitur numer jeden siłą postawił Kovica na nogi i zaczął z niego ściągać kombinezon.

Kovic wrzasnął za wychodzącą śledczą.

– Hej! Nie możecie tego zrobić bez powiadomienia amerykańskiego konsulatu!

Odwróciła się i uśmiechnęła złośliwie.

– Już to zrobiliśmy. Zanim pana zatrzymaliśmy.

Cholera. Mało co przerażało Kovica tak, jak myśl o powrocie do kraju. Nie był jeszcze gotowy. Miał trochę spraw do załatwienia.

– Musicie dać im możliwość złożenia oficjalnego sprzeciwu.

– Potwierdzili, że nie będą go składać. Być może pańskie dzisiejsze zachowanie przyniosło im wstyd. Wywołuje pan awantury i ściąga na siebie uwagę, gdziekolwiek pan trafi. Trudno to nazwać właściwym zachowaniem nawet miernego agenta. Muszą być bardzo rozczarowani, że zmarnowali tyle tysięcy dolarów na pańskie szkolenie.

Ten chuj Cutler zostawił go na lodzie.

– Zostanie pan odwieziony do swojego mieszkania, gdzie będzie panu wolno spakować niezbędne rzeczy na podróż. Potem zostanie pan zabrany

prosto na lotnisko Pudong i wsadzony do samolotu do Waszyngtonu. Nigdy nie wróci pan do Chin.

To nie mogła być prawda. Zawsze szło się dogadać. W Szanghaju nie istniało pojęcie rzeczy ostatecznych; zawsze pozostawała możliwość zaproponowania pieniędzy, nawet najbardziej gorliwemu służbiście. Nawet na lotnisku, nawet na schodach do samolotu. Kovic patrzył na kobietę. Biła od niej determinacja, jakby nie znała znaczenia słowa „kompromis”. Może jego kamuflaż kiepskiego agenta okazał się zbyt przekonujący. Nie wiedziała, co wpadło jej w ręce.

- Możemy porozmawiać?
- Właśnie rozmawialiśmy.

Odwróciła się i wyszła. Garnitury wywlekły Kovica z pomieszczenia i zaprowadziły z powrotem do mercedesa. Tym razem posadzili go z przodu, na miejscu pasażera, i przykuli do uchwytu nad drzwiami. Kręcili się przy samochodzie, palili i pluli. Do Kovica dobiegały strzępki rozmowy.

- ...pieprzona córeczka tatusia...
- ...szef nie miał wyjścia, musiał ją przyjąć...
- ...prędzej czy później coś spierdoli, a wtedy...
- ...z powrotem na Harvard...

Kovic wyłączył myśli i wyteżył słuch. Wśród wybuchów okrutnego śmiechu osiłki opisywały sobie nawzajem, co chciałyby zrobić swojej koleżance.

- ...ile jeszcze wsadzę...
- ...chciałbym wsadzić po sam koniec, pokazać jej, kto tu rządzi.

Obaj musieli uznać swoje komentarze za przezabawne, bo ich umięśnione torsy aż trzęsły się ze śmiechu.

Mózg Kovica wszedł na wysokie obroty. Może mógł się z nimi jakoś dogadać? Pomóc im pozbyć się kobiety, na przykład gdyby uciekł tak, żeby

wina spadła na nią, i zapłacił im jeszcze na zachętę? Agenci na poziomie garniturów zawsze byli otwarci na gotówkowe oferty.

Drzwi windy otworzyły się i kobieta ruszyła w ich stronę.

Wyjechali na ulicę. Zegarek mercedesa pokazywał drugą trzydzieści pięć. Kobieta prowadziła, osiłki siedziały z tyłu. Zmęczenie Kovica po ciężkim dniu zniknęło pod falą adrenaliny, wywołaną perspektywą tego, co go czekało. Musiał coś wymyślić, coś zrobić. Nie mógł wyskoczyć z samochodu, ale może mógłby uderzyć kobietę z główki, spowodować wypadek, jakieś zamieszanie, uwolnić się i uciec. Dwaj z tyłu nie zapięli pasów. Mocne uderzenie odpaliłoby poduszki powietrzne, ale kobietę zgniótlby siedzący za nią mężczyzna.

Mimo późnej pory ruch na ulicach był duży. Nawet kogut na dachu nie torował im drogi. To miasto nigdy nie zasypiało. Kovic spojrzał na kobietę za kierownicą, na siedzących z tyłu nienawidzących jej mężczyzn. Naprawdę była aż taka ostra? Co zrobiła, że zaskarbiła sobie aż taką ich wrogość? Może chodziło po prostu o to, że była kobietą?

Nagle zrozumiał.

– Huang Shuyi.

Brak reakcji.

– Córka Hana Zaiohonga. Dla przyjaciół w Cambridge – Hannah.

Dwa lata wcześniej Langley przesłało prośbę FBI, które przyglądało się grupie studentów z Szanghaju, podejrzewanych o szpiegostwo. Kovic sprawdził parę osób. Dwie należały do złożonej siatki hakerskiej, którą zalecił zostawić w spokoju, by za jej pośrednictwem dotrzeć do tych, dla których pracowała. Jedną z tych osób była Huang Shuyi. Wszyscy studenci mieszkali w jednym domu w Cambridge w Massachusetts. Federalni podłożyli tam pluskwy, ale mieli kłopot ze zrozumieniem dialektu. O tłumaczenie poproszono Kovica. Odkrył, że jeden z mieszkańców domu, chłopak imieniem Rai, złapał AIDS. Większość rozmów dotyczyła tego, jak

zapewnić mu pomoc bez informowania jego rodziny. Wstyd wiążący się z upublicznieniem takiej informacji był gorszy niż śmierć.

– Przykro mi z powodu tego, co spotkało pani kolegę na Harvardzie.

Znów brak odpowiedzi.

– Przy okazji, powinna pani wymienić tych kotletów z tyłu. Na parkingu mówili o pani same paskudne rzeczy.

Mijali Plac Ludowy. Protest wciąż trwał, ludzi było mniej, nosili tradycyjne latarnie na tyczkach.

– Wygląda na to, że to nie jest tydzień Ameryki.

Co naprawdę wiedziała o incydencie na granicy? Naciskał dalej.

– Chyba faktycznie nieźle daliśmy ciała.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Amerykańska głupota jest bardzo na rękę elementom reakcyjnym.

Interesująca odpowiedź, pomyślał Kovic.

– Reakcyjnym? Przecież ci młodzi to prawdziwi patrioci.

Nie miał nic do stracenia; ukazała mu maleńki skrawek swoich myśli.

– Byłem tam, na granicy, tylko ja przeżyłem. Pani szefowie muszą o tym wiedzieć. Dlaczego pani nie powiedzieli? Nie ufają pani? Pewnie dlatego mnie deportujecie.

Nie odpowiedziała. Posunął się za daleko. Powędrował myślami do swojego mieszkania. Do rzeczy, które zgromadził.

– Mogę się spakować?

– Tylko przybory kosmetyczne. Reszta zostanie skonfiskowana.

Kovic pomyślał o Louise; rozstali się w niezbyt miłych okolicznościach. Przynajmniej powinien się z nią pożegnać. Zresztą lepiej jej będzie bez niego, i tak długo go znosiła. Teraz będzie mogła zrobić coś ze swoim życiem, wyjść za mąż, zaciągnąć kilka kredytów. On ją tylko blokował.

Minęły ich dwa wozy strażackie z wyjącymi syrenami. W oddali widać było snop światła ze szperacza śmigłowca, szukającego czegoś na ziemi. Hannah wcisnęła się za wozy pożarnicze.

Jechały w tym samym kierunku, w stronę Francuskiej Koncesji. Droga przed nimi była teraz mniej zatłoczona, a Hannah trzymała się cały czas blisko strażaków. Gdyby tylko Kovic zdołał spowodować jakiś wypadek... To była prawdopodobnie jego ostatnia szansa. Kiedy się zatrzymają, mógłby na chwilę wyłączyć z akcji tego, kto otworzyłby mu drzwi, ale z całą trójką nie miał większych szans. Gdy jednak podjechali bliżej, jego plan przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Szperacz śmigłowca oświetlał słup brunatnego dymu, bijący w równie zadymione, nocne niebo. Dymiło się z okolicy, w której mieszkał.

– Powinniśmy sobie odpuścić i jechać prosto na lotnisko – odezwał się jeden z garniturów.

Ale Hannah nie odpowiedziała.

W Koncesji Francuskiej pożary nie były niczym niezwykłym. Ciasna zabudowa, moda na papierowe latarnie, pranie nagminnie wieszane blisko palników gazowych i jeszcze częstsza praktyka podłączania kilku urządzeń elektrycznych do jednego gniazdka przez prowizoryczne przedłużacze – wszystko to razem sprawiało, że cała dzielnica stawała się jednym wielkim stosem, czekającym na iskrę. Ale tak wielkiego pożaru jak ten Kovic jeszcze nie widział. Szanghajscy strażacy słynęli z niekompetencji w gaszeniu płonących mieszkań prywatnych i nie spieszyło im się ryzykować życia dla jakiegoś nieostrożnego obywatela, który zapomniał zakręcić gaz.

Hannah zatrzymała samochód przecnicę przed wąską uliczką prowadzącą do budynku Kovica. Uliczka była zastawiona wozami strażackimi i tłumem ludzi, którzy w ogóle nie reagowali na policjanta wzywającego do rozejścia się. Drzwi samochodu po stronie Kovica otworzyły się i jeden z garniturów odpiął mu rękę od uchwytu. Kovic

powinien wykorzystać zamieszanie, ale chęć ucieczki szybko mu przeszła, pokonana przez ciekawość i narastającą grozę. Było już jasne, że dym bije z jego podwórka. Kiedy grupka strażaków w zielonych, odblaskowych kombinezonach próbowała zmieścić się tam z drabiną, w powietrze strzelił jęzor ognia z eksplodującej butli gazowej. Strażacy się wycofali.

Dwaj policjanci trzymali kogoś, kto próbował się dostać do budynku. Kovic rozpoznał Rena, zięcia jednej ze staruszek. Mężczyzna wrzeszczał i wściekle gestykułował. Policjanci odepchnęli go w tył, a on upadł, poślizgnąwszy się na chodniku zlanym wodą z węży.

To była szansa Kovica. Obrócił się błyskawicznie. Wyrwał się jednemu garniturowi i wolną pięścią wyrzwał w twarz drugiego. Hannah obiema rękami złapała go za kołnierz, ale odtrącił ją na bok całym swoim ciężarem. Wpadła w tłum. Jednak Kovic nie uciekł. Zamiast tego rzucił się w bramę prowadzącą na podwórko, kopnął policjanta, który próbował go powstrzymać i zniknął w dymie. Słyszał, jak w którymś z pokoiów w głębi wrzeszczy jedna ze staruszek. Drzwi zaklinowały się od gorąca. Gdzie się, do kurwy nędzy, podziali strażacy? Pewnie sprawdzają w instrukcji, co robić. Kovic uderzył barkiem w drzwi, cztery, może pięć razy, nim w końcu puściły. Pękały mu płuca, z oczu lały się łzy. Skoczył w zadymioną ciemność i potknął się o miękki kopczyk: sąsiadki, skulone obok siebie poniżej warstwy dymu.

– Wstańcie! Idziemy!

Podniósł jedną z kobiet, ale ledwie trzymała się na nogach. Zarzucił sobie jej rękę na szyję i pociągnął do przodu, sięgając po drugą kobietę. Obie upadły z powrotem na ziemię. Kovic pochylił się nisko, żeby zaczerpnąć najmniej zadymionego powietrza tuż nad podłogą, a potem złapał jedną ze staruszek za ramiona i wyciągnął ją przez drzwi na podwórko, kaszląc i krzycząc do strażaków. Kilku z nich pobiegło w jego stronę, a on skoczył z powrotem do wnętrza i wyciągnął drugą kobietę, już nieprzytomną.

Przez dym zobaczył drzwi do swojego mieszkania. Rano zamknął je na klucz. Teraz były otwarte.

19

Nie było żadnych wątpliwości, gdzie wybuchł pożar. Każdy pożar, podobnie jak wybuch, pozostawia charakterystyczne ślady spalenizny, które można odcyfrować; paskudne kształty, które Kovic pamiętał aż za dobrze z Afganistanu. Ogień zaczął się palić w jego sypialni, na samym łóżku, którego szczątki wciąż zalatywały benzyną. Mimo ciasnoty mieszkania Kovic gromadził książki i czasopisma – miał staroświecką słabość do druku. Nie ulegało wątpliwości, że to było podpalenie. Ktoś na łóżku ułożył stos z tych papierów. Choć ogień już zgasł, a wszystko w pomieszczeniu nasiąkło wodą z węży, rama łóżka wciąż była ciepła, a czarne, zwęglone drewno Kovicowi skojarzyło się absurdalnie z połyskującym futrem labradora jego rodziców. Z materaca nie zostało prawie nic. Z rosnącą obawą Kovic rozgarnął mokre bryłki popiołu.

Większość ludzi nie rozpoznałaby tego, co zobaczył. Ale Kovic nie był taki, jak większość ludzi. Widział w życiu rzeczy, których większość wolałaby nigdy nie widzieć. W poszukiwaniu ważnych informacji wchodził do świeżo zbombardowanych i wypalonych budynków, metodycznie przeszukiwał kieszenie zabitych, kiedy ich ciała, czasami rozkawałkowane, były jeszcze ciepłe. Bez emocji skupiał się na zadaniu do wykonania, nie zaprzętał sobie głowy otaczającą go grozą sytuacji. Dziś myślał o czymś innym i nie był przygotowany na straszną prawdę, na którą właśnie spoglądał.

Odwrócił się do wypalonego stolika nocnego. Para okularów słonecznych stopiła się i zlała z blatem, jakby położono je na płycie kuchenki. Coś jeszcze przykuło jego uwagę, na podłodze obok, zbyt nisko, żeby ucierpieć od ognia, prawie nietknięte, nie licząc jednego śladu przypalenia. Dwie sztuki, połyskujące jak słońce. Kolczyki.

Louise jednak wróciła.

20

Hotel Majesty Plaza, Szanghaj

Hannah ponownie napełniła szklankę. Szkocka zapłonęła Kovicowi w gardle, potem nieco uśmierzyła pulsujący ból. Zmagały się w nim gniew i poczucie winy.

Pozwolił jej się odprowadzić. Z początku stawiał opór, wyładował na niej wściekłość, którą wzbudził w nim widok szczątków Louise. Ale cała jego siła i wola walki nagle zniknęły.

– Zawsze spała zwinięta w kłębek pod kołdrą. Pewnie strzelili, nie sprawdzając nawet do kogo.

– Wiedziała o twojej pracy?

Kovic pokręcił głową.

– Ale to zaczynało być problemem, te moje nagłe zniknięcia, zmiany planów. Długo byśmy razem nie pociągnęli, kroїła się awantura. Nie zasłużyła na coś takiego.

Każde z nich wiedziało, że to drugie ma jakieś brzemię, którym nie chce się podzielić. Louise uciekła od nieszczęśliwego życia w Londynie. Kiedyś, w wolnej chwili, Kovic zaczął ją sprawdzać. Langley wymagało, żeby wszystkich stałych partnerów agentów poddawać weryfikacji i prześwietleniu. Kovic miał dostęp do wszystkich jej e-maili, bilingów, historii wyszukiwania. Ale nie zrobił tego; przesłał do centrali zbiór danych jakiejś obcej kobiety, która z grubsza pasowała do profilu Louise. Sama zdecyduje, kiedy mu powiedzieć. Kiedy będzie gotowa. Teraz już nie powie. Ich wspólne życie toczyło się w zupełnie odrębnej domenie, całkowicie rozłącznej z jego pracą. Teraz jedno przelało się do drugiego, a skutkiem była śmierć.

Hannah, szanując jego rozpacz, unikała kontaktu wzrokowego.

– Przykro mi z powodu twojej straty, a twoja odwaga, uratowanie tych dwóch kobiet...

Przerwał jej machnięciem ręki.

Hannah zabrała go do hotelu i wynajęła mu pokój, gdzie mógł wziąć prysznic. Jednego z garniturów posłała po ubrania dla Kovica, który wszystko miał umazane sadzą i cuchnące spalenizną. Kiedy się umył i przebrał, zamiast zawieźć go na lotnisko, zaprowadziła do hotelowego baru. Osilki zniknęły.

– Nie nadążam. Parę godzin temu tłuksłaś mnie jak worek, a teraz czuję się jak na randce. Nowa taktyka MBP?

Hannah zachowywała się w sposób wyjątkowo opanowany. Po spiętej patriotce-dominie nie było śladu.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej przyjaciółki. Podejrzewasz, kto mógł podłożyć ogień?

Kovic przysunął sobie papierową serwetkę i naszkicował na niej tatuaż z węzowym trójzębem.

– Coś ci to mówi?

Popatrzyła na niego z niezrozumieniem.

– A powinno?

– Nie znasz Szanghaju, prawda?

– Mieszkam tu i pracuję.

– Owszem, ale wygląda na to, że nie znasz tego miasta. Ma wiele obliczy. To tatuaż.

Hannah wzruszyła ramionami.

– Nie zajmujemy się gangsterami, to zadanie policji.

– Tymczasem zadajecie się ze mną.

– Jesteś szpiegiem, więc podpadasz pod moją jurysdykcję, chociaż pewnie masz też powiązania z gangami.

– W moim świecie istnieje wyraźne rozgraniczenie między powiązaniem a chęcią pozostania przy życiu.

Hannah milczała przez chwilę, wpatrzona w swoją czołę.

– Na pewno nie chcesz szkockiej?

Pokręciła głową, zamyślona. Kovic patrzył na nią, dopóki nie spojrzała mu w oczy.

– Oto, co moim zdaniem myślisz: pod całym tym słusznym gniewem na wszystko, co mówiłem o twoim dumnym ministerstwie i tak dalej, myślisz sobie: o co tak naprawdę chodzi temu facetowi? Przecież nie ma powodu, by zmyślać. Może faktycznie ma asa w rękawie? Może wie coś, co przydałoby się wiedzieć także i mnie; coś, co pomogłoby mi w karierze?

Nie reagowała, więc parł dalej:

– Obojgu nam zależy na tym samym: na stabilności i harmonii między naszymi krajami. Ich brak odbija się na całym świecie. Chiny przeszły długą drogę od czasów rewolucji kulturalnej. Wszyscy ci intelektualiści denuncjowani przez własnych studentów, a potem wysyłani do kamieniołomów, żeby zrobić z nich lepszych komunistów – to już przeszłość. Relacje Chin z Ameryką mają kluczowe znaczenie dla przyszłości, a ktoś próbuje wsadzić kij w szprychy.

Wciąż nie reagowała, ale słuchała.

– Nic o sobie nie wiemy, dopiero się poznaliśmy. Domyślam się, że w podręczniku MBP, w rozdziale o tym, jak traktować zagranicznych szpiegów-degeneratów, zasada numer jeden brzmi: „deportować ich do domu”, ale to nie zmienia faktu, że dzieją się tu rzeczy, o których najwyraźniej nie masz bladego pojęcia, co – szczerze mówiąc – nie świadczy najlepiej o Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego.

– Dlaczego miałabym ci uwierzyć?

Przedstawił jej swoją wersję incydentu na granicy. Potraktowała go lekceważąco.

– Typowy przykład lekkomyślnej imperialistycznej agresji, charakterystycznej dla arogancji waszych przywódców. Chiny nigdy nie zgodziłyby się na udział w takiej misji.

Kovic westchnął.

– Ech, nie cytuj mi Czerwonej Książeczki, właśnie zaczęliśmy się dogadywać.

– Dlaczego mieliby zastrzelić innych, a ciebie nie?

– Nie widzieli mnie.

– Jesteś niewidzialny?

– Leżałem pod śniegiem. Posłuchaj, to było zaksięgowane jako wspólna misja, która wystartowała z terytorium Chin. Na własne oczy widziałem rannych, cierpiących Amerykanów, którzy błagali o życie. Zastrzelonych w śniegu jak psy. Przez ludzi po waszej stronie granicy.

– Jak możesz oczekiwać, że uwierzę w cokolwiek z tego, co mówisz?

– Wyjmij telefon. Sprawdź zdjęcia stamtąd.

Hannah odszukała fotografię z ulotki.

– Ponoć zrobiono je po stronie północnokoreańskiej. Spójrz na flagę; łopocze na zachód, czyli wiatr wieje od wschodu. Jeśli sprawdzisz dane pogodowe z ostatnich trzech dni, przekonasz się, że wiało od zachodu. To zdjęcie jest zrobione po chińskiej stronie granicy. Zaaranżował to ktoś w Chinach.

Milczała, chłonąc to, co jej powiedział.

Kovic odsunął szklankę na bok, oparł łokcie na stole i pochylił się do przodu.

– Ktokolwiek zamordował Louise, prawie na pewno myśli, że zabił mnie. Nie wiedzą, że spieprzyli sprawę. Możesz mnie wsadzić w samolot do domu

i umyć ręce. Ale jak wtedy dotrzesz do prawdy? A ja nigdy się nie dowiem, kto zabił Louise. Widziałaś jej szczątki. Wiem, że potrafisz współczuć, bo obilo mi się o uszy, przez co przeszłaś, żeby pomóc koledze w Cambridge. Jutro wrócę do domu, a ty tu zostaniesz i będziesz zachodzić w głowę, co się właściwie stało. Założę się, że twoi szefowie będą chcieli tę sprawę pogrzebać, tak samo jak moi.

Hannah zmrużyła oczy.

– Co sugerujesz?

Kovic dopił zawartość szklanki.

– Nie odsyłaj mnie do domu. Zgłoś, że nie żyję. Niech CIA też myśli, że zginąłem. Sama powiedziałaś, że pewnie się ucieszą, że się mnie pozbyli. Pozwól mi się dowiedzieć, kto za tym stoi, a ja się z tobą wszystkim podzielę, niezależnie od tego, co odkryję.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Zacisnęła usta tak, że jej wargi prawie zniknęły, lekko pochyliła głowę.

– Prosisz, żebym... cię zwerbowała?

Kovicowi serce zabiło szybciej. Całą swoją nadzieję zawarł w chwili milczenia.

– Dlaczego myślisz, że ci zaufam?

– Moi szefowie właśnie się mnie pozbyli. Nie chcą, żebym się tu kręcił. Odsyłając mnie do domu, wyświadczasz im przysługę. Dlaczego Cutler chce się mnie pozbyć? Bo przysparzam mu wstydu, bo nie chcę iść karnie w szeregu, bo jest prawdopodobnie dość bystry, by wiedzieć, że jeśli zostanę, nie będę udawał, iż nic się nie stało.

– Myślałam, że większość Amerykanów nienawidzi Chin.

– Nie jestem większością Amerykanów.

W tym momencie przy wejściu do baru zapanowało jakieś poruszenie. Tłum podekscytowanych ludzi otoczył młodego mężczyznę. Kovic zobaczył,

że Hannah przelotnie otwiera szerzej oczy, a potem odwraca wzrok.

– Twój znajomy?

Był to Jin Jié, powracający gwiazdor, którym Wu tak się ekscytował, oglądając telewizję w barze. Otaczali go ochroniarze, ale nie starali się zbyt odpychać wielbicieli, którzy próbowali fotografować polityka swoimi telefonami lub podsuwali mu kartki i długopisy, prosząc o autograf. Jin Jié przystanął, żeby wszyscy dostali to, czego chcieli, po chwili uprzejmie ich pożegnał, a potem, widząc Hannah, odłączył się od towarzyszy i ruszył do stolika z szeroko rozłożonymi ramionami.

– Witaj, nieznajoma.

Uśmiechał się szeroko do Hannah, która nie mogła już dłużej udawać, że go nie widzi. Odpowiedziała uśmiechem, z całkowicie odmienioną twarzą. Uniosła się lekko z krzesła. Jin cmoknął ją w policzek, a ona się zaczerwieniła.

Z szerokim uśmiechem wyglądał na jeszcze młodszego. Biła od niego żywotność i młodość, przez co Kovic poczuł się jeszcze bardziej poobijany i zmęczony. Jin pochylił się, ujął dłoń Hannah, pocałował ją, a potem odwrócił się do Kovica, oczekując, że zostanie przedstawiony. Hannah się jednak zawahała. Kovic wyciągnął rękę.

– Gratuluje sukcesu książki.

– Ależ dziękuję. – Jin omal nie złamał się w ukłonie, słysząc ten komplement. Chwycił dłoń Kovica i potrząsnął nią mocno. Ależ on potrafi tryskać entuzjazmem!

– Można powiedzieć, że wrócił pan w samą porę.

– Jak to? – spytał Jié z uśmiechem.

– Stosunki między naszymi krajami nieco się pogorszyły, może panu uda się je naprawić.

Jié kiwnął głową, rozważając słowa Kovica.

– Dziękuję, pomyślę o tym.

Odwrócił się do Hannah.

– Nie znikaj, skoro już wróciłem. Mamy tyle do nadrobienia.

Wrócił do swoich ludzi. Kovic podniósł szklanę.

– Na Zachodzie go kochają; ten fakt musi tutaj psuć krew wielu osobom.

Hannah nie odpowiedziała.

– To twój dobry przyjaciel? Dość wyrazista postać, a wydawało mi się, że wy wolicie pozostawać w cieniu.

Zrobiła nieco zawstydzoną minę.

– Ważne jest, by utrzymywać kontakt z szerokim spektrum osób.

– Tak napisali w podręczniku? W takim razie jestem zaszczycony, że znalazłem się w tak doborowym towarzystwie.

Spojrzała na niego z powagą.

– Jak sobie poradzisz?

– Znam kilka osób, które mogą wyświadczyć mi przysługę. Poza tym odłożyłem trochę na czarną godzinę.

Westchnęła głęboko.

– Wiem, że będę tego żałować.

– Umowa stoi?

– Przynieś mi nazwiska. Masz czterdzieści osiem godzin.

Kovic nalał do jej szklanki resztkę whisky.

– Wypijmy za to.

Hannah wstała.

– Powinieneś się już zabierać do roboty, nie sądzisz?

21

USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie

Strugi deszczu smagały pokład, ograniczając widoczność do najwyżej piętnastu metrów. Dalej morze niknęło w ulewę. Garrison czekał. Chciał być na miejscu, kiedy sea hawk będzie lądował. Przede wszystkim zależało mu, by załoga zobaczyła, że coś robi, że zajmuje się sprawą. W takich okolicznościach nie wolno było się chować.

Usłyszał kołujący śmigłowiec, jeszcze nim go zobaczył. Maszyna zawisła w powietrzu, a potem siadła na lądowisku przed wieżą kontrolną. Otworzyły się drzwi. Garrison wiedział, że w CIA pracują najróżniejsi ludzie. Już samo to, jak Cutler zszedł po schodkach – ostrożnie, osłaniając głowę przed deszczem – zdradzało, że nie jest agentem terenowym. Teczka w jego ręku dopowiedziała resztę.

Garrison ujął go za ramię, poprowadził do schodów i stamtąd prosto do swojej prywatnej kajuty, gdzie mogli porozmawiać w cztery oczy. Zwykle załatwiliby to w urzędowej atmosferze swojego mostka, przy stole, w który mógłby w razie potrzeby łupnąć pięścią – a w tej sytuacji taka potrzeba stawała się wysoce prawdopodobna – tyle że wszystkie systemy wysiadły, a on nie chciał dodatkowo akcentować tego faktu rzędami wygaszonych ekranów.

Mimo to Cutler wiedział.

– Szkoda, że macie tę awarię – powiedział, otrzepując z wody płaszcz przeciwdeszczowy.

Garrison wzruszył ramionami.

– Za kilka godzin powinniśmy wszystko przywrócić do normy.

Podał Cutlerowi kawę. W rzeczywistości nie miał pojęcia, ile potrwa naprawa. Musiał zmienić temat.

– Dobrze, że pan przyleciał.

Garrison był szczerze zaskoczony na wieść, że Cutler zdecydował się pojawić osobiście. Ludzie z Agencji zazwyczaj preferowali kontakt elektroniczny. Może dyrektor uznał, że powinien nadstawić ramię do wypłakania.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

Cutler rozejrzał się po kajucie, jakby szukał mikrofonów.

– Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiamy na osobności.

Garrison usiadł wygodnie na fotelu.

– Nie ma co owijać w bawełnę – zaczął Cutler. – Spierdoliliśmy sprawę.

Komandor był w szoku. Proszę, ktoś wziął na siebie odpowiedzialność! Udało mu się jednak z niczym nie zdradzić; lata praktyki zrobiły swoje.

– Pekin i Waszyngton robią dobrą minę do złej gry, ale nie ma wątpliwości, że to wszystko zmienia.

– W sensie?

Cutler lekko się chyba zirytował.

– Skutków! Chińczycy najwyraźniej nie lubią nas aż tak bardzo, jak się niektórym z nas zdaje.

Rozłożył ręce, jakby trzymał w nich wielką tacę.

Garrison sięgnął po swoją kawę.

– A więc jak wam się udało aż tak to spartolić?

To, że gość się kajał, nie oznaczało, że zasługiwał na taryfę ulgową.

Cutler wziął głęboki oddech i wolno go wypuścił.

– Wiem, że to nazwisko, yyy... już pan poznał... yyy... w niepomysłnych okolicznościach.

Garrison westchnął.

– Kovic.

– Gdybym tylko wiedział o tym wcześniej...

Komandor machnięciem ręki przerwał te wyrazy skruchy.

– To przeszłość; lepiej skupmy się na tym, co się stało.

Cutler westchnął.

– Przebywał w Chinach od sześciu lat. To długo. Taki okres potrafi zmienić człowiekowi perspektywę.

Garrison przyglądał mu się przez chwilę, potem nachylił się.

– Czy ja dobrze rozumiem? Twierdzi pan...

– Rzecz jasna nie mogę mówić wszystkiego wprost, rozumie pan.

– Nie było go na zdjęciach.

Cutler odwrócił wzrok, jakby chciał coś powiedzieć i nie potrafił znaleźć słów.

– Owszem, ocalał.

Garrison zeszywniał.

– Twierdzi pan, że brał w tym udział? Gdzie jest teraz?

Cutler miał śmiertelnie poważną minę.

– Cóż, wrócił do Szanghaju, ale... Wygląda na to, że sytuacja go przerosła.

– Jak to?

– Najwyraźniej postanowił ze wszystkim skończyć. – Cutler zapatrzył się w dal i teatralnie przygryzł wargę. – W swoim mieszkaniu, o ile można tak nazwać to miejsce. Podpalił je. Widziałem się z nim tego dnia rano, przekazałem mu, że zawieszam go do czasu zakończenia dochodzenia. I że Chińczycy chcą, żeby opuścił kraj. To była chyba ta kropla, która przepełniła czarę. Może dołałem ją do tego wszystkiego, co dręczyło go już od

dawna... – Rzucił znaczące spojrzenie Garrisonowi. – Pewnie nie mógł już dłużej tego znosić...

– Sukinsyn.

Garrison opadł na fotel, wcisnął się w oparcie, trawił informacje. Co czuł? Cichą satysfakcję? Nie, nic takiego. Poczucie, że sprawiedliwości stało się zadość? Też nie. Pustka. Czuł po prostu pustkę.

Przyjrzał się twarzy Cutlera.

– Może mi pan opowiedzieć po kolei, co się stało? Nie chcę wciskać rodzinom tych marines jakichś bzdur.

– W tej chwili pracujemy nad ustaleniem szczegółów. Ale bez relacji Kovica...

Cutler nagle zmienił ton.

– Ale, komandorze, ma pan moje słowo, że będziemy pana informować na bieżąco. Cokolwiek ustalimy. W tej chwili musimy jednak zmierzyć się z cholernie wielką aferą: Szanghaj wariuje, ludzie protestują przeciwko Ameryce, Pekin nie wie, za co się chwytać.

Zerknął na zegarek.

– Chcę panu podziękować, komandorze, że poświęcił pan czas, żeby mnie wysłuchać.

Wstał. Garrison również.

– Cóż, doceniam, że zadał pan sobie trud i przeleciał taki kawał tylko po to, żeby mnie wprowadzić w sytuację, zwłaszcza w tak trudnym czasie.

Uścisnęli sobie ręce. Garrison odprowadził Cutlera do sea hawka. Cutler, wspinając się po schodkach, osłonił głowę teczką. Wykonał w kierunku komandora coś w rodzaju przepraszającego salutu i drzwi się za nim zamknęły.

Garrison patrzył, jak śmigłowiec wzbija się w górę i znika. Stał przez długą chwilę, wpatrzony w chmury. Po każdej rozmowie z ludźmi z Agencji

nie potrafił się pozbyć wrażenia, że został zmanipulowany. Cutler zrobił wszystko, co należało – osobista wizyta, przyznanie się do winy, skrucha. Ale Garrison czuł, że kryje się za tym coś więcej, coś, czego nie potrafi zidentyfikować.

22

Hotel Majesty Plaza, Szanghaj

Kovic przespał niespokojnie resztę nocy i większą część dnia, wrywany z głębokiego snu obrazami szczątków Louise. Widywał już wcześniej trupy, spalone, postrzelone, rozczłonkowane, rozerwane wybuchem – widział praktycznie wszystko, co może człowieka spotkać podczas zamieszek, powstania, głodu albo wojny. Ale nigdy nie był to nikt bliski. Nastawił telewizor i radio na małą głośność, żeby wypełnić pokój szumem i odpędzić sny. Musiał odpocząć. Do tego, co go czekało, potrzebował całej swojej energii i jasności umysłu.

Ocknął się o piętnastej, skupiony i koszmarnie żywy. Ulewa oczyściła na chwilę powietrze i panorama miasta odcinała się wyraźnie na tle rzadkiego, błękitnego nieba, przeglądającego się w mokrych jeszcze chodnikach. Kovic zamówił śniadanie i wziął prysznic, próbując zmyć z siebie uporczywy smród dymu, ale kiedy wyszedł z łazienki, jego włosy wciąż cuchnęły spalenizną.

Zjadł tradycyjną ryżową zupę z jajkami i założył ubranie, które przyniosły mu osiłki Hannah. Pasowało. Może mieli w aktach jego wymiary.

Hannah opłaciła mu pokój na jeszcze jedną noc. Co stanie się potem – nie wiedział.

Wspomnienie Louise wywoływało u niego tępy żal, ale przynajmniej przypominało mu o tym, kim był – człowiekiem, który wstąpił do Agencji ze znacznie większą wiarą w ludzkość niż teraz. Wszystko inne uległo dezintegracji; obecnie zawisł w próżni. Przywykł do bycia kimś innym, do tej pory zdążył mieć osiem odrębnych tożsamości. Póki co, wyczerpany szaleństwem ostatnich trzech dni, był nikim. Z plusów – został oficjalnie uznany za zmarłego, co dla jego celów było okolicznością wprost

wymarzoną. Pozostawało jedno pytanie, które prawie go śmieszyło: skoro był już martwy, jak długo pozostanie przy życiu?

Wskoczył do taksówki – volkswagena santany – i pojechał do siedziby Hong Kong & Shanghai Safety Deposit Company. Do Cutlera na pewno dotarła już informacja, że Kovic został albo z powodzeniem deportowany, albo zginął w pożarze. Niezależnie od tego, której wersji dałby wiarę, CIA nie będzie już go szukać i wchodzić mu w drogę, przynajmniej nie od razu. A skoro chłopcy z trójzębami byli przekonani, że załatwili go w jego własnym łóżku, miał na starcie niezłe fory. Mimo to im mniej czasu będzie spędzał na ulicy, tym lepiej.

Polecił kierowcy zatrzymać się przy sklepie z walizkami, gdzie kupił standardową teczkę etatowego pracownika biurowego, a potem przy bocznym wejściu do banku, gdzie szybko przeszedł przez obrotowe drzwi i hall prosto do stanowiska ochrony.

Wyjął notes, napisał na nim nazwisko i numer i podał go ochroniarzowi o niewzruszonej twarzy. Dobrze, że nie musiał nic mówić i że nikt tego od niego nie wymagał. Dla Kovica, w którego świecie na porządku dziennym było „poznawanie klienta” i natrętna uprzejmość, brak tego lizusostwa zawsze był przyjemną odmianą. Bez wahania za każdym razem wybrałby chińską oschłość.

Ochroniarz wziął notes i skierował Kovica do czytnika siatkówki, urządzenia o współczynniku błędu jeden na dziesięć milionów. Zważywszy jednak, że w Chinach mieszka 1,4 miliarda ludzi, może to i dobrze, że ochrona wymagała też sczytania dłoni oraz zwykłego staromodnego podpisu.

Chwilę później Kovic zjeżdżał windą głęboko w trzewia banku. Kolejny pracownik czekał na niego przy wyjściu, podał mu klucz i skierował go do ściany wąskich, metalowych skrytek. Kovic wsunął klucz w otwór, otworzył drzwiczki i wyciągnął płytkę, przypominającą kształtem szufladę skrzynkę, zabezpieczoną dodatkowo podwójną kłódką z zamkiem szyfrowym.

Zaprowadzono go do małego boksu z zasłonką, gdzie stał stolik i krzesło, i gdzie mógł spokojnie otworzyć skrytkę.

– Witaj, Johnie Richardsie.

Na zdjęciu w paszporcie Johna Richardsa był nieco młodszy, gładszy; wyglądał jak człowiek, który nie musiał jeszcze oglądać zwęglonych zwłok swojej kochanki. Z drugiej strony Amerykanie w Szanghaju starzeli się jakby szybciej; może zanieczyszczone powietrze niszczyło im kolagen, a konieczność odcyfrowania dwóch czy trzech tysięcy znaków, żeby przeczytać głupie wiadomości, psuła wzrok.

Wyjął kolejny dokument: Ray Nyman, RPA, wojskowy instruktor wychowania fizycznego. Jego obecna kondycja niezupełnie pasowała do tej profesji – dobrze, że miał chociaż blizny. Poza tym nie był to najlepszy czas dla Amerykanów w Chinach. Postanowił zabrać oba paszporty wraz z odpowiadającymi im prawami jazdy. Do teczki schował także gruby plik około miliona juanów, blisko dwieście tysięcy amerykańskich dolarów i dwie karty debetowe, z Deutsche Banku i Crédit Agricole: solidnych, europejskich banków. Na każdym z powiązanych z kartami kont miał po pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Na spodzie leżał sig sauer P220 combat TB i dwa magazynki. Jak dotąd Kovic nie potrzebował broni w Szanghaju, zresztą Langley nie dało mu na nią pozwolenia, ale zabrał pistolet, kiedy jego znajomy z ATF – Biura do spraw Alkoholu, Tytoniu, Broni Palnej oraz Materiałów Wybuchowych – w pośpiechu wyjechał z miasta i zostawił swoją broń w szufladzie. Kovic wiedział, że jeśli on jej nie zgarnie, zrobi to ktoś inny, i że nadejdzie dzień, kiedy pistolet mu się przyda. Ów dzień nadszedł właśnie dziś, jutro pewnie będzie podobnie, a potem? Może już nigdy nie będzie się rozstawał z bronią, kto wie?

Nawet na plemiennych pustkowiach na afgańsko-pakistańskiej granicy czy niebezpiecznych ulicach Bagdadu, Kovic zawsze działał z komfortową świadomością, że jest częścią większej maszyny, że CIA go chroni i nawet jeśli wpadnie w gówno po uszy, nawet jeśli wyprą się jakiegokolwiek wiedzy

o nim, spróbują go uratować. Teraz był nikiem. Jeszcze nigdy przez całą swoją służbę w wywiadzie nie czuł się jak uciekinier. Ale to nie była Ameryka, nie był to Liban czy Afganistan. Posiadanie broni w Szanghaju mogło się skończyć dużymi kłopotami. Wziął pistolet do ręki. Jego ciężar dodawał otuchy. Kovic ze skrytki wyjął tłumik i przykręcił go do lufy. To urządzenie wcale nie zamieniało wystrzału w miękkie, uwielbiane przez Hollywood „puf”; redukowało jedynie głośność z ogłuszającego trzasku do odgłosu, który nie spłoszyłby konia. Kovic sprawdził magazynki: standardowe ośmionabojowe. Wystarczą.

Bateria w telefonie wciąż miała kilka kresiek. Operator był zarejestrowany w Hongkongu i był lubiany przez pracowników prywatnych służb ochrony, bo automatycznie kasował historię połączeń i uniemożliwiał zapisywanie kontaktów. To było urządzenie, które wymagało od posiadacza dobrej pamięci. I dobrze: Kovic nie planował organizować przyjęcia.

Przełożył to wszystko do teczki i ruszył do wyjścia. John Richards vel Ray Nyman obudził się do życia.

Wu już na niego czekał w pikapie kuzyna zaparkowanym po drugiej stronie ulicy. Kovic spojrzał na nazwę auta i wybuchł śmiechem.

– Naprawdę tak się nazywa: great wall wingle?

Wu zachował kamienną twarz, do reszty już upokorzony.

– Pewnie nie będziesz chciał go zabrać ze sobą do Ameryki.

Chińczycy być może produkowali więcej samochodów, niż jakikolwiek inny kraj świata, ale musieli się jeszcze sporo nauczyć w kwestii ich nazewnictwa.

Kovic włączył cicho radio: wybrał tradycyjną stację, grającą klasyczne piosenki dla starszego pokolenia.

– Nie, nie, mam Springsteena. A może wolisz Jamesa Browna? *Sex Machine*?

– Nie, naprawdę, to jest w porządku. Czego się dowiedziałeś?

– Że w twoim budynku był pożar. Ulżyło mi, kiedy zadzwoniłeś. Myślałem, że może...

Kovic powiedział mu o Louise. Wu zrobił przerażoną minę.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Gdybym sprawiał wrażenie trochę mściwego, to teraz już wiesz dlaczego.

– Myślisz, że to byli... – Wu przyłożył do wierzchu dłoni trzy palce rozłożone w kształt trójzęba.

Kovic wzruszył ramionami.

– Odpalaj wingle'a, musimy zmontować ekipę.

W kabinie pikapa czuć było świeżym plastikiem.

– Od czego chcesz zacząć?

– Od wywietrzenia tego smrodu. Otwórz okna, na Boga, i wpuść tu trochę smogu.

23

Dzielnica Jing'an, Szanghaj

Kovic siedział w kawiarni Wooden Box na tarasie na dachu i czekał. Uznał, że to odpowiednie miejsce dla nieboszczyka. Włał dziś w siebie wystarczająco dużo podłej kawy, więc zamówił zieloną herbatę. Wu siedział przy innym stoliku bliżej wejścia i czuwał. Błękit nieba zniknął, nad miastem niczym olbrzymi dach zawisły fioletowoszare kumulusy, spychając wyziewy całego dnia z powrotem w dół, na mieszkańców. Kovic pomyślał, że może powinien znów zacząć palić, dać płucom zaznać innej trucizny.

Gapił się na stolik przed sobą, aż wyczuł blisko czyjąś obecność.

– Ej, nie podkradaj się tak.

Oczy Zhou prawie zniknęły w entuzjastycznym, szerokim uśmiechu.

– Podkradać się do szpiega!

Zarechotał szorstko jak Beavis albo Butt-head. To i szeroki uśmiech były jego jedynymi cechami charakterystycznymi. Poza tym chlubił się swoją pospolitością; jego twarzy, kiedy pozostawała nieruchoma, nie sposób było zapamiętać. Był to doskonały kamuflaż, zwłaszcza dla włamywacza. Zhou od kilku lat wykonywał dla Kovica brudną robotę – specjalizował się w kradzieżach i otwieraniu sejfów, czego dokonywał z drobiazgowością i dokładnością zakrawającą na obsesję. Jego ofiary często nie wiedziały, że odwiedził je intruz, uważały, że same zgubiły brakujące przedmioty albo obwinały członków rodziny i pracowników. Większość swoich kradzieży Zhou przeprowadzał w biały dzień. „Wtedy mniej rzucam się w oczy” – wyjaśnił Kovicowi.

Garnitur, który miał na sobie, był pospolicie szary, ale Kovic od razu zauważył, że musiał sporo kosztować.

- Szyty na miarę na Savile Row. Poleciałem tam specjalnie po niego.
- Może powinienes zwołnić tempo.

Zhou, parający się kradzieżą, odkąd nauczył się chodzić, wychował się na ulicach Szanghaju, porzucony przez rodziców, których nie było stać na karę za posiadanie więcej niż jednego dziecka. Najpierw kradł, żeby przeżyć; nabrał w tym takiej wprawy, że wkrótce zajął się bardziej zuchwałymi i skomplikowanymi skokami, aż jako dwunastolatek, po kilku tygodniach nauki pilotażu w internecie, ukradł mały samolot. Rozbił się nim i wywinął służbom ratowniczym, symulując wstrząśnienie mózgu. Przez krótki czas pracował dla właścicieli kasyn, kradnąc pieniądze z ich własnych sejfów, co pomagało im unikać podatków. Jednak po zakończonej rozlewem krwi awanturze o wysokość stawki postanowił nigdy więcej nie wynajmować się przestępcom. Pojawił się w życiu Kovica, kiedy przypadkowo wybrali ten sam moment na włamanie się do penthouse'u singapurskiego handlarza bronią. Kovic uruchomił alarm, a Zhou go wyłączył. Od tamtej pory Kovic zlecał mu część swoich zadań. Zhou okazał się również ekspertem we wspinaczce na budynki; twierdził również, że posiada wrodzony szósty zmysł, którym potrafi wyczuwać działające na podczerwień wykrywacze ruchu.

Kovic przedstawił mu wstęp do swojego planu.

- Kiedy zakończymy pierwszy etap, będzie tego więcej.

Zhou wzruszył ramionami.

- Mnie pasuje.

– Potem może się zrobić nieprzyjemnie. Myślę, że ludzie, z którymi chcę się zmierzyć, mogą nam bardzo uprzykrzyć życie. Masz coś przeciwko?

Śmiech rodem z *Beavisa i Butt-heada* sugerował, że nie.

24

Apartament Victora Vaughana, Szanghaj

Vaughan zatrzepotał powiekami, zamknął oczy i ponownie je otworzył – szeroko. Obejrzał się gwałtownie w lewo, ale nie zobaczył ani śladu... jak on się nazywał? W każdym razie blondyna nie było. Miał zostać całą na noc, wziął za to pieniądze. Ale najwyraźniej rozwiązał się i wyszedł. Coś się tu nie zgadzało. Z zestawu rozrywkowego pod oknem dobiegała muzyka. Chyba *Strangers in the night*. Sinatra? Nie miał tego na playliście. Sięgnął po okulary: nie było ich. Wyciągnął rękę dalej, po pilota sterującego oświetleniem, i nacisnął przycisk, ale nic się nie stało. Ktoś chwycił go za nadgarstek.

– Pan pozwoli – odezwał się bezcielesny głos.

Lampy rozbłysły i rozświetliły się. Vaughan obrócił głowę i zobaczył tuż obok siebie czyjąś niewyraźną twarz. Inna ręka wsadziła mu na nos okulary; ujrzał przed sobą Zhou. Jak to możliwe? Miał najnowocześniejsze systemy ochrony. Nagle zobaczył drugą twarz – tę znał, ale nie spodziewał się jej więcej zobaczyć.

– Jezu Chryste.

– Niezupełnie, chociaż obaj zmartwychwstaliśmy.

– Steig!

Miał ochrypły głos. Znów spał z otwartymi ustami.

– Steig śpi – wyjaśnił Kovic z kanapy.

Steig, tajski bokser o mało wiarygodnym nazwisku, leżał w pozycji płodowej pod drzwiami łazienki. Wren i Sparrow, dwaj pozostali ochroniarze Vaughana, byli przytomni; siedzieli związani przez Wu cienkim drutem

wokół szyj. Bardzo bolesna metoda, nawet przy przełykaniu, uprzedził, zanim zakneblował ich skarpetkami Vaughana.

Vaughan próbował podnieść głowę, ale Wu docisnął ją do poduszki.

– Co zrobiliście z chłopakiem?

– Jakie to wzruszające, że nie opuściła cię rycerskość. Jedzie na następne spotkanie. Dałem mu pięćdziesiątkę ekstra za paskudne ślady po twoich łańcuchach. Ależ z ciebie wstrętny zboczuszek, Victorze!

Vaughan nagle się oburzył.

– Cholerny masz tupet! – Kiedy mówił, trzęsły mu się policzki.

Kovic się uśmiechnął.

– Tak, wiem. A więc... może wróćmy do tego, co zaczęliśmy w twoim biurze, zanim przerwały nam... hm, niech sobie przypomnę... pościg samochodowy, podpalenie i morderstwo.

Twarz Vaughana zrobiła się ciemnoczerwona.

– Posłuchaj, nie mam bladego pojęcia...

Za tą udawaną brawurą Kovic dostrzegł strach.

– Twoi ludzie zapomnieli zajrzeć pod kołdrę. Zamordowaliście i spaliliście moją dziewczynę.

Głos Vaughana zabrzmiał oktawę wyżej.

– Zapewniam cię, że nie miałem z tym nic wspólnego. Nie wiem nawet, o czym mówisz.

Kovic wstał i usiadł na skraju łóżka, bliżej. Vaughan zobaczył błysk jakiegoś lśniącego i spiczastego przedmiotu. Zhou i Wu przytrzymali go, a Kovic przytknął nóż do górnej wargi Vaughana. Ostrze dotknęło wewnętrznej krawędzi lewego nozdrza.

– Kto cię wynajął?

Vaughan gwałtownie zamrugnął, ale nie odpowiedział.

– Może mnie nie dosłyszałeś. – Kovic nachylił się bliżej. – Kto cię wynajął, ty nadęta pedokurwo?

– Posłuchaj, ja nic nie wiem. Nie jestem... nie jestem nikim ważnym, wiesz o tym.

– Niezłą odwalili robotę, naprawdę, doskonała rekonstrukcja. – Kovic zerknął na Zhou. – Silikonowa przegroda zawinięta w skórę z uda albo ręki załatwia sprawę spustoszeń wywołanych długotrwałym używaniem kokainy. Nasz chłoptaş niezłe sobie szalał za młodu, co, Victorze?

Kovic docisnął mocniej ostrze; jeszcze milimetr i przegroda nosowa Vaughana oderwałaby się z miejsca.

Z łóżka dobiegł dziewczęcy wrzask, a za nim gładkie tony *Ol' Blue Eyes*.

– Chyba Sinatry już dość, teraz musimy się bliżej poznać. Woja kolejka – wybierz coś ty, Wu.

Wu znalazł pilota, przeskoczył kilka pozycji i zostawił mocny, house'owy beat.

– Proszę! Błagam! – Vaughan się hiperwentylował, był na krawędzi zemdlenia. Kovic się odsunął.

– Proszę, musi być coś... możemy sobie pomóc nawzajem?

Jego słowa zlewały się w żałośliwy bełkot. Wyniosłość i pretensjonalność obecne podczas ich poprzedniego spotkania dawno zniknęły.

– To znaczy, ja wcale nie chciałem tego zlecenia, wiesz przecież, ja takich rzeczy nie robię. Chociaż to nawet nie było zlecenie, raczej przysługa, jeśli już. Wiesz, jak tu jest, takie sytuacje wynikają same, oni robią z nami, co chcą. Zanim człowiek się zorientuje, co się dzieje, już się zgodził... oni są cwani.

Kovic zerknął na Zhou, którego mina zdradzała rozbawienie gorączkowymi wyjaśnieniami Anglika, potem spojrział na zegarek.

– Spiesz się nam. Obawiam się, że musimy ciąć.

Kovic nauczył się dwóch rzeczy o torturach. Jeśli zamierzasz ich użyć – zrób to. Jak będziesz za bardzo przeciągał, zaczną zmyślać. Bazy danych Langley pękały w szwach od niekończących się, improwizowanych zeznań, oskarżeń i wyznań, będących efektem „przesłuchań wspomaganym”.

Znów nacisnął ostrze. Z nosa Vaughana trysnęła krew. Próbował poruszyć rękami, ale Wu spętał je drutem.

– Może jakieś nazwisko?

Vaughan spróbował przełknąć ślinę.

– To... nie takie proste. Wszystko było załatwiane przez pośredników, wiesz, jak to jest. Nigdy nie wiadomo, kto za kim stoi.

Kovic spojrział ze znużeniem na Zhou, który teatralnie przewrócił oczami. Kovic się odwrócił.

– To strata czasu. Otwórz go od nosa w dół.

– Nie, nie! Proszę! – Vaughan wytrzeszczył oczy i cały gwałtownie zadygotał. Jego protesty przez krew napływającą do ust zaczęły brzmieć niewyraźnie.

– O Boże, nie! Proszę. Jeśli... jak... czy wasz rząd może mi zagwarantować bezpieczny wyjazd? W zamian za moją współpracę?

Trzeba było mu przyznać – nawet w największych opałach nie tracił rezonu.

– Myślę, że... zobaczmy... ach, no właśnie, zamordowani marines mogą stanowić tu pewną przeszkodę...

– Posłuchaj, my tylko obrobiliśmy zdjęcia i zorganizowaliśmy protest. Reszta... to był...

– Zaraz pokroję ci twarz. Czyjego nazwiska aż tak bardzo boisz się zdradzić?

Vaughan miał otwarte usta, wargi mu drżały.

– Tsu Yuntao.

Kovic powtórzył nazwisko, spojrzał na Zhou, potem na Wu. Nic im nie mówiło.

Cofnął nóż spod nosa Vaughana i przytknął czubek ostrza tuż pod jego wytrzeszczone, lewe oko. Kontynuacja sprawiłaby mu pewną ponurą satysfakcję, ale wiedział, że zmarnotrawiłby swoją zemstę na niewłaściwego człowieka.

– Widzisz, nie było tak trudno.

Zabrał nóż, wytarł ostrze o poduszkę i wsunął go w kieszeń pizamy Vaughana.

– Na wypadek, jakbyś chciał sobie podciąć żyły, kiedy wyjdziemy. Gdzie znajdę Tsu?

– Proszę, uwierz mi, nie wiem. Jeśli chodzi o Tsu, im mniej się wie, tym lepiej.

Kovic sięgnął i wyłączył dyktafon.

– Kiedy go znajdę, a znajdę na pewno, dopilnuję, żeby dostał kopię.

Głos Vaughana przeszedł niemal w sopran.

– Proszę! Dałem wam, po co przyszliście. Miej litość, na Boga!

– Skończyła mi się. Potrzebna nam lokalizacja.

Kovic skinął głową do Zhou, który ściągnął kołdrę. Na podwójnym, wielkim łóżu Vaughan wyglądał żałośnie, jakby sflaczał ze strachu, pozbawiony swojego głównego atrybutu – pychy. Usiadł na plamie własnego moczu i spróbował otrzeć nos rękawem.

– Możecie przynajmniej zdjąć mi ten drut? Proszę...

– Chiny to duży kraj. Gdzie jest twój klient?

Kovic poprowadził Vaughana do otwartego okna. Rozwiązał drut i położył rękę na ramieniu Anglika.

– Gdzie? – szepnął.

– Posłuchaj, to nie ma sensu. Nigdy go nie znajdziesz. Siedzi gdzieś

w górach.

– W Chinach jest dużo gór. W których?

– Nie wiem! Działa zdalnie, nigdy się nie pojawia osobiście.

Lekki powiew poruszył zasłonami.

– No to widzimy się na zewnątrz – powiedział Kovic.

Vaughan powiódł po nich wzrokiem.

– Co? Co masz na myśli?

Kovic ruchem głowy wskazał otwarte okno.

– Podobno większość ludzi traci przytomność, zanim uderzą o ziemię.

25

Huangpu, Szanghaj

Centrum dowodzenia Qi Linbau mieściło się za sklepem papierniczym jego ojca. Wchodziło się do niego przez kuchnię, wąskimi drzwiami, które wyglądały, jakby prowadziły do toalety, ale otwierały się na bardzo strome i krzywe drewniane schody. Klatka schodowa kończyła się na pozór ślepo – metalową płytą. Kovic, kiedy do niej doszedł, machnął ręką. Z niewidocznego głośnika dobiegł głos Qi.

– Podobno nie żyjesz.

– Tak słyszałem.

Metalowe drzwi odsunęły się w bok i ukazały pomieszczenie wyglądające jak skrzyżowanie studia telewizyjnego z warsztatem elektryka. Qi siedział przed rzędem monitorów. Niektóre wyświetlały ciągi cyfr, inne – wiadomości z wyłączonym dźwiękiem. Obrócił się i uśmiechnął szeroko.

– Znów w kłopotach.

– Nie większych niż ty.

– To już ten dzień?

– Jaki dzień?

– Dzień, w którym mnie wydasz.

Kovic się zaśmiał.

– O nie, to jeszcze nie koniec. A swoją drogą – jak bardzo nie żyję?

Qi wskazał ekrany.

– Wewnętrzny komunikat MBP, taka sama wiadomość została przekazana przez policję konsulatowi USA, ale nie wymieniono cię w niej jako agenta CIA, tylko jako funkcjonariusza publicznego. Ktoś cię kryje?

Hannah dotrzymała słowa. Nikt nie będzie go śledził – przynajmniej na razie.

– Czego ode mnie potrzebujesz?

Qi patrzył na niego z wyostrzoną uwagą. Kovic uświadomił sobie, czego obawia się Chińczyk: że nagła zmiana statusu jego kontrolera z CIA – z żywego na martwego – może oznaczać to samo dla niego, tyle że naprawdę. To nie chińskim władzom podpadł, lecz Amerykanom.

– Może tak: zrób nam obu kawę, a ja ci powiem, czego potrzebuję.

Qi zsunął się ze swojego obrotowego stołka, podszedł do nowiutkiego ekspresu i zaczął sypać do niego ziarna kawy.

Środowisko wywiadowcze w USA znało Qi wyłącznie jako Armisteadą, groźnego międzynarodowego cyberterrorystę, który przekazał chińskiemu wywiadowi duże ilości amerykańskich ściśle tajnych danych, a mimo to nie dało się go wytropić. Nie potwierdzono nawet, że działa z Chin. Waszyngton szczególnie irytował fakt, że Qi włamał się także do systemu elektrycznego Białego Domu, włączał i wyłączał światła w nieplanowanych porach, wywołując nie tylko zamieszanie, ale i powszechne zakłopotanie. Oburzenie Waszyngtonu tym przestępstwem było nieproporcjonalne do jego skali. Kiedy Kovic zawęził prawdopodobne miejsce pobytu Armisteadą do „gdzieś w Szanghaju”, Langley dało mu upoważnienie do „zneutralizowania” hakera.

Młynek ekspresu strzaskał nieprzyjemną ciszę wytłumionego pomieszczenia. Do swojej pracy Qi potrzebował siedziby odpornej na materiały wybuchowe i podsłuchy.

Zacierał ślady tak sprawnie, że znalezienie go byłoby niemożliwe, gdyby nie beztroska jego kontrolera z MBP. Kovic prześledził zgromadzone materiały i dotarł do średniej rangi agenta, który nie docenił wagi swoich informacji i zapisał je jak gdyby nigdy nic w bazie danych. Ją z kolei przeszukał inny informator Kovica, dzięki czemu Kovic mógł zidentyfikować niefrasobliwego agenta. Potem wystarczyło już tylko go obserwować, aż ten

spotka się z Qi.

Kovic mógłby na tym zbudować szybką karierę. Ale im dłużej przyglądał się Qi, tym bardziej rozumiał, że o wiele lepiej go nie usuwać, lecz zwerbować i wykorzystać po swojej stronie. Zorganizował dyskretną „wpadkę”, która nie ściągnęła uwagi MBP, ale była dość przykra; na tyle przykra, by przekonać Qi, iż będzie po nim, jeśli nie zgodzi się na współpracę. Langley powinno było docenić okazję, ale niechęć do Armisteadą w Waszyngtonie przybrała już takie rozmiary, że Kovic postanowił się z nim nie ujawniać i udawać, że wciąż go ściga.

– Układ jest taki: puszczam cię wolno, na dobre po tej ostatniej robocie. Ale to duże zlecenie, prawdopodobnie niebezpieczne i może się wiązać z koniecznością podróży.

Qi podszedł do niego z kawą. Był chudy, aż nieprzyjemnie było patrzeć, miał zapadniętą klatkę piersiową, a pod za dużym T-shirtem z Głową rodziny sterczały mu obojczyki. Z podbródka zwisała mu rzadka, przypominająca niezamiecioną pajęczynę broda, a nad jego górną wargą kiełkowały zaczątki nastoletniego wąsika. Wydatne kości policzkowe i grube powieki zdradzały mongolskie pochodzenie.

– Więzienna dieta nie wyszła ci na zdrowie.

Na szczęście niedawna odsiadka nie zdemaskowała Qi. Kovic napił się kawy. Była zaskakująco dobra.

– Myślałem, że wy tego nie znosicie.

– Grałem na spadek cen kawy, pomyślałem, że powinienem spróbować produktu.

– Napawasz się wolnością?

– W więzieniu nawiązałem dobre kontakty. Posadzili mnie z fałszerzem obligacji z giełdy Shenzhen. Interesujący facet. Z więzienia kupiliśmy i sprzedaliśmy dwa miliony hektarów w Wyoming. Lubię mieć rękę na pulsie. Poza tym dzięki temu się nie nudziłem.

– Dobrze na tym wyszedłeś?

Qi wzruszył ramionami.

– No dalej, ile straciłeś.

– To nie były moje pieniądze.

– Bo ty nie masz pieniędzy.

Teoretycznie internetowa biegłość Qi już dawno powinna była zrobić z niego miliardera, ale jego nie interesowały pieniądze. Liczył się tylko dreszcz emocji.

– Szczerze. Zarobiłeś cokolwiek?

– Nie, ale to było ciekawe wyzwanie. Zrobiliśmy to wszystko z telefonu komórkowego klawisza.

Qi wpadł, wykonując zlecenie dla Kovica. Kovic wynajął go do rozpracowania internetowych transakcji pewnego handlarza broni z ugrupowaniem terrorystycznym z Bali. Qi włamał się do ich systemu, udając klienta, a potem dokonał płatności umieszczonym w kodzie robakiem, który dobrał się do zagranicznych kont i wysłał z nich wszystkie fundusze. Ale handlarz bronią miał swoich ludzi w dziale zaopatrzenia chińskiego Ministerstwa Obrony; żeby zachować twarz, ministerialni śledczy potrzebowali kozła ofiarnego. Qi został zmuszony do odsiadki. Żeby złagodzić ten cios, Kovic załatwił przekierowanie dużej części skradzionej sumy na konto sklepu papierniczego rodziny Qi. CIA, zupełnie o tym nie wiedząc, w praktyce stało się dumnym właścicielem szanghajskiej firmy „Wanjoo. Artykuły papiernicze i biurowe”.

– Dobrze, od czego mam zacząć?

– Wczoraj zostawiłem jeden z twoich odbiorników w gumie do żucia w pewnym biurze w Jin Mao Tower. Nagromadził pewnie dużo różnych śmieci, ale mi zależy na wszystkim, co prowadzi do faceta nazwiskiem Tsu Yuntao.

Zapisał adres Parnham Vaughan, a potem naszkicował tatuaż z ognistą pięścią i trójzębem.

– Co to jest?

– Chcę wiedzieć, co oznacza ten tatuaż i co ma wspólnego z Tsu.

Qi wzruszył ramionami, jakby został właśnie poproszony o odebranie rzeczy z pralni.

– I już?

– Chcę wiedzieć o nim wszystko: gdzie działa, kim są jego wspólnicy, czym dysponuje – i jak go znaleźć. A kiedy go zlokalizujesz, będą mi potrzebne wszystkie dane o jego ochronie: jak go podejść, jak otwiera drzwi, kto nimi wchodzi i kiedy.

– Nie ma sprawy. A co zrobisz potem?

– Pojadę się z nim zobaczyć i prawdopodobnie go zabiję. W porządku?

Qi patrzył na niego bez słowa.

– Wszystko pasuje?

– Jasne, nie ma problemu.

Kovic podyktował mu swój nowy numer telefonu i wstał.

– Jeszcze jedno: potrzebuję numeru prywatnej komórki pewnego człowieka. Powinieneś go znaleźć gdzieś w bazie danych działu zasobów ludzkich Pentagonu.

Wziął notes i napisał: komandor Garrison, USS „Valkyrie”.

26

Fudan Road, Szanghaj

Huang Shuyi, dla przyjaciół – choć nie dla rodziny – Hannah, pomachała ojcu, wyszła z domu rodziców przy Fudan Road i ruszyła do swojego mercedesa.

– Bądź ostrożna, tam jest niebezpiecznie.

Jej ojciec miał szósty zmysł do wyczuwania kłopotów. Wcześniej siedział przyklejony do telewizora i oglądał transmisje z protestów.

– Nie wychylaj się dziś po prostu.

Wiedziała, co miał na myśli. Odkąd wróciła z Ameryki, martwił się jej zachowaniem, jej nowo nabytą skłonnością do ripost, do zapominania o swoim miejscu w szeregu.

– Dla własnego dobra – powiedział jej. – Są miejsca i chwile, w których lepiej się powstrzymać od kosmopolitycznego zachowania.

Swoimi radami wskórał tylko tyle, że zmienił ją na powrót w naburmuszoną nastolatkę. „Kosmopolitycznym zachowaniem” nazywał asertywność, traktowanie mężczyzn jak równych sobie – wszystko to, do czego przywykła w Ameryce i co teraz przychodziło jej naturalnie. Zmieniła się. Nie zamierzała tego cofać.

Jednak po spojrzeniach ojca domyślała się, że wiedział, iż dręczy ją coś jeszcze. W duchu pragnęła mu się zwierzyć z wczorajszego spotkania, ale nie śmiała. Jej nieposłuszeństwo by go przeraziło.

Zresztą co sobie wyobrażała? Jakim cudem ten nieokrzesany, poobijany, odrzucony przez CIA agent – do tego pewnie alkoholik – z niewątpliwym talentem do mandaryńskiego przekonał ją, żeby sprzeciwiła się poleceniom

przełożonych? Musi iść i wyjaśnić wszystko dyrektorowi, wziąć na siebie odpowiedzialność za swoje czyny, zanim wszystko wyjdzie na jaw. Zwerbowała go – tak mogłaby wszystko wyjaśnić – jest teraz jej informatorem. Jej szefowi na pewno by to zaimponowało.

Zaczynała wszystkiego żałować. Umyje ręce od całej tej sprawy z Kovicem.

Otworzyła drzwi samochodu i usiadła za kierownicą. W aucie czuła się lepiej. To był jej własny, osobisty wóz pancerny, narzędzie buntu. Odmawiała poruszania się rządowymi chery. Wszystkie śmierdziały środkiem odkażającym i trąciły nutką płynów ustrojowych, co wynikało z faktu, że częściej używano ich jako ruchomych burdeli niż do prawdziwej pracy wywiadowczej. Wyjęła kluczyki.

Coś było nie tak.

Zobaczyła kogoś we wstecznym lusterku. Kovic.

– Pomyślałem, że będziesz zainteresowana nowymi informacjami.

Obróciła się gwałtownie.

– Jak się tu, do cholery, dostałeś?!

– Jeden z moich ludzi dobrze sobie radzi z zamkami.

– Ale dlaczego?...

– Chciałem cię złapać, zanim udasz się do Piłki, na wypadek, gdybyś się rozmyśliła.

– Dlaczego sądzisz, że miałabym się rozmyślić?

– Bo byłoby to całkowicie zrozumiałe...

Kovic potarł oczy. Hannah uświadomiła sobie, że wygląda na skrajnie niewyspanego.

– ...oraz dlatego, że sprawy przybierają coraz gorszy obrót. Dziś rano jacyś ludzie zepchnęli mnie z chodnika.

– Pozwolisz, że pojedziemy? Spóźnię się.

– Jasne, jedź, możesz mnie wysadzić przy stacji Chifeng Road. Mam dla ciebie nazwisko.

– Jakie?

– Tsu Yuntao.

Jej jedyną reakcją był przelotny grymas, świadczący o tym, że wiedziała, o kim mowa.

– Czyli słyszałaś o nim. Tu masz nade mną przewagę.

– Nie powiedziałam, że słyszałam.

– Daj spokój, Hannah, oboje nas tego uczyli. Co o nim wiesz?

– Wiem tylko, że zajmuje się prywatną ochroną osób publicznych.

– Jin Jié?

– Nie, Jin Jié szczyli się tym, że nie ma goryli. To ważna składowa jego wizerunku.

– No to mu powiedz, że musi być ostrożny. Ta antyamerykańska nagonka może się odbić i na nim, skoro tak go tam kochają.

Kovic utkwiał spojrzenie w Hannah w lusterku.

– Nasza umowa ciągle obowiązuje? Obawiałem się, że po namyśle może ci się wydać nienajlepszym pomysłem.

Hannah nie chciała dać mu satysfakcji, potwierdzając, że ją przejrzał.

Wzięła głęboki oddech.

– Nie, nie, wszystko zostaje po staremu.

Zobaczyli przed sobą stację metra.

– Dam ci znać, jak dowiem się czegoś więcej.

Otworzył drzwi i zniknął.

27

Huangpu, Szanghaj

– Chcesz mojej rady?

– Nie, tylko informacji.

Kovic zaczynał się niecierpliwić. Czas uciekał.

Qi popatrzył na Wu i Zhou, potem znów na Kovica.

– Wracaj do domu. Natychmiast. Pierwszym dostępnym samolotem.

Słyszając to, Kovic tylko się uśmiechnął. Qi wypuścił z dłoni tablet, którym się wachlował, i złapał się za głowę.

– Igrasz z ogniem, człowieku. Nikt nie fika temu facetowi, nawet najpotężniejsi.

Kovic uciszył go podniesionym palcem.

– Przyjąłem do wiadomości. A teraz proszę o fakty.

Qi westchnął. Przegrał już z Kovicem wiele starć i wiedział, kiedy się poddać. Kovic wiedział natomiast, że Qi za niczym nie przepada tak, jak za odgrywaniem roli wyroczni, zwłaszcza przed widownią. Jak na hakera-samotnika był zaskakująco towarzyski.

– No dalej, mów, co masz. Przecież wiem, że chcesz.

– Po pierwsze, Tsu tak naprawdę wcale nie jest Chińczykiem. Urodził się w Ameryce, ale nie wyobrażaj sobie, że coś go łączy z gwiazdzistym sztandarem, chyba że akurat podciera nim sobie dupę.

– Interesujące. Mów dalej.

– Jego ojciec wyjeżdża do Los Angeles pod koniec lat czterdziestych, po tym, jak znajduje się po niewłaściwej stronie rewolucji. Dobrze tam sobie

radzi, zostaje grubą rybą w Chinatown. Tsu wychowuje się w luksusie, niczego mu nie brakuje, ale to samotnik, nie potrafi stworzyć więzi z rodziną ani przyjaciółmi. W prestiżowej szkole jest mu bardzo ciężko, więc zaczyna przejawiać antyspołeczne zachowania, które nawet zdaniem jego ojca są wysoce podejrzane. Nie uderza w samych dręczycieli, ale w ich matki. Uwierz mi na słowo, nie chcesz znać szczegółów. Policja Los Angeles nazwała to gwałtami ze szczególnym okrucieństwem, ale to bardzo delikatne określenie. Zanim gliniarze dodają dwa do dwóch, ojciec wysłała go na wygnanie do Szanghaju. Nie mógł tego zrobić w lepszym czasie. Tsu przyjeżdża tu w roku 2000, akurat, kiedy wszystko się rozkręca. Próbuje więc odtworzyć dawny gang ojca.

– To trójzęb w tatuażu.

– Zgadza się. Odnajduje synów członków dawnego gangu, ale oni zajmują się tradycyjną robotą – napadami, oszustwami, wymuszeniami, przemytem, narkotykami, hazardem, prostytutką. Dla Tsu to nuda. Wtedy odwiedza go starszy facet, który twierdzi, że należy do grupy o nazwie Płonąca Pięść.

– Słyszałem o nich, to supertajna straż Mao.

– Wszyscy dożyli już swoich lat, ale jako członkowie aparatu partyjnego mieli doskonałe kontakty. Bały się ich i poważyły nawet grube ryby. Facet z Pięści podsuwa Tsu lepszy pomysł. Jako wychowany w Ameryce Tsu zna się na bogactwie, wie, co się z nim wiąże, jak komplikuje ludziom życie. Facet z Pięści mówi mu, jak trzymali w szachu ludzi Mao, pozornie oferując im ochronę.

Wu podniósł rękę jak uczeń w klasie.

– Mówisz o ochronie osobistej, tak? – Wskazał Zhou. – Do obrony przed ludźmi takimi jak on?

– Nie ma więcej takich jak ja – odparł Zhou z wyrzutem.

– Ochrona, tak – ale na zupełnie innym poziomie. Jaki jest sens mieć

majątek, skoro człowiek przez cały czas boi się, że ktoś mu go ukradnie? Paranoja to największe zmartwienie szanghajskich superbogaczy. Dlatego Tsu, potomek kryminalistów, zostaje pionierem w branży zapobiegania przestępczości. Oferuje całodobowy full-serwis pierwszemu pokoleniu szanghajskich milionerów – dostarcza im kierowców, ochroniarzy, pokojówki, ludzi do wyprowadzania psów, do wożenia dzieci do szkół. Instaluje systemy alarmowe w ich domach, podłącza je do centrum kontrolnego, które na okrągło monitoruje nieruchomości, samochody, sekretne mieszkania dla kochanek. Ale cały myk polega na tym, że robiąc to, dowiaduje się o nich wszystkiego. To mu daje zajebistą władzę. Jeśli chce, może kontrolować ich życie. A ponieważ zdominował rynek, nikt nie śmie wynająć nikogo innego. I nie ma nawet mowy o zerwaniu kontraktu.

Kovic pokręcił głową.

– Prywatna tajna policja; jak to możliwe, że wcześniej o tym nie słyszałem?

– Bo facet z Pięści nauczył Tsu także zalet niewidzialności. To tajna społeczność. Gangi to awantury, wypasione bryki, wojny o terytorium. Tsu to ich zupełne przeciwieństwo. Tak naprawdę nie robi tego dla pieniędzy, lecz dla władzy.

– W takim razie wytłumacz mi, po co angażował się w ten nadgraniczny incydent w Północnej Korei?

Qi wzruszył ramionami.

– Pas.

– Dlaczego nic o nim nie wiadomo? To jakiś samotnik?

– Zgadza się. Pojawia się czasem tylko wtedy, kiedy do odwalenia jest jakaś brudna robota. Lubi pokazywać swoim ludziom, że jest najtwardszy. Kręci go to.

Kovic przeciągle wypuścił powietrze.

– To może być jego słaby punkt.

Wszyscy obejrzeni się na niego.

– Najwyraźniej nie panuje do końca nad żądzą krwi. Coś takiego może się w końcu obrócić przeciwko niemu.

Rozejrzał się; chyba nikogo to nie przekonało.

– To tylko taki pomysł. No dobrze, Qi, skąd wzięłeś to wszystko?

– Wydobyłem ze zarchiwizowanych akt MBP. Człowiek, który sporządził te notatki, był oficerem jednostki antyterrorystycznej – tydzień po złożeniu dokumentów został otruty. Jego następca pierwszego dnia roztropnie wysłał dane do archiwum i nikt ich od tamtej pory nie dotykał. To było trzy lata temu.

– A gdzie go znajdziemy?

– My?

– Przecież uprzedzałem.

Qi złapał się za głowę, jakby bał się, że wypadnie z niej mózg.

– Nie, nie, nie. Ty nie rozumiesz. Wywinąłeś mu się na granicy, jego ludzie przyszli po ciebie w mieście. Spalili ci dom i kobietę.

– W takim razie dobrze się składa, że myślisz, że nie żyję.

– Tyle że jak w końcu się dowie, że żyjesz, będzie cię ścigał, dopóki cię nie dopadnie.

– Nie, to ja dopadnę jego. Pokaż mi tylko, gdzie się obraca.

Qi odwrócił się do swoich monitorów.

– Tego nie znajdziesz w Google Earth.

Wyświetlił stronę z napisem: „Ten obraz jest niedostępny”.

– Wszystkie zdjęcia zniszczył albo skasował, oprócz jednego, z 1992 roku, które zostało błędnie skatalogowane. Tutaj.

Stuknął w klawiaturę. Na ekranie pojawiło się ziarniste, czarno-białe zdjęcie. Przedstawiało nawet nie górę, a wielki kamienny komin, jakby jakaś

płynna substancja wystrzeliła spod skorupy ziemskiej i zastygła. Qi powiększył widok. Podstawę i otaczające wzgórza porastał gęsty las. Na szczycie skały wznosił się mur, a za nim kilka budynków wyglądających jak ruiny.

– Niewiele z tego wynika... – Kovic zauważył, że ma dziś wyjątkowo krótki lont.

Qi podniósł rękę jak średniowieczny goniec z ważnymi wieściami z pola bitwy.

– Patrz.

Stuknął w klawisze i olbrzymi monitor nad jego biurkiem ożył, ukazując satelitarny widok zalesionego łańcucha górskiego, poprzecinanego pasmami chmur.

– Góry Huang Shan: dla rakiety to pięćset kilometrów od Szanghaju.

Siedem godzin jazdy.

Qi powiększył obraz.

– Budynek to szkoła sztuk walki pochodząca z V wieku. Stał aż do lat dwudziestych ubiegłego stulecia, kiedy na krótko zajął go lokalny watażka. Większość drewnianych zabudowań została zniszczona w bitwie z rywalem, po której odbudowali je mnisi. Ale podczas rewolucji kulturalnej miejsce znów padło ofiarą ataku, tym razem ze strony Czerwonej Gwardii, która powiesiła mnichów na długich linach z krawędzi urwiska, z tabliczkami na szyjach, wymieniającymi ich rzekome zbrodnie przeciwko państwu. Wykorzystali ich w propagandowych filmach – to jedyne ruchome ujęcia tej skały.

Nacisnął klawisz i uruchomił następny ekran. Podniszczone czarno-białe zdjęcia ukazywały trzech nieszczęsnych mnichów dziobanych przez ptaki.

– To zły znak – stwierdził Wu.

– Nieważne, patrzcie na tę drabinę prowadzącą ku górze!

Kovic zerwał się ze stołka i wskazał na nią.

– Widzicie?

Wyświetlił dwa kolejne zdjęcia, także robione z ziemi. Przez roślinność przezieriała bardzo długa, wąska, bambusowa drabina i dwie maleńkie jak mrówki sylwetki wspinających się po niej ludzi.

– Kto je zrobił?

– Członek programu wymiany studenckiej, trzydzieści lat temu. Pisali do czasopisma. Zgadnij, jak się nazywało. „Otwarte Chiny”. Nieźle, co?

Nikt się nie odezwał. Wszyscy domyślali się, co Kovicowi chodzi po głowie i mieli nadzieję, że się mylą.

Qi włączył następny ekran. Poruszył małą dźwigienką na tablicy sterującej, przybliżając widok skalnego słupa wyrastającego z morza chmur. Siedziba Tsu z góry.

– Ładne. Jakim sposobem to widzimy?

– Rosyjski satelita meteo. Przejąłem sterowanie. We Władywostoku myślą, że to awaria zasilania – częsta usterka w ich sprzęcie, więc nawet nie pomyślą, że dzieje się coś dziwnego.

– Wygląda inaczej.

– Mury zostały przebudowane, pod warstwą zarośli dodano cały nowy kompleks, w dużej mierze wykuty w skale. Dziedziniec to lądowisko dla śmigłowców. Widzisz Z-8?

Między budynkami majaczył kształt dużego, wojskowego śmigłowca.

– Czyj to?

– Zarejestrowany na firmę przewozową w Guamie. Tsu jako taki nie posiada żadnych maszyn latających.

Qi kursorem zatoczył kółko nad obszarem jeszcze gęstszej roślinności.

– Ma tam dwudziestoosobowy personel, ale pomieściłoby się jeszcze z pięćdziesiąt osób; całość jest o wiele większa, niż się wydaje. Jego własna

kwatery zmieści sześciu gości. Jest tam odrębna kuchnia, basen, siłownia i hydroponiczny ogród warzywny. Może się odciąć od całego świata. Ma niezależne hydroelektryczne źródło zasilania i zapasy jedzenia na rok. To praktycznie stacja kosmiczna, tyle że na Ziemi.

– Kto korzysta z pomieszczeń dla gości?

– Nie wiadomo. To log wszystkich startów i lądowań śmigłowca z ostatnich sześciu tygodni. Niewiele nam mówi, bo nie mamy nagranych numerów rejestracyjnych, ale to wszystko wielkie, wypasione, prywatne Z-ósemki. Ponieważ można się tam dostać tylko z powietrza, może to po prostu zaopatrzenie.

– On naprawdę tak działa? Czy tylko naoglądał się za dużo Jamesa Bonda?

– Naprawdę. Wszystko stamtąd kontroluje. Posiada prywatny kanał satelitarny i własną sieć komórkową, która łączy tylko jego ludzi. Ma bezpośredni, osobisty kontakt ze wszystkimi swoimi ludźmi w terenie. To jego oczy i uszy. Kiedy spotykają się z klientami, noszą odbiorniki, dzięki czemu Tsu słyszy rozmowy i może im wydawać polecenia w czasie rzeczywistym. Kiedy pracujesz dla Tsu, nigdy nie jesteś sam. Zawsze masz go w słuchawce. Przestajesz nadawać – po tobie. Wysyła człowieka, który cię zastępuje.

– Możemy go podsłuchać, wybadać?

– Jasne, jeśli masz wolne sześć tygodni. Codziennie używa innego szyfru, nigdy tej samej sekwencji dwa razy w roku. Ma ich 365; zanim którąś złamię, przerzuca się na inną. Ma także jeszcze jeden system łączności z zupełnie już kosmicznym zestawem protokołów.

– Możesz go opisać?

– Przypomina sygnał zagłuszający, szum, zakłócenia, trwa krócej niż sekundę, więc nie można go nagrać ani poddać analizie, po prostu rozplywa się w eterze. A teraz uważaj: dwadzieścia cztery godziny temu radiooperator

na USS „Valkyrie” przesłał depezę do NSA w Fort Meade, meldując o identycznym sygnale dochodzącym... zgadnij skąd?

Kovicowi serce zabiło szybciej.

– Z północnokoreańskiej granicy?

Qi kiwnął głową.

– Prosto do Chin.

Kovic wstał.

– A więc to człowiek, którego szukamy, bez dwóch zdań. Kiedy zaczynamy?

Wszyscy zamarli, jakby czas się zatrzymał. Kovic poklepał Zhou po ramieniu.

– Zhou, dostawałeś się już do różnych dziwnych miejsc.

Włamywacz popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Rzeczywiście chcesz tam jechać?

– Tam go znajdziemy.

Spojrzenie Kovica powędrowało do Wu.

– Myślę, że po wczorajszym jesteś gotowy.

Wu patrzył na szefa. Nigdy mu się nie sprzeciwił, ale też nigdy wcześniej o coś takiego Kovic jeszcze go nie prosił.

Qi był wyraźnie zadowolony z siebie, jakby jego rola się skończyła. Kovic położył mu rękę na ramieniu.

– Twój sprzęt zmieści się w plecaku, prawda?

Qi zrzędkła mina.

– Stary, ja pracuję z wewnątrz – wskazał monitory. – To tu jest moje pole bitwy.

– Nie dostanę się tam bez ciebie. Mają najnowocześniejsze systemy zabezpieczeń. Ktoś będzie też musiał wyłączyć ich alarmy, zasilanie.

Pozostali dwaj wpatrywali się intensywnie w podłogę. Gdyby jeden się zgodził, rozumował Kovic, reszta poszłaby za nim. Utrata twarzy jest dla nich gorsza niż upadek z najwyższego urwiska.

– Nieźle wredny z ciebie sukinsyn – odezwał się Qi. – Specjalnie pytasz nas przy pozostałych. Nie tak się załatwia takie sprawy w naszej kulturze.

– Nie wyjeżdżaj mi tu z pieprzeniem o waszej kulturze, za dobrze się znamy. Mam do dyspozycji cały Szanghaj; młodych mężczyzn, którzy zrobią wszystko, żeby udowodnić, co potrafią, zarobić grube pieniądze, może darmową podróż do USA...

28

Przyszedł SMS od Qi z numerem i kodem do bezpiecznego telefonu Garrisona. Kovic wpatrywał się w niego dość długo. Skoro „Valkyrie” przesłała wiadomość o niezwykłym sygnale do NSA, to komandor musiał to sankcjonować. Kovic myślał też o tym, że skoro to Garrison wybrał marines do misji, zależy mu także na wyjaśnieniach. Na pewno widział już zdjęcia; będzie dzwonił do rodzin, stawiając czoła pytaniom, na które nie zna odpowiedzi, bo Cutler bez wątpienia ograniczył się do standardowych, agencyjnych bajeczek.

Ale telefon do Garrisona był dość ryzykowny; Kovic mógłby stracić swój wyjątkowo przydatny kamuflaż nieboszczyka. Do tego dochodziła kwestia syna komandora, gorliwego młodego marine, który pod dowództwem Kovica zginął w Afganistanie.

Garrison miał o nim jak najgorsze zdanie; teraz wystarczyłoby tylko, żeby zadzwonił do Cutlera i Kovic byłby spalony. Ale jeśli na całym świecie żył ktoś, kto podzielałby pragnienie zemsty Kovica, to właśnie komandor. Gdyby coś poszło nie tak, gdyby misja się nie powiodła i gdyby kopnął w kalendarz, to przynajmniej po amerykańskiej stronie zostałby ktoś, kto mógłby z jego wiedzą zrobić coś więcej, niż ją pogrzebać – co najpewniej uczyniłby Cutler.

Komandor odebrał po jednym dzwonku.

– Sir, tu Kovic.

Cisza w słuchawce trwała kilka sekund.

– O kurwa mać. Co pan robi na tej linii, do ciężkiej cholery? Jakim cudem w ogóle pan żyje?

Kovic słyszał szybkie, gniewne sapanie, oddech studwudziestokilowego,

niewyspanego, sześćdziesięciodwuletniego komandora marynarki wojennej po szóstej kawie, do którego na prywatną komórkę zadzwonił człowiek odpowiedzialny za śmierć jego sześciu marines, nie wspominając o jego własnym synu. Czuł jego wściekłość z odległości dwóch i pół tysiąca kilometrów, która teraz zupełnie nie wydawała się duża.

– Proszę przyjąć moje najgłębsze wyrazy współczucia z powodu pańskich ludzi, sir.

– Już to przerabialiśmy, agencie Kovic, prawda?

Po śmierci Tommy’ego Kovic nie raz próbował się skontaktować z Garrisonem, ale komandor nie odbierał telefonów. Napisał więc do niego list. Rozmawiali tylko raz, podczas przygotowań do operacji „Highbeam”, i to wyjątkowo krótko.

– Niestety tak, sir.

– Przed chwilą rozmawiałem z matką sierżanta Olsena. Pytała, dlaczego zwłoki jej syna pojawiają się na serwisach udostępniających zdjęcia i dlaczego rząd USA nie może tego przerwać.

Kovic nie potrafił udzielić mu odpowiedzi, więc milczał. Skoro Garrison musiał się na kimś wyładować, czemu nie na nim? Trudno powiedzieć, czy byłoby inaczej, gdyby misją dowodził ktoś inny, ale teraz nie miało to znaczenia. Komandor zdążył się rozkręcić, odpowiedział pewnie na sto pytań Pentagonu i drugie tyle z biura prasowego marynarki, usiłując wyrzeźbić oświadczenie, które nie powiększyłoby upokorzenia Ameryki bardziej niż to koniecznie – podczas gdy CIA milczała.

– Powie mi pan, jakim cudem żyje? Pana szef uważa pana za trupa.

Jeśli tak właśnie twierdził Cutler, niech będzie.

– To może być tylko kwestia czasu, wystarczy, że ludzie, którzy zabili pańskich marines, dowiedzą się, że ciągle jestem w obiegu.

Opowiedział o pożarze i Louise.

– Jest pan całkiem niezły w unikach. Dlaczego pan myśli, że nie złapię za telefon i nie zadzwonię do Cutlera z informacją, że pan żyje?

– Bo podejrzewam, sir, że tak samo jak ja ma pan wątpliwości co do tego, co się naprawdę wydarzyło, i że wyjaśnienie, jakie przedstawił panu Cutler – jakie by ono nie było – postawiło tyle samo nowych pytań, na ile panu odpowiedziało.

Garrison przetrwał to w milczeniu – dobry znak.

– Natknęliście się na patrol KRLD. CIA uważa pana za winnego, wie pan o tym? Ich zdaniem to pan spieprzył sprawę.

– Sądzę, że to o wiele bardziej skomplikowane, sir.

Garrison przeciągle westchnął.

– Na pewno chcę tego słuchać?

– W skrócie – wystawili nas. Wiedzieli, że przylecimy. Albo od samego początku byliśmy wrabiani, albo był przeciek i urządzili na nas zasadzkę. Tak czy inaczej, informacje były trefne, a wina za to spada na Langley. Co oznacza tylko jedno.

– Mianowicie?

– Że nigdy nie uda się wyciągnąć od nich prawdy.

– A co pan zamierza z tym zrobić?

– Zamierzam pana prosić o pomoc.

– Kovic, jedno muszę panu przyznać. Ma pan kurewsko wielki tupet.

– Z tego słynę.

Opowiedział komandorowi o Tsu i swoim planie dotarcia do niego.

Kiedy ubrał to wszystko w słowa, pomysł zabrzmiał niedorzecznie i obaj o tym wiedzieli.

– Ma pan rację, faktycznie potrzebna panu pomoc, ale ja nie jestem psychiatrą.

Kovic czuł, że Garrison ma ochotę się rozłączyć.

– Pana okręt zameldował NSA o niestandardowym sygnale.

– Skąd pan to wie?

– Sygnał pochodził z koreańskiej granicy, został przekazany gdzieś w głąb Chin. – Kovic szybko przeczytał współrzędne. – Ta lokalizacja to górská siedziba Tsu. To jest właśnie ten człowiek, którego szukamy, sir. Zamierzam pana poprosić, żeby pańscy ludzie zaczęli nasłuchiwać podobnych sygnałów i zapisywali współrzędne nadania i odbioru każdego z nich. Może nie rozszyfrujemy treści, ale koordynaty odbioru pewnie mogą nam coś powiedzieć.

– Chwyta się pan brzytwy, Kovic.

– Tylko to mi zostało.

– I numer mojej prywatnej komórki.

– Tak, sir, muszę pana poprosić, żeby pan wyjął i zniszczył kartę SIM, kiedy skończymy.

– Myślę, że już skończyliśmy.

W słuchawce zapadła cisza.

29

Autostrada G60, siedem godzin na zachód od Szanghaju

– Kovic, obudź się. Mamy problem.

Wu, siedzący za kierownicą, zwalniał.

Kovic, który jechał z tyłu obok Qi, niechętnie ocknął się z głębokiego i krzepiącego snu.

– Duży czy mały?

– Może być duży. Przed nami punkt kontrolny. Przeszukują samochody.

Qi zamknął laptopa i schował go w skrytce pod przednim siedzeniem.

– Wojsko czy policja?

– Ani jedno, ani drugie. Ci goście nie mają żadnych oznaczeń.

– Witamy we włościach Tsu.

Godzinę wcześniej zjechali z szosy Hangrui, która prowadziła prawie idealnie na zachód od Szanghaju. W miejscu, gdzie łagodnym łukiem skręcała na południe, opuścili świeżo wylany, czarny asfalt i odbili na północ, jadąc po coraz gorzej utrzymanych drogach, biegnących przez gęsty las, za którym wznosiły się pierwsze szczyty gór Huang Shan.

Zajęli miejsce w kolejce samochodów, głównie ciężarówek i minibusów. Wszyscy przygotowali się na pierwsze spotkanie z potencjalnie wrogo nastawioną władzą. Wu i Zhou mieli na sobie niebieskie kombinezony robocze. Mieli twierdzić, że jadą podpiąć „ciotce” Wu, pani Chen, bardzo potrzebną bieżącą wodę i podłączyć posesję do miejskiej kanalizacji. Na pace pikapa mieli rury, kolanka, klucze, nawet sedes: wszystko, co potrzebne, żeby przekonać każdego strażnika, że naprawdę są hydraulikami. Qi był studentem, który spóźnił się na autobus wiozący jego grupę w góry na

wycieczkę i musiał łąpać stopa. Jego historyjka miała tłumaczyć obecność sprzętu do wspinaczki. Qi przygotował dla wszystkich odpowiednie dokumenty.

Sam Kovic był Rayem Nymanem, instruktorem walki wręcz, byłym agentem sił specjalnych, a teraz działającym na własną rękę specjalistą od ochrony. Dla chińskich władz Afryka była neutralna, nie stanowiła żadnego zagrożenia, więcej – Chiny robiły tam dużo interesów. Na wszelki wypadek Kovic miał przy sobie sto tysięcy juanów, z których część zaszyl w ubraniu.

Kiedy podjechali do kontroli, było już prawie ciemno. Zacinający deszcz spływał po przedniej szybie. Gdzieś z przodu dobiegły ich odgłosy szamotaniny i krzyk: „Na ziemię, ale już!”, który nie wróżył nic dobrego.

– Lepiej włącz do trumny – powiedział Wu. – Chyba są w złym humorze. Mogą źle zareagować na widok cudzoziemca.

Najmniej lubianą przez Kovica częścią szkolenia na Farmie było „przetrwanie porwania”, polegające na zamykaniu kursantów w klaustrofobicznie ciasnych miejscach, na przykład takich jak bagażnik samochodu, i wywożenie gdzieś w teren, gdzie instruktorzy wrzeszczeli na nich, oskarżali, że są imperialistycznymi, niewiernymi świniami z CIA i tak dalej, czasem przez bardzo długi czas. Kovic potrafił znieść ekstremalne metody przesłuchań, ale na myśl o zamknięciu w bagażniku oblewał go zimny pot. Naturalnie nigdy się do tego nie przyznał, inaczej oblałby tę część kursu i zostałby uznany za nienadającego się do służby na najlepszych placówkach. I tak się złożyło, że ani razu podczas całej swojej kariery nie musiał tego robić na serio. Nie przypuszczał, że czeka go to w Chinach, i to z rąk własnego zespołu.

Pod tylną kanapą great wall wingle’a kuzyn Wu wygospodarował schowek. Umieścili tam elektroniczne gadżety podsłuchowe Qi, a także półautomatyczny karabin snajperski QB-88 z lunetą i noktowizorem, który Kovic kupił dla Wu, plus cztery pistolety QAZ-92. Teraz miał się tam

zmieścić także on sam.

Wu nazwał skrytkę trumną. Kovic żałował, że nauczył go tego słowa, ale stało się. Chińczyk uważał je za przezabawne.

– Potraktuj to jako zemstę – podsunął Qi.

– Za co?

– Z góry – za to, co każesz nam robić.

Podniósł siedzisko kanapy, a Kovic wsunął się do skrytki. Było w niej gorąco, ciemno, śmierdziało ropą i świeżą farbą. Zapobiegliwie kuzyn wywiercił dwa otwory do oddychania.

– Ilu ich widzicie? – spytał Kovic z kryjówki.

– Dwóch, plus mały minibus, pusty. Wygląda na to, że chcą tylko jasno pokazać, kto tu rządzi.

– To jakieś osiłki?

– A co, planujesz ich załatwić?

– Jeśli będą robić trudności, może będzie trzeba. Ich mundury mogłyby się nam przydać, bus też. O ile Wu zgodzi się wypuścić z rąk swojego wingle'a.

Dowcip był czerstwy i sztubacki, ale przynajmniej pozwolił Kovicowi na chwilę zapomnieć, że jego skulone ciało wypełnia objętość odpowiadającą bagażowi podręcznemu.

Pani Chen uprzedziła go, czego się spodziewać po miejscowej policji – że jej komendant jest marionetką Tsu i kieruje podwładnymi, jakby stanowili jego prywatną armię. „To bandyci – ostrzegła – ale ponieważ jesteśmy w Chinach, powinni się skusić na gotówkę”.

– Dobra, ludzie, których przeszukiwali, jadą dalej. Biorą się za samochód przed nami.

– Kierowca podał dokumenty przez okno – powiedział Zhou. – Otwierają bagażnik.

Zaczął się śmiać.

– Co się dzieje? – W trumnie robiło się gorąco. Kovic zaczął lepić się od potu.

– Trzy kozy. W bagażniku. O, wyciągają kierowcę. Macha papierami. Gliniarz wyrwał mu je z rąk. A kozy próbują uciekać!

Coś trzykrotnie głośno huknęło i zapadła cisza. To nie byli zwykli nadgorliwi gliniarze.

– Komuś gulasz z kozy?

– Naprawdę powinniśmy uważać – powiedział Qi.

Zszokowanego kierowcę wepchnięto z powrotem do samochodu i machnięciem ręki przepuszczono dalej. Policjant schował rewolwer do kabury.

Wu ruszył i zatrzymał się przy jego wyciągniętej ręce. Podał przez okno dokumenty wszystkich trzech.

– Spoza okręgu.

Twarz policjanta zastygła w grymasie dezaprobaty.

Wu wszedł na wysokie obroty. Mimo niewygody swojej kryjówki Kovic uśmiechnął się, rozbawiony oporem Chińczyka wobec biurokracji – nawet wymachującej bronią.

– Moja ciotka jest bardzo szanowana w Fenju i całą tamtejszą społeczność martwi, że osoba o jej statusie nie posiada należytej kanalizacji.

– Zamknij się, mam to w dupie.

– Nie, proszę posłuchać. Powiedziała, że w razie problemów mamy prosić o rozmowę z komisarzem.

Kovic słyszał, że za nimi ustawiają się następne ciężarówki. Przy odrobinie szczęścia policjanci mogliby stracić zainteresowanie i zająć się kolejką.

– Cicho! Zjedź na bok i wysiadajcie, wszyscy!

Wu zrobił, co mu kazano, nie przestając protestować. Kovic zastanawiał się, ile czasu to potrwa. Już teraz było mu ciężko oddychać, a od wdychanych oparów łomotała go głowa.

– Dobra, spokojnie, panowie, bez szaleństw – szepnął raczej do siebie niż do kogokolwiek innego. To była prywatna armia Tsu – odpowiadali tylko przed nim. Nikt by się tu nie przejął zabitą kozą czy zabitym człowiekiem. Wu cały czas dawał głośno wyraz swojemu oburzeniu, a Zhou szeptem opisał sytuację Kovicowi.

– Obaj są młodzi, ten z półautomatem wygląda na słabego, do tego ma mocny trądzik. Przeglądają wszystkie rury na pace.

Kovic czuł, jak przekładają ładunek, nieprzyjemnie blisko niego.

– Ostrożnie, nie porysujcie.

Wu mówił z należyтым oburzeniem. Strażnik z ostentacyjną pogardą upuścił coś, co załomotało głośno centymetry od ucha Kovica.

Qi, który dotąd milczał, teraz się odezwał.

– Czy dopuszczalne jest uiszczenie opłaty pieniężnej w celu przyspieszenia kontroli naszych dokumentów?

Ładnie to ujął, pomyślał Kovic. Po odsiadce haker stracił trochę swojej wrodzonej arogancji.

Usłyszał szelest i szcęk odbezpieczanej broni. Tyle w temacie „odpowiedzi łagodnej, uśmierzającej zapalczywość”. Z drugiej strony Biblia nigdy nie była zbyt dobrym materiałem szkoleniowym.

– Nie ruszać się! Próba przekupienia funkcjonariusza to wyjątkowo ciężkie przestępstwo! Jedzicie z nami do kwatery głównej.

Kovic pomyślał, że wobec tego równie dobrze mógł zostać w kabinie, tam przynajmniej mógłby się na coś przydać i normalnie oddychać.

– Wsiadać do samochodu, wszyscy z przodu, żebyśmy was widzieli. Natychmiast jedziemy do kwatery głównej! Feng, siadaj ze mną z tyłu,

żebyśmy mieli ich na oku.

Cholera, pomyślał Kovic. Plus – przedostaliśmy się. Minus – ciągle tkwię pod tym cholernym siedzeniem. Wu uruchomił silnik; w twarz Kovica dmuchnęło przez otwory gorące powietrze. W tych warunkach nie wytrzyma do centrum dowodzenia. Próbował przypomnieć sobie mapę i obliczyć, jak daleko są od gór. Nie miał pojęcia, gdzie jest ich baza. Umrze z braku tlenu w tym prowizorycznym grobowcu, pod dwoma kutasami – i to dosłownie.

Wu jechał szybko – wychodząc z założenia, że im szybciej dotrą na miejsce, tym szybciej Kovic będzie mógł wyjść. Kovic poczuł, jak tylne koła zarzucają na żwirze. Zaraz potem usłyszał nad sobą ostrą reprimendę i odgłos mocnego uderzenia.

– Nie tak szybko.

Miał już dość. Pomacał dookoła siebie, szukając broni. Czuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie od gorąca i wyziewów. Jego dłoń zacisnęła się na kolbie jednego z QSZ. Wycelował, jednocześnie usiłując jak najdalej odsunąć głowę.

30

– Mój kuzyn na pewno nie będzie zadowolony – powiedział Wu, oglądając zniszczenia w kabinie samochodu. Skręcili w wyboistą, leśną drogę, żeby się przegrupować i pozbyć trupów policjantów. Deszcz ustał, mokry las pachniał prawie przyjemnie.

Kovic oddychał głęboko, chcąc oczyścić płuca.

– W Bejrucie pewien facet z żoną założyli firmę „Czyszczenie parą miejsca zbrodni”. W tamtych czasach robili na tym świetne pieniądze.

– Jasne, tyle że nie jesteśmy w Bejrucie.

Tyłna kanapa była w strzępach, podsufitka i tylne drzwi zachlapane krwią i strzępami tkanek.

– Przynajmniej mamy góry ich mundurów. Tylko spodni szkoda.

Kovic zaczął kopać płytki grób dla strażników saperką hydrauliczną. Zhou usiłował ściągnąć bluzę munduru z jednego z trupów. Qi, stojąc kawałek dalej od zabitych, majstrował przy ich radiach. Milczał, odkąd Kovic ich zastrzelił.

– Niezupełnie tego się spodziewałeś, co?

Qi wzruszył ramionami.

– Przy tobie staram się niczego nie spodziewać.

– To jest nas dwóch.

Kovic uznał, że trzeba okazać trochę współczucia.

– Jeśli postanowisz się wycofać, zrozumiem.

Qi skinął głową, ale obaj wiedzieli, że to nie wchodzi w grę. Spłacał przecież dług za ochronę przed długim ramieniem amerykańskiego prawa.

Zhou metodycznie przeszukiwał kieszenie zabitych, opróżniając je

z zawartości. Zadzwoił znalezionymi kluczami.

– Pewnie do minibusa.

Kovic obejrzał znalezisko.

– Dobra. Wu i Zhou, zakładacie te bluzy i jedziecie po minibusa. Ja skończę z tymi dwoma.

Po ich minach widział, jak bardzo byli wstrząśnięci. Dla niego zastrzelenie dwóch strażników było po prostu środkiem do celu, przypomnieniem, jak daleko jest gotów się posunąć. Dla pozostałych misja weszła właśnie na wyższy poziom abstrakcji. Patrzyli na niego, wszyscy trzej.

– Nie obiecywałem, że będzie lekko, łatwo i przyjemnie.

Wiedział, że robi im przysługę, biorąc na siebie pochówek.

– Qi, jedź z nimi. Zabierz radia, spróbuj wymyślić, jak zakłócić im łączność, żebyśmy mieli jakiś kamuflaż i zyskali trochę czasu.

Patrzył, jak wsiadają do pikapa i odjeżdżają, zostawiając go samego w lesie z zabitymi strażnikami. Nie miałbym do nich pretensji, gdyby nie wrócili, pomyślał Kovic, rozkopując ziemię. Dziwna robota – samotne zakopywanie dwóch trupów w chińskim lesie. Potem przypomniał sobie, że to już nie jest jego robota. Nikt mu nie płacił; nie miał pojęcia, czy jego misja się powiedzie, czy Tsu faktycznie siedzi w swojej górskiej kryjówce, a nawet jeśli, to czy uda się do niego dostać. A nawet gdyby – co potem?

Kopanie grobu przypomniało mu pogrzeb matki, wystawną ceremonię, na którą nalegał ojciec, znacznie przekraczającą jego możliwości. Kovic pokrył koszty, próbując wynagrodzić im fakt, że był dla nich takim rozczarowaniem. Rozpaczali nad jego krnąbrnością, nad jego brakiem szacunku dla zwierzchników, nad skłonnościami do zadawania się z nieodpowiednimi ludźmi. Jego ojciec pragnął dla syna tylko tego, żeby podtrzymał rodzinną tradycję i poszedł za nim pracować w Rouge, rozległym kompleksie fabrycznym Henry’ego Forda, gdzie – jak zapewniał tata – praca już na niego

czekała. Ale nie trzeba było geniusza, by dostrzec, że przyszłość Detroit rysuje się w czarnych barwach i Kovic, kiedy tylko nadarzyła się okazja, uciekł z miasta, podobnie jak ponad połowa jego mieszkańców na przestrzeni dwudziestu lat.

Jego ojciec czekał teraz na śmierć w domu starców. O swoim synu wiedział tylko tyle, że jest gdzieś w Chinach i wykonuje dla rządu jakąś pracę, której staruszek nie rozumiał, nie mówiąc już o tym, że nie mógł chwalić się nią innym emerytom. Czy Kovic zawiódł swoich rodziców? Czy to właśnie spotykało wszystkie ważne osoby w jego życiu? Zawiódł Louise; była najlepszą rzeczą, jaka go spotkała, a mimo to tyle razy ją zawiódł, ostatecznie narażając na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Wyprawa przeciwko Tsu była jego sposobem na zadośćuczynienie, naprawienie krzywd. Campbell, jego poprzednik w Szanghaju, który stracił pracę przez pijaństwo, powiedział, że kłopot z CIA polega na tym, że większość ich pracy to tylko gra, która ma dawać zajęcie służbom bezpieczeństwa konkurujących krajów i która absolutnie niczego nie zmienia. Cóż, ktoś złamał zasady tej gry i Kovic wiedział, że raczej zginie, niż się wycofa i pogodzi z konsekwencjami.

31

– Włącz koguta i gaz do dechy. Pani Chen czeka na nową łazienkę.

Siedzieli w minibusie, którego przyprowadził Wu i pozostali. Zapadła już noc, na drodze było pusto. Nastroje wyraźnie się poprawiły, odkąd zostawili w lesie zabitych strażników. Qi podłączył ich radia do swojego laptopa i pracowicie stukał w klawiaturę.

Kovicowi mignęły zdjęcia przedstawiające części ciała bardzo grubych ludzi. Nagich.

– Co to, kurwa, jest?

– Nazywa się to „Big Ass Party” – wyjaśnił Qi. – Bardzo popularne rosyjskie porno. Każdy w ich sieci przerwie to, co robi, żeby popatrzeć, nikt nie będzie miał odwagi się do tego przyznać i nie zareagują tak szybko na zniknięcie naszej dwójki.

Kovic z ulgą przekonał się, że Qi jest znów dawnym sobą. Machnął jedną z krótkofalówek.

– Poza tym mogę stąd monitorować ich wszystkie transmisje radiowe, kiedy nabiorą ciekawości. Mogę ich zlokalizować z dokładnością do pięciuset metrów.

– Jesteś geniuszem, Qi. Nie poradzilibyśmy sobie bez ciebie.

Qi wzruszył ramionami.

– Nigdy wcześniej nie widziałem, jak ktoś ginie, to wszystko.

– Można się przyzwyczaić. Choć nie wiem, czy to dobrze...

Jeszcze kilka dni temu Kovic miał długie wakacje od zabijania. Ale śmierć Louise pchnęła go z powrotem w zwykły tryb działania i przypomniała mu o jego prawdziwym celu. Miał wrażenie, że cały ten czas,

który minął od Afganistanu i wszystkich innych wojen, nigdy nie istniał. To właśnie była norma; Szanghaj i Louise – to odchyłka od normy. Kovic uświadomił sobie, że to jest właśnie życie, jakiego pragnął – poczucie zagrożenia i niepewności dodawały mu energii, lubił improwizację i ryzyko. Ogromnie ryzykował, ufając Garrisonowi, i zdobył niechętnego, niespodziewanego opiekuna w osobie Hannah, której również tak naprawdę nie miał podstaw ufać. Otaczała go grupa, której lojalność zamierzał przetestować do granic. Nieważne, jak jego zadanie było szalone czy niebezpieczne, do tego właśnie był stworzony. Żyj chwilą, nieważne, co będzie jutro.

Przejechali przez blokadę na drodze, nawet nie zwalniając. Strażnicy przeszukujący długą kolejkę samochodów tylko obejrzeni się i zasalutowali.

Siedziba MBP, Szanghaj

Hannah siedziała przy stole tak, jak ją nauczono: dłonie na stole, nie płasko – to zbyt ostentacyjne, nie zwinięte w pięści – to zbyt agresywne, ale coś pomiędzy, jakby trzymała nieistniejące piłki tenisowe. Ramiona do tyłu, jak w postawie „na bacność”, mimo że siedziała – to żeby okazać szacunek. Nie patrzeć dyrektorowi w oczy, nawet kiedy się do niego zwraca, a przy tym skupiona mina, wzrok skierowany w przestrzeń metr lub dwa przed sobą. Stopy płasko na podłodze, żadnego krzyżowania nóg – żeby uniknąć wszelkich sygnałów, które można by uznać za sugestywne.

„Pierdolę to. Pierdolę to w dupę. Pierdolę matkę szefa, i jego siostrę, i jego niewierną kurwę żonę – odezwał się głos głęboko w jej głowie. – Co ja tu robię?”

– Huang Shuyi, ufam, że myśli pani o czymś konstruktywnym.

Dyrektor Guo Hua-fe przerwał monolog o obecnej sytuacji i rzucił Hannah chłodne spojrzenie. Pożądał jej. Powinien móc ją posiadać. Był w końcu jej przełożonym. Reszta podwładnych była na jego skinienie, ale to wszystko pospolite urzędniczki. Ta była inna: stanowiła kuszące wyzwanie przez swoje amerykańskie wykształcenie i zachodnią pewność siebie. Każdy przejaw niezależności u kobiety był niepokojący; w połączeniu z zachodnimi wpływami mógł być wprost niebezpieczny. To kolejny powód, dla którego trzeba było ją poskromić.

Ocknęła się pospiesznie.

– Oczywiście, panie dyrektorze. Czy mogę się z panem podzielić pewnym wnioskiem?

Machnął ręką, dając do zrozumienia, że jest mu to obojętne.

– Proponuję, proszę pana, żeby – podczas gdy policja zajmuje się protestującymi – zająć się siłami, które ich podburzają i które stoją za obecnymi niepokojami.

Guo przekrzywił głowę.

– Interesująca sugestia, agentko Huang. A na jakiej podstawie pani wnosi, że takie... „siły”, jak to pani ujmuje, w ogóle istnieją?

Dyrektor tonem głosu sugerował, że jej podejrzenia są nieco absurdalne, choć jednocześnie nie spuszczał z niej wzroku. Hannah poczuła, że przechodzi ją zimny dreszcz. Guo nie był co prawda odstręczający, ale bił od niego urzędowy brak empatii charakterystyczny dla kogoś, kogo człowieczeństwo zniszczyły rzeczy robione i oglądane w imię ojczyzny; kogoś niezdolnego do uczuć wobec innych. Trzej agenci siedzący naprzeciwko uśmiechnęli się, nie podnosząc schylonych głów. Hannah wiedziała, że są przeciwni jej obecności, temu, jak zwraca na siebie uwagę i jak zatruwa serdeczną poufałość, łączącą ich z szefem, człowiekiem, którego wielbili.

Dyrektor utkwiał w niej spojrzenie i czekał na odpowiedź. Jej mianowanie było z pozoru jego decyzją. Tyle że ojciec Hannah był jednym z coraz mniej licznego grona niezbrukanych bohaterów epoki Mao i zatrudnienie jego córki pozwalało zdobyć użyteczny, polityczny kapitał. Odmowa skutkowałaby najpewniej jakąś niełaską. Ale dyrektor chciał, żeby postrzegą to jako coś, co zawdzięcza jemu, nie ojcu. Chciał dowodów wdzięczności. Jak dotąd niewiele jej okazała. Przeciwnie, wydawała się raczej zdecydowana przysparzać mu problemów. Musi się w końcu nauczyć, gdzie jej miejsce.

Hannah przemogła się i spojrzała mu w oczy.

– Pan pozwoli, panie dyrektorze, że przywołam stary angielski aksjomat: „Nie ma dymu bez ognia”.

Wypatrywała reakcji. Czy on w ogóle wiedział o pożarze w mieszkaniu Kovica? Czy wiedział, co oznacza słowo „aksjomat”? Przekazał polecenie

deportowania Kovica jak listę zakupów, banalne zadanie bez większego znaczenia. Dziwne więc, że nie spytał, czy je wykonała.

– Agentko Huang, spędziła pani sporo czasu poza krajem, pod wpływem obcych systemów wartości. – Nigdy nie tracił okazji, by wytknąć jej pobyt za granicą, jakby to były jakieś wagary. – Musi pani uważać, by nie tracić kontaktu z tutejszą rzeczywistością. Niech pani nie lekceważy patriotyzmu Chińczyków.

– Sugeruję tylko, panie dyrektorze, że elementy reakcyjne mogą wykorzystywać incydent na granicy z Koreą Północną, żeby jeszcze bardziej podminować stosunki chińsko-amerykańskie.

Starannie dobrała słowa, układając je w bezduszny ministerialny żargon, do którego tak bardzo już przywykła. Pozostali agenci, siedzący przy stole w identycznych pozach, twardo wpatrywali się w swoje dłonie. Kwestionowanie procedur dyrektora czy nawet jego interpretacji wydarzeń mogło skończyć się szybkim zesłaniem w zapomnienie. Ale z drugiej strony Hannah była kobietą, nie miała wiele do stracenia.

Dyrektor popatrzył na nią z nieprzyjemnym połączeniem pożądania i pogardy.

– A jakie posiada pani dowody na istnienie owych „sił reakcyjnych”, jak je pani nazywa?

Agenci pokiwali głowami; jak to dobrze, że mieli takiego mądrego dyrektora.

– Żadnych, panie dyrektorze, dlatego proponuję sprawdzić, czy takie istnieją.

Hannah czuła, że osuwa się bezpowrotnie w pustkę niezrozumienia. Na Harvardzie urzekała wykładowców przenikliwością wniosków, wsłuchiwali się w jej każde słowo, kiedy rozkładała złożone mechanizmy chińskiego politbiura i przedstawiała im niczym części rozmontowanego zegara.

Popełniłam straszny błąd, pomyślała. Ta praca mnie znieczula. Oni nie

chęcią moich obserwacji ani propozycji. Chęcią tylko upokorzyć kobietę. A ja nie mam władzy, żeby to zmienić. Jestem w pułapce.

Zaczerwieniła się z frustracji. Jak długo jeszcze mogła zachowywać dla siebie to, co naprawdę myślała? Błędem było w ogóle podjęcie pracy w wywiadzie, to, że dała się namówić ojcu. Ale odmowa byłaby wyrzeczeniem się wszystkiego, w co wierzył i jego osobistym upokorzeniem, dowodem największej niewdzięczności z jej strony. Gdyby byli amerykańską rodziną... ale nie byli, więc po co marnować siły na daremne spekulacje? Zresztą niedługo potem dowiedział się, że ma raka i cztery miesiące życia, więc rzuciła studia i wróciła do domu. „Harvard był twoim marzeniem, teraz pora, żebyś ty spełniła moje” – powiedział wtedy. Jak mogła odmówić, widząc to pragnienie w jego oczach?

Dyrektor znów się rozkręcił, rozwodził się o skłonnościach prostych, lecz oddanych ojczyźnie obywateli. Wiedziała z doświadczenia, że takie monologi potrafiły trwać nawet godzinę. Guo upajał się własnym głosem, a zegar odliczał kolejne minuty jej życia.

Jej ojciec miał jak najlepsze intencje, przez co jeszcze trudniej było mu odmówić. „MBP potrzebuje świeżej krwi, ludzi, którzy bywali w świecie. Musisz się zgłosić!” – powiedział. W rzeczywistości kwestię zgłoszenia załatwił on sam, zanim jeszcze wróciła do domu. Wystarczył jeden telefon do starego towarzysza i z miejsca przyjęto ją na przyspieszony kurs dla wyjątkowo uzdolnionych kadetów – co do jednego potomków wysoko postawionych członków Partii.

Potem zachorował.

„On umiera – uprzedziła ją matka. – Potrzebuje cię. Potrzebuje, żebyś wypełniła swoje przeznaczenie, póki żyje i może to zobaczyć”.

Ale to było dwa lata temu, a zdrowie generała wcale się nie pogarszało. Wciąż wychodził codziennie na pięciokilometrowe spacer, spędzał przynajmniej jeden ranek w tygodniu na strzelnicy i rozwiązywał w najwyższej

kilka minut najtrudniejsze sudoku.

„Twój powrót wywołał remisję” – powiedziała matka, a Hannah odkryła niespodziewaną korzyść, jaką dało jej uszczęśliwienie także drugiego rodzica. Kiedy rozmawiała z kolegami z Harvardu na Facebooku o ich podróżach, ich zajęciach, startujących karierach na Wall Street, w Londynie, w Hollywood – odpowiadała uprzejmie ogólnikami, nie mogąc nawet się przyznać, co robi. Wiedziała, co myśleli: że poddała się tradycji i wróciła do domu, by dać się wyswatać.

Owszem, nawet lubiła niektóre aspekty pracy w MBP: szkolenie z posługiwania się bronią, w którym była świetna; zawody w pływaniu i wspinaczce – tam też osiągała najlepsze wyniki na roku, a także języki, do których miała prawdziwy dar. Ale sama praca była otepiająco nudna, bo wszystkie bardziej wymagające zadania przydzielano jej kolegom, a najlepsze trafiały do synów najbardziej wpływowych szyszek. Szybko dotarło do niej, że średniak, ale mężczyzna, ma jakieś dwadzieścia razy większe szanse na awans – czy choćby na wyrwanie się z biura – niż najgenialniejsza nawet kobieta. Ta świadomość tylko wzmogła jej determinację, żeby awansować i udowodnić, że system się myli; chciała iść w teren i wziąć udział w akcji – w jakikolwiek możliwy sposób, nieważne, czego by to wymagało.

Od wczesnego dzieciństwa ojciec był jej mentorem, zachęcał ją, żeby pokonywała swoje ograniczenia, żeby nie zadowalała się byle czym. Teraz zawsze, kiedy była w domu, prosił ją, żeby mu poczytała – Historię Anglików Winstona Churchilla. Przypomniawszy jej, że jeszcze niedawno byłoby nie do pomyślenia, by w ogóle mogła taką książkę przeczytać. Ojciec znał dobrze angielski, ale czytanie sprawiało mu trudność – jego wzrok mocno osłabł.

„Żeby zwalczać imperializm, trzeba zrozumieć myślenie imperialisty” – stwierdził z wesołą iskierką w oku, jakby chcąc powiedzieć: „No, to moja wymówka”. Sensem jego życia była rewolucja. Niepokoiła go obecna

sytuacja, chociaż nie tak bardzo jak to, czego dowiedział się na starość o swoim niegdysiejszym bohaterze, Wielkim Sterniku. Nawet wygnany, skazany na pracę w papierni i wdychanie toksycznych oparów maszyny oczyszczającej drewnianą pulpę, co zniszczyło mu płuca, wciąż wielbił Mao Zedonga jako wielkiego wodza, który zmodernizował kraj, a własne wewnętrzne wygnanie tłumaczył sobie jako konieczną ofiarę złożoną na ołtarzu postępu. Kiedy premier Deng wydobył go z niebytu i skierował do nowych obowiązków, ojciec Hannah wciąż wierzył w system, który zagłodził ponad sześćdziesiąt pięć milionów ludzi i ukarał jego samego oraz miliony innych za samo „niewłaściwe myślenie”. Po prostu znów zaczął robić to, co do niego należało, na kolejnym etapie Długiego Marszu. Hannah podziwiała jego stoicyzm i determinację, ale choć próbowała się na nim wzorować, wiedziała, że nic z tego nie będzie.

Dyrektor wciąż mówił, wymieniał niebezpieczeństwa grożące Chinom, które wszyscy obecni w pomieszczeniu od dawna znali na pamięć. Hannah obejrzała się na pozostałych, siedzących z pochylonymi z szacunkiem głowami. Oni wierzą w te bzdury? Ojciec chciał, żeby poznała świat, zobaczyła i zrozumiała rzeczy, które były poza jego zasięgiem w młodości. Ale ceną za tę wiedzę była świadomość, jak długą drogę mają przed sobą Chiny, jeśli chcą wyplenić krępujące je zacofanie i korupcję. Głupie trutnie ze swoimi blackberry i iPhone'ami... Zdaje im się, że są tacy sami jak Amerykanie; ale przecież nie sprzęt się liczy, lecz to, do czego się go wykorzystuje.

Hannah pomyślała o Kovicu. Z początku doprowadzał ją do szału. Z pozoru był dokładnie takim Amerykaninem, jakich nie znosiła: zuchwałym, aroganckim, przemądrzałym, popisywał się swoim rzekomo doskonałym mandaryńskim, który – musiała przyznać – był prawie tak dobry jak jej angielski. Co gorsza, natychmiast ją przejrzał, domyślił się, że nie miała pojęcia o incydencie na granicy i wyśmiał ją, że o to nie zapytała. Co za upokorzenie! Musiała także przyznać się przed sobą, że źle go oceniła,

zbyt dosłownie odczytała jego akta z MBP, z których wyłaniała się misternie skonstruowana postać miernego szpiega, pozbawionego dokonań wskazujących na jakąś wyjątkową inicjatywę czy zdolności.

Zaskoczyła ją także jego reakcja na perspektywę deportacji; większość znanych jej Amerykanów tęskniła za domem. Zupełnie nie spodziewała się odwagi, jaką wykazał się podczas pożaru. To, jak uratował tamte dwie kobiety, wskazywało na zaskakującą troskę o innych, nawet kiedy nie odnosił żadnej osobistej korzyści – Hannah nie kojarzyła takiej postawy z ludźmi jego narodowości czy zawodu.

Na koniec zaś – straszne odkrycie szczątków jego dziewczyny w jego własnym mieszkaniu. Jego ledwie skrywana rozpacz i żądza zemsty były dla Hannah czymś zupełnie nieoczekiwanym – prawie tak samo, jak jej własna reakcja na jego prośbę, by pozwolić mu zostać. Czy odważyłaby się przeanalizować swoje motywy? Pomoc agentowi mocarstwa postrzeganego jako coraz bardziej wrogie była z jej strony zdradą... Hannah znów się zaczerwieniła, wstrząśnięta tym, co zrobiła.

Ale myśl tę równie szybko wyparła następna. Czyżby ją oszukał? W końcu nawet jego przełożeni nie mieli nic przeciwko deportacji. Może po prostu był renegatem, zagrożeniem dla obu krajów? Tym gorzej, że ją omotał.

Ocknęła się. Agent naprzeciwno chwalił przemowę dyrektora.

– Bardzo celnie przedstawił pan sytuację, proszę pana.

Włazidupa. Hannah zerknęła na dyrektora, który pławiał się w pochwałach niczym przygłupi pies; bez wątpienia sam błagał o ochłapy aprobaty u stóp swoich przełożonych. Pozostali wokół stołu zaczęli klaskać. Hannah nie miała wyjścia, musiała się do nich przyłączyć.

Lizusa to ośmieliło.

– Być może, proszę pana – dodał – wieczorne wystąpienie Jina Jié w telewizji pozwoli nam na bardziej wyważoną ocenę sytuacji.

Dyrektor natychmiast zmarszczył czoło. Agent poczerwieniał, przerażony, że obraził czymś przełożonego. Hannah uśmiechnęła się w duchu. Przynajmniej nie ona jedna z tu obecnych podpadła szefowi. Ale nie trwało to długo.

Dyrektor odwrócił się do niej.

– Agentko Huang, skoro jest pani tak zainteresowana „siłami stojącymi za”, może przedstawi nam pani jakieś sugestie, kto stoi „za” tą osobą?

Jej znajomość z Jinem Jié nie była tajemnicą. Poznali się na Harvardzie, a chiński kolorowy tygodnik dotarł do zdjęcia przedstawiającego ich razem na balu studenckiego bractwa. Nagłówek głosił: „Córka generała spotyka się ze Złotym Chłopcem”. W Europie czy Ameryce potraktowano by to jak zupełnie normalną znajomość; w Chinach takie koneksje wzbudzały podejrzenia, a w przypadku kobiety – zawsze chodziło tylko o kobietę – dawały pretekst, by ją poniżyć.

Dyrektor roześmiał się, zawtórowali mu pozostali mężczyźni w pokoju. Hannah popatrzyła na nich po kolei, na końcu na niego. Znajdzie sposób, żeby ich uciszyć.

33

Dzielnica Huangpu, Szanghaj

Czuła to od rana – coś wisiało w powietrzu, nie smog, nie lepki upał, który nie zelżał nawet o zmierzchu. Nie chodziło o wzmożoną obecność policji, raczej o zmianę tonacji, jakby ludzie wybierali strony. Jeśli chce to zrozumieć, powinna sama tego doświadczyć.

Policja rozpędziła demonstrację na Placu Ludowym, ale zamiast zdławić protest, rozniosła go po całym mieście jak zarazę. Na rogach ulic stały grupki ludzi z transparentami „Śmierć Ameryce”, „Amerykanie do domu” i tym podobnymi. Takie hasła widniały nie tylko na ręcznie wymalowanych tablicach, ale również na profesjonalnie wydrukowanych T-shirtach, co było nowością. Hannah zatrzymała przechodzącego obok chłopaka, łapiąc go za rękaw.

– Wierzysz w to? – spytała, wskazując jego koszulkę.

Wzruszył ramionami.

– Skąd ją masz?

– Dostałem od jakiegoś faceta.

– I nosisz coś takiego? Zdejmuj to! To niestosowne.

– Spadaj. Zapłacili mi, żebym ją nosił.

– Kto?

– Nie wiem. Spytaj ich.

Wskazał grupę młodzieży w studenckim wieku, ubranej w podobne T-shirty.

Hannah podeszła do dwóch dziewczyn z transparentem i zadała im to samo pytanie.

– Ktoś musi zapłacić za tę zbrodnię – powiedziała jedna.

– Amerykanom się zdaje, że mogą wszędzie jeździć i strzelać do ludzi – dodała druga. – Chiny powinny się trzymać z dala od Ameryki. Ona ma na nas zły wpływ.

Hannah popatrzyła na ich ubrania i buty. Nike, Converse, Hollister, Gap...

– No właśnie, przejmują nas. Musimy się bronić. – Zadzwoił iPhone dziewczyny. Spojrzała na ekran. – Muszę lecieć. Cześć!

Dziewczyny odeszły i Hannah otoczył tłum, który zaczął sunąć do przodu. Ludzi były setki, wszyscy kierowali się z powrotem na Plac Ludowy: głównie studenci, ale też młodzi pracownicy etatowi. Jakiś instynkt kazał Hannah trzymać się z tyłu, ale zarazem coś ją pchało, żeby poszła między nich, porozmawiała, dowiedziała się, jak są zorganizowani. Wszyscy musieli odebrać jakąś wiadomość, bo przyspieszyli, jakby na plac gnał ich jakiś ważny powód. Trzy spieszące się dziewczęta wpadły na Hannah i przeprosiły.

– Ej, skąd wiecie?

– Co wiemy?

– Gdzie iść i po co?

Jedna z dziewczyn pomachała swoim galaxy. Hannah chciała złapać ją za rękę, żeby przeczytać wiadomość na ekranie, lecz w tej samej chwili spomiędzy budynków strzeliła w niebo smuga białego światła. Choć ściana ludzi stłumiła odgłos, impet powietrza powalił Hannah na ziemię razem ze wszystkimi dookoła. Niewidzialny huragan uderzył ich, uniósł w powietrze i rzucił pół kwartału w tył.

Kiedy się ocknęła, leżała w sklepowej witrynie, twarzą w dół, przysypana odłamkami szkła. Przez kakofonię wyjących i pohukujących alarmów przeciwwłamaniowych i samochodowych dobiegały krzyki i jęki rannych.

Hannah podniosła się i przetarła oczy. Miała szczęście, morze ludzi

osłoniło ją od pełnej siły uderzenia. Wyszła ze zrujnowanej witryny niczym ożywiony manekin. Kilka kroków dalej leżał młody mężczyzna. Z wysiłkiem podniósł rękę. Z jego piersi sterczał kilkunastocentymetrowy odłamek szkła. Hannah pochyliła się nad nim. Chłopak patrzył na nią błagalnie. Złapał ją za rękę, ścisnął mocno, a potem puścił. Jego oczy straciły wyraz, właśnie uszło z niego życie. Z drugiej ręki wypuścił telefon. Hannah swój straciła w wybuchu. Przewinęła kilka ostatnich wiadomości: „Mamo, nie czekaj” i pozornie niewinne „Do zobaczenia na Placu”. Schowała telefon do kieszeni i rozejrzała się, komu można jeszcze pomóc.

34

Prefektura Huang Shan

– Płyty tektoniczne naszego wielkiego narodu są w ruchu. Z jednej strony postępuje, z drugiej – reakcyjna. Nie mogą się rozdzielić. Muszą pozostać złączone...

Jin Jié wykonał rękami ruch, jakby płynął żabką, jakby rozdzielał jakieś dwa duże przedmioty, zakończył zaś gestem przytulania czegoś do piersi.

Widownia wybuchła spontanicznym aplauzem. Kamera na wysięgniku sunęła nad rozentuzjasmowanym tłumem. Prowadząca też przez chwilę klaskała, uważając, żeby nie uszkodzić przy tym swoich wyjątkowo długich paznokci.

– Jin Jié, dziękujemy, że znalazł pan czas w swoim bardzo zajęтым rozkładzie dnia, by z nami porozmawiać.

Pani Chen nacisnęła guzik na pilocie i obraz znikł.

Siedzieli wokół kuchennego stołu w jej domu. Drewniany, kryty strzechą budynek należał do rodziny pani Chen od pokoleń, z wyjątkiem okresu podczas rewolucji kulturalnej, kiedy jej rodziców wysiedlono, żeby odpokutowali za niewłaściwe myślenie. Machnięciem długiej, drewnianej łyżki wskazała telewizor.

– Ten człowiek albo zostanie gwiazdą, albo trafi do obozu pracy.

Odwróciła się z powrotem do garnka wieprzowiny i warzyw na parze.

– Ja wiem, na którą stronę stawiam – powiedział Kovic, gestykułując kawałkiem kapusty trzymanej pałeczkami. Zakręcił nią i wrzucił sobie do ust.

– Hej! Miałeś poczekać na resztę. Nie masz za grosz manier.

– I to mówi Chinka.

Pani Chen zdzieliła go w głowę – ku zdumieniu jej służącego, który odpoczywał na kocu przy ogniu.

Pani Chen wyświadczała Kovicowi przysługi. Co jakiś czas za równowartość rocznej pensji dostarczała mu informacji zdobytych na swoim niskim rangą, ale nieocenionym stanowisku archiwistki w Ministerstwie Zaopatrzenia. Jeśli Rosja zamawiała helikoptery albo Francja negocjowała zakup rakiet, Kovic zawsze o tym wiedział. Przekazywał te informacje do Langley raczej oszczędnie, dbając o bezpieczeństwo swojego źródła. Płacił jej ponad zwykłą stawkę, bo ją lubił, a do tego była wdową. Ich stosunki pogorszyły się nieco, kiedy wyszło na jaw, że pan Chen wcale nie umarł, tylko wyjechał w sprawach urzędowych, ale Kovic nabrał podziwu dla jego żony za to, jak sprytnie oszukiwała niewydolną chińską biurokrację. Kiedy wyjechała z miasta do rodzinnej wioski, pamiętał, by się do niej co jakiś czas odzywać – zawsze dbał o swoje kontakty z myślą o czarnej godzinie, takiej jak teraz.

Pani Chen z powątpiewaniem pokręciła głową.

– Mówi, jakby to było takie proste. Chiny nie są proste, są bardzo skomplikowane.

Kovic nie mógł się nie zgodzić z jej domową mądrością. Co więcej, Jin Jié miał w sobie coś, co go irytowało – ten swój niestrudzony optymizm i promienny uśmiech nawiedzzonego. Popatrzył na panią Chen. Siwiejące włosy związała w kok, twarz miała ogorzałą i zniszczoną jak każda wieśniaczka, jakby odcisnęły się na niej wszystkie cierpienia i zmagania jej przodków. Posiadała rozległą wiedzę o politycznych nastrojach w Chinach, dlatego Kovic słuchał, co miała do powiedzenia.

– Trzeba nasłuchiwać odgłosu maszerujących stóp, słuchać, jak stąpają.

Wiedział, że jest fatalistką, kobietą z pokolenia, które jeszcze nie pogodziło się z nowym bogactwem, któremu od dzieciństwa wpajano antimaterialistyczny przekaz, że owoce kapitalizmu to miraż.

Domyślając się, co pani Chen zamierza powiedzieć, Kovic wskazał ruchem głowy jej płaski telewizor i smartfona.

– Takich rzeczy wcześniej nie mieliście. Na co tu narzekać?

– Ludzie się niepokoją, jakby zdobyli to w niewłaściwy sposób, nie dzięki wierności wartościom, lecz wyłącznie za pieniądze. Popatrz na zamieszki w Szanghaju – niektórzy już nie wytrzymują, chcą zwolnić tempo.

Kciukiem wskazała telewizor.

– Według nich ten chłopak za bardzo się rozpędza.

Powoli pokręciła głową. Skupiona na niej uwaga publiczności sprawiała jej przyjemność. Kovic myślał o Vaughanie i jego demonstrantach. To była tylko PR-owa sztuczka czy oznaka czegoś poważniejszego? Chiny, które znał, gnały tak szybko, może niektórym ciężko było nadążyć. Ale tutaj, na wsi, było inaczej; kojarzyło mu się to z dawnymi czasami rządów watażków. Wiedział, co woli.

– Niech mi pani opowie o Tsu.

Pani Chen wzruszyła ramionami i przeciągle westchnęła.

– W tych okolicach o nim nie mówią. Nigdy go nie widzimy. Dbą o drogi, zwalczą przestępców. Bezpieczeństwo: to ludziom wystarczy do zadowolenia.

– A wolność?

– Wy, Amerykanie, ciągle gadacie o wolności. A jaką wolność macie tak naprawdę? Ci ludzie nie poznaliby wolności, nawet gdyby ugryzła ich w tyłek.

Wszyscy się zaśmiali.

– Poza tym niewiele o nim wiadomo. Tsu trzyma się w cieniu. Oczywiście krążą historie...

Zmrużyła oczy i umilkła. Chciała, żeby Kovic zaczął ją namawiać.

– Niechże pani mówi. Jakie historie?

– O jego podwładnych, którzy wypadli z łask. – Palcem wskazującym wykonała gest opadającej spirali.

– Dosłownie?

– U podnóża góry znajdowano ciała. Miały pogruchotane wszystkie kości...

– Nieźle.

– I więzienie. Ma tam swoje własne cele.

– Po co?

Wzruszyła ramionami.

– Jako symbol, przypomnienie o konsekwencjach nieposłuszeństwa.

– I to ludzi nie przeraża?

Pani Chen uśmiechnęła się kpiąco.

– Przez głód i obozy straciliśmy sześćdziesiąt milionów ludzi, prawdopodobnie nawet więcej. Niełatwo nas przestraszyć. Ale powiem ci, czego ja się boję.

Usiadła naprzeciw niego.

– Agencie Kovic, w przeszłości robiliśmy dobre interesy, a ja podejmowałam dla ciebie ryzyko, za które sowicie mnie wynagradzałeś. Ale ten plan...

Kovic pokiwał głową i łagodnie podniósł dłoń.

– W porządku, wiem. Moi koledzy na swój sposób powiedzieli mi to samo. Ale ja jestem zdecydowany dokończyć tę misję i nie ma dla mnie odwrotu, nawet gdybym musiał ją wykonać sam.

W najuprzejmiejszy możliwy sposób prosił, żeby się zamknęła. Wskazał drzwi.

– Chce pani zobaczyć nową toaletę, którą przywieźliśmy?

35

Dzielnica Huangpu, Szanghaj

Przez kilka godzin Hannah pomagała służbom ratowniczym. Opatrywali rannych, a kiedy ich stan stabilizował się, przenosili ich do prowizorycznego namiotu pierwszej pomocy, który rozstawiono na placu. Jej własne obrażenia były drobne; twarz miała zasypaną skaleczeniami od szkła, bolesnymi, ale płytkimi. Cały plac odgrodzono kordonem. W śródmiejskiej dzielnicy roilo się od policji, usuwającej ludzi z ulic, zatrzymującej samochody i siejącej zamieszanie, żeby sprawiać wrażenie użytecznej. Hannah wyjęła z kieszeni telefon zabitego i przyjrzała się wiadomości, która ściągnęła go na plac. Numer nadawcy był zastrzeżony.

Pierwsze trzy taksówki, które próbowała zatrzymać, odjechały na widok jej twarzy. W końcu zmusiła jedną do zatrzymania się, podtykając kierowcy pod nos swoją legitymację MBP i łapiąc go za kołnierz.

Kiedy dotarła do Piłki Golfowej, budynek był prawie opustoszały. Zastała tylko strażników przy wejściu, którzy wpuścili ją i wrócili do swoich monitorów. Żaden nie skomentował jej wyglądu. Hannah podeszła do swojego biurka, otworzyła szufladę, wyjęła czytnik SIM i włożyła do niego kartę telefonu zabitego. Kiedy zdobyła zablokowany numer, wpisała go do wyszukiwarki MBP i czekała.

To nie mogła być prawda. Wpisała numer jeszcze dwukrotnie i za każdym razem dostawała tę samą odpowiedź: Marynarka Wojenna Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Choć numer niczym się nie wyróżniał, a biurokracja marynarki była olbrzymia, nie ulegało wątpliwości, skąd przyszedł SMS. Hannah zadzwoniła do dyrektora pod numer alarmowy.

– Nie powinniśmy o tym rozmawiać przez telefon. Proszę do mnie

przyjechać najszybciej, jak to możliwe.

Podyktował jej adres. Wychodząc z budynku, Hannah wstąpiła do łazienki. Twarz miała pokrytą drobnymi strupami, w niektórych rankach wciąż tkwiły okruchy szkła. Wyciągnęła, ile zdołała, przyłożyła do twarzy ręcznik zmoczony gorącą wodą, zmyła zaschniętą krew i uczesała włosy, też pełne szkła. Potem znieruchomiała i spojrzała na swoje odbicie: z lustra nie patrzyła na nią kobieta o martwym spojrzeniu, ta sama, którą widywała każdego ranka przez ostatnie pół roku, ale jej nowa wersja – żywa, energiczna, skupiona na nieoczekiwanym celu i pełna determinacji płynącej z tego, co odkryła.

Adres, który podał jej dyrektor, zaprowadził ją do starego budynku na Bund. Na małej, mosiężnej tabliczce na drzwiach widniało tylko „66”. Nacisnęła dzwonek. Drzwi otworzył wysoki Europejczyk ubrany w smoking jak tradycyjny angielski lokaj. Zza drzwi płynął mocny zapach cygar i kadzidła. Mężczyzna zmierzył Hannah pogardliwym spojrzeniem, a potem niechętnie wpuścił ją do środka. Oprócz pokaleczonej twarzy miała podarte spodnie i bluzkę. Nie zauważyła tego. Musiała wciąż być w szoku.

– Proszę zaczekać – powiedział lokaj bez cienia uprzejmości w głosie.

Hannah usiadła na jednym z kilku dużych foteli w przestronnym, starannie odnowionym hallu. W górze lśniły żyrandole obwieszone maleńkimi żaróweczkami. Ściany zdobiły zachodnie obrazy. Przyjrząwszy się im dokładniej, spostrzegła, że to wyłącznie akty.

– Moje drogie dziecko.

Dyrektor stał przed nią, dwaj jego ochroniarze kawalek za nim. Wyglądał na zadowolonego z jej widoku. To było coś nowego. Potem zauważył skaleczenia na jej twarzy.

– Mój Boże, chyba wraca pani z wojny.

Zatroskany, współczujący – ludzki; to nie był mężczyzna, do którego przywykła. Wyjęła telefon zabitego chłopaka i pokazała dyrektorowi

wiadomość. Wziął aparat z jej ręki i przyjrzał się mu dokładnie, marszcząc brwi. Potem znów popatrzył na Hannah z miną, której nie widziała wcześniej.

– Dobra robota. Musiała się dziś pani wykazać prawdziwą odwagą. Chodźmy!

Ruszył korytarzem. Hannah ucieszyła się w duchu. Po raz pierwszy ją pochwalił. Podwójne drzwi na końcu korytarza otworzyły się. Za nimi znajdował się nocny klub, urządzony z przepychem w stylu amerykańskich lat dwudziestych. Trwało akurat przedstawienie, popisy wysokich, zachodnich tancerek, skąpo odzianych w kostiumy ozdobione piórami.

Hannah cofnęła się.

– Proszę, wolałabym nie.

Dyrektor się zirytował, potem jego mina złagodniała.

– Oczywiście. Nie pomyślałem. Mam o wiele lepszy pomysł. Wyjdźmy stąd.

Strzelił palcami na strażników.

– Samochód! Natychmiast!

Kiedy dyrektor i Hannah doszli do drzwi wejściowych, pod schodami zatrzymało się czarne audi. Jeden ze strażników wybiegł przodem i otworzył tylne drzwi. Kiedy tylko wsiedli, Hannah obróciła się bokiem, żeby skupić na sobie całą uwagę dyrektora.

– Proszę pana, jestem przekonana, że to nie było spontaniczne zgromadzenie. Ludzie, którzy przyszli na Plac Ludowy, zostali tam wezwani tym SMS-em.

Zaczęła obrazowo opisywać, co widziała. Dyrektor słuchał i powoli kiwał głową. W końcu, pomyślała, docenił, co robię. Doszła do odkrycia autora wiadomości.

Dyrektor patrzył na nią. Na jego twarzy malowała się troska.

Potem położył jej rękę na kolanie.

– I nikomu o tym pani nie mówiła?

Hannah pokręciła głową.

– Oczywiście, że nie, z czymś takim mogłam przyjść tylko do pana.

– W takim razie proszę dopilnować, żeby tak zostało.

W duchu Hannah nie posiadała się z radości – w końcu zrobiła coś wartościowego.

– Jaki powinien być nasz następny ruch? Ktokolwiek wysłał tę wiadomość, jeśli wiedział o bombie...

– Dobra robota. Jestem z pani dumny. I bardzo się cieszę, że znalazła pani pretekst, żeby mnie odszukać o tak później porze.

Pretekst?

Oczy dyrektora świeciły się niepokojąco, nigdy go takim nie widziała. Oczywiście pił. Ale jej odkrycie wydawał się traktować bardzo poważnie.

– Dokąd jedziemy?

– W spokojne miejsce, gdzie będziemy mogli porozmawiać i się odprężyć. Domyślam się, że po tym wszystkim, co pani przeszła, dobrze by pani zrobił drink.

Wcisnął przycisk na poręczy i między nimi a ochroniarzami z przodu uniosła się szklana przegroda. Poczuł, że kolano Hannah pod jego dłonią sztywnieje, co go podnieciło. Marzył o tej chwili, odkąd ją zobaczył, a ona sama do niego przyszła, wpadła mu prosto w ręce niczym dojrzła brzoskwinia.

W pierwszym odruchu Hannah chciała odtrącić jego rękę, ale opanowała się siłą woli. Była w jadącym samochodzie z trójką mężczyzn. Dyrektor był do tego trochę pijany; wiele kobiet mogłoby wybaczyć mu jego zaloty, może nawet uznać je za komplement. Postaraj się myśleć bardziej jak Chinka, powiedziała sobie.

– Jestem pewien, że pani ojciec byłby bardzo dumny z pani dzisiejszego

postępowania. Pogratiuję mu osobiście, że wychował tak odważną córkę. Jestem też pewien, że zgodziłby się ze mną, iż to, czego się pani dowiedziała, musi pozostać między nami.

Dlaczego miała wrażenie, że spieszy mu się do czegoś innego niż ustalenia, czemu chińska marynarka organizuje protesty? Wzmianka o jej ojcu nieco osłabiła jej determinację. Coś tu było nie tak. Utkwiła spojrzenie w drodze. Musiała się z tego wyplątać.

36

Rezydencja dyrektora, Lilac Park, Szanghaj

Audi minęło bramę i podjechało do rozległej rezydencji. Hannah miała nadzieję, że to będzie przynajmniej pełen ludzi hotel: nic z tego. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła zamykającą się za nimi bramę. Samochód zatrzymał się, wyskoczyli z niego ochroniarze i otworzyli drzwi po stronie dyrektora.

– Witam w mojej oficjalnej rezydencji – powiedział.

Hannah próbowała otworzyć swoje drzwi, ale były zamknięte. Nagle poczuła się jak więzień. Dyrektor wyciągnął do niej rękę. Nie było ucieczki. Może przesadzała. Może naprawdę chciał ją zabrać w jakieś spokojne miejsce, w którym mogliby omówić to, co widziała i czego się dowiedziała. Jeśli się myliła, najlepsze, co mogła zrobić, to zachowywać się tak, by uśpić jego czujność.

Przyjęła jego rękę i z nieśmiałym uśmiechem wysiadła z samochodu.

– Piękny dom – wydusiła z siebie.

Dyrektor nie odpowiedział. Wcześniejszy przebłysk szarmanckości był tylko tym właśnie – przebłyskiem. Wziął ją za ramię i poprowadził w kierunku domu.

Pokój był wyłożony boazerią i urządzony z przepychem, choć bez wyobraźni, niczym dom dziekana wydziału Hannah na Harvardzie. Dyrektor otworzył wielki barek i nalał szkockiej do dwóch dużych szklanek. Hannah przydałby się drink, ale musiała zachować czujność. Dyrektor dał znać swoim ludziom, żeby ich zostawili. Odwrócił się do niej i uśmiechnął szeroko, pokazując nierówne, żółte od nikotyny zęby. W Ameryce nikt z takimi zębami nie osiągnąłby jego pozycji.

Podniósł szklanę w toaście. Hannah kiwnęła głową, przechyliła swoją szklanę w jego stronę i napiła się. Mogła wypić całość jednym haustem, ale to by było niemądre. Dyrektor upił łyk i odstawił whisky.

– A więc w końcu tu jesteśmy.

Znów się uśmiechnął, a potem spoważniał.

– Pani przyszłość zależy od przebiegu tego wieczoru.

Czy chodziło mu o to, czego była świadkiem; o informacje, które odkryła? Gdyby tylko... Gestem zaprosił ją, żeby usiadła obok niego na dużej skórzanej kanapie.

Zrobił miejsce na szklanym stoliku obok, wyjął małą torebkę i wysypał z niej kopczyk białego proszku.

– Była pani w Ameryce, więc dobrze to pani zna.

Nie znała.

Nigdy w życiu nie brała żadnych narkotyków. Koleżanki na studiach wiele razy chciały ją namówić na pierwszy raz, zawsze bez skutku. Postanowiła spróbować ponownie.

– Proszę pana, myślałam, że mamy omówić...

Przerwał jej.

– Tak, tak, naturalnie. Wszystko w swoim czasie.

Podzielił proszek na trzy kreski i wyjął coś, co wyglądało jak zabytkowy, srebrny mechaniczny ołówek bez wkładu.

– To o wiele bardziej stylowe niż zrolowany banknot, na pewno zgodzi się pani. To zabytek z przedwojennego Szanghaju... Wtedy ludzie wiedzieli, jak się bawić...

Zdjął marynarkę.

– Shuyi, zawsze się rozumieliśmy, prawda?

Zachowywał się zdecydowanie zbyt poufale, tylko jej rodzice tak ją nazywali.

– Ja... staram się służyć departamentowi, jak najlepiej potrafię, proszę pana.

Mocniejszy akcent na „proszę pana” był wszystkim, co mogła w tej chwili zrobić, żeby przypomnieć dyrektorowi, że łączące ich relacje były stricte służbowe.

– Bardzo dobrze. Cieszę się, że to słyszę.

Dyrektor poluzował krawat i pasek spodni. Gapił się na jej piersi. Hannah poczuła, jak gasną w niej resztki nadziei.

– Masz wielki potencjał. Twoje oddanie pracy przynosi ci chlubę. Nie przegap żadnej okazji do awansu.

– Rozumiem, proszę pana. – Udało się jej nawet uśmiechnąć, zanim dotarło do niej, co naprawdę miał na myśli. Przeklęła w duchu własną naiwność.

Dyrektor wyszczerzył się w uśmiechu.

– Dobrze, cieszę się, że to dla ciebie jasne.

Zanim się zorientowała, wyciągnął rękę i dotknął guzików jej bluzki. Dwa na samej górze rozpięły się, dwa kolejne urwały w wybuchu. Była obnażona. Dyrektor utkwiał wzrok w jej staniku i tym, co pod spodem.

– Pewnie chciałabyś zrzucić te podarte ciuchy, co?

Hannah znów się uśmiechnęła, zmuszając do współpracy odporne mięśnie twarzy. Czowała, że serce tłucze się jej w piersi, a mimo to nie mogła nawet drgnąć. Co miała robić?

Dyrektor nachylił się nad proszkiem i głęboko zaciągnął. Hannah rozejrzała się pospiesznie po pokoju. Jedne drzwi ze strażnikiem po drugiej stronie, okna za grubymi zasłonami – pierwsze piętro, za wysoko, żeby skakać. Patrzyła, jak kreska znika w rurce. Ogarnęło ją straszne poczucie klęski; czuła się, jakby przygniótł ją ciężar pokoleń kobiet, które – choć niechętnie – poddawały się jednak niechcianym męskim zalotom, mówiąc:

„Och, niech już robi, co chce”. Dyrektor podniósł głowę; miał zamknięte oczy i wydał z siebie zadowolone westchnienie. Potem znów się na nią obejrzał i gapił się na jej piersi.

Podsunał jej rurkę.

– Mam nadzieję, że mnie nie rozczarujesz, Shuyi.

Zauważyła, że bez marynarki wyglądał o wiele potężniej, bynajmniej nie jak gryziopiórek, za którego go lekceważąco brała. Miał grube ramiona i mocne nadgarstki. Zauważyła też, jak szybko reagował – miał doskonały refleks.

Siedziała zmrożona w fotelu, sztywna ze strachu i odrazy. Nie miała pojęcia, co robić, więc przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się.

Pierwsza kreska tylko dyrektora rozochociła. Spojrzał na Hannah, a kiedy pokręciła głową, wzruszył ramionami i znów pochylił się do przodu. Hannah patrzyła uważnie, jak przystawił rurkę do początku kreski, a jej drugi koniec przytknął do lewego nozdrza, prawe zatykając czubkiem palca wskazującego. Spokojnie, powiedziała sobie: zaczekaj na odpowiednią chwilę. Miała tylko jedną szansę i musiała wszystko zrobić dobrze. Jej jedyną przewagą było zaskoczenie.

Wyciągnęła rękę, złapała dyrektora za potylicę, jakby chwyciła za piłkę do koszykówki, a potem z całych sił pchnęła jego głowę w dół. Wszystkie miesiące upokorzeń i drwin znalazły ujście w jednym potężnym, niszczycielskim akcie zemsty. Z lepkiem odgłosem dartych tkanek srebrna rurka wbiła się przez nos głęboko w głowę dyrektora. Hannah go puściła. Zatoczył się w tył, na wpół wstając; przewrócił oczami, spojrzał na nią, wykrzywiając usta w grymasie przerażenia, a potem upadł na podłogę. Dygotał spazmatycznie, w srebrnej rurce zablokowała krew.

Hannah spojrzała na niego zimnym, nieruchomym wzrokiem, a potem ruszyła ku drzwiom. Zatrzymała się jednak. Jeśli nie zrobi sceny, ochrona będzie podejrzewać ją. Przyłożyła dłonie do twarzy i wrzasnęła najgłośniejszym głosem.

jak umiała.

Wpadli do pokoju. Hannah stała jak skamieniała, zakrywała dłonią usta, jakby miała wymiotować.

– W jednej chwili wszystko było dobrze, a potem... Boże, chyba miał wylew krwi do mózgu!

Jeden z ochroniarzy objął ją ramieniem i wyprowadził z pokoju.

– Muszę wracać do domu...

Przycisnął ją trochę zbyt mocno. Jezu, pomyślała, oni wszyscy są tacy sami.

– Chyba już sobie poradzę, dziękuję.

Kiedy wyszli, strząsnęła ramię mężczyzny, ukłoniła się lekko i ruszyła w dół po schodach.

– Musicie wezwać departament Spraw Wewnętrznych, nie policję. Oni się tym zajmą jak należy.

Drugi ochroniarz zmarszczył brwi.

– Jako świadek musi pani zostać...

Ale ona już go mijała.

– Ej, stać!...

Wybiegła przez drzwi, po schodach na podjazd. Przy samochodzie stało dwóch następnych ochroniarzy, palili papierosy. Skąd oni się wzięli, do cholery?

– Szybko! Dyrektor miał wylew!

Zawahali się. Hannah zobaczyła, że w stacyjce audi wciąż tkwią kluczyki.

– Szybko! Może go uratujecie!

Wskoczyła na miejsce kierowcy, przekręciła kluczyk i wrzuciła bieg. Popędziła prosto do wyjazdu. Brama wyglądała na bardzo solidną, ale nie

było innego wyjścia. Hannah zamknęła oczy i wcisnęła gaz do dechy.

37

Góry Huang Shan

Już prawie świtało. Kovic wygiął się do tyłu, kierując lornetkę prawie pionowo w stronę szczytu. Na zdjęciach Qi góra wyglądała na niedostępną; teraz, kiedy stał u jej podnóża, nie przypominała żadnej innej spośród tych, które widział; olbrzymi słup wulkanicznego granitu. Jej strome ściany były porośnięte kępami roślinności i poznaczone otworami – pozostałością z czasów, kiedy wypchnęły ją w górę podziemne siły z głębi Ziemi, rozpaloną do barwy ognia. Szczyt nikał w chmurach.

Kovic poczuł nieznajome ukłucie troski, uświadamiając sobie, na co zamierzał narazić swoich ludzi. W innych okolicznościach zwyciężyłby zdrowy rozsądek. Teraz mu go jednak zabrakło.

– Jak to wygląda?

Qi, rozkładający haki i liny, starał się podchodzić do sytuacji pozytywnie.

– Nie mam pojęcia. Przez tę chmurę guzik widać.

Chociaż słońce jeszcze na dobre nie wstało, już było parno i duszno. Wyruszyli o piątej rano i zagłębili się w las. Pod prowizoryczną tamą mieli się spotkać z przewodnikiem zorganizowanym przez panią Chen. Zhou rozebrał się i poszedł popływać. Wu siedział na krawędzi mostu z bali i moczył stopy w zimnej, czystej, górskiej wodzie. Wśród drzew otaczających tamę rozciągały się piętrowe poletka herbaty, żeń-szenia i innych upraw. Ten niespodziewany Eden zrobił na Wu wyjątkowe wrażenie.

– Wciąż chcesz jechać do Ameryki?

Kovic miał nadzieję, że Wu zmieni zdanie, bo szanse powodzenia tego

planu malały z każdym dniem.

Wu ruchem głowy wskazał szczyt góry.

– Spytaj mnie, jak będzie po wszystkim.

Qi sortował sprzęt: uprząże wspinaczkowe, miękkie buty na gumowej podeszwie, kreda dla poprawy chwytu, nylonowa lina kernmantle, najdroższa, jaką znalazł, karabińczyki do jej mocowania, haki do wbijania w skałę, rolki zjazdowe i płytki Stichta zakładane na linę.

Ruchem ręki wskazał otoczenie.

– Aż trudno uwierzyć, że sto milionów lat temu tu wszędzie było morze.

– Tak? No to jeszcze do końca nie wyschło. – Wilgoć zaczynała już Kovicowi przeszkadzać.

Pierwsze tysiąc metrów porastała gęsta roślinność, głównie sosny, niektóre wyrastające prosto z głębokich szczelin w skale. Nad linią drzew, znad której wyrastał wielki, granitowy słup, jeżyły się małe krzaki i paprocie, trzymające się uparcie pionowych powierzchni. Kamienne stopnie wykute tysiąc lat temu przez mnichów, pierwszych mieszkańców szczytu, w niektórych miejscach były nadal dobrze widoczne, w innych całkowicie zniknęły. Przez ostatnie dziesięć lat obowiązywał tu zakaz wstępu. Znalezienie drogi na szczyt bez pomocy było niemożliwe.

Qi siadł do laptopa, którego podłączył do małej anteny na trójnogu. Kovic zajrzał mu przez ramię.

– To plan instalacji elektrycznej, który daje nam całkiem niezłe pojęcie o rozmieszczeniu budynków. W połączeniu z tym, co ściągnąłem przez satelitę meteorologicznego, mogę potwierdzić, że otaczający całość mur ma wbudowaną linię wysokiego napięcia, działającą jednocześnie odstraszająco i jako alarm.

– Wymyśl, jak ją wyłączyć. Jakies widoczne przejścia przez mur?

– Wygląda na to, że jedyny konwencjonalny sposób to lądowisko

śmigłowca.

Jakby na sygnał gdzieś w górze załopotały podwójne wirniki wielkiego helikoptera, niewidocznego przez niskie chmury spowijające szczyty gór. Qi popatrzył na Kovica.

– Przydałby się nam taki.

– Może pożyczymy, wychodząc. Uwaga!

Po tamie biegł truchtem w ich stronę drobny mężczyzna. Szeroko się uśmiechał i machał; był ubrany w strój i kapelusz wieśniaka. Na ramieniu zawiesił małą płócienną torbę, z której wystawał oskard. Jego twarz, przeorana głębokimi zmarszczkami, ostro kontrastowała ze zwinnością jego ruchów.

– Mój Boże – powiedział Kovic. – Toż to skalny goblin.

– Witajcie w naszym kraju! – pozdrowił Kovica mężczyzna, a potem ujął jego dłoń w swoją, silną i twardą jak szczyt. – Nazywam się Heng. Mam nadzieję, że podobają się wam liczne cuda naszej krainy.

Wszyscy przerwali to, co robili, i gapili się na niego. Poważnie, to był ich przewodnik?

– Oczywiście, jestem wielkim miłośnikiem waszego kraju... – odrzekł Kovic. Co ona mu powiedziała? Że są niegroźnymi turystami, którzy mają chętkę na podglądanie ptaków i partyzantkę?

– Jest starszy niż mój dziadek – szepnął Wu.

Mężczyzna wyglądał na co najmniej osiemdziesiąt lat; Kovica zakłuły wyrzuty sumienia. Byli przygotowani na niebezpieczeństwo, ale ten człowiek sprawiał wrażenie, jakby mógł umrzeć, nim padnie pierwszy strzał.

– Pani Chen poleciła mi kategorycznie nie pytać o cel waszej wyprawy, ani nie powtarzać niczego, co powiecie. Macie moje słowo. Nie ma czasu do stracenia, musimy wyjść ponad linię drzew przed zmrokiem.

– Jak długo potrwa wspinaczka na szczyt?

Staruszek popatrzył na nich z miną nowego nauczyciela, który odkrywa, że trafiła mu się klasa nieuków.

– Ja robię to w dzień. Wy – może dwa, jeśli się postaracie i nie będziemy tracić czasu. Ale bez obaw, zaczekam na was!

Tu wydał z siebie dziwny, urywany dźwięk, jakby naśladował karabin maszynowy: śmiał się.

– Pokażcie mi swoje wyposażenie.

Qi pokazał mu rozłożony sprzęt. Staruszek przyjrzał się wszystkiemu po kolei, zmarszczył czoło, a potem pokręcił głową i pokiwał palcem.

– Tego nie, tego nie, tego nie.

Qi zrobił przerażoną minę. Całymi godzinami dobierał najlepszy sprzęt do tej wspinaczki. Heng pogardliwie kopnął liny.

– Nie ma sensu tego brać. Będzie pod dostatkiem uchwytów dla rąk.

Te słowa miały im pewnie dodać otuchy, ale zawisły złowrogo w powietrzu. Wu wyglądał tak, jakby za chwilę miał zemdleć.

– Dodatkowy ciężar, trudniej utrzymać równowagę...

Kovic zrewidował swoją opinię i z respektem spojrział na żyłaste dłonie starca – idealne instrumenty do czepiania się skalnej ściany. Może Chińczyk był w jakiejś części małpą.

– A te eleganckie, stare schody? – spytał Zhou.

Znów seria z karabinu maszynowego.

– Dawno ich nie ma. Obecny mieszkaniec kazał je zniszczyć.

Wrócił do krytykowania ich wyposażenia.

– O wiele tego za dużo. Będzie wam wystarczająco ciężko wciągać ciężar własnego ciała po stromiźnie. Musicie zabrać tylko najbardziej potrzebne rzeczy. Otwórzcie plecaki i wyrzucie wszystko, bez czego możecie się obejść. Patrzcie.

Otworzył własną postrzępioną, płócienną torbę.

– Woda, jedzenie i koc. To wszystko. I oskard, do skracania cierpień rannych.

Znów seria.

Kovic zastanawiał się, ile pani Chen powiedziała Hengowi. Kiwnął głową, mając nadzieję, że Chińczyk nie powie już niczego więcej, co mogłoby jeszcze pogorszyć atmosferę beznadziei.

Nikt się nie ruszył, więc Heng złapał pierwszą torbę i zaczął przetrząsać jej zawartość. Oprócz sprzętu do wspinaczki była tam broń – po pistolecie na głowę – amunicja i ładunki wybuchowe do wysadzania drzwi. Na widok tego arsenału starzec spoważniał. Oglądał pistolety, z aprobatą kiwając głową. Wiedział, co się tu dzieje. Pani Chen przekonywała, że można mu zaufać. Miejmy nadzieję, że się nie pomyliła, pomyślał Kovic.

– Dobrze, może jednak weźmiemy liny, żeby wam z tym wszystkim pomóc.

Rozległo się chóralne westchnienie ulgi. Heng spojrział na antyczny zegarek na ręku, z prawie nieprzezroczystym szkiełkiem od nagromadzonych latami pęknięć i rys, zupełnie jak jego własna twarz.

– No, nie ma co stać i drapać się po tyłkach!

38

Kovic z wolna posuwał się naprzód. Nad nim, w górze, skalne urwisko niknęło w chmurach. W dole, między stopami wspartymi na półce szerokiej na jakieś trzydzieści centymetrów, opadała pionowa ściana. Po lewej miał Zhou, bladego ze strachu. Wu i Qi byli tuż za nim, wtuleni w skałę. Na przerażonej twarzy Qi lśniły łzy.

Kovic spojrzął w prawo, na Henga, który uśmiechnął się do niego szeroko. Kiedy zobaczył go po raz pierwszy, przeskakującego przez zaporę z kłód, natychmiast pomyślał, że to jakiś żart. Teraz był pełen podziwu.

Wspinali się już od sześciu godzin.

Początek był stosunkowo łatwy. W skale zachowały się niektóre stopnie ze schodów wykutych wieki temu przez mnichów. Ale po kilkudziesięciu metrach nie było już po nich śladu.

Kovic zastanawiał się, czy pozostawienie kilku pierwszych nie było ze strony Tsu rozmyślną drwiną.

– Nie myślcie o tym, co w dole – powiedział wesoło Heng. – Skupcie się na każdym kroku, trzymajcie się mocno i myślcie: „Idę do przodu”. Będziecie czuli, że żyjecie, może bardziej niż kiedykolwiek.

Heng zdradził Kovicowi, że jako górski przewodnik pracuje już od dwudziestu lat. Przedtem spędził dwadzieścia pięć w obozie pracy, wydobywając azbest.

– Wystarczy, że przypomnę sobie tamte czasy... Głęboko pod ziemią, pył, kaszel, szczury pływające w kadziach zupy ryżowej, którą nas karmili. Ludzie dookoła padali jak muchy. Tutaj – to dopiero jest życie!

Kiedy to powiedział, jego oczy zaślnęły blaskiem.

39

– Tu będzie dobrze.

Heng obrócił się i zdjął plecak. Półka, po której szli, zwęziła się, a otaczająca ich ciemność stała się błogosławieństwem, bo ukrywała coraz głębszą przepaść.

– Możemy kilka godzin odpocząć przed świtem.

Kovic spojrział na pozostałych. Nikt nie odwzajemnił spojrzenia. Oczy mieli utkwione albo w skałę po lewej, albo w półce pod stopami.

– Mówiłem, że nabierzecie wprawy – powiedział Heng wesoło. Rozwinął swoją cienką matę i położył się na niej z taką satysfakcją, jakby była podwójnym łóżem z baldachimem w Hyacie.

Była druga w nocy. Kovic położył się, pozostali poszli za jego przykładem. Qi zasnął natychmiast, nie zdjawszy nawet plecaka.

– Śpijcie dobrze, panowie – rzekł Heng. Chwilę później głośno zachrapał. Jego drobne ciało całe wibrowało, usta miał szeroko rozdziawione.

– Mam nadzieję, że jakiś wielki owad wleci mu tam i go udusi – powiedział Zhou.

– On sam jest owadem – stwierdził Wu. – To człowiek mucha.

– Nie jest normalny. Zauważyliście, że się nie odlewa?

– Ej, spokój. Róbcie, co kazał. Odpocznijcie trochę.

Kovic poczuł, że w kieszeni wibruje mu telefon. Wykręcił się niewygodnie, żeby go wyciągnąć, nie spadając w otchłań. Z pewnością był to dobry sposób, żeby powstrzymać się od zbyt częstego sprawdzania SMS-ów. Zobaczył wiadomość od Hannah: „Musimy porozmawiać. TO PILNE”. Skończył mu się czas. Znów siadła mu na karku. Kovic wyłączył telefon

i skupił się na zaśnięciu w takiej pozycji, żeby nie spaść. Znalazł kamień wielkości arbuza i odgrodził się nim od przepaści, żeby przez sen nie przewracać się z boku na bok. Potem zamknął oczy i przyśniła mu się Louise.

40

Kovica obudził jasny snop światła. We śnie znalazł się w innym miejscu. Był znów w sea hawku, ale nie nad Koreą Północną. Wyglądał przez drzwi na kryjówkę Tsu w dole. Otworzył oczy i zobaczył pod sobą trzystumetrową przepaść. Przed upadkiem ochronił go tylko kamień, którym się zaklinał. Odskoczył w tył, przewrócił się na plecy i zrozumiał, że śmigłowiec wcale mu się nie przyśnił. W górze, daleko nad nimi, do lądowania na szczycie schodził wielki, dwuwirnikowy chinook.

Nikt już nie spał. Heng odwrócił się i przywitał ich z butelką wody w jednej ręce i daktylowym batonikiem w drugiej. Siedział swobodnie, założywszy nogę na nogę.

– Dzień dobry, panowie. Piękny dzień na ostatni etap podróży.

W nocy temperatura drastycznie spadła. Ludzie Kovica byli bladzi i niewyspani.

– Jak daleko jeszcze? – spytał cicho Qi.

– No, to był łatwiejszy odcinek – oznajmił Heng. Wczuwał się w rolę zespołowego sadysty. – Dziś półka znika. Będzie też szczelina.

Żaden z nich nie miał ochoty pytać go, co ma na myśli.

– Chodźcie, pokażę wam. To zaraz za zakrętem.

Wszyscy podeszli do przodu. Heng przykucnął, żeby mogli wyjrzeć zza załomu. Skalną ścianę przecinała pionowa szczelina, głęboka na jakieś dziesięć metrów.

– Kiedyś przerzucaliśmy linę i przełaziliśmy na drugą stronę. Alternatywa to iść prosto w górę. Ponieważ dotąd szliście raczej wolno, proponuję to drugie. Poza tym zbliża się front atmosferyczny, a to oznacza mocny wiatr.

Przekazał tę wiadomość, jakby była to kolejna niespodzianka w ekscytującej grze, którą dla nich przygotował.

– Chyba nie dam rady – powiedział Qi. Pozostali popatrzyli na Kovica. Wu odchrząknął.

– Ogólnie rzecz biorąc... w nocy, kiedy spałeś, rozmawialiśmy...

– Podjęliśmy decyzję.

Wtrącił się Zhou.

– Nawet jak przejdziemy przez mur, co potem?

– Czemu mówicie o tym dopiero teraz?

– Co innego oglądać to na laptopie... – Qi wskazał pionowe zbocze góry.

Kovic kolejno powiódł po nich wzrokiem. Uszła z nich cała żądza przygód. Nie mógł mieć do nich pretensji. To było jego przedsięwzięcie. Nie mieli takiej motywacji jak on. Wykorzystał ich lojalność, ich dumę, która nie pozwalała im odmówić. Ale podczas okrutnej wspinaczki jedno i drugie gdzieś wyparowało.

– Macie rację. To szaleństwo.

Kovic wstał. Na twarzach pozostałych odmalowała się ulga.

– Dalej pójdę już sam. Za Hengiem. Tak pewnie będzie najlepiej. Wy wracajcie. Przepraszam, że zaciągnąłem was aż tutaj.

Na twarzy Wu zobaczył niewidziany wcześniej grymas czystej nienawiści. Powrót bez Henga był samobójstwem. Kovic to wiedział. Wszyscy to wiedzieli.

Zhou znów się odezwał – pierwszy raz bez przekonania.

– Nawet jeżeli dostaniesz się do środka, jak uciekniesz?

– Gdybym sobie zadawał to pytanie, nie pakowałbym się w to.

Przed sobą usłyszeli niskie buczenie.

– Co to?

Heng pomachał ręką.

– Wyjrzyjcie za szczelinę, zobaczycie.

Ujrzeni coś, co wyglądało jak wielka klatka dla ptaków, zawieszona na linie spuszczonej ze szczytu i powoli pnąca się w górę.

– To nowość.

Qi splunął.

– I teraz nam o tym mówisz.

– Winda obsługiwana jest wyłącznie z góry. Stacja na dole nie ma załogi i jest zdalnie zamykana.

Kovic podniósł do oczu lornetkę.

– Ktoś jest w środku.

W klatce widać było trzy osoby. Dwie miały mundury podobne do strażników na drodze, między nimi klęczała trzecia, skuta i z workiem na głowie.

Kovic odwrócił się do Henga. Pierwszy raz, odkąd wyruszyli, z twarzy starca zniknęła radość.

– Transporty są coraz częstsze.

– Jak to?

– Wszyscy wiedzą, że Tsu lubi ból. Cudzy. Podobno każe ludziom ze sobą walczyć dla swojej rozrywki. – Heng wzruszył ramionami. – No dobrze, to jak w końcu będzie?

41

Heng umocował linę i Kovic poszedł pierwszy. Czasem obracało go twarzą na zewnątrz i wisiał jedynie na czubkach palców. Tak jak starzec uprzedził, wiatr się wzmaczał. Obiecał pozostałym, że po robocie prysną windą albo porwanym śmigłowcem. Czuł jednak, że szalę przeważyla perspektywa powrotu bez Henga. Ale żaden z nich nie wiedział, że plany Kovica nie sięgały poza moment konfrontacji z Tsu.

Następny poszedł Zhou. Pokonał chyba barierę strachu, odzyskał w części swoją zwinność włamywacza i piął się po linie z żelazną determinacją. Idący za nim Wu zawzięcie parł do góry, ale Qi, wyrwany brutalnie ze swojego hackerskiego środowiska, płakał rzewnymi łzami, a co gorsza, zmoczył się. Udawali, że tego nie widzą.

Heng wciągnął Kovica na ostatni głąz i oto jego oczom ukazała się siedziba Tsu.

– Ja pierdolę...

Kompleks wyglądał zupełnie inaczej niż na ziarnistych zdjęciach Qi.

Cała drewniana konstrukcja i dach pagody zniknęły. Granitowy mur podwyższono o kolejne trzy metry. Co jakieś piętnaście metrów widniały w nim smukłe otwory, niczym średniowieczne strzelnice, zbyt wąskie, by zmieścił się w nich człowiek.

– Chodźcie. – Heng ponaglił ich gestem. Wzdłuż podstawy muru biegła półka szerokości około dwóch metrów. – Biegnie dookoła całego wierzchołka.

– A brama?

– Jest zablokowana. Jedyne otwór to ten na windę.

– Nie da się dostać do środka inaczej niż przez mur?

– Jest jeszcze kanał burzowy. Biegnie głęboko pod zabudowaniami, potem pionowo do góry, kończąc się kratą w południowo-zachodnim rogu dziedzińca.

– Są tam jakieś kamery? Patrole?

Heng wzruszył ramionami.

– Po co? Nie spodziewają się, że znajdzie się ktoś wystarczająco szalony, żeby próbować się tamtędy wspiąć.

Wyciągnął rękę.

– No, powodzenia. Drogę powrotną znacie. Zostawię linę na miejscu na wypadek, gdybyście postanowili wrócić wolniejszą drogą.

Zaśmiał się jeszcze raz. Kovic go uściskał. Pogoda starca podtrzymywała go na duchu i była lekarstwem na podupadające morale zespołu. Żałował, że Heng nie może zostać, ale nie chciał go wplątywać w to, co miało nadejść.

Heng uścisnął wszystkim dłonie. Spoglądali na niego z podziwem; Kovic wiedział, że bez jego przykładu i wiedzy nie dotarliby na szczyt.

Popatrzył, jak starzec znika za krawędzią półki, a potem obejrzał się na pozostałą trójkę, w różnych stadiach wyczerpania.

– Jaki jest plan, szefie? – Zhou chyba złapał drugi oddech.

– Rozbijemy obóz, a Qi rozłoży swoje zabawki i poda nam aktualne informacje o tym, co się dzieje w środku.

Półka opadała ku wschodowi, nieco dalej w tym kierunku pod murem wyrastała mała kępa krzaków.

– Tam.

Po niekończącym się balansowaniu w ciasnocie teraz czuli się jak na boisku. Zrzucili torby. Qi wyciągnął sprzęt, umieścił na trójnogu antenę i ustawił ekran.

Od wschodu, nad powierzchnią chmur, przy wtórze basowego, gardłowego pomruku nadleciał ciężki transportowy śmigłowiec.

– A-ha! Co my tu mamy?

– To chiński AC313, wzorowany na francuskim super frelonie z Aérospatiale, konstrukcji z lat sześćdziesiątych. Przewozi dwudziestu siedmiu pasażerów i od czterech do pięciu ton ładunku.

– Czyli już dawno przeterminowany.

– Niezupełnie – powiedział Qi. – Ma łopaty wirnika z kompozytu, całkowicie cyfrową awionikę, certyfikat dopuszczający do lotów na wysokościach powyżej czterech i pół tysiąca metrów nad poziomem morza, plus jest w pełni przygotowany do lotów w skrajnych warunkach pogodowych takich jak śnieżyce i mróz do minus czterdziestu sześciu stopni Celsjusza.

– Sprawdzę numer rejestracyjny.

Kovic podniósł do oczu lornetkę, ale na wypolerowanym, czarnym kadłubie maszyny nie było żadnych oznaczeń. Śmigłowiec zatoczył koło nad wierzchołkiem, a potem zniżył się do lądowania i zniknął za murem.

– Dobra, dzięki krnąbrnemu satelicie meteo naszych przyjaciół Rosjan mam oczy wewnątrz muru...

– I?

– O kurwa... Spójrz na to.

Qi obrócił laptop do Kovica. Kovic ręką osłonił ekran przed słońcem. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale olbrzymi helikopter powinien był dać mu do myślenia. Na wewnętrznym dziedzińcu stały jeszcze dwa mniejsze śmigłowce – jeden standardowy osobowy, drugi dwumiejscowy z otwartą po bokach kabiną. Ale tym, co naprawdę zwróciło jego uwagę, była liczba ludzi w mundurach, wysiadających z AC313: co najmniej trzydziestu, ubranych w stroje ochronne i uzbrojonych po zęby. Od początku niewydarzony plan szturm na umocnienia nagle stracił na aktualności.

– Jak na samotnika lubi towarzystwo. – Kovic popatrzył na mur. – Muszę się temu lepiej przyjrzeć.

W głowie zaczął mu się kształtować nowy plan. Obejrzał się na pozostałych. Wu już spał, Zhou też niewiele brakowało. Kovic odwrócił się z powrotem do Qi.

– Okabluj mnie.

– Co, teraz? Zwariowałeś. Musisz odpocząć tak samo jak my, śmiertelnicy.

Kovic nie słuchał. Czuł w sobie energię. Dotarł tak daleko. Za murem działo się coś ważnego i nie mógł zaryzykować, że to przegapi – albo, co gorsza, że Tsu wyślizgnie mu się z rąk. Rozpakował hak do wspinaczki i wyrzucił pneumatyczną, współpracującą ze strzałkami ogłuszającymi, których zabrał ze sobą sporo, oraz granaty dymne. Zawahał się, po czym uznał, że nie będzie tego zabierał ze sobą.

Qi uważnie mu się przyglądał.

– Idziesz się tylko rozejrzeć, tak?

– Tak, oczywiście.

Brak przekonania w głosie Kovica martwił Qi. Dał mu mikroodbiornik, który Kovic wcisnął sobie do ucha.

– To ten sam model, którego używasz podczas obserwacji i werbunków, ale jest zoptymalizowany pod kątem wysokości i ma większy zasięg. Te mury mogą zniekształcać sygnał, a kiedy zejdziesz pod ziemię, kontakt zerwie się całkowicie, pamiętaj. To technologia, nie magia.

Qi włączył swój odbiornik.

– Masz sygnał?

Kovic kiwnął głową.

– Potwierdzam.

Qi ścisnął go za ramię.

– Uważaj na siebie. Niech cię nie poniesie, dobrze?

Kovic rozłożył ramiona.

– Tak na goło? Nie sądzę.

Qi to nie przekonało, ale nie bardzo mógł się spierać.

Kovic zamocował hak do liny, wycelował i wystrzelił. Hak zaczepił się o krawędź muru. Pociągnął z całych sił: trzymał mocno. Napiął linę i zaczął się wspinać, owijając ją po drodze wokół pasa. Mięśnie rąk protestowały bólem, ale gnało go coś, co niwelowało wyczerpanie. Dotarł do krawędzi, chwycił ją obiema rękami, podciągnął się i położył płasko na szczycie. Na wietrze trzepotała flaga z ognistą pięścią i węzowym trójzębem.

– O cholera – szepnął do siebie.

Qi odebrał to wyraźnie i głośno.

– *Mów do mnie!*

– Ze śmigłowca wysiada kolejna grupa ludzi w mundurach kamuflujących, bez kamizelek, tylko teczki i laptopy. Wyglądają jak sztabowcy. Ale w kolorach maskujących mają niebieski. To nie prywatna armia, to marynarka. Co ten facet, kurwa, kombinuje?

Kovic wyjął telefon i przesłał Qi krótkie nagranie wideo, które haker mógł wykorzystać w tworzeniu planu kompleksu i identyfikacji mundurów.

Komputer Qi ściągnął film.

– *Dobra, mam. Schodzisz?*

Kovic nie odpowiedział. Wciąż przycupnięty na szczycie muru podciągnął linę.

– *Kovic?*

Qi pomachał do niego z dołu.

Kovic odmachął. Wiedział, że to szaleństwo, ale w końcu cała ta wyprawa była szaleństwem. Niby czemu miałby się teraz zatrzymać?

Poklepał się po górnej kieszeni bluzy, sprawdził, czy ma swój południowoafrykański paszport.

– Zamierzam zaproponować mu swoje usługi.

42

Kovic leżał twarzą w dół na lądowisku, otoczony przez strażników, z lufami karabinów przystawionymi niemal do głowy i czymś buciorem na krzyżu.

– Wyluzujcie, panowie, przecież nigdzie nie pójde.

Żaden z nich nie dał poznać, że cokolwiek zrozumiał. Kovic nic nie widział, bo przycisnęli go twarzą do ziemi, ale usłyszał, że biegnie do niego więcej ludzi.

– Znajdźcie kogoś, kto mówi po angielsku, szybko.

Minęła dłuższa chwila, zanim ktoś taki się znalazł.

– Mów, jak się nazywasz i czego chcesz.

Kovic pomachał paszportem.

– Ray Nyman, z RPA. Słyszałem, że pan Tsu szuka pracowników.

Liczył, że to będzie najbardziej wiarygodna z możliwych przykrywek; świat był pełen byłych żołnierzy sił specjalnych RPA, szukających zajęcia w prywatnej ochronie.

– *Dobra, słyszę cię* – rozległ się głos Qi w słuchawce.

– Słuchajcie, panowie, dajcie mi spokój, co? Dostać się tutaj było o wiele trudniej niż zakładałem i ledwie żyję, więc i tak możecie ze mną zrobić, co chcecie. Zamknijcie mnie, jak musicie, ale nie pogardziłbym miską ryżu albo jeszcze lepiej soczystym stekiem ze strusia, który przypomniałby mi dom.

Szarpnięciem postawili go na nogach.

– Dzięki. Zaprowadzicie mnie do szefa?

Bez słowa powlekli go ku małym, metalowym drzwiom, niewyglądającym bynajmniej jak wejście dla gości. Kiedy się zbliżyli,

strażnik wewnątrz otworzył je i weszli do ciemnego, zawilgłego tunelu, wykutego w samej skale. Jedynym źródłem światła był tu ciąg gołych żarówek, zwisających z kabla biegnącego wzdłuż sklepienia. Za kolejnymi drzwiami znajdował się rząd klatek. Smród ludzkich odchodów po prostu dusił. Z początku Kovicowi wydawało się, że klatki są puste, dopóki w jednej z nich nie zauważył na podłodze jakiegoś – zdawało mu się – tobołka, który lekko się poruszył.

– Ej, chcę się widzieć z panem Tsu. Sporo potrafię. Hej!...

– Bądź cicho. Zostań tu.

Wepchnęli go przez siatkowe drzwi do klatki i zamknęli.

– Ej, co z tą słynną chińską gościnnością?

Strażnicy zawrócili na pięcie i wyszli. Kovic szeptem wezwał Qi, ale oczywiście bez odpowiedzi.

– No, przynajmniej jestem w środku – powiedział do siebie. Rozejrzał się po klatce. Było w niej wiadro i prycza, zrobiona z tej samej stalowej siatki co sama klatka. Podłoga niepokojąco się lepiała.

Kovic nie miał pewności, jak zakwalifikować swój pomysł: jako imponująco śmiały czy po prostu głupi. W tym momencie skłaniał się raczej ku temu drugiemu. Przecież równie dobrze Tsu mogło w ogóle tu nie być. Ale jakie miał wyjście? Sił dodawała mu myśl, że mógłby siedzieć za biurkiem w Langley – co przez chwilę wydało się bardzo atrakcyjną perspektywą, zanim przed oczami nie stanęły mu obrazy z kilku ostatnich dni. Nawet dziesięć tysięcy kilometrów nie wystarczy, żeby zapomnieć o tym, co spotkało jego żołnierzy na granicy oraz Louise.

Przypomniawszy sobie coś, co usłyszał kiedyś od weterana z Wietnamu, który przeżył cztery lata w obozie jenieckim Wietkongu. Początkowo sił dodawała mu myśl o powrocie do domu; motywowała go, żeby wszystko znieść, a po powrocie ożenić się z dziewczyną, która na niego czekała, i zacząć obiecaną pracę w warsztacie samochodowym jej ojca. Ale z upływem czasu coraz

bardziej docierało do niego, że ta przyszłość się oddala. Wojna i obóz zabiły tę jego wyczekującą część. I żeby odpędzić rozpacz, skupił się na zemście. A kiedy nadarzyła się sposobność ucieczki, zamiast prysnąć w diabły, zwrócił się przeciwko wrogowi i wraz z kilkoma innymi więźniami urządził im piekło. Gdyby Kovic potrzebował jeszcze jakiejś inspiracji, płynęła ona z tej właśnie opowieści.

Po godzinie zgasło światło. Próbował zasnąć. Upłynęły trzy godziny, światło znów się zapaliło, a do środka weszło dwóch strażników. Zaprowadzili Kovica pod prysznic, kazali mu się rozebrać i umyć. Udawał, że nie rozumie, o co im chodzi, w nadziei, że podsłucha coś przydatnego. Woda była ledwie ciepła, ale przyjemna. Wytarł się małym, poplamionym ręcznikiem, założył ubranie, które otrzymał od strażników: zielony kombinezon i klapki na konopnych podszwach.

– Dostanę coś do jedzenia?

Żaden nie odpowiedział. Kovic pokazał gestem jedzenie, ale nie wywołało to żadnej reakcji. Był już solidnie głodny. Strażnicy wyprowadzili go tunelem na dziedziniec. Na dworze było ciemno; chmury spowijające górę zasnuwały mgłą reflektory, zmieniając ich światło w upiorną poświatę. Tym razem Kovic został rozkuty i mógł iść bez podtrzymywania, ale kiedy obejrzał się na wieżyczkę strażniczą po lewej, czyjaś ręka złapała go za kark i odwróciła mu głowę.

– Dobra, umyty i przebrany na kolację – mruknął niby do siebie, ale z nadzieją, że Qi słucha.

– *Dzięki Bogu! Gdzie byłeś?*

– Zdrzemnąłem się.

Zatrzymali się przed wielkimi wrotami z ciemnego, lakierowanego starego drewna. Zapukali i zaczekali. Kovic usłyszał ze środka szcęk odsuwanych automatycznych rygli i zobaczył, że otwiera się jedno skrzydło drzwi. Znaleźli się w korytarzu o kamiennej podłodze, ozdobionym

wspaniałymi zabytkowymi gobelinami – wartymi miliony przedstawieniami konnych wojowników z czasów dynastii Han. Za kolejnymi drzwiami znajdowała się sala zbudowana chyba w całości z szarego marmuru. Kovicowi nieprzyjemnie skojarzyła się z grobowcem.

Tyłem do niego stała samotna postać, paląca papierosa. Nie odwracając się, mężczyzna machnął ręką, odsyłając wartowników. Kovic czekał.

– Czego chcesz?

– Tylko zajęcia, sir.

– Jak się tu dostałeś?

Głos był tak cichy, że prawie niesłyszalny – płynny angielski z amerykańskim akcentem.

– Wspiąłem się, sir. To moje hobby.

– Południowa Afryka?

– Tam się urodziłem i wychowałem.

– No to powiedz coś w afrikaans.

– *Daar was eendag ‘n woud, aan die kant van die son, die maan is ‘n flou olielamp, saans brand honderde kersies...*

– Co to jest?

– *Hansie en Grietjie* – Jaś i Małgosia. Pierwszy wierszyk, którego nauczyłem się w szkole. I ostatni.

Kovic zaśmiał się krótko.

Tsu nie zawtórował.

Odwrócił się powoli. Kovic poczuł, że krew stygnie mu w żyłach. Miał nadzieję znaleźć człowieka, który wysłał nad granicę swoich zabójców, ale ta sylwetka nie mogła pomylić się z żadną inną. To sam Tsu był mordercą – bez cienia wątpliwości. Jego profil, lekkie przygarbienie, jakby kiedyś złamał kark i nie mógł się od końca wyprostować. Musiał opuścić swoją górską kryjówkę specjalnie po to, by wykonać tę jedną misję. Kiedy gestem kazał

Kovicowi usiąść, spod mankietu wysunął mu się tatuaż; miał go na lewym, a nie prawym nadgarstku jak u innych. Kovic zajął wskazane miejsce. Z największym trudem zachowywał panowanie nad sobą, ale póki co nie wypadł z roli.

– Nie jesteś wystarczająco biały.

– Mój ojciec przyjechał do Jo'burga z Aten. Matka jest kolorowa.

– Po co mi *lǎowài*?

– W Hongkongu widywałem ludzi z białymi ochroniarzami: kierowcami, asystentami. To modne.

– Moda jest na Anglosasów. Ty jesteś za ciemny.

– Znam język o wiele lepiej niż większość z nich. – Kovic rzucił parę zdań po mandaryńsku.

Spojrzenie Tsu powędrowało gdzieś ponad jego głowę. Pomimo braku kontaktu wzrokowego Kovic czuł, że jest oceniany.

– Zabiłeś kiedyś kogoś?

– Paru.

– Gdzie?

– Soweto. Potem Liberia, Sierra Leone, wszystkie te afrykańskie zadupia.

– A więc uważasz, że nadajesz się do mnie na służbę. Zabiłbyś człowieka na rozkaz?

Kovic wzruszył ramionami.

– Dla mnie to bez różnicy.

Tsu podszedł bardzo blisko i spojrzał mu w oczy. Nie był stuprocentowym Chińczykiem. Miał zbyt ostre rysy. Jego spojrzenie było puste, a zarazem zdradzało ogromną pewność siebie i zapowiadało przemoc. Kovic zastanawiał się, dla ilu ludzi te oczy były ostatnimi, w jakie popatrzyli.

Tsu się odwrócił.

– Pokaż, co potrafisz.

Pstryknął palcami. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł jeden ze strażników, wlokąc coś, co Kovic w pierwszej chwili wziął za duże zwierzę na długim łańcuchu. Owo zwierzę szło niezdarnie na czterech łapach, ale jego kończyny nie poruszały się jak trzeba. Miało szaro-brunatny kolor oraz plamisty, poznaczony bliznami grzbiet. Strażnik w drugą rękę trzymał bat. Kiedy strzelił nim dziwną istotę po grzbiecie, ta wyprostowała się na chwilę. Wtedy Kovic zrozumiał – to był człowiek, nagi, skatowany mężczyzna, szary od brudu, z posklejanymi i brudnymi włosami; różowe placki znaczyły miejsca, gdzie wyrwano mu je całymi kępami. Sądząc po długości jego brody i włosach pozlepianych prawie w dredy, musiał przebywać w niewoli już od dość dawna. Na jego grzbiecie pozostały resztki koszuli, której rękawy zwisały luźno z końców rąk. Jeśli w ogóle posiadał jeszcze dłonie, Kovic ich nie widział. Strażnik, pełen pogardy, ostentacyjnie kopnął więźnia mocno w brzuch i szarpnął łańcuchem, wykrzykując coś niezrozumiałego. Mężczyzna zadygotał w konwulsjach; z jego rozchylonych ust pociekła krew ze śliną. Nie wydawał żadnego odgłosu oprócz ochryplego sapania. Strażnik znów szarpnął za łańcuch i powłókł więźnia do miejsca jakieś pięć metrów przed Kovicem.

Tsu wyszedł zza stołu i stanął obok niego. Spod bluzy wyjął glocka i przystawił go Kovicowi do skroni.

– Wstań i odwróć się do nich przodem.

Kovic wstał, czując, jak serce tłucze mu się w piersi. Tsu cały czas przyciskał mu pistolet do głowy. Wolną ręką wyjął drugi taki sam i podał mu go.

– Jest tam jedna kula. Zobaczmy, ile jesteś wart.

Strażnik pociągnął za łańcuch i więzień podniósł się na kolana. Jego spojrzenie omiotło Kovica, ale wzrok miał nieprzytomny. Wiedząc, że to Tsu oddał zabójcze strzały na granicy, Kovic miał świadomość, że nie zawaha się

pociągnąć za spust. On sam, rzecz jasna, brał udział w kilku strzelaninach, ale zabijał ludzi tylko w umotywowanej obronie własnej. Powinienem skrócić cierpienia tego biedaka, pomyślał. Zresztą jakie mam wyjście?

Odciągnął bezpiecznik i podniósł rękę. Więzień trochę oklapł; strażnik smagnął go batem po plecach i nieszczęśnik znów się poderwał. Nie ruszając głową, Kovic spojrzał na Tsu, który wpatrywał się w jego twarz. Nie było najmniejszej możliwości, żeby obrócić się i strzelić do niego, nieważne, jaki dobry się miało refleks. Kovic skierował lufę w skuloną postać. Strażnik szarpnął za łańcuch przykuty do metalowej obręczy na szyi mężczyzny i znów zdzielił go batem. Kovic spojrzał na półprzytomnego więźnia i na zaplutego z nienawiści oprawcę, wycelował, nacisnął spust. Pistolet skoczył mu w rękę. Głową strażnika szarpnęło w bok, kiedy pocisk przebił jego szyję tuż ponad jabłkiem Adama; czapka zsunęła mu się na potylicę i powoli osunął się na kolana, jakby opuszczające go życie najpierw uszło ze stóp.

Kovic obejrzał się na Tsu, żeby nie pozostawić mu wątpliwości, w kogo celował.

– O co chodzi, załatwiłem nie tego, co trzeba?

43

Usta Tsu rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, a oczy zaświeciły mu się jak dziecku na Gwiazdkę; wydał z siebie przeciągły, hieni chichot. Kovic nigdy niczego takiego jeszcze nie słyszał. W końcu śmiech ustał.

– Interesujący wybór.

Kovic milczał. Spoglądał na nieszczęsnego więźnia, który próbował pojąć, co się stało. Tsu zabrał mu pustego glocka i nacisnął przycisk na ścianie.

– Zabawny, ale też wiele mówiący.

Do środka wbiegło dwóch następnych strażników; stanęli jak wryci na widok martwego towarzysza.

– Twoja przykrywka jest absurdalna. Widzę, że jesteś Amerykaninem. Masz fatalną wadę; pozwoliłeś się zakazić naiwną wiarą w sprawiedliwość, dlatego bierzesz stronę ofiary, słabszego. Chcesz pomagać uciśnionym, nieść wszystkim wolność i sprawiedliwość, bla, bla, bla. Źle trafiłeś. Ja nie pomagam uciśnionym – pomagam potężnym zdobywać jeszcze większą władzę.

Tsu miał rację; Kovic zawalił sprawę. Odwrócił się do niego. Na służbie robił wiele rzeczy, z których nie był dumny, o których wolałby zapomnieć, gdyby tylko mógł. Naginał i łamał zasady, przy okazji wymyślając własne. Ale nigdy nie zabił bezbronnego człowieka. Spojrzał w oczy Tsu.

– A ty potrafisz strzelić w głowę leżącemu w śniegu rannemu. To ma być „pomaganie potężnym”?

Tsu prychnął z pogardą, ale kiedy znów spojrzał na Kovica, z jego twarzy zniknęła wyniosła pogarda. Przytyk dotarł. Kovic widział, jak przez głowę Tsu przetacza się kłębowisko myśli.

No, pomyślał sobie, przynajmniej stanąłem przed potworem. Ale wiedział, że w rzeczywistości spieprzył sprawę.

Z dziedzińca dobiegł łoskot wirnika kolejnego lądującego śmigłowca. Zapaliły się reflektory, obsługa naziemna zajęła pozycje. Tsu nacisnął przycisk, do środka wbiegło dwóch następnych strażników.

– Posprzątać tu – warknął. – A tego zabrać z powrotem do celi.

Podniósł pistolet, który dał Kovicowi i wyrznął go w twarz rękojeścią.

– Przygotować go do przesłuchania.

44

– Qi, odbierasz?

Przez chwilę słuchawka milczała. Potem dobiegł z niej cichy głos Qi:

– *Wszystko w porządku?*

– Bywało lepiej. Przez jakiś czas będę poza zasięgiem, ale postaraj się zostać na linii. Masz oko na przyloty?

– *Tak, nagrałem na wideo, sprawdzam osoby. Jakiś VIP ze świtą. Jak zamierzasz się z tego wyplątać?*

– Jeszcze nie mam pojęcia. Jeśli mi się nie uda, zabierz wszystko, co masz do Huang Shuyi w MBP. Nagraj, co się da. Wu niech sprawdzi kolejkę linową, niech zobaczy, czy da się nią uciec.

Qi się odmeldował. Nie było sensu ich straszyć, a ratunek stanowił ostatnią rzecz, na jakiej w tej chwili Kovicowi zależało. Chciał zobaczyć, kto przyleciał helikopterem, ale kiedy dwaj ludzie Tsu zaczęli otwierać drzwi, wykręcono mu głowę w drugą stronę. Zdążył dostrzec tylko błyszczący lakier śmigłowca i dywan rozwijany na splukanym deszczem dziedzińcu. Strażnik pchnął go do przodu.

– Ej, spokojnie, co?

Kolba broni strażnika wyrznęła Kovica w bok głowy. Stracił przytomność.

Ocknął się, próbując nie myśleć o zdaniu: „Przygotować go do przesłuchania”. Znajdował się w kolejnym pozbawionym okien, ponurym pomieszczeniu, oświetlonym gołą żarówką. Na środku stał gruby, drewniany słup, wyglądający jak część pierwotnej konstrukcji nośnej. Zwisало z niego kilka metalowych pierścieni, takich, jakie zazwyczaj widuje się w stajniach. Nadgarstki Kovica były skute metalowymi obręczami, połączonymi ze

słupem łańcuchem.

Osamotniony w zawilgłej celi poczuł, że zaczynają go nękać wątpliwości. Co zdołał osiągnąć? Ryzykował życiem trzech dobrych ludzi, których zmusił do udziału w szalonej misji. Dostał się do kryjówki wroga i stanął z nim twarzą w twarz. Ale na tym koniec. Nie mógł już zrobić nic więcej, do tego czekały go tortury z rąk sadysty i mordercy. Ogarnęło go zwątpienie: obce, nieznanne uczucie. Przeklął własną porywczosć. Przypomniał sobie uwagi swoich instruktorów na Farmie. „Za bardzo uparty, nie zna umiaru, za szybko jeździ na torach przeszkód, ma nieposkromiony apetyt na ryzyko, nad którym musi zapanować”. To wszystko było prawdą, a on się nie zmienił. Z tych właśnie powodów ryzykował teraz życiem – swoim i swojej załogi – doprowadzając do konfrontacji z przeciwnikiem, który prawie na pewno go zniszczy.

Wyobrazził sobie Cutlera, z brodą wspartą na palcach, z rozczarowaniem kręcącego głową. Na pewno był zadowolony, że pozbył się Kovica, czuł ulgę, może nawet radość, wychodząc z błędnego założenia, że jego niesubordynowany podwładny zginął w pożarze.

Potem Kovic przypomniał sobie strzelaninę na granicy, obietnicę złożoną Garrisonowi i – z bólem – Louise. Co mu zostało, jaki miał powód, by żyć? Nieustannie skakał w ogień, gnany czymś w rodzaju życzenia śmierci czy niezaspokojonej potrzeby wystawiania na próbę własnych możliwości, balansowania na krawędzi. Tylko w Szanghaju zaznał pewnej odmiany spokoju – ale teraz stracił także i to, już na zawsze.

Pomyślał o Hannah. Zaskoczyła go. Wyczuł w niej buntowniczą, niespokojną duszę, jakby żyła ze świadomością, że jej przeznaczeniem jest coś innego niż biurokratyczna machina MBP, i czekała tylko na dobry pretekst do buntu. Uwierzyła mu – wbrew wszystkiemu, na przekór zdrowemu rozsądkowi. Zaryzykowała dla niego swoją karierę. Nie może jej zawieść. Kiedy to sobie poukladał, zwątpienie i poczucie porażki zaczęły zniknąć. Może to jeszcze nie koniec.

Niskie, metalowe drzwi otworzyły się i do środka wszedł Tsu. Przebrał się; luźny mundur polowy zastąpił ciemną, oficjalną bluzą ze stójką. W dłoni miał kieliszek brandy. Przytrzymał otwarte drzwi i do celi wszedł ktoś jeszcze – mężczyzna po pięćdziesiątce, łysy, niezwykle wysoki jak na Chińczyka. Biły od niego władczość i autorytet. Jego śnieżnobiały mundur tak oślepiająco kontrastował z brudem ciemnej celi, że prawie świecił. Obecność kogoś takiego w tym wyjątkowym miejscu była do tego stopnia nieoczekiwana i kuriozalna, że Kovic w pierwszej chwili nie poznał, kto to jest. Mundur marynarki wojennej zdradzał wprawdzie tożsamość przybysza, ale trudno było w nią uwierzyć. Kiedy mężczyzna podszedł bliżej, wszelkie wątpliwości zniknęły – to był admirał Chang Wei, głównodowodzący chińskiej marynarki. Co on, kurwa, robi u Tsu, pomyślał Kovic. Obaj mężczyźni okrążyli słup, do którego był przykuty Kovic, przyglądając mu się jak eksponatowi na wystawie.

W końcu Tsu się odezwał, po mandaryńsku.

– To ten, który uciekł znad granicy: Kovic. CIA twierdzi, że nie żyje. Co tu robi, to tajemnica. Może zdołamy go... przekonać... żeby nam o tym opowiedział.

Chang podszedł bliżej i przyjrzał się Kovicowi. Bił od niego zapach wody po goleniu i alkoholu. Przez lata wykrzykiwania rozkazów jego głos nabrał ostrego brzmienia.

– Jeden Amerykanin na naszym terytorium mniej to zawsze dobra rzecz. Biurokraci z Pekinu popełnili błąd, wpuszczając ich tu aż tyłu. Jak dużo wie? Coś mówił?

Tsu wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Jeszcze się tym nie zająłem.

Chang odwrócił się do Kovica.

– Zatruliście umysły naszego młodego pokolenia – powiedział po angielsku. – Wasze wartości nie są naszymi. Nasi pozbawieni kręgosłupa

politycy dali się kupić waszymi zabawkami, pozwolili, byście wciskali ludziom buicki zamiast rowerów, oszukiwali ich, że kupując wasze towary, zaznają jakiejś wydumanej wolności.

Zaczekał na odpowiedź Kovica. Nie doczekał się.

– Wie pan, ilu ludzi mieszka w Chinach, agencie Kovic?

– Jeden przecinek trzysta czterdzieści trzy miliarda. Mniej więcej.

– Owszem.

– Nie licząc Tajwanu.

Na wzmiankę o tej odwiecznej kości niezgody po twarzy admirała przemknął wyraz irytacji, ale opanował się i naciskał dalej:

– Cztery razy więcej niż w Stanach Zjednoczonych. A przeciętny Amerykanin konsumuje pięćdziesiąt razy więcej naturalnych zasobów niż Chińczyk. Niech pan tylko sobie wyobrazi, do czego by doszło, gdybyśmy pozwolili każdemu z tych Chińczyków konsumować w takim samym tempie. Wasze tak zwane wartości będą zgubą naszego narodu. Nie zamierzam do tego dopuścić. Ogłupiliście naszych polityków, którzy wypuścili z butelki dzina kapitalizmu. Ja wsadzę go tam z powrotem.

Kovic patrzył przed siebie, milczał, próbował ogarnąć rozumem to, co się przed nim działo: jeden z najpotężniejszych dowódców wojskowych Chin sprzymierzał się z najgroźniejszym chińskim przestępcą. Ale chłonął każde słowo Changa. Fragmenty układanki powoli wskakiwały na swoje miejsca.

– Współczesne Chiny zostały wykute w ogniu poświęcenia i zaszczytnej pracy – wartości, które Ameryka zdążyła już dawno zatracić. Teraz nas uwodzicie i zatruwacie swoim jadem, niszczącym ciało i umysł.

Admirał mówił coraz głośniej; to był jego światopogląd, mantra, którą się kierował. Kovic zrozumiał, w co się wpakował. Incydent na granicy, zamieszki – wszystko to było niczym innym, jak wstępem do wojskowego zamachu stanu, organizowanego przez samego Changa. Ten szalenie planował przejęcie władzy nad największym narodem na świecie.

– Demokracja to złudzenie! Sen, którego używacie, żeby sprzedać więcej lodówek i frytek. Prawdziwi władcy świata to korporacje, a nie wasz hołubiony Kongres.

Kovic uznał, że powinien okazać jakoś, że słucha.

– Chcecie cofnąć czas? To się raczej nie spodoba.

Odpowiedź Chang zaczął szeptem:

– Agencie Kovic, czy pan wie, jak stara jest nasza cywilizacja? Kiedy wasz kontynent wciąż był we władaniu dzikusów z piórami w nosach, Chiny wynalazły proch, kompas, zegar i prasę drukarską. Zanim przybyli tu intruzi z Zachodu i zatruli nas swoim opium, Chiny zapewniły dobrobyt jednej piątej ludności świata.

Tsu potakiwał, szeroko uśmiechnięty. Dobrze się bawił. Kovic czuł, jak skupia się na nim gromadzona latami gorzka i nienawiść.

– Mam z niego wydobyć coś konkretnego? – spytał Tsu Changa po mandaryńsku. – Incydent na granicy całkowicie zniszczył jego karierę. Szefowie chyba się go pozbyli i musi mu to doskwierać. Wątpię, żeby dużo wiedział. MBP uważa go za mało ważnego agenta.

Chciał go sprowokować do mówienia? I skąd miał takie informacje – od Hannah czy jej szefów? Jak głęboko sięgały jego macki w MBP?

Tsu zerknął na Kovica i mówił dalej, przechodząc z powrotem na angielski.

– Jest mało ważny, ale dość sprytny. Zostawił w łóżku swoją sukę dla zmyłki, żeby uznano go za martwego, i uciekł.

Kovic poczuł, że nadwerężone tamy powstrzymujące jego gniew pękają.

– Chcesz powiedzieć, że twoje bandziory były zbyt tępe, żeby zająrzeć, kto jest pod kołdrą, zanim zastrzeliły i spaliły dziewczynę?

Tsu podskoczył do Kovica i przycisnął palce poniżej oczu, wpychając je w oczodoły.

– Uważaj, bo mogę ulec swoim skłonnościom.

Admirał odwrócił się z niesmakiem.

– Dowiedz się, co ma na Jina Jié i jego wspólników – mruknął po mandaryńsku. – Na członków elity, którzy go popierają. A potem rób z nim, co chcesz.

Nacisk palców Tsu zelżał. Chang ruszył do wyjścia.

– W czym wam przeszkadza Jin Jié? Mnie się wydaje raczej nieszkodliwy.

Obaj odwrócili się do niego, zaskoczeni jego znajomością języka. Odpowiedź Changą była przesycona jadem.

– Jin Jié reprezentuje sobą wszystko to, co w tym kraju jest zepsute i chore. Jego ideologia tak zwanego „postępu” zniszczy resztki naszego systemu. Ma słabą wolę i dlatego pozwolił się uwieść mirażom o amerykańskiej wyższości. To jeszcze jeden instrument zachodniego upokorzenia. Pora cofnąć czas i zaprowadzić porządek w naszym społeczeństwie. Ameryka to zagrożenie i musi być jako takie traktowana. Jesteście naszym wrogiem!

Z każdym słowem głos Changą robił się coraz bardziej piskliwy i głośniejszy. Ostatnie słowa wyrzeszczał Kovicowi w twarz, obryzgując go cuchnącą śliną.

Odwrócił się do Tsu.

– Wyciśnij z niego, ile się da, a to, co zostanie, wyślij do Białego Domu.

Z tymi słowy wymaszerował z celi.

45

Kovic otworzył oczy, ale nic nie widział. Czyżby mu je wydłubano? Niewyraźnie pamiętał, jak Tsu zaczął okładać go po twarzy, kiedy Chang wyszedł. Całe ciało piekło bólem, jakby pokąsał go rój szerszeni. Co mu powiedział? Powoli sobie przypominał. Recytował losowe nazwiska ze zbioru znanych sobie aparatczyków politbiura, aż Tsu zrozumiał, że ta lista to właśnie nic ponad przypadkowe nazwiska.

– Na tym polega kłopot z torturami, prawda, Tsu? Wyciągasz odpowiedzi, ale jak możesz osądzić, czy są prawdziwe? Wiemy wszystko o pułapkach tortur, zmarnowaliśmy tysiące godzin na sprawdzanie tropów od pojmanych więźniów, którzy mówili nam wszystko, co im tylko ślina na język przyniosła, byle przestało boleć.

Tsu nie spodobała się taka odpowiedź i Kovic spodziewał się, że nie dotrwa do końca sesji. Ale najwyraźniej wciąż żył.

Pomacał oczy. Wydawały się całe. Znajdował się w całkowitych ciemnościach. Potem palcami zbadał otoczenie. Chropowata, kamienna powierzchnia była śliska od wilgoci. Powietrze śmierdziało ludzkimi odchodami. Kovic spróbował się podnieść, ale uderzył głową w twardą skałę. Znajdował się w szczelinie wysokiej na najwyżej siedemdziesiąt, osiemdziesiąt centymetrów, głęboko we wnętrzu góry.

Wszystko zaczynało nabierać sensu – o ile można było mówić o sensie w tym obłądnie. Chang był klientem Tsu. Jeśli Tsu wykonywał zlecenie Chang, zabijając Amerykanów na granicy, to Chang musiał być autorem całej afery z Highbeamem. Musiał też mieć dużą siłę przebicia, skoro namówił Koreańczyków do współpracy. Niewątpliwie jego celem było ośmieszenie obecnej pekińskiej administracji i jej współpracy z USA oraz

stworzenie pretekstu do podsycenia antyamerykańskich nastrojów. Tylko po co? Obiektem jego wrogości stał się Jin Jié, ale przecież to była jednostka; człowiek wpływowy, owszem, ale outsider. Chang używał wielkich słów, mówiąc o wpychaniu dzina kapitalizmu z powrotem do butelki, o cofaniu czasu. W takim razie incydent na granicy był tylko preludium do tego, co szykował na później. A skoro tak, to zapewne pragnął wywołać ni mniej, ni więcej tylko kolejną zimną wojnę – a może nawet gorącą.

Dochodząc do siebie, Kovic uświadomił sobie, że nie jest sam. Ktoś – lub coś – był z nim w celi. Poczł szturchnięcie w dłoń, coś zimnego i miękkiego. Szczur? Odsunął rękę. Po chwili znów coś go dotknęło i usłyszał niewyraźny dźwięk. Jedno słowo.

– Tutaj. – Głos był zaledwie syczącym szeptem. – Tędy.

Kovic tym razem nie cofnął dłoni. Nieznajomy popychał ją w kierunku złączenia podłogi ze ścianą. Ale łańcuch nie pozwolił mu jej dalej wyciągnąć. Kovic napał na kajdany i poczuł, że stalowa obręcz wrzyna mu się w ciało.

– Pomacaj, na dole.

W ścianie, przy samej podłodze, była szczelina, szeroka najwyżej na centymetr czy dwa. Kovic zdołał wcisnąć w nią mały palec. Poczł coś gładkiego – ostrze.

– Zrobiłem. Teraz nie mogę użyć.

Kovic wyciągnął ostrze ze skrytki. Miało zaledwie około centymetra szerokości, ale za to obiecujące piętnaście długości.

– Ej, dzięki. Kim jesteś?

Ale nikt mu nie odpowiedział.

Kovic schował ostrze w prawym rękawie, a potem znów popadł w omdlenie.

46

Ocknął się znowu, wyciągany ze szczeliny za łańcuchy przykute do obręczy u nadgarstków. Usiłował osłonić oczy przed oślepiającym światłem latarki, trzymanej przez jednego z dwóch szarpiących go strażników. Próbowali postawić go na nogi, ale miał wrażenie, że ziemię pod jego bosymi stopami pokrywa tłuczone szkło. Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, spojrzął w dół i zobaczył, że podeszwy jego stóp zmieniły się w krwawą miazgę, i przypomniał sobie, jak Tsu go po nich bił. Potem założyli mu opaskę na oczy, zawiązali ją mocno i powlekli go na zewnątrz.

– *Kovic. Mój Boże, co oni ci zrobili?*

To był Qi. Musiał go widzieć.

Kovic nie chciał ryzykować, więc tylko kiwnął potakująco głową, a potem pokręcił nią na boki, jakby próbował się skupić po długim pobycie w ciemności.

– *Dobrze, mamy ponad dwudziestu uzbrojonych ludzi, w pełnym wyposażeniu, wszyscy z uzi. Wyglądają, jakby czekali na załadowanie do śmigłowca.*

Kovic kiwnął głową.

– *Powinieneś wiedzieć coś jeszcze: w Szanghaju rozpętało się piekło, ponad osiemdziesiąt osób zabitych przez bombę na Placu Ludowym. Nikt nie wie, co tam się, kurwa, dzieje.*

Strażnicy wywlekli Kovica na środek dziedzińca. Poczł słońce na plecach, więc domyślił się, że jest zwrócony ku północy. Próbował zignorować palący ból stóp.

– *Pod północnym murem jest rusztowanie, z długą deską na górze, wystającą za krawędź. Postawili ją w nocy, obok schodów.*

Zanim Qi to rozgryzł, Kovic się domyślił.

O, kurwa.

– Tsu? – wypowiedział to imię na głos, wychodząc z założenia, że strażnicy uznają to za pytanie skierowane do siebie.

– *Ani śladu. Czeka! Jakież wielkie drzwi otwierają się od południowej strony. To on. Ma taki sam wojskowy sprzęt jak inni. Idzie w twoją stronę.*

Przeciwnik miał przewagę liczebną i przewagę uzbrojenia. Nawet z bronią Wu i Zhou nie mogli się mierzyć z ponad dwudziestoma strażnikami z uzi. Kovicowi potrzebny był plan B, ale nie było już czasu go obmyślać. Wiedział, że to samobójcza misja, więc rozmyślnie nie zastanawiał się zbyt nad jej rezultatem. Chciał znaleźć Tsu i zrobił to. Chciał potwierdzić, że to Tsu zabił jego ludzi na granicy i kto za tym stał – i udało mu się. A teraz miał za to zapłacić – ekspresowym powrotem na dół. Opuszkami palców wymacał w rękawie prowizoryczny nóż. Ostrze utkwiło za metalową obręczą na jego nadgarstku. Słyszał oddech zbliżającego się Tsu, krótki, szybki, podniecony. Chińczyk zwrócił się do swoich ludzi:

– Zanim ruszymy, mała przystawka. I przypomnienie, jakie czekają was konsekwencje, jeśli narazicie się na moje niezadowolenie.

Ściągnął Kovicowi opaskę.

– Okropnie śmierdzisz.

– Tak już mam, jak się do ciebie za bardzo zbliżam.

Tsu uderzył Kovica w twarz. Pierścień na jego palcu wskazującym przeorał Kovicowi policzek; agent poczuł płynącą krew.

– Na górę, ty nic niewarty śmieciu.

– Byłoby mi o wiele łatwiej, gdybyś mi nie obił nóg.

– Nie wiesz, kiedy się zamknąć, co? Może w końcu ci się uda, jak dotrze do ciebie, co się tu dzieje.

– Jasne, jasne, strącanie z deski, to już było. Można by pomyśleć, że

powinieneś się tym znudzić, ale może brak ci wyobraźni, żeby wymyślić coś nowego.

Kovic uznał, że skoro ma zginąć, nie da Tsu satysfakcji i nie okaże nawet śladu strachu. Przeszedł na mandaryński, żeby strażnicy też go rozumieli.

– Nic dziwnego, że w liceum nikt nie chciał się z tobą zadawać. To prawda, że masz fiutka cienkiego jak ołówek? To dlatego dziewczyny się z ciebie śmiały?

Kovic zobaczył, że paru strażników wymienia zdumione spojrzenia i próbuje zapanować nad śmiechem. Ręce wciąż miał skute; metalowe kajdany łączyło sporo ponad pół metra łańcucha, w podobny sposób spętano mu nogi. Przez cały czas przyciskał ręką obręcz na nadgarstku, bojąc się, że nóż wypadnie. Jeśli chciał go użyć, musiał sprowokować Tsu, żeby znów podszedł bliżej.

Strażnicy wsiadali do śmigłowca, pilot uruchomił silniki. Kovic zobaczył Qi, którego czubek głowy wystawał znad krawędzi muru po południowej stronie. Obok niego był Wu, na wpół ukryty za otworem strzelniczym. Kovic pokręcił głową. Nawet biorąc pod uwagę doskonałe oko Wu, odległość była zbyt duża, by ryzykować chybienie i zdradzenie swojej obecności.

– Na górę. Kończmy z tym.

Kovic ani drgnął.

– To prawda, że jesteś taki zboczony, że możesz to robić tylko z kurami? – spytał i orgiastycznie zagdakał.

Tsu podszedł, złapał go za łańcuchy i pociągnął w górę po schodach. Ze wschodu wiał mocny wiatr, Kovic poczuł, jak szarpie go za ubranie. Tsu pchnął go naprzód.

– Mam cię dość, Kovic.

– A już myślałem, że zaczynamy się dogadywać.

Tsu kopnął go mocno i Kovic upadł na deski. Był za krawędzią muru,

pod sobą miał tylko tysiąc metrów rześkiego, górskiego powietrza. Tsu siłą postawił go z powrotem na nogi. Kovic gwałtownie szarpał rękaw, ale ostrze zaklinowało się na metalowej obręczy. Teraz albo nigdy. W dole wisiały niczym mokra wata strzępki niskich chmur, czekające na jego przyjęcie. Nagle nóż się wysunął, za szybko, żeby go złapać. Kovic z rozpaczą patrzył, jak ostrze odbija się z brzękiem od granitowej ściany i leci w dół, połyskując w słońcu.

Przepadło.

Tsu, zaskoczony, spojrzął w dół i w tej samej chwili Kovic dostrzegł jeszcze jedną szansę. Pchnął ręce w górę, tak że metalowe kajdany uderzyły Tsu pod brodę, a potem napał z całą siłą, jaka pozostała w jego pokancerowanych stopach – tak, że obaj upadli. Nie przejmował się, że mogą spaść; przynajmniej miałby pewność, że zrobił swoje. Ale nie spadli. Tsu wylądował na kamiennym szczycie muru, Kovic na nim. Chińczyk wił się i próbował wyswobodzić. Był w o wiele lepszej formie niż torturowany całą noc agent i szybko znalazł się na górze; docisnął Kovica i próbował wepchnąć mu kciuki w oczy. Kovic się bronił, ale metalowe kajdany ograniczały mu ruchy. Nagle dostrzegł ostatnią sposobność, wyprostował ręce i podniósł je najwyżej, jak mógł. Nic nie widział; czuł, że paznokcie Tsu prawie przebijają mu powieki. Zamachnął się łańcuchem, zarzucił go przeciwnikowi na szyję, a potem resztką sił skrzyżował pięści i kopnął obiema nogami. Tsu połową ciała zwiśł z muru, wymachując rękami. Kovic usłyszał, że ktoś wbiega po schodach.

– Zdejmij śmigłowiec! – wrzasnął w nadziei, że Qi usłyszy polecenie i przekaże je Wu.

Przez chwilę nic się nie działo. Tylko Wu miał odpowiednio celne oko i wiedzę, gdzie strzelać. Potem rozległ się strzał i potężny huk wybuchu zbiornika paliwa helikoptera. Fala uderzeniowa omal nie zrzuciła ich obu z muru. Ale to Tsu się zsunął. Rozpaczliwie bił rękami, próbując znaleźć jakiś uchwyt na kamieniu. Kovic znów kopnął i Tsu runął. Zawisł na

łańcuchu, jego własny ciężar zaciskał mu go wokół szyi. Dygotał i szarpał się, czepiał się palcami łańcucha, wymachiwał nogami, ale już nic nie mógł zrobić. Kovic musiał tylko czekać.

– To za Olsena i resztę. – Szarpnął za łańcuch. – I za Louise.

Język wylazł Tsu z ust, jakby próbował uciec, oczy wybałuszyły się w grymasie przerażenia. Chińczyk chciał coś powiedzieć, ale Kovica to nie obchodziło. Usłyszał już dość.

Stopniowo Tsu opadał z sił, a potem zwisł bezwładnie. Kovic nie mógł wytrzymać dużo dłużej. Byłoby okrutną ironią losu, gdyby ciężar trupa ściągnął go z muru. Wu już do niego biegł.

– Wyciągnij mnie stąd!

Wu wyhamował dwadzieścia metrów od Kovica.

– Zasłoń się.

Kovic się odwrócił, a Wu wystrzelił. Eksplozja była ogłuszająca, ale kula zrobiła swoje. Łańcuch pękł, a Kovic podniósł wzrok w samą porę, by zobaczyć, jak trup uderza w mur, odbija się, a potem spada coraz niżej, koziółkując, i znika za chmurami.

47

Fudan Road, Szanghaj

Nie miała nikogo, komu mogłaby o tym powiedzieć. Hannah nie pominęła żadnych szczegółów, a kiedy skończyła, ojciec długo milczał, przetrawiając to, co od niej usłyszał. Siedzieli w jego gabinecie, otoczeni pamiątkami: zdjęciami ojca z Mao, Dengiem i swoim sztabem, medalami. Lata na wygnaniu nie ostudziły jego patriotyzmu. To ojciec był dla niej wzorem, to z jego stoicyzmem i cierpliwością starała się mierzyć, choć ostatnio zaczęła wątpić, czy te cnoty mają dla niej jakieś zastosowanie – zwłaszcza dzisiaj.

– Przepraszam, że musiałam cię tym obciążyć. I mam nadzieję, że rozumiesz, że nie miałam innego wyjścia.

Przygotowała się na jego reakcję. Wiedziała, że jako przykładowy komunista ojciec zawsze uznawał świętość państwa i szanował władzę, bez względu na własne doświadczenia. Jak zareaguje? Powinien przecież zrozumieć, że to była obrona własna, chociaż Hannah nie miała wątpliwości, że trudno byłoby jej przekonać do tego sąd.

Ku jej zaskoczeniu usta starego generała wygięły się w uśmiechu. Odgarnął z czoła kosmyk srebrzystosiwych włosów.

– Twoja metoda eliminacji była bardzo pomysłowa, muszę to przyznać. A fakt, że on akurat przyjmował nielegalną substancję, nie przemawia na jego korzyść. – Uśmiech zniknął. – Ale zawsze cię ostrzegałem, droga Shuyi, twoja porywczosć sprowadzi na ciebie kłopoty.

Hannah przeciągle westchnęła. Ile razy już to słyszała?

– Oczywiście popytam tu i tam i zadbam, żeby cię z tym nie powiązano. Możliwe, że góra będzie chciała wyciszyć to godne pożałowania zajście. Tak niechlubny zgon nie przysłuży się reputacji MBP. – Ojciec zaśmiał się

krótko, ochryple. – Zresztą z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że mógł po prostu... upaść.

Potem znów zmarszczył brwi.

– Póki co musisz bardzo uważać, żeby nikomu nie podpaść. Kolejne niezwykle zdarzenia mogłyby ściągnąć na ciebie uwagę i podejrzenia. Jak to mawialiśmy, daszek nad oczami, a oczy w dół.

– Ale jak mogę to zrobić, wiedząc to, co wiem?

Opowiedziała mu o bombie na placu i SMS-owym wezwaniu.

– Naprawdę, moja droga, ten biedny chłopiec mógł otrzymać tę wiadomość od znajomego w Ministerstwie Marynarki.

– To oficjalny, wewnętrzny numer chińskiej marynarki, a SMS był wysłany do ponad dwustu osób!

Ojciec jej nie słuchał. Los dyrektora MBP to jedno, ale kalandria dobrego imienia marynarki po prostu nie wchodziło w grę. Tamten był jednym robaczywym jabłkiem, ale siły zbrojne? Szacunek, jakim darzył je ojciec, podobnie zresztą jak wszystkie instytucje państwowe, był nienaruszalny.

– Radzę zostawić to w spokoju. Zwłaszcza teraz, w czasach spięć z elementem zagranicznym. – Sękatym palcem postukał w oparcie fotela. – A ponieważ wrócił twój przyjaciel Jin Jié... – Pokręcił głową, jakby sama myśl o tym człowieku przyprawiała go o niesmak. – Lepiej unikaj wszelkich, jak by to ująć... ewentualnych konsekwencji wynikających z tej znajomości.

Otulił się szlafrokiem i wstał.

– Muszę się położyć. Prześpij się, dziecko, porozmawiamy jeszcze rano. Na pewno wtedy wszystko będzie wyglądało trochę inaczej.

Pochylił się, pocałował Hannah w czoło i wyszedł z pokoju. Patrzyła za nim. Przez całe życie uważała go za krynicę wszelkiej mądrości. Teraz był głuchy i ślepy na to, co mówiła, na to, co się działo z jego ukochanymi Chinami.

Poszła do swojego dawnego pokoju i położyła się na łóżku. Do czego właściwie doszło? Widok tych młodych ludzi, zabitych i straszliwie poranionych... Wyglądało na to, że jej kraj pruje się w szwach, a ona nie wie dlaczego. Nagle przyszła jej do głowy zatrważająca myśl. Dyrektor był głuchy na jej obawy, zupełnie jak jej ojciec. Obaj nie przyjmowali faktów. Dlaczego?

Pomyślała o Kovicu. O nim nie pisała ani słowa. Wypuszczenie go było klasycznym przykładem tego, co jej ojciec nazywał porywczością. Zresztą teraz nie miało to znaczenia. Zignorował wszystkie wiadomości. Byłaby zaskoczona, gdyby kiedykolwiek jeszcze się do niej odezwał. Czy to w ogóle ważne? Jej kariera zawisała na włosku. Wyjęła telefon. Musiała zadzwonić do Jina Jié i sprawdzić, czy jest bezpieczny. Wtedy zobaczyła wszystkie nieodebrane połączenia i SMS-a.

„Do jasnej cholery, zadzwoń!”

SMS-a przysłał Kovic.

USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie

Garrison patrzył w smoliście czarny przestwór. Kiedy się nad tym zastanowić, wydaje się to dziwne: spędzać całe miesiące z dala od domu, będąc zamkniętym w gigantycznym, pływającym, stalowym mieście, otoczonym tylko przez morze i niebo. Nie po raz pierwszy zadawał sobie pytanie, co go do tego skłaniało, skoro cena płacona w życiu osobistym była tak wysoka. Jasne, chciał służyć krajowi – być wzorem do naśladowania, może nawet bohaterem. Ale poniesione konsekwencje były okrutną odwrotnością tego marzenia. Garrison wiedział, jak to się skończyło dla jego małżeństwa. Ale jego syn... Tommy powiedział, że poszedł do marynarki, żeby być bliżej niego: dokładnie tak się wyraził. Zginął w Afganistanie, w wieku dziewiętnastu lat. Marcy nigdy nie obwiniła go o to wprost, ale powiedziały to mu jej oczy. Śmierć Olsena i jego zespołu oraz rozmowa z Kovicem obudziły wspomnienia o tamtym strasznym dniu. A teraz Kovic zadzwonił ponownie i znów opowiadał nieprawdopodobne historie.

Tyle że tym razem było inaczej. Wbrew rozsądkowi, Garrison uświadomił sobie, że wierzy w każde jego słowo.

Admirała Chang Weia spotkał tylko dwukrotnie: najpierw na pierwszych chińsko-amerykańskich manewrach, bezcelowym ćwiczeniu, które nie miało nic wspólnego z manewrami marynarki, za to bardzo dużo z polityką. Admirał zachowywał się z szacunkiem, choć wyniośle, i z trudem ukrywał swoją pogardę dla całego przedsięwzięcia.

Drugi raz okazał się mieć nieco większy sens – chodziło o opracowanie strategii kampanii antypirackiej na Morzu Południowochińskim. To wtedy Garrison dostrzegł w Changu niepokojącą zmianę, jakby jego arogancja,

przedtem ledwie powstrzymywana, teraz przerwała tamę i zawładnęła nim bez reszty. Admirał nawet nie usiłował utrzymać w tajemnicy swojego sprzeciwu wobec pomysłu, by USA patrolowało wody tak blisko Chin. Garrison musiał wykonywać wiele rozkazów niezależnie od tego, co o nich myślał, ale to było nieodłączną częścią służby. Bez posłuszeństwa cały system ległby w gruzach. Chang zrobił swoje, odbębnił założenia współpracy, ale Garrison przez cały czas nie potrafił pozbyć się wrażenia, że admirałem kieruje coś innego. A choć z mostka dowódcy morze wydawało się puste, wiedział, że za horyzontem chińska marynarka – flota Changa – obserwuje każdy jego ruch, tak jak on obserwował ich. Niepokoiło go coś w sposobie, w jaki admirał rozmieścił swoje jednostki. Potem wybuchły zamieszki w Szanghaju. Dwie oddzielne rzeczy – dopóki Kovic ich nie skojarzył.

– Jest pan tam, sir?

– Myślałem.

– Czy jest pan świadom implikacji, sir? – W głosie Kovica słychać było zniecierpliwienie.

– Naturalnie. Nie za dobrze pan brzmi, Kovic. Trzeba pana ewakuować?

– Nie, sir, choć brzmi to kusząco. Zostało tu jeszcze trochę do zrobienia.

– To co mam robić?

– Niech pan zaalarmuje Pentagon o Changu.

– A pan porozmawia ze swoimi ludźmi, z Cutlerem?

– Nie, dopóki nie wrócę do Szanghaju. Chcę to zrobić twarzą w twarz. To będzie dla niego trudne, pogodzić się z myślą, że Chang go wystawił. Kiedy będzie pan rozmawiał z Pentagonem, proszę się na mnie nie powoływać. Zlekceważą to, zakładając, że tak próbuję chronić swój tyłek.

– Jak zamierza pan zejść z tej góry?

– Pracuję nad tym, sir.

Garrisonowi wydawało się, że słyszy w tle wystrzały.

– Jesteście pod ogniem?

– Tak jakby.

– Niech pan uważa, Kovic. Jeśli to, co pan mówi, to prawda, choćby w części...

– Oczywiście, sir, zrobi się.

I z tymi słowy Kovic się rozłączył.

49

Góry Huang Shan

Kovic wrzucił telefon satelitarny do plecaka. Chwilę później klatka zatrzymała się z szarpnięciem.

– No, kurwa, fantastycznie.

Przynajmniej tym razem to nie była jego wina. Zapasowy akumulator odkrył Zhou – dzięki niemu winda mogła działać nawet podczas awarii zasilania, która dzięki wysiłkom Qi zbiegła się w czasie z ich działaniami. Cały kompleks pogrążył się w mroku, we wszystkich podziemnych pomieszczeniach zapanowała nieprzejrzana ciemność. Dodatkowo Qi zablokował też ich systemy awaryjne. Cały szczyt góry został odcięty od prądu. Jedynym działającym urządzeniem była winda – aż do teraz.

Wybuch śmigłowca unieszkodliwił dużą liczbę ludzi Tsu, wielu innych oszołomił. Ocalali, sądząc, że to nie koniec, skryli się w piwnicach, co dało Kovicowi i jego zespołowi trochę czasu na zorganizowanie ucieczki przy minimalnym oporze. A ponieważ Zhou zdołał także zhakować system alarmowy, wszyscy przeciwnicy, nie licząc paru maruderów, zostali zamknięci w środku. Kovic był zachwycony. Jego ludzie stanęli na wysokości zadania. Teraz jednak wisieli na małej platformie, trzysta metrów nad ziemią, nie mogąc się poruszyć.

W końcu odezwał się Wu.

– Co robimy?

Wszyscy zwracali się do dowódcy zupełnie innym tonem. Wystarczył sam jego stan. Nie było fragmentu ciała Kovica, który nie został wychłostany, pobity albo pocięty. Podeszwy jego stóp pokryły się rozległymi strupami, stracił też kilka zębów, kiedy Tsu uderzył go w twarz glockiem.

Zerknął w bok i szczękę przeszyło mu nowe ukłucie bólu.

– Widzicie tę linę?

Do krawędzi platformy przymocowany był duży zwój sznura, długi, ale na pewno nie dość długi. Kovic spróbował wykrzesać z siebie trochę optymizmu.

– Zmierzcie go szybko, sprawdźcie, czy sięgnie do ziemi. Jeśli tak, zjedziemy na dół.

– Bez rękawic?

– Użyjemy ubrań.

Starali się nie spoglądać zbyt ostentacyjnie na szmaty, jakie się na nim ostały.

– A jeśli nie sięgnie do ziemi?

– Korony drzew w dole są dość gęste. Zjedziemy i będziemy się modlić.

Wu poszedł pierwszy, ponieważ jako jedyny z zespołu miał odpowiednie przeszkolenie. Zhou, którego lęk wysokości podczas tej misji wystawił go na poważną próbę, zjechał za nim. Nawet jeśli miał jakieś obawy, zachował je dla siebie.

– To jest tak. Albo spróbujesz, albo cię zostawię i będziesz mógł tylko mieć nadzieję, że ktoś z powrotem włączy zasilanie, ale wtedy nie stawiałbym dużych pieniędzy na twoje szanse.

Qi się nie spieszył, wiedział, że nie ma innego wyjścia, ale nie mógł się zmusić. Twarz miał spoconą i wykrzywioną ze strachu, ale to nie był czas na litość – właściwie czasu nie było na nic. W końcu poradził sobie całkiem dobrze, ścisnął linę stopami, korzystając z tego, że mało ważył. Kovic patrzył, jak Qi znika w listowiu. Jak kapitan statku uparł się, że zjedzie ostatni.

Potem owiązał dłonie resztkami koszuli i przygotowywał się właśnie do zjazdu, kiedy coś uderzyło go w głowę. Cokolwiek to było, upadł i stracił

przytomność przynajmniej na minutę. Musiała go musnąć kula, bo kiedy się ocknął, krew spływała mu po czole prosto do oczu. Wagonik ruszył z szarpnięciem. Wróciło zasilanie. Jechał w górę, zamiast w dół, a do tego ktoś do niego strzelał.

Następny strzał zrykoszetował z brzękiem od platformy. Kovic musiał natychmiast uciekać. Wjechał co najmniej pięćdziesiąt metrów w górę. Przeżył już tyle, nie było sensu wracać na szczyt góry. Nie pozostało mu nic innego. Ścisnął linę i wyskoczył. Sznur natychmiast przetaił prowizoryczne zawinięcia na rękach, a stopy nie zdołały go ścisnąć jak trzeba. Kovic spadał. Pęd powietrza chłodził jego rany, mimo liny palącej dłonie. Następna kula minęła go ze świstem. Pędził na spotkanie koron drzew, a potem znów wszystko ogarnęła ciemność.

50

Zawsze we właściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

Mówiono tak o nim nie raz. W Libanie, kiedy przeszukiwał pokój sąsiadujący z zaminowanym; w Iraku, gdy siedział za kierowcą humvee, który dostał kulkę; w Afganistanie, kiedy znajdował się w jedynej części bazy, której nie dosięgnął wybuch bomby zamachowca-samobójcy.

A teraz, kiedy wypuścił linę i przebił się przez plątaninę gałęzi, z pluskiem wpadł do głębokiej, wąskiej sadzawki. Gdyby był wierzący, powiedziałby, że to robota Boga, który zlitował się nad nim po nocnych przeżyciach.

Kovic był mokry i nie mógł złapać tchu, ale wyszedł z upadku bez szwanku. Rozejrzał się po sielskim lesie, nieskażonym skrawku natury, którego nie zbezczęściły jeszcze ludzkie ręce. Może jednak ktoś mu sprzyjał. Wypełniła go szalona radość. Wspiął się na niezdobytą górę i wrócił na dół w jednym kawałku, dokonawszy tego, po co wyruszył. Woda cudownie chłodziła jego rany. Ale płynąc do brzegu, wiedział, że nie ma czasu do stracenia, że wydarzenia nabierają tempa. Powstrzymał Tsu, ale Changa powstrzymać się nie dało. Zagrożony był cały światowy porządek.

Kovic wyciągnął z plecaka telefon. Westchnął do Boga – jeśli istnieje, niech sprawi, by urządzenie działało.

51

Siedziba MBP, Szanghaj

Hannah szybkim krokiem przemierzała podziemne korytarze Piłki Golfowej. Wyraźniej niż zwykle czuła się jak obcy, jak intruz. Wszyscy się na nią gapili. Jako jedna z nielicznych kobiet w Ministerstwie przywykła do tego, ale teraz miała też poranioną twarz, czego nie próbowała ukrywać. Chciała, żeby wiedzieli, że była na miejscu, i czerpała ponurą satysfakcję z faktu, że w przeciwieństwie do reszty osobiście uczestniczyła w tym, co się wydarzyło. Jak dotąd nikt nie mówił o dyrektorze. Należało się tego spodziewać. Haniebne okoliczności jego zgonu na pewno już stały się ściśle strzeżoną tajemnicą. Ile czasu jej zostało? Nikt nie zobaczył, jak się z nim rozprawa, ale ochroniarze dyrektora byli w pobliżu, wiedzieli, że była w jego pokoju. Padną pytania. A nawet jeśli nie zdołają jej nic udowodnić, ona, jako wykształcona w Ameryce kobieta, w panującej obecnie paranoi, idealnie sprawdzi się w roli kozła ofiarnego. Teraz, schodząc z telefonem przy uchu do podziemnego garażu, zapomniała o tym wszystkim, Kovic musiał coś pokręcić.

– Admirał Chang Wei to jeden z naszych największych bohaterów. Jest otoczony czcią za swoje oddanie Partii.

– Hannah, kurwa...

– Proszę, czy mógłbyś ograniczyć swoje wulgaryzmy? To jeden z najdawniejszych towarzyszy mojego ojca.

– Tak? No, to twój stary świetnych sobie dobiera kolegów.

– Co więcej, jest uważany za wzór przez wszystkich tych, którzy sprzeciwiają się korupcji.

– Dobra, to może tak: Chang nie krył, że nienawidzi tego twojego

koleżki, Jina Jié, jako uosobienia wszystkiego, czego nie toleruje we współczesnych Chinach. Dlatego jeśli Jin Jié chce zbawić kraj, niech lepiej stąd spieprza. Tsu okazał się chłopcem na posyłki Changa, wykonującym całą jego brudną robotę; wyeliminowanie go nie powstrzyma admirała dążącego do zdobycia władzy nad światem.

Hannah przesunęła szybko kartą po czytniku i pchnięciem otworzyła podwójne drzwi. Chang Wei, akurat on. Czy to możliwe? Czy jej ojciec coś o tym wiedział? Czy to dlatego nie chciał z nią na ten temat rozmawiać?

– Jesteś tam jeszcze? Posłuchaj, wiem, że MBP słyszy tylko tyle, ile chce usłyszeć, ale wydawało mi się, że ty jesteś ponad to. Czy może powiesz mi prosto w oczy, że pracujesz tam tylko jako jedna z tych kukiełek, co robią łaskę szefom, żeby dostać awans?

Odsunęła z obrzydzeniem telefon od ucha, ale nie rozłączyła się. Zlekceważyłaby zupełnie tezy Kovica, gdyby nie jeden drobny, ale przeraźliwie istotny szczegół – SMS-y zostały wysłane z biur marynarki. Kovic tak naprawdę mówił jej, że miała rację. Poczowała się zupełnie osamotniona, miała po swojej stronie tylko Jina Jié i tego nieokrzesanego Amerykanina, który wydzierał się na nią przez telefon.

– A tak w ogóle to wyciągniesz mnie stąd czy nie? Bo niedobitki ludzi Tsu zaczną niedługo przeczesywać las, żeby nas znaleźć.

– Nie wychylajcie się. Prześlij mi swoje współrzędne i daj sześć godzin.

Rozłączyła się i skierowała pilota w stronę samochodu.

52

USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie

W kajucie było ich tylko dwóch: Bale i komandor Garrison, niepuszczający oczu z młodego radiowca.

– To zostaje w tym pomieszczeniu. Nikt inny nie może się o tym dowiedzieć. Nikt.

Bale energicznie pokiwał głową, oczy lśniły mu z podniecenia.

Kiedy się zaciągał, powiedziano mu, żeby nie spodziewał się Bóg wie czego, że ma robić, co mu każą i nie liczyć na wyróżnienia. Jego przełożony w MAINCOMM na „Valkyrie” nie raz ochrzaniał go za zadawanie zbyt wielu pytań. Teraz Bale znów o mało nie dostał po uszach za to, że ośmielił się pójść do Garrisona. Ale proszę, dokąd go to zaprowadziło. Oto jego szef miał wyraźny rozkaz dać mu spokój i zapewnić warunki do realizacji zadania specjalnego. Garrison nadał mu nawet kryptonim – „Armature”.

Na biurku komandora rozpościerała się duża mapa Chin.

– Dobra, Bale, do roboty.

– Mogę przegrać dane na pana laptopa, sir.

– Proszę narysować to zwykłym ołówkiem tutaj.

– Tak jest, sir.

Bale nachylił się nad mapą i ustawił kreskownicę Garrisona (rodzinną pamiątkę z żeglarskich czasów jego dziadka). Linia, którą nakreślił, wyznaczała drogę pierwszego przechwyconego strumienia „szumu” – z północnokoreańskiej granicy do punktu w górach na zachód od Szanghaju. Garrison nie zdradził znaczenia tych miejsc, choć wiedział, że linia ta łączyła miejsce zagłady marines z górską kryjówką, z której niedawno dzwonił

Kovic. W pierwszym odruchu chciał przekazać to prosto do Waszyngtonu, ale powstrzymał go jakiś instynkt. Informacja na pewno dotarłaby do CIA i nieważne, jak by tego nie przedstawili, i tak rzuciłoby to na nich złe światło. Jeśli Kovic miał rację, Chang zwabił ich w pułapkę. Langley mogło próbować motać albo zdusić sprawę. Garrison chciał, żeby Bale pomógł mu najpierw ustalić więcej konkretów.

– Sir, rozumie pan, że nie poznamy treści transmisji, dopóki ktoś w NSA jej nie odszyfruje. A pan wyraźnie zabronił mi ją do nich przesłać.

– Tak, na razie się o to nie martwmy. Skupmy się na tym, gdzie znajduje się adresat. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Bale zajrzał do notatek i nakreślił kolejną linię.

– Ta wychodzi z tej samej lokalizacji w górach i dochodzi do Zhanjiang.

– Bazy Floty Południowej chińskiej marynarki.

– Tak jest.

– Możesz to uściślić? Zhanjiang to duża baza.

– Cóż, sir, mam dwa strumienie danych w odstępie około pięciu minut. Pierwszy zaczyna się na lądzie...

– To się rusza?

Bale kiwnął głową.

– ...a drugi kończy na wodzie.

– Dobrze, zapytam o coś innego: jak duże musi być urządzenie, które emituje taki strumień?

– Sir, nie posiadam takich informacji.

Garrison się uśmiechnął.

– Pytam o twoje zdanie. Gdybyś musiał zgadywać.

– Może być małe, nawet jak laptop.

– Czyli to urządzenie przenośne. Możliwe, że przenoszone przez jedną

osobę?

Bale nie lubił spekulacji, ale Garrison go naciskał.

Przytaknął.

– W porządku, to dobrze. Gdzie jeszcze?

Bale rozwinął duży plan Szanghaju.

– Odebrałem trzy transmisje z Zhanjiangu.

– Odebrane w mieście?

– Nie, wychodzące z trzech różnych miejsc.

Bale jeszcze raz zerknął do notatek i starannie nakreślił trzy krzyżyki.

– Niech spojrzę.

Garrison nachylił się nad mapą. Poznał pierwsze miejsce – Ministerstwo Marynarki. Drugiego nie kojarzył, ale trzecie... Poczł, że krew odpływa mu z twarzy. Odwrócił się, żeby Bale nic nie zauważył.

– Dobrze – powiedział, siląc się na spokojny ton. – Sprawdź jeszcze raz te współrzędne.

Odwrócił się z powrotem i przeszył Bale'a upiornym spojrzeniem.

– Absolutnie nikt więcej nie może się o tym dowiedzieć, Bale. Jak tylko skończysz, przychodzisz od razu do mnie. Nieważne, kiedy to będzie, w dzień czy w nocy.

– Rozumiem, sir. – Bale zsalutował i wyszedł.

Drzwi się zamknęły. Garrison został sam. Słyszał szum krwi pulsującej mu w skroniach.

Autostrada Hangrui

Szosa była śliska od deszczu, ale Hannah pędziła jak oszalała. Nie tylko dlatego, że Kovic potrzebował natychmiastowej ewakuacji; gnało ją pragnienie jak najszybszego wydostania się z Szanghaju, miała wrażenie, że jeśli się nie pospieszy, duszna atmosfera miasta pochłonie ją i zadusi. Było coś pokrzepiającego w grzmiącej mocy jej mercedesa, w jej panowaniu nad lewym pasem szosy, w stukocie wycieraczek walczących z ukośnie zacinającym deszczem – jakby najeżdżanie na wolniejsze pojazdy, spychanie ich z drogi w gniewnym blasku reflektorów pozwalało jej częściowo odzyskać kontrolę nad własnym przeznaczeniem. Jedną z zalet jej kraju było to, że można tu było pędzić jak szalenciec i nikt człowieka nie zatrzymywał.

Cały czas nie wiedziała, co myśleć o Kovicu. Prezentował sobą typ, który w Chinach po prostu nie występował. Przypominał bardziej bohatera legend o Dzikim Zachodzie. Samotnik trzymający się własnych ścieżek, biorący sprawiedliwość w swoje ręce, zyskujący przy tym więcej wrogów niż przyjaciół. Odkąd się pojawił, jej życie stanęło na głowie. Robiła rzeczy, o które nigdy by siebie nie podejrzewała. Kovic zupełnie nie przypominał jej ojca i był całkowitym przeciwieństwem jedyne go innego mężczyzny w jej życiu, Jina Jié, wizjonera pełnego wiary w ludzi, doszukującego się dobra w każdym napotkanym człowieku. Szokowało ją, jak wielkie Kovic zrobił na niej wrażenie, jakby wyczuł, że pod jej zbroją dystansu i odpowiedzialności kryje się duch rebelii. A on wydobył go na wierzch. Teraz sobie przypominała: kiedy stawiała opór zalotom dyrektora, rozpaczliwe usiłując wymyślić, co zrobić, zadawała sobie pytanie, co zrobiłby Kovic? Nie mogła się doczekać, kiedy mu o tym powie.

BMW, które wyprzedziła, ruszyło w pościg. Jego kierowca najwyraźniej nie mógł znieść, że wyprzedza go kobieta. Hannah wcisnęła mocniej gaz i usłyszała świst turbiny. BMW skurczyło się w lusterku, wskazówka prędkościomierza znalazła się powyżej dwustu kilometrów na godzinę.

Hannah i Kovic byli teraz w bardzo podobnym położeniu: stali się zbiegami z własnych organizacji, szukającymi prawdy, na którą ich przełożeni byli głusi lub aktywnie sprzeciwiali się jej odkryciu. Ale Hannah nie traciła czujności. Kovic był sprytny, prawdopodobnie był świetnym manipulatorem, oszustem; przecież musiał nim być, by skutecznie wykonywać swoją pracę. Czy wykorzystywał ją dla swoich własnych wątpliwych celów?

I te jego rewelacje o admirale Chang Weiu... Ten człowiek stał się legendą, budził powszechny szacunek, był najbliższym towarzyszem jej ojca. Hannah zamierzała porozmawiać z Jinem Jié dopiero wtedy, gdy przesłucha Kovica w cztery oczy, ale im więcej kilometrów dzieliło ją od miasta, tym bardziej wątpiła w słuszność tej decyzji. Na pokładowym komputerze wybrała telefon i numer Jina.

– Hannah, co za miła niespodzianka.

Kurwa, zawsze był taki wesoły. Nic go nie ruszało, nieważne, czym atakowali go przeciwnicy – ale aż do tej pory były to tylko słowa. Powtórzyła mu to, co powiedział jej Kovic.

– Musisz być ostrożny. Potrzebna ci ochrona, ludzie, których znasz i którym możesz ufać.

Jin się zaśmiał.

– Jak to miło, że się o mnie martwisz. Niepotrzebnie. To, co się dzieje, to tylko nieunikniony odruch sprzeciwu przeciwko postępowi. Należało się tego spodziewać.

– Chang chce cię wyeliminować. Wiem to ze stuprocentowo pewnego źródła.

Nie powiedziała, że źródłem był pyskaty Amerykanin, którego Jin widział z nią któregoś wieczoru.

– Dobrze, zamknę drzwi na klucz i zaciągnę zasłony, jeśli cię to uszczęśliwi. Muszę iść, zaraz zaczyna się moje wystąpienie.

Rozłączył się. Hannah rozzłościła się. Dlaczego nikt nie traktował jej poważnie? Czy naprawdę nikt nie dostrzegał, co się dzieje?

54

Góry Huang Shan

Trzymając się dokładnie pod linami kolejki, Kovic wolno przedzierał się przez las; w ten sposób musiał trafić do miejsca, gdzie spadli pozostali. Zanim skoczyli, dał telefon satelitarny Qi, więc nie miał się jak z nimi skontaktować. Poszycie było gęste, stopy grzęzły w rozmokłej po deszczu ziemi. Przez gęstwinę liści w górze docierało mało światła, las wypełniały dziwne odgłosy jego egzotycznych mieszkańców. Obecność Tsu miała jeden plus – okolice góry pozostały praktycznie nietknięte przez człowieka.

Kovic wciąż był niemiłosiernie obolały, ale fakt, że przeżył upadek, dodał mu energii – to, i ponura satysfakcja, że zemścił się na Tsu. Parł naprzód. Oby pozostali też byli cali.

Najpierw znalazł Zhou. Włamywacz siedział półprzytomny na pniu zwalonego drzewa i trzymał wartę. Qi leżał obok, śpiąc za zasłoną roślinności. Zhou znalazł go zwiniętego w kłębek i sztywnego z szoku po zjeździe. Qi był do tego stopnia przekonany, że nie przeżyje, że Zhou przez dobrych kilka minut przekonywał go, że wciąż jest cały i zdrowy. Trochę dzięki szczęściu, a trochę dzięki swojej piórkowej wadze, Qi nic sobie przy upadku nie zrobił. Tymczasem Zhou, doświadczony włamywacz, któremu wielokrotnie przyszło skakać z dużych wysokości, złamał nogę. Mimo to radość z ocalenia podniosła go na duchu. Kovic potrząsnął Qi. Haker podniósł się i spojrzał na niego z ulgą i przerażeniem.

Kovic odczytał jego myśli.

– Najgorsze już za nami, daję słowo. Dobrze się spisałeś, bardzo dobrze. Odpocznij sobie.

Qi zamknął oczy i z powrotem zasnął.

– Ani śladu Wu?

Wu zniknął. Wyłączyli telefony, wyjmując z nich baterie na zboczu. Może zapomniał włożyć swoją z powrotem, choć Kovic wątpił, by Wu przeoczył coś tak podstawowego. Może leżał gdzieś nieprzytomny. Deszcz lał coraz mocniej. Wszyscy byli przemoknięci, oszołomieni i głodni. Kovic przesłał Hannah ich współrzędne z telefonu. Najlepsze, co mogli zrobić, to zaczekać tu na nią, zamiast szukać Wu.

– Prześpij się, ja popilnuję.

Zhou natychmiast głęboko zasnął. Kovic popatrzył na śpiących towarzyszy. Podczas ostatnich czterdziestu ośmiu godzin dotarli do granic swoich możliwości i nie raz ryzykowali życiem w jego wariackiej misji. Teraz jego zadaniem było dostarczyć ich z powrotem tam, skąd przyjechali. W Szanghaju może i panowały rozruchy, ale przynajmniej byli tam u siebie, wiedzieli, jak się w tym miejscu przyczaić. Wieści o nich i o ich ucieczce na pewno już się rozeszły. Ale skoro Tsu nie żył, czy komukolwiek chciałoby się ich ścigać? Jakies pięć metrów od nich, równolegle do zwałonego drzewa, przez gęste zarośla biegła wąska ścieżka. Kovic ją obserwował, co kilka sekund obracając głowę, żeby nikt go nie zaskoczył.

To było nieuniknione. Nie spał od trzydziestu sześciu godzin. Musiałby chyba skakać w miejscu, żeby nie pójść w ślady pozostałej dwójki i nie zapaść w głęboki, nieprzytomny sen. Może zdrzemnął się tylko na kwadrans, ale to wystarczyło, żeby żołnierze z grupy poszukiwawczej otoczyli go ciasno, a potem obudzili szturchnięciem karabinu. Pięciu uzbrojonych. Nie było przed nimi ucieczki.

55

Przez kilka sekund patrzyli na niego zza luf karabinów. Wszyscy wyglądali na młodych i niedoświadczonych. To zawsze zły znak. Młodość wiązała się zazwyczaj ze skłonnością do strzelania z nerwów. A żaden z nich nie wyglądał na przesadnie opanowanego. Oczywiście, ich wspaniały wódz leżał martwy gdzieś u podnóża własnej góry. Ale może pozbawione głowy ciało walczyło dalej.

W końcu najwyższy, sprawiający wrażenie dowodzącego, mruknął po mandaryńsku:

– Paskudnie źle wygląda. To musi być on. Zgłóście to.

Kovic powoli podniósł ręce. Uznał, że jeśli się podda, może odwróci w ten sposób ich uwagę od szukania pozostałych dwóch, śpiących kilka metrów dalej. Miał nadzieję, że strażnicy nie znaleźli Wu, ale to by tłumaczyło jego milczenie.

Przywódca szturchnięciem kazał mu wstać. Kovic podniósł się niespiesznie. Obszukali go i zabrali mu torbę z telefonem w środku. Dopóki go nie zniszczą, była nadzieja, że sygnał GPS zaprowadzi do niego Hannah.

Przywódca wpatrywał się przez chwilę w wyświetlacz. Kovic wcześniej wyczyścił historię połączeń. Nie znalazłszy niczego ciekawego, mężczyzna cisnął telefon na ziemię i roztrzaskał go butem.

– Ty, idź. Ręce na głowa – warknął, najwyraźniej wyczerpując tym swoją znajomość angielskiego.

– Jasne. – Kovic z wysiłkiem podniósł się na nogi, przeklinając się za swój chwilowy brak koncentracji. Po tym, co przeżył przez ostatnie czterdzieści osiem godzin, dał się tak haniebnie podejść. Kiedy zatoczył się do przodu, strażnicy szepnęli coś między sobą. Jaką karę zarządził Tsu dla

tego, kto odebrał mu życie? Może w swojej pysze nie wziął pod uwagę takiego wydarzenia.

Po krótkim marszu dotarli do identycznego minibusa jak ten, który przejęli dwa dni temu. Strażnicy usiedli po obu stronach Kovica. Ponieważ nie miał możliwości ucieczki, spróbował się rozluźnić i oszczędzać energię na chwilę, kiedy może mu się przydać. Czy oni w ogóle wiedzieli, jaki los spotkał ich szefa? Znając chińską fobię na punkcie wstydu i hańby, z pewnością zostaną podjęte próby zatuszowania okoliczności śmierci Tsu i dorobienia do niej legendy o bohaterskim poświęceniu wodza. Tak czy inaczej, Kovic był ciekaw, czy znaleźli ciało.

Kiedy ruszyli, przywódca, siedzący obok kierowcy, odwrócił się do niego z grymasem nienawiści.

– Ty zapłacić – ty umrzeć, tak samo jak on.

Kovic nie odpowiedział. A więc wiedzieli. No, przynajmniej wykonał tę część misji.

Przywódca, rozczarowany brakiem reakcji, uderzył go otwartą dłonią w twarz. Ale siła uderzenia była minimalna, bo w tej samej chwili kierowca stanął na hamulcu. Bus zatrzymał się ukośnie. Przed nimi, w poprzek drogi, stał terenowy mercedes.

56

Hannah stała na środku drogi, z rozstawionymi nogami i legitymacją trzymaną w wyciągniętej ręce. Z drugiej dłoni zwiślał jej pistolet maszynowy chang feng.

– MBP. Przejmujemy więźnia.

Strażnicy spojrzeli po sobie. Hannah zachowywała się jak należy, ale najwyraźniej pierwszy raz w życiu spotkali kobietę z MBP – a może w ogóle jakąkolwiek uzbrojoną kobietę.

– Ten amerykański śmieć jest oskarżony o wielokrotne morderstwo i mam rozkaz go aresztować.

Nieźle, pomyślał Kovic. Ale była sama, do tego przyjechała wypasioną terenówką; niełatwo będzie ich przekonać.

Przywódca wystawił głowę przez okno.

– Ssij kij, głupia cipo.

O rany, pomyślał Kovic, jednocześnie przerażony i zafascynowany kierunkiem, w jakim właśnie obróciła się sytuacja. Ośmielony przez dowódcę, drugi strażnik dorzucił swoje:

– Tak, szykuj się na mojego chuja.

Co za gówniany kraj dla kobiety w organach ścigania. Hannah szeroko otworzyła oczy.

Teraz wszyscy musieli się odezwać.

– Może nam dać po dwóch naraz.

– Tak, po jednym z każdej strony.

Hannah przesunęła lekko swój środek ciężkości i podniosła lufę chang fenga. W jej oczach była determinacja, którą Kovic pamiętał z chwili, gdy

aresztowała go po raz pierwszy.

– Za wysokie progi dla ciebie – powiedział jeden ze strażników do drugiego.

Dowódca pochylił się do kierowcy.

– Jedź – powiedział. – A jak się nie odsunie, przejedź ją.

Hannah schowała legitymację i przez chwilę Kovic myślał, że się poddała. Kierowca dodał gazu, jakby ostrzegając ją, co zamierza zrobić. Potem instynkt kazał Kovicowi się schylić. Natychmiast.

57

– Nie masz wrażenia, że palisz za sobą mosty?

Kovic wypchnął martwego strażnika przez drzwi i wysiadł.

– Ani trochę. To była zwykła samoobrona w obliczu niesubordynacji.

Hannah rzuciła pistolet maszynowy na miejsce pasażera w mercedesie. Seria kul prawie odpiłowała dach z minibusa. Resztki strażników rozniosło po całym wnętrzu. Hannah zachowała całkowity spokój.

– Kiedy pierwszy raz zabiłem człowieka, obrzygałem go, nie mogłem się opanować.

Spojrzała chłodno na Kovica.

– Kto powiedział, że to był mój pierwszy raz?

Nie dała poznać, jak była wstrząśnięta wyglądem agenta, kiedy ujrzała go oblepionego zaschniętą krwią i brudem. Wyglądał i śmierdział jak jakaś prymitywna istota.

– Musisz się ogarnąć.

Kovic wyciągnął rękę. Wydało mu się to dziwnie bezosobowe, ale żaden bardziej odpowiedni gest nie przyszedł mu do głowy.

– Dziękuję. Właśnie uratowałaś mi życie.

Hannah nie uścisnęła jego ręki. Zamiast tego wzięła jego dłonie w swoje i pobieżnie im się przyjrzała. Jej dotyk był chłodny, ale nie wiedzieć czemu – pocrzepiający.

– Co z nimi?

– Pomyślą, że to twoja robota.

Nagle złapała broń i odepchnęła Kovica na bok. W uszach ciągle mu dzwoniło od kanonady, więc nie usłyszał, co tak nagle przykuło jej uwagę.

Z głębi lasu nadjeżdżał kolejny samochód. Hannah podniosła broń.

– Zaczekaj.

Podskakując na wybojach, w ich stronę jechał great wall wingle z Wu za kierownicą oraz Qi i Zhou siedzącymi obok.

Autostrada G25, obrzeża Szanghaju

Kiedy zwolnili przed punktem poboru opłat, usłyszeli deszcz, bębniący o dach terenówki Hannah. Wszystkie pasy wyjazdowe były zapchane osobówkami i minibusami, w wielu wypadkach pełnymi bagaży. Rozpoczął się exodus z Szanghaju.

Ulice miasta były przeraźliwie puste. Jeździła nimi tylko policja, pospiesznie przemieszczająca się na motocyklach i w furgonetkach.

Kovic zastanowił się, jakie ma możliwości. Oficjalnie wciąż nie żył. Mógł zameldować się w CIA, przedstawić Cutlerowi, co wie i ponieść konsekwencje niesubordynacji. Mógł też zniknąć, wymyślić sobie nowe życie i zacząć od początku. Miał środki i gotówkę, żeby się utrzymać przez dość długi czas, a do tego – rany, jak on potrzebował odpoczynku.

Wytropienie Tsu i posłanie go na śmierć przyniosło mu pewną ponurą satysfakcję, ale to był tylko etap, a nie ostateczny cel.

O wszystkim decydował Chang, a świadomość, że admirał planuje podpalić świat, sprawiała, że Kovic czuł się, jakby nie dokończył tego, co zaplanował. Jeśli nie on go powstrzyma, to kto?

Opowiedział Hannah ze szczegółami, co przeżył na górze, skupiając się na spotkaniu z jego wspaniałością admirałem. Słuchała w milczeniu.

– Nie dociera to do ciebie, prawda?

– Admirał Chang to wielki patriota. Do tego walczył z korupcją wśród politycznych elit. Ludzie go za to kochają.

– Tak, a to doskonała przykrywka dla jego planu zdobycia władzy nad światem. To przez niego dzieje się to wszystko. To tutaj.

Kovic wskazał mijany konwój minibusów pełnych uciekających mieszkańców miasta.

– Wiesz co, ja cię nie rozumiem. W jednej chwili wymachujesz bronią jak partyzantka, chcesz zmieniać świat i w ogóle, a zaraz potem zmieniasz się w ślełą patriotkę robiącą to, co każe partia.

– My po prostu nie jesteśmy skonstruowani tak prosto jak wy, ze swoimi dobrymi i złymi. Myślałam, że kto jak kto, ale ty wiesz, że Chiny są bardziej złożone. Tu wchodzi w grę więcej czynników, niż wy, Amerykanie, kiedykolwiek zrozumiecie.

– W takim razie ujmę to bardzo prosto – odparł Kovic, nie mogąc ukryć narastającej irytacji. – Chang ma na celowniku twojego kochanego Jina Jié. To on będzie następnym celem, zobaczysz.

– To nie jest „mój kochany”.

– Wszystko jedno. Posłuchaj, możesz sobie wierzyć w jego zagrywki. Jest młody, przystojny i wygadany. Ale Jin Jié to dla Changa amerykańska marionetka, propagująca podwójne zło: demokrację i materializm. Twój wielki patriota admirał jest zbyt inteligentny, żeby po prostu go wyeliminować. Założę się, że posłuży się nim jakoś inaczej.

– Niby jak?

– Tego właśnie ty i ja musimy się dowiedzieć, podczas gdy Jin Jié zejdzie do podziemia.

– Nie robi tego, to by było dla niego przyznanie się do klęski. Bez względu na wszystko pozostanie widoczny.

W górze przemknęły cztery wojskowe śmigłowce, zmierzające do centrum miasta.

– Powodzenia.

Hannah zatrzymała się na czerwonym i obejrzała na Kovica.

– Naprawdę jesteś w okropnym stanie.

Hotel Majesty Plaza, Szanghaj

Minęło sporo czasu, odkąd Kovic ostatnio widział się w lustrze. Zobaczył w nim człowieka, który wyglądał, jakby wstał z grobu. Można było zaryzykować stwierdzenie, że to się akurat dobrze składa, bo taki właśnie miał być jego następny krok. Zamierzał udać się do Cutlera i przekazać mu wieści o Changu. Chciał zobaczyć jego minę, kiedy będzie mu o tym mówił.

Próbował się ogolić, ale manewrowanie maszynką między opuchlizną a świeżymi strupami okazało się zbyt trudne. Kiedy skończył, nie potrafił ocenić, czy nastąpiła jakaś poprawa, ale przynajmniej był czysty i zrobił dobry użytek z szafki z lekami Hannah.

Jej mieszkanie było małe i skromnie urządzone, widać było, że z kuchni korzystała nader rzadko. Dom kogoś, kto nie ma zbyt wiele wolnego czasu na cokolwiek poza snem... Co dokładnie łączyło ją z Jinem Jié? Mieli romans na Harvardzie? Z drugiej strony, co go to obchodzi? Jej spojrzenie zatrzymało się na jego pokancerowanej twarzy o sekundę dłużej, niż to było konieczne, jakby sugerując, że gdyby poprosił, nie odmówiłaby. Ale może zbyt mocno sobie schlebiał. Poza tym czas był zupełnie nieodpowiedni: wciąż prześladowało go widmo Louise.

Kiedy obudził się rano, Hannah nie było, nie zostawiła żadnej wiadomości. Może więc to był koniec ich krótkiego partnerstwa.

Kovic założył szarą koszulę i lekki, niebieski garnitur, który dla niego przygotowała. Trafiała z rozmiarem; musiała uważnie mu się przyjrzeć, nawet jeśli tylko po to, żeby w myślach zdjąć z niego miarę. Znalazła mu buty dość miękkie, by zdołał w nie wsunąć swoje niemal oskórowane stopy. Dawno nie czuł się tak dobrze, prawie jak człowiek, jak nowo narodzony: gotów wrócić

do świata, między żywych.

Ochrona wokół amerykańskiej ambasady była liczniejsza niż zwykle. Pod bramą stali policjanci z pistoletami maszynowymi, wewnątrz koczował oddział marines, którzy wyglądali na wyjątkowo zdenerwowanych. I słusznie, pomyślał Kovic. Skaner siatkówki i czytnik dłoni potwierdziły jego tożsamość i został wpuszczony do środka.

Pani Chan opróżniała szafkę z aktami, przekładając zawartość do aluminiowych skrzynek. Kiedy go zobaczyła, wydała przeszywający wrzask, zerwała się z fotela i skuliła w kącie; sprawiała wrażenie, jakby ujrzała samego Ponurego Żniwiarza, który przyszedł oznajmić, że jej czas dobiegł końca.

– Dzień dobry! Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam.

Kovic uśmiechnął się – miał nadzieję, że pokrzepiająco – i ruszył do drzwi gabinetu Cutlera.

– Dy...dy...dyrektor jest na spotkaniu – pisnęła pani Chan z kąta. – Polecił nikogo nie wpuszczać.

– Mnie to nie dotyczy, nie jestem nikim. – Kovic zaśmiał się teatralnym śmiechem Draculi i otworzył drzwi.

Cutler obejrzał się i krew odpłynęła mu z twarzy. Zerknął na drugą osobę w gabinecie, zamknął leżące przed nim akta i wstał. Dzięki tej krótkiej chwili odzyskał panowanie nad sobą i rozłożył ramiona.

– Kovic! Dzięki Bogu...

Kovic spojrzał na rozpartego na fotelu gościa. Wydał mu się jakby znajomy.

Cutler złapał go za rękę, zanim Kovic zdążył ją wyciągnąć, i klepnął go mocno w ramię, dokładnie w uraz po jednym z ciosów Tsu. Kovic się skrzywił.

– Panie senatorze, to agent Kovic. Kovic, to senator Hiram Metzger.

– A niech mnie, co te komuchy z tobą zrobiły, chłopcze?

Kovic zerknął na Cutlera.

– Miałem przejściowe kłopoty, ale już wszystko w porządku, dziękuję, panie senatorze.

Szybko przetrząsnął archiwum w głowie w poszukiwaniu wszystkiego, co wiedział o Metzgerze. Znalazł tylko tyle, że to agresywny polityk, orędownik rozwiązań siłowych i że reprezentuje jakiś stan ze Środkowego Zachodu, jeden z tych w finansowym dołku, gdzie pozamykano fabryki budujące czołgi i samoloty, które wygrały II wojnę światową. Nie był to ktoś, kogo Kovic spodziewałby się spotkać w Chinach. Właściwie, o ile pamiętał, Metzger głośno krytykował tutejszy import i publicznie ostrzegał przed konsekwencjami dalszej zgody na to, by Chińczycy podkopywali amerykańską produkcję. Był zwalistym mężczyzną po sześćdziesiątce; jednym z tych klasycznych Amerykanów, którzy kiedyś mieli żołnierską kondycję, ale nigdy nie przestali jeść żołnierskich porcji. Koszula opinała mu wielki brzuch, szyja wylewała się z kołnierzyka, ale oczy wyzierające spod krzaczastych brwi były wciąż niebieskie i bystre. Co on tu robił?

– No, to by chyba było na tyle, póki co – warknął senator. Wyglądał na lekko poirytowanego wtargnięciem. Z wysiłkiem wstał. – Wiesz, gdzie mnie znaleźć, Bill. Ale nie przychodź bez uprzedzenia, mogę kosztować lokalnych specjalistów.

Culter zaśmiał się wymuszenie.

– Przepraszam, jeśli w czymś przeszkodziłem – powiedział Kovic.

Cutler wciąż był w wielkodusznym nastroju.

– Nie, nie, właśnie skończyliśmy. Usiądź i zaczekaj, a ja odprowadzę senatora.

Nie było ich jakieś trzydzieści sekund. Kovic w tym czasie rozejrzał się po gabinecie. Na biurku nie zalegały zwyczajowe sterty papierów Cutlera, brakowało nawet laptopa w kolorach maskujących. W kącie stały kolejne

aluminiowe skrzynki, a za fotelem duża waliza na kółkach. Cutler wrócił, zamknął drzwi, siadł za biurkiem. Jego nastrój się zmienił.

– No, to dość niespodziewana wizyta.

Kovic się uśmiechnął.

– Miło wiedzieć, że ci ulżyło, że jednak żyję.

– Oczywiście, że nam ulżyło, policja przekazała nam, że zginąłeś w pożarze.

Kovic, odpowiadając, uważnie wpatrywał się w twarz Cutlera.

– Tak, na to wyglądało, ale ciało w łóżku należało do mojej dziewczyny. Załatwili niewłaściwą osobę.

Cutler zmarszczył brwi.

– Jacy oni?

Kovic usiadł na fotelu, który przed chwilą zwolnił Metzger.

– Muszę cię wprowadzić w sytuację.

Naszkiecował najważniejsze punkty swojego spotkania z Tsu i Changiem oraz to, czego się dowiedział o incydencie na granicy.

Słuchając tego, Cutler pobladł. Złożył ręce, jak to miał w zwyczaju, jakby liczył na boskie natchnienie, i przycisnął palce do ust. Kiedy Kovic skończył, przez kilka chwil milczał. W końcu się odezwał.

– Zdajesz sobie sprawę, jak niebezpieczne rzeczy mówisz.

– Jak cholera.

– To musi trafić na górę – na samą górę. Wiesz, o czym mówię, prawda, Kovic?

– Pewnie. Po to wróciłem. Ale co będzie z tobą?

Cutler nagle się obruszył.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– „Highbeam” to był twój hołubiony projekt i...

Cutler pokręcił głową i machnął ręką.

– Kovic, na tym polega nasza praca. Nie powinienem musieć ci tego mówić. Musimy brać wszystko na klatę.

– Tak jest.

Kovicowi przeszło przez głowę, czy zamordowanie marines i Louise to coś, co powinien „wziąć na klatę”.

– Natychmiast przekażę to wyżej. Na pewno będą pytania; dla twojego własnego bezpieczeństwa od tej pory zostajesz na terenie ambasady. Odpocznij.

Szybko wstał, podszedł do drzwi i otworzył je. Potem wyciągnął rękę i ułożył twarz w uśmiech.

– Dobrze mieć cię z powrotem, żołnierzu.

60

Dzielnica Pudong, Szanghaj

Hannah jechała windą do swojego mieszkania. Jej życie wymykało się spod kontroli, jej przyszłość była zagrożona. Zabójstwo szefa, rozmowa z ojcem, beznamienne pozbycie się ludzi Tsu – z trudem poznawała samą siebie. A mimo to nigdy jeszcze nie czuła się tak żywa. Choć nie przyznała się do tego, opowieści Kovica o zdradzie admirała potwierdzały jej własne podejrzenia, że SMS-y z Ministerstwa Marynarki nie były dziełem jakiegoś renegata, ale częścią dobrze zorganizowanego spisku.

Dotarła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. Poczowała mocny zapach papierosów. Kovic wrócił? Miała taką nadzieję.

Czekało na nią co najmniej sześciu, rozwalonych na jej meblach. Trzech kolejnych w strojach techników policyjnych przetrząsało jej łazienkę. Hannah odruchowo zawróciła do drzwi, ale jeden z nich zatrzasnął je przed jej nosem.

– Kim jesteście?

Garnitury mieli za dobre na MBP. Ludzie Tsu? Jeden z nich, w ciemnych okularach, pokazał jej smartfona.

– Patrz.

Spojrzała na niewielki wyświetlacz. Zobaczyła zdjęcie ojca, przywiązanego do krzesła, z ustami zaklejonymi szeroką taśmą. Ekran ożył. Czyjaś ręka zerwała taśmę. Ojciec zatrzepotał powiekami, potem jego spojrzenie nabrało ostrości.

– *Hannah, najdroższa. Proszę, pomóż... proszę, rób, co ci każą...*

Przerwał i odetchnął kilka razy, jakby te parę słów go wyczerpało.

Spojrzał z obawą w lewo, jakby ktoś poza kadrem wydawał mu polecenia.

– *Daj im Amerykanina albo mnie zabiją.*

Ekran zgasł. Hannah rzuciła się na mężczyznę z telefonem, ale dwaj inni złapali ją z tyłu i przytrzymali.

– Przekaz dotarł?

Nie poruszyła się.

– Wiemy o nim i o tobie. – Mężczyzna spojrzał na dwóch w białych kombinezonach. – Wszędzie tu pełno jego DNA. Jesteś nie tylko zdrajczynią, ale i kurwą. Zrób to. Wezwij Amerykanina albo stary ucierpi – a ty razem z nim.

61

Hotel Majesty Plaza, Szanghaj

Kovic gapił się na wiadomość: nie wiedzieć czemu, nie tego się spodziewał.

„Pragnę cię – teraz. Przyjeżdżaj”.

A to ciekawy obrót spraw, pomyślał. Myślami był gdzie indziej, przetrawiał wydarzenia kilku ostatnich dni – pierwszy raz miał tak naprawdę chwilę oddechu. Zaczynał się zastanawiać, czy zrobił już swoje, czy mógł zrobić coś jeszcze. Rozprawił się z Tsu, odkrył, kto za nim stoi, przekonał Hannah o niebezpieczeństwie grożącym Jinowi Jié, porozumiał się z Garrisonem...

Nie, to wcale nie był koniec.

Odtworzył w myślach swoje spotkanie z Cutlerem i Metzgerem. Co sprowadziło senatora do gabinetu dyrektora?

Znów odwiedził panią Chan. Doszła już do siebie. Mimo to przyniósł kwiaty, przeprosił serdecznie, że ją przestraszył, spytał o zdrowie rodziny, a nawet przyprawił o pąsy wzmianką, że zamknięty w ambasadzie będzie się czuł bardzo samotny. Ostatecznie dowiedział się, w którym hotelu mieszka Metzger, a także zdobył prywatne numery jego szefa sztabu i sekretarza oraz numer komórki samego senatora.

Spędził trochę czasu w sieci, studiując przeszłość Metzgera. Przez ostatnie kilka tygodni senator jeździł po świecie jako członek senackiej Komisji Bezpieczeństwa Narodowego. Kovic obejrzał także na YouTube kilka najnowszych przemówień Metzgera, wygłoszonych w jego rodzimym stanie – senator oskarżał w nich Chińczyków o wysysanie pieniędzy z serca Ameryki, przez co plajtowały fabryki, oraz obwinał ich o zalewanie

miejscowych społeczności tanią tandetą. Zdecydowanie nie należał do przyjaciół Chin.

Kovic nie zdecydował jeszcze, jak odpowiedzieć na wiadomość od Hannah. Po dziesięciu minutach dostał ją ponownie, tym razem z dopiskiem: „Wiem, czego chcesz i ja też tego chcę. Nie zawieź mnie”.

62

Dzielnica Huangpu, Szanghaj

Qi dość długo liczył pieniądze. Kovic widział to już setki razy i za każdym razem irytowało go to coraz bardziej.

– Daj spokój, chyba po tym wszystkim mi ufasz.

Qi spojrzał na niego z wyrzutem, nie przerywając liczenia.

– Zaufałem, że przywieziesz mnie z powrotem żywego.

– No i przywiozłem, nie?

Qi podniósł zabandażowane ręce, pokaleczone przy zjeździe na linie.

– Po tym koniec, dobrze?

– Dobrze, jasne, jak chcesz.

Qi skończył liczyć i schował pieniądze do sejfu – jak zwykle nalegając, żeby Kovic się odwrócił, kiedy będzie go otwierał.

– Dobra, do roboty.

Podłączył telefon Kovica do komputera, założył słuchawki i wczytał się w cyfry i znaki na monitorze, które dla Kovica zupełnie nic nie znaczyły. Ale za to właśnie mu płacił – za umiejętność odczytywania i interpretowania danych, których nie rozumieli nawet inni informatycy. Tym razem Qi wyglądał na zdezorientowanego. Niedobrze.

– Nie podoba mi się to. Wcale mi się to nie podoba. – Potrząsnął głową. – Kompletna martwota, jakby wygłuszyli cały budynek. To dla mnie nowość, rozumiesz? Mogę potrzebować trochę czasu.

Kovic wstał.

– Czas to akurat to, czego nie mam.

63

Dzielnica Pudong, Szanghaj

Kovic nacisnął dzwonek i zaczekał. Kiedy otworzyła drzwi, odebrało mu mowę.

Hannah była ubrana w długą suknię bez ramion, do samej podłogi, srebrną w hipnotyzujący wzór przypominający rybią łuskę. Prawie jej nie poznał przez makijaż, usta pomalowała na głęboki odcień czerwieni, lśniący niemal tak samo jak suknia. Objęła go, przyciągnęła do siebie i wtuliła twarz w jego szyję.

– Mają mojego ojca – szepnęła.

Przytulił ją, bo tylko to przyszło mu do głowy.

Popatrzył na mężczyzn w pokoju. Wyglądali zupełnie jak ci, którzy ścigali jego i Wu po szanghajskich ulicach, widać było ich tatuaże. Musiał to przyznać – Tsu zorganizował swoją armię tak dobrze, że maszerowała nawet bez niego. Rozdzielili ich i obszukali Kovica. Nie było sensu stawiać oporu. Gdyby dał się zabrać po cichu, może zostawiliby Hannah w spokoju, chociaż wiedział, że to mało prawdopodobne. Pchnęli ich oboje ku drzwiom i poprowadzili korytarzem do windy. Na tym etapie najważniejsze dla Kovica było zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby chronić Hannah. Jaką zresztą miał gwarancję, że wypuszczą jej ojca?

W drodze na podziemny parking Hannah przeżywała łączy wściekłości i wstydu. Czuła się słaba i bezradna. Poddała się. Wydała im w ręce swojego jedyne go sprzymierzeńca. Uprzedzano ją, że jej praca może wymagać podejmowania przerażająco trudnych decyzji, że może być zmuszona poświęcać ludzi, na których jej zależało; została do tego wyszkolona. Nauczono ją, że w takich sytuacjach najważniejsza jest lojalność wobec

Ministerstwa, a co za tym idzie – kraju. Gdzie teraz była ta lojalność? Prawdziwy zawodowiec nie ugiąłby się na widok rodzica w opałach, a ona to zrobiła. Miała nadzieję, że Kovic przynajmniej dobrze zinterpretuje jej wiadomość – jako zarazem prośbę i ostrzeżenie. Wydawał się taki ucieszony na jej widok. Czyżby go przeceniła? W tym właśnie momencie ścisnął ją lekko za rękę, jakby chciał powiedzieć: „Wszystko w porządku. Wiem”.

Ale niczego to nie ułatwiło. Przyjechał, wiedząc, że coś jest nie w porządku, wiedząc, że ten SMS jest do niej zupełnie niepodobny, a więc – że wchodzi prosto w jakąś pułapkę.

Drzwi windy otworzyły się, ukazując podziemny parking. Ruszyli w kierunku dużego, wypolerowanego, czarnego cadillaca escalade. Metr od samochodu Hannah się zatrzymała.

– Chcę go zobaczyć.

Żaden z mężczyzn się nie odezwał.

– Dałam wam Amerykanina. Oddajcie mi ojca.

Przywódca zdjął ciemne okulary. Jedna powieka opadała mu na oko.

– Chcesz go zobaczyć? Proszę.

Wyjął telefon.

Wybrał numer i zaczekał, a potem powiedział coś, czego żadne z nich nie usłyszało. Podniósł aparat i wszyscy obejrżeli się na Hannah, patrzącą na ekran. Wyświetlacz nagle rozświetlił się i pojawił się na nim jej ojciec, wciąż na krześle, ale tym razem z zawiązanymi oczami.

– *Shuyi? To ty? Jesteś tam?*

– Tato!

Hannah spróbowała wyrwać telefon, ale ją przytrzymali. Generał chyba ją usłyszał. Ktoś zerwał mu opaskę.

– *Shuyi! Kocham cię...*

Potem coś wleciało od lewej krawędzi ekranu i generałem szarpnęło do

tyło, z prawej skroni trysnęła mu krew – wszystko inne zniknęło w erupcji wrzasku Hannah.

Kovic miał nadzieję, że się na to przygotowała, chociaż patrząc na jej długą, obcisłą sukienkę, nie potrafił się domyślić jak. Nie miała nawet torebki, w której mogła ukryć broń.

Sukienka była z pewnością uszyta na zamówienie, bo wąskie, dwudziestocentymetrowe ostrze zmateriałizowało się jakby w powietrzu. Musiało być ukryte w szwie na udzie. Było bardzo wąskie, miało mniej niż centymetr szerokości i odrobinę grubszą rękojeść. Kovic patrzył z podziwem i przerażeniem, jak Hannah posługuje się nim z precyzją i szybkością, jakby całe życie trenowała z myślą o tej chwili. Nie mierzyła w pierś; uderzyła w twarz i szyję. Tak szybko pchnęła i wyciągnęła nóż w opadające oko przywódcy, że przez chwilę wyglądał tak, jakby nic się nie stało – dopóki nie trysnęła cienka strużka krwi. Hannah zdążyła tymczasem przejechać ostrzem po szyi następnego, po twarzy trzeciego, a na koniec wbić je w otwarte usta czwartego. Przez cały ten czas wydawała z siebie ten sam dźwięk, mrozący krew w żyłach, nieludzki.

Czwarty mężczyzna cały czas ścisnął broń, ale stopa Kovica trafiła go prosto w krocze, po czym wypuścił pistolet, zginając się wpół. Piąty zaczął strzelać do nich z samochodu, ale Kovic zdążył podnieść upuszczoną broń i załatwił go kilkoma szybkimi strzałami.

Sukienka, nóż, wściekłość, zamknięta przestrzeń – Hannah na oczach Kovica przeistoczyła się w mityczną bestię. Teraz, prawie metodycznie, choć wciąż z gniewem, potraktowała każdego z powalonych ostrzem raz jeszcze, by upewnić się, że nie przeżyją. Kovic trzymał się na uboczu. To było jej przedstawienie, jej rozpacz. Wiedział, jak to jest i co to dla niej znaczy. Przypomniawszy sobie Louise, to, co z niej zostało, i własną ponurą satysfakcją, kiedy patrzył, jak ciało Tsu spada bezwładnie z wierzchołka góry.

Kiedy skończyła, wyprostowała się i spojrzała na niego. Krew ściekała

z noża, który wciąż trzymała w ręku, suknia w rybią łuskę była zbryzgana czerwienią niczym jeden z obrazów Jacksona Pollocka.

– Dobrze – powiedziała cicho. – Co teraz?

64

Zanim Kovic zdążył odpowiedzieć, zadzwonił Garrison.

– Mam coś dla pana.

– Słucham, sir.

– Lokalizacja Changa – jest w Szanghaju, w hotelu w śródmieściu. Pudong Royale. Na dachu stoi jego prywatny śmigłowiec. Cały hotel jest praktycznie zamknięty. Nie mamy informacji, co tam robi ani z kim się spotyka. Ale pomyślałem, że może chciałby pan wiedzieć.

Kovic ujął Hannah za ramię i przyciągnął ją do siebie, nie przerywając rozmowy.

– Chyba że chce się pan ewakuować. Moja propozycja jest ciągle aktualna.

Kovic tulił Hannah, która cała dygotała z rozpaczy.

– Jeszcze tu nie skończyłem. Jak wygląda ogólna sytuacja? Co mówi Pentagon?

– Sytuacja wygląda tak, że chińska południowa flota nas otacza, a Pentagon każe mi nic nie robić, żeby dodatkowo nie zaognić naszego położenia. Co w ich przypadku jest dość zaskakujące.

– Uwierzyli w to, co im pan powiedział o Changu?

– Przekazuję im wszystko, ale nie gwarantuję, że słuchają.

– A Langley?

– Ani piśnie.

– I jest pan pewny co do położenia Changa?

– Mam tylko widok z góry, ale oglądam właśnie na żywo jego śmigłowiec na dachu tego hotelu.

– Dziękuję.

Kovic schował telefon z powrotem do kieszeni.

Hannah wyprostowała się, odsunęła od niego i otarła dłonią twarz.

– Wyglądam okropnie, prawda?

– Zważywszy na okoliczności, powiedziałbym, że wyglądasz świetnie.

– Przepraszam, że musiałam cię w to wciągnąć.

– Chyba nie musimy się już za takie rzeczy przeproszać.

– Oszukałam cię.

– Z SMS-a wynikało jasno, że jesteś... że nie jesteś sobą.

Hannah zdołała się słabo uśmiechnąć.

– Nie mogłeś uwierzyć, że... że mnie pociągasz?

– Powiedzmy, że staram się być realistą.

Patrzyła na niego przez długą chwilę; wymienili jakiś bezsłowny sygnał. W końcu się odezwała.

– Mój ojciec nie żyje, straciłam pracę, właśnie zabiłam paru ludzi, nie wiem nawet, kto to był. Zostaliśmy tylko ty i ja.

Kovic zaczął układać w głowie zdanie: „W tej chwili mogę nas oboje stąd wydostać, za czterdzieści minut możemy być na amerykańskim lotniskowcu...”. Ale słowa te pozostały niewypowiedziane.

Hannah wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Sprawiała wrażenie drobnej i kruchej, ale po tym, co przed chwilą zobaczył, Kovic wiedział, że to wrażenie jest ze wszech miar mylne.

– Jin Jié urządził wiec, motywem jest „jedność”. Powinnam być tam z nim.

– Rany, gość się nie poddaje, co?

– Uważa, że to jego ostatnia szansa, żeby zorganizować postępowców w masowy ruch, który pokaże wątpięcym, że w Chinach naprawdę jest

przyszłość dla wolności i demokracji.

– On nie ma pojęcia...

Hannah mu przerwała.

– Dla niego liczą się tylko idee. Idee i możliwość ich wyrażania. Jeśli nie on, to kto? Inni... – z niesmakiem pokręciła głową – ...inni za bardzo się boją wyjść przed szereg; za bardzo się boją i są zbyt skorumpowani.

Przestąpiła przez trupa.

– Jadę do niego. Mogę mu przynajmniej okazać wsparcie – i przypilnować, żeby nic mu się nie stało.

Ruszyła w stronę swojego samochodu, a potem spojrzała w dół, na swoją sukienkę.

– Może najpierw pójde na górę się odświeżyć. – Znów się zawahała. – Pójdiesz ze mną?

Kovic się uśmiechnął.

– Dzięki, ale masz chyba ważniejsze sprawy na głowie.

65

Kovic nie skomentował nowego samochodu Wu, co było jasnym znakiem, że jest nieobecny myślami. Nie spytał go nawet, czy odpoczął po przejściach w górach. Chciał tylko wiedzieć, czy Wu przywiózł swój fałszywy dowód tożsamości. Nie było sensu zabierać broni, nie przedostaliby się z nią przez ochronę. Wu pędził przez opustoszałe ulice.

– Jaki jest plan, szefie?

– Znasz mnie, nie lubię planować. Wymyślę coś na miejscu.

Kovic wtargnął do recepcji hotelu Pudong Royale, wymachując jednym ze swoich południowoafrykańskich paszportów.

– Gdzie moje torby, co? Zostawiłem tu bagaż ledwie w zeszłym tygodniu, a wy mi mówicie, że go nie ma? Co to za numery? Macie zawiadomić policję. NATYCHMIAST, słyszycie mnie?

Recepcjonistki zrobiły zawstydzone miny. Takie zachowanie mogło im przysporzyć kłopotów u szefostwa.

Wu, stojący obok Kovica, wkroczył do akcji – pojednawczym tonem poprosił, żeby pozwolić mu zajrzeć do schowka na pozostawione bagaże.

– Tylko zajrzę, dla pewności, nie będziemy dotykać cudzych rzeczy. Po prostu, widzi pani, on się trochę zdenerwował.

– Zdenerwował! – ryknął Kovic. – Oczywiście, cholera, że się zdenerwowałem! Wiecie, co jest w tych torbach? Prezent dla mojej żony na rocznicę!

– Na pewno pozwolą nam poszukać – powiedział Wu. – Tylko się uspokój.

– Nie uspokajaj mnie tu!

Jak dotąd wszystko szło dobrze. Młody recepcjonista przejął inicjatywę i zaprowadził ich do wewnętrznego westybulu, gdzie Kovic zaczął dziwnie oddychać i się zataczać.

– O Jezusie, o Boże! Moje serce!

Znajdowali się obok wind.

– Pomocy! – wrzasnął Wu. – Niech pan sprowadzi lekarza! Szybko!

Kiedy tylko recepcjonista się odwrócił, obaj wskoczyli do ekspresowej windy, która zawiozła ich na najwyższe piętro.

– Gdyby tylko wszystko w życiu szło tak łatwo.

– Myślałem, że to ja odgrywam oscarowe role.

– Owszem, ale do ataków serca potrzeba kogoś bardziej...

– Bardziej wymęczonego?

Najwyższe piętro, siedemdziesiąte dziewiąte, było odcięte. Kovic wysiadł na siedemdziesiątym ósmym, a Wu wcisnął guzik „na dół”, po czym gdy tylko winda ruszyła, włączył awaryjne zatrzymanie. Kovic siłą otworzył drzwi i wszedł na dach windy, a wtedy Wu puścił przycisk i wcisnął „na górę”. Kabina wjechała najwyżej, jak się dało, wystarczająco wysoko, żeby Kovic sięgnął drzwi siedemdziesiątego dziewiątego piętra i siłą je otworzył. Kiedy tylko się rozchyliły, dwaj strażnicy popatrzyli na niego wzdłuż luf swoich QSZ.

– Panowie, było porwanie. Nie wiem, co się dzieje, ale oni próbują... Czy możecie mi...

Złapał lufę broni bliższego strażnika i rąbnął nią w wyciągniętą dłoń drugiego. Pierwszy odruchowo zacisnął palec na spuście i kula niemal z przystawienia przeszła przedramię. Kovic złapał drugi pistolet, wystrzelił i obaj strażnicy upadli. Wspiął się na ich piętro, zepchnął trupy na dach windy przez uchylone drzwi i puścił je, tak że się zamknęły.

Był teraz uzbrojony i sam.

Ruszył korytarzem, skręcił za róg i wpadł na następnych strażników, którzy natychmiast go otoczyli.

– Ej! Co to ma, kurwa, być?

Nie kupili jego oburzenia. Każdy niezapowiedziany gość, niezależnie od narodowości, musiał być dla nich podejrzany. Pistolet ich towarzysza natychmiast zdradziłby Kovica, a było już za późno, żeby się go pozbyć. Musiał wymyślić coś innego.

– Przynoszę wiadomość od Jina Jié. To pilna prośba o rozmowę. Muszę porozmawiać z kimś ze sztabu admirała...

– Od Jina Jié? Gdzie dowód?

– Jin Jié rozumie, że to koniec. Chce się układać.

„Kiedy improwizujesz, bądź wiarygodny”. Tego go nauczono i zawsze dobrze na tym wychodził. Miał dręczące wrażenie, że brzmi to niedorzecznie, ale z drugiej strony sam był prawie w stanie uwierzyć, że Jin Jié jest na tyle naiwny, by próbować negocjacji z Changiem. Zjawił się ktoś wyższy rangą, pytając, co się dzieje.

– Twierdzi, że przysłał go Jin Jié.

– To podobne do tego nadętego fiutka, że przysłał obcokrajowca. Zresztą i tak już za późno. Skuć go.

Nagle drzwi za nimi się otworzyły, a oficer w mundurze marynarki głośno wydał komendę „baczość”. Cholera, teraz to się wkopałem, pomyślał Kovic. Za plecami strażników zobaczył sunącą w ich stronę grupkę mundurowych. Będzie z nimi Chang, zobaczy mnie, a ja gównem mogę na to poradzić. Nie mógł się ruszyć przód ani w tył. Był otoczony, więc ugiął kolana i pochylił głowę w nadziei, że będzie przez to mniej widoczny. Kiedy świta się zbliżyła, usłyszał łoskot wirnika śmigłowca, rozgrzewającego silnik na lądowisku na górze. Poczuł, że strażnicy wokół niego sztywnieją. Nie podnosił głowy. Dobiegła go cicha wymiana uprzejmości. Strażnicy się rozluźnili i rozstąpili na tyle, że Kovic mógł zobaczyć tego, kto właśnie

pożegnał się z admirałem.

Senator Hiram Metzger.

66

Strażnicy wokół Kovica zawahali się. Nie mogli być przecież ludźmi Metzgera. To było niemożliwe, ale najwyraźniej senator miał nad nimi jakąś władzę.

– Ej, puścić go, on jest ze mną – warknął.

Kovic przepchnął się między ochroniarzami i poszedł do senatora.

– Dziękuję panu.

– Są trochę nerwowi, tyle się dzieje. Chodźmy, napijemy się.

Metzger szedł korytarzem, jakby był u siebie.

Kovic, z wysiłkiem skrywając niedowierzanie, poszedł za nim.

– Szkoda, że rozminął się pan z admirałem.

Kovic rozważył to w myślach. Rzeczywiście, dotarł tak blisko Changa, a teraz mógł się tylko schować. Ale co tu robił chinofob Metzger?

– Owszem, wielka szkoda, proszę pana.

Najlepsze, co mógł zrobić, to trzymać się roli.

Metzger się zaśmiał, nie zwalniając kroku.

– Ciężko się z nim dogaduje, powiem panu. Ale nie musimy go lubić, dopóki idzie z nami w nogę. Coś panu powiem, Kovic: nie zaszkodziłoby, gdybyśmy mieli paru takich jak on w naszym wojsku. Facet umie ustawiać ludzi do pionu.

– Tak, na pewno – powiedział Kovic, myśląc: o co tu, kurwa, chodzi...?

Metzger zaprowadził go do sali bankietowej, z której rozciągał się wspaniały widok na panoramę miasta. Wskazał butelkę pol rogera na stole. Stojące obok kieliszki wskazywały, że senator – albo ktoś inny – już tu świętował.

– Nektar wojowników, podobno ulubiony Churchilla. Niech się pan częstuje. Nie ma sensu zostawiać nic dla Cutlera, to abstynent.

– Jedzie tu?

Metzger zmarszczył brwi. Kovicowi serce stanęło na moment w piersi. Odwrócił się, znalazł czysty kieliszek i nalał sobie szampana. To była ostatnia rzecz, na jaką w tej chwili miał ochotę, ale potrzebował chwili, żeby rozgryźć, co się tu właściwie działo. Improwizuj.

Pozdrowił Metzgera uniesionym kieliszkiem.

– Dyrektor czasami bywa bardzo skryty.

Metzger wzruszył ramionami, spojrzął na zegarek.

– Cóż, zgadza się, ale teraz to już i tak bez znaczenia.

– A więc za... – Za co? Za zdradę? Przez chwilę Kovic nie wiedział, jak dokończyć zdanie. Przyszło mu do głowy adekwatne, nic nieznaczące słowo. – ...za postęp!

Metzger z aprobatą kiwnął głową. Kovic napił się szampana, ciepłego i mdłego. Odstawił kieliszek. Musiał się dowiedzieć, zrozumieć, co się tu, do cholery, dzieje.

– Może powinien mnie pan wprowadzić w sytuację. Coś... nowego od Changa?

Metzger lekceważąco machnął ręką.

– Wszystkie szczegóły zna Cutler, mnie interesuje tylko tyle, że wynoszę się stąd przed pierwszym gwizdkiem.

Senator podszedł do okna i wpatrzył się w kobierzec nocnych świateł miasta.

– Coś panu powiem. Kiedy Chang w końcu dochrapie się władzy, tam na dole będzie o wiele ciemniej.

Parsknął swoim gardłowym śmiechem.

– Wie pan, co on powiedział? Stał tu i mówił: „Powyłączamy to. W nocy

się śpi”. Rany, ależ oni się zdziwią!

Umysł Kovica pracował na wysokich obrotach. Nic nie rozumiał. Spojrzał na miasto.

– Muszę się panu przyznać, że nigdy nie miałem pana za przyjaciela Chin.

Metzger odwrócił się gwałtownie i zmarszczył brwi. Spaliłem, pomyślał Kovic.

– Przyjaciela? Nienawidzę tych małych, żółtych chujków. Zamknęli połowę fabryk w Stanach, zalali rynek swoją gównianą tandetą.

– No tak.

Kovic tylko tyle był w stanie wykrztusić, wciąż z trudem przychodziła mu wiara w to, co słyszał.

Metzger odwrócił się do niego, oczy mu płonęły.

– To, co pan dla nas zrobił na granicy, to był naprawdę kawał dobrej roboty. Potrzebowaliśmy tego. Szkoda, że musieliśmy stracić paru dobrych ludzi, ale czasem tak bywa. Dał pan nam tę iskrę.

Kovica ogarnęły zimne mdłości. Został wykorzystany – przez własnych ludzi. Musiał zmobilizować wszystkie siły, żeby zdławić obrzydzenie. Chciał wyciągnąć od Metzgera coś więcej.

– Cutler jest przebiegłym graczem, proszę pana.

Metzger prychnął.

– Tak, potrafi przypisać sobie zasługi, kiedy chce, ale obaj wiemy, że to była od początku do końca robota Changa. To prawdziwy geniusz zła.

Senator się rozkręcił, niczego już nie taił. Kovicowi zupełnie zaschło w ustach. Rozejrzał się za jakąś wodą, nie znalazł jej, więc wypił jeszcze łyk szampana.

– A co na to wszystko Pentagon? Do tej pory?

W pierwszej chwili Metzger tylko popatrzył na niego spode łba. Czyżby

Kovic posunął się za daleko?

Ale senator tylko wzruszył ramionami.

– Cutler chyba faktycznie nic panu nie mówi.

Kovic się zaśmiał.

– Żeby pan wiedział!

– Pentagon o niczym nie wie. Wyjdą na durniów, kiedy ta sprawa wybuchnie im prosto w twarz i wie pan co? Przyjdą do nas na kolanach po sprzęt, a ja już nie mogę się tego doczekać.

– Będzie pan w kraju bardzo popularny.

– Otóż to, Kovic. A jeśli dobrze to rozegram...

– Biały Dom?

– Cóż, przeszło mi to przez myśl...

Oczy Metzgera lśniły pychą. Najwyraźniej do reszty postradał zmysły.

Drzwi otworzyły się i do środka wkroczył Cutler. Jedną ręką ciągnął walizkę, w drugiej niósł teczkę. Na widok Kovica stanął w miejscu jak wryty.

Metzger natychmiast ruszył w jego stronę.

– I jak, wszystko gotowe?

Czoło Cutlera poczerwieniało. Upuścił teczkę na podłogę.

– Spokojnie, Cutler! Właśnie wprowadzałem naszego bohatera w sytuację. Na dole wszystko gra?

Odwrócił się do Kovica.

– Lepiej, żeby się pan nie kręcił po ulicach, kiedy Chang zacznie rozpowiadać, że to my stuknęliśmy tego wariata Jié.

Rozległ się pulsujący łoskot lądującego śmigłowca. Do sali weszła ochrona Metzgera, dwóch ostrzyżonych po wojskowemu osiłków. Stanęli na baczność i przytrzymali otwarte drzwi.

– Panie senatorze?

– To chyba moja podwózka, panowie.

Cutler podniósł walizkę, ręka mu się trzęsła.

– Muszę lecieć z panem, senatorze.

– Wybacz, Ned, nic z tego. Do zobaczenia w DC.

Cutler zerknął na ochroniarzy stojących po obu stronach drzwi. Usłyszeli, co powiedział senator.

Metzger wziął płaszcz, podszedł do Kovica i energicznie potrząsnął jego dłonią.

– Dobra robota, synu. Jak na jakiegoś obcokrajowca całkiem nieźle robisz za Amerykanina.

Zarechotał z własnego dowcipu i pośpiesznie wyszedł.

Kovic i Cutler zostali sami.

67

Cutler wciąż ścisnął w rękę teczkę, drugą dłonią klepał się w udo daremnym gestem ptaka nielota. W końcu przerwał milczenie.

– Nie mamy dużo czasu.

– Metzger opowiedział mi, co się kroi. Tylko nie powiedział dokładnie, co przygotowaliście dla Jina Jié.

Cutler zaśmiał się niezręcznie.

– To rola Changa.

– A wina ma spaść na nas.

– Już za późno, żeby to powstrzymać. – Na czole Cutlera pojawiły się drobne kropelki potu.

Kovic zrobił krok w jego stronę.

– Dobrze, że przypisałeś mi zasługę za incydent na granicy. Metzgeromal nie wręczył mi za to na miejscu Medalu Honoru.

Cutler westchnął ze znużeniem. Zdrada to męczące zajęcie.

– Kovic, wiesz, jak to jest. W naszej branży... im bardziej świat się komplikuje, tym nam jest trudniej. Stajemy przed trudnymi wyborami.

Kovic poczuł, że narasta w nim tsunami wściekłości.

– Tak, tyle że te „wybory” jakoś mnie ominęły.

Obszedł stół i odciął Cutlera od wyjścia.

– Tylko nie rób niczego głupiego.

– To zależy, co dla ciebie jest głupie. Całe życie robiłem głupie rzeczy. Jestem za stary, żeby się zmieniać. Jakie macie plany wobec Jina Jié?

– Nie mogę powiedzieć.

Kovic podszedł bliżej.

– Kovic, pamiętaj, że jesteś amerykańskim urzędnikiem publicznym.

– Bez takich... Plan, słucham.

Wziął kieliszek po szampanie i stuknął nim o kant stołu, tak utłukła się jego końcówka.

– Co obiecał ci Metzger? Że zrobi cię dyrektorem Agencji, jak trafi do Białego Domu?

Z kieliszkiem w ręku zbliżył się znów o krok.

– Kovic, masz wybór. Wiem, że dużo przeszedłeś. Ale musimy się stąd wydostać, zanim...

– Nie mam żadnego wyboru, Cutler. Sam o to zadbałeś.

Cutler włożył dłoń pod marynarkę, ale kopniak Kovica dosięgnął go, zanim zdążył choćby wyciągnąć broń z kabury. Wyszkolenie powinno było go na to przygotować, ale coś – może pycha, może wiara we własny plan – osłabiło jego czujność. Kiedy upadł, Kovic nadepnął mu na krocze. Cutler wygiął się i zaczął więc jak przewrócony na grzbiet karaluch, który próbuje stanąć na nogach.

Kovic pochylił się nad nim.

– Jin Jié. Mów: gdzie i kiedy?

Sapnięcia Cutlera czuć było wymiocinami. Kovic przytknął mu do szyi potłuczony kieliszek.

Cutler nie mógł dobyć z siebie głosu. Jego słowa brzmiały jak ciche, ochrypły szept.

Kiedy Kovic usłyszał wszystko, co chciał, sięgnął pod marynarkę Cutlera i wyjął sigę 226.

– Duża zabawka jak na człowieka za biurkiem.

Wyprostował się i sprawdził zawartość magazynka. Stał nad Cutlerem tak samo, jak Tsu stał nad marines na granicy. Ze spodni Cutlera dobiegł odgłos

wypróżniania, po chwili w pomieszczeniu rozszedł się ostry, słodkawy smród. Kovic wycelował.

– Tak się czuł Olsen.

Wystrzelił raz, nisko.

Cutler się szarpnął, próbował się podnieść na krzesło, ale osunął się z powrotem na podłogę.

– I Faulkner.

Znów strzał, wyżej.

Cutler się wyprężył.

– Zrozum, zrobiłem to dla Ameryki.

– Nie dla mojej Ameryki. A to za Price'a.

Wezbrał w nim cały powstrzymywany gniew.

Strzelił raz i drugi. I znów, aż skończyły mu się naboje.

Centrum Konferencyjne Continental, Szanghaj

Albo Hannah miała wyłączony telefon, albo go nie słyszała. Kovic przeklął się w myślach za to, że puścił ją na wiec Jina. Zjeżdżając windą, nagrał się jej na pocztę i wysłał SMS-a: „Uciekaj natychmiast – BOMBA”.

Wu czekał na zewnątrz. Kovic przebił się przez kordon wokół hotelu i popędził do samochodu.

– Centrum Continental, SZYBKO!

– Jasne, szefie.

Wu nigdy go takiego nie widział, pędzącego z pistoletem w rękę.

– Skąd to masz?

– Pamiątka. Gazu, Wu! Zostało nam jakieś zero sekund, żeby uratować dupę Jina Jié.

Centrum Konferencyjne Continental znajdowało się trzy przecznice dalej, ale drogę korkowały wojskowe pojazdy.

– Wszystkie przyjechały tu w ciągu ostatniej godziny. Cała masa.

– Daj telefon satelitarny.

Wu wrzucił wsteczny, wcisnął się między dwie wojskowe ciężarówki i zmieścił w wąskim zaułku, wyraźnie nieprzeznaczonym dla samochodów.

– Oby to była dobra droga.

Kovic zadzwonił do Garrisona. Komandor odebrał jeszcze przed pierwszym dzwonkiem.

– Powie mi pan, co tam się, do cholery, wyprawia?

Kovic mu opowiedział – wszystko. Nie było sensu niczego zatajać.

– Cutler wiedział. O tym, co się wydarzyło na granicy, o zasadzce. Ukartował to z Changiem.

– Jezu. Kurwa. Jest pan całkowicie pewny?

Kovic opowiedział o swoim spotkaniu z Metzgerem.

– Myślał, że ja też biorę w tym udział. Chciałbym być przy tym, gdy będzie pan informował Pentagon.

– Gdzie jest teraz Cutler?

– Pozwolę panu samemu wyciągnąć wnioski. Sir, ta ewakuacja, o której pan mówił – jak szybko możecie przylecieć?

– Będziemy potrzebowali pozwolenia – to przez to całe napięcie.

– Do tej pory mogę już nie żyć.

Rozłączył się. Wu zahamował z poślizgiem przed Centrum Konferencyjnym. Kovic wyskoczył z samochodu, nim ten się zatrzymał.

– Bądź w pobliżu, tak, żebym cię mógł znaleźć. Rany, ależ ten gość przyciąga tłumy.

Plac przed budynkiem był pełen młodych ludzi, wpatrzonych w dwa wielkie telebimy. W bocznej uliczce stał rząd wozów transmisyjnych. Z głośników grzmiał głos Jina Jié, zagłuszający wiwatujące tłumy.

– ...i wierzę, że mimo wszystkich naszych wad mamy w sobie dużo przyzwoitości i braterstwa; że to, co nas dzieli, nie jest tak mocne jak to, co nas jednoczy...

Kovic przepychał się przez tłum pogrążony w zbiorowym uniesieniu. Tysiące ludzi przyszły zmanifestować swoje poparcie. Nigdzie nie było widać służb porządkowych, chociaż całe miasto roiło się od policji i wojska. We foyer Kovic stłukł kolbą pistoletu szybkę pierwszego alarmu przeciwpożarowego, jaki znalazł. Nikt nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Jin Jié był pochłonięty przemową, jego słuchaczy ogarniała euforia. Kovic wcisnął się dalej, do auli.

Była wypchana ludźmi. Stali w przejściach i na krzesłach. Niektórym po twarzach płynęły łzy. Kovic łokciami zaczął przepychać się do przodu.

– Uważam, że zadanie kształtowania przyszłości należy do nas wszystkich. Chcę, żeby nasza demokracja wyznaczyła światu nowe standardy. Żeby stała się najważniejszym wydarzeniem naszego młodego stulecia...

W otoczeniu Jié Kovic wypatrywał Hannah, ale nigdzie jej nie zobaczył. Wokół sceny ciasno stłoczeni ludzie napierali do przodu. Kovic rozpaczliwie próbował się między nimi przecisnąć, ale nie dał rady. W desperacji wyciągnął siga i wystrzelił w powietrze.

– Uciekać! – wrzasnął. – Tu jest bomba!

Tłum wokół niego się cofnął, otworzyła się droga do podwyższenia. Kula trafiła w żyrandol i obsypała wszystkich odłamkami szkła. Parę osób wrzasnęło. Jin Jié przerwał przemowę i popatrzył gniewnie na Kovica. Kim był ten szaleniec?

– Jin Jié, musimy uciekać. Szybko. Gdzie jest Hannah? Gdzie ona jest? Hannah!

Kovic złapał Jina obiema rękami, ściągnął go z podwyższenia i powłókł w stronę kulis. Cały czas wołał Hannah.

Gdzieś w okolicach pulpitu wystrzelił słup ognia, fala uderzeniowa wybuchu wyrzuciła ich w powietrze. Kovic wypuścił rękę Jié. Zamroczyło go; wylądował na jakichś ludziach. Zgasły światła, wszystko ogarnęła całkowita ciemność. Ogłuszony eksplozją Kovic niewyraźnie słyszał wrzaski tysięcy ludzi wszędzie dookoła. Wyswobodził się z trudem i próbował złapać oddech, ale powietrze było gęste od pyłu. Zamigotały światła awaryjne, wszystko nabrało mdłego żółtawego odcienia. Oczy Kovica powoli przyzwyczyły się do półmroku. Wszędzie kłębiły się gęste tumany kurzu. Ci, którzy byli w stanie się poruszać, byli szarzy jak prześwietlone sylwetki na starym zdjęciu.

Kovic zrobił krok i potknął się o ciało na ziemi – młodą kobietę, leżącą nieruchomo twarzą do ziemi. Pochylił się i odwrócił ją. Spojrzały na niego szeroko otwarte, niewidzące oczy, zobaczył krwawą miazgę zamiast torsu. To nie była Hannah. Rozejrzał się dookoła i zobaczył Jina, krwawiącego z barku i boku głowy. Próbował wstać.

Kovic złapał go za kołnierz i wyciągnął z masy ciał spiętrzonych pod ścianą. Jin poruszał się, ale miał mętne spojrzenie. Kovic po omacku skierował się w stronę migającego znaku wyjścia awaryjnego. Włączyły się zraszacze; natychmiast obaj przemokli, a pokrywający ich kurz zmienił się w śliską maź. Kovic wymierzył Jinowi policzek, ale głowa tamtego tylko bezwładnie się zakołysała. Kovic obejrzał jego ranę. Wyglądała na głęboką. Znów rozejrzał się na boki i za siebie, mając nadzieję zobaczyć Hannah. Przecież musiała tu być, ale wtedy znalazłaby się blisko wybuchu...

– Ty pieprzony, naiwny gnoju. Ściągnąłeś tu wszystkich tych ludzi...

Jin Jié spojrzał na niego nierozumiejącym wzrokiem. Kovic miał ochotę zostawić go tutaj i uciekać. Jin poderwał głowę, popatrzył nagle przytomniej.

– Proszę...

– Nie.

Kovic nie zamierzał za nic pozwolić, żeby Chang postawił na swoim.

– Idziemy.

Pociągnął Jina za sobą, aż natknęli się na klatkę schodową. W pyłe nie sposób było zobaczyć, czy na dole jest wyjście, ale ranni napierali i Kovic upadł, pociągając Jié za sobą. Inni, pchani falą uciekających, potoczyli się za nimi i zagrzebali ich w kolejnym ludzkim stosie.

Przyduszony masą wijących się ciał Kovic poczuł, że traci przytomność. Tak nie może być, pomyślał, nie teraz. Puścił rękę Jina Jié. Tracił siły, przywalony ludzką falą.

USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie

Garrison ciężko wspiął się po schodach. Nie jadł śniadania i tracił energię. Kiedy dotarł do swojej kajuty, było mu słabo z głodu i zmęczenia. Minęła godzina od wysłania wiadomości, zaszyfrowanej i opatrzonej kryptonimem Sekretarza Obrony – „GAUNTLET – tylko dla odbiorcy”, wraz z żądaniem ewakuacji. Czemu to trwało tak cholernie długo?

Poklepał się po kieszeniach marynarki, szukając batonika zbożowego, który schował tam chyba w nocy. Nagle zadzwonił czerwony telefon i wszystkie myśli o zmęczeniu zniknęły. Kobięcy głos poprosił go o potwierdzenie tożsamości.

– „Gauntlet” do pana, komandorze, proszę czekać.

Czekając, Garrison włączył duży ekran LED za biurkiem. Rozwścieczeni ludzie podpalali chevy’ego suburbana, zachęceni przez wiwatujący tłum. Za nimi ostentacyjnie beczynnici stali milicjanci. Ujęcie się zmieniło, ukazując admirała Changa w wyjściowym mundurze marynarki, stojącego za rzędem mikrofonów. Na ekranie pojawiło się tłumaczenie.

– Dziś opłakujemy zamordowanego Jina Jié, jutro go pomścimy. Zagraniczni sprawcy poczują pełną moc naszego gniewu.

Było dokładnie tak, jak Kovic uprzedzał: Chang obwinił Amerykę. Kątem oka komandor dostrzegł na wpół spłaszczoną paczkę lucky strike’ów, którą ktoś musiał zgubić. Minęło już prawie półtora roku, ale wciąż czuł tę magnetyczną potrzebę.

– Rolandzie?

Garrison ściszył telewizor i odchrząknął.

– Dzień dobry, panie sekretarzu.

Jego lekki ton zabrzmiał okropnie fałszywie.

– Możemy rozmawiać?

– Jestem w kajucie sam, jeśli o to pan pyta.

– Dobrze.

– Czy otrzymał pan moją prośbę, sir?

– Zaraz do tego przejdziemy. – Sekretarz wydał przeciągły, gardłowy dźwięk, coś pomiędzy odkaszlnięciem a westchnieniem. – To, co pan twierdzi... To bardzo wybuchowy materiał, Rolandzie. Jest pan pewien, że się pod tym podpisuje?

Garrison czuł, że jego wolna dłoń zwija się w pięść. Nie zamierzał dać się złajać za to, że przekazał im wieści, których nie chcieli słyszeć; nie bał się stanąć murem za Kovicem.

– Wie pan, sir, jestem już w wieku, w którym własny tyłek wcale nie jest pierwszą rzeczą, o której się myśli.

– Tak, to bardzo szlachetne, Rolandzie, ale zdaje pan sobie sprawę, jaka tu z tego wyniknie afera.

– Cóż, wszystko toczy się tak, jak Kovic powiedział, sir. Chang wprowadził stan wyjątkowy, w Szanghaju zamieszki, a my jesteśmy na ich wodach terytorialnych. Jeśli sytuacja się rozwinie i Chang zerwie pakt o nieagresji, staniemy w obliczu III wojny światowej i nikt nie będzie pamiętał, jak się zaczęła.

– Dobrze, dobrze, nie rozpędzajmy się na razie.

Czy on w ogóle słuchał? Gdzie nerwy, gdzie oburzenie?

Sekretarz zniżył głos prawie do szeptu.

– Czy mówił pan o tym komuś jeszcze?

– Tylko panu, sir.

– I niech tak zostanie, dobrze?

Garrison starał się nie zdradzić tonem głosu swojego narastającego zniecierpliwienia.

– Sir, czy mam pozwolenie na ewakuację naszego człowieka?

Sekretarz zwlekał z odpowiedzią. Komandor sięgnął po papierosy; w środku były trzy, zgniecione. Odsunął je.

– To powinien być problem Langley, nie nasz.

– Sir, on dla nas dużo ryzykował. Jesteśmy mu coś winni.

– Tak, wiem wszystko o Kovicu. A pańska gotowość do wybaczenia i zapomnienia jest bardzo szlachetna. Ale w tej chwili on tu nie ma zbyt wielu przyjaciół.

Garrison czuł, że wściekłość podchodzi mu do gardła jak żółć. Z trudem przełknął ślinę.

– I nikt nie chce mieć na rękach więcej krwi naszych ludzi.

Sekretarz przez chwilę milczał. Kiedy znów się odezwał, przybrał łagodniejszy ton.

– Rolandzie, znamy się nie od dziś. Obaj w swoim czasie podejmowaliśmy różne ciężkie decyzje. Taką mamy robotę, za to nam płacą.

Garrisonowi nie podobał się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

– Jeśli spróbuje pan ewakuacji, a Chang złapie was w ich przestrzeni powietrznej, nazwie to aktem wojny. Zrobi pan dokładnie to, o co mu chodzi. Poczekajmy chwilę i zastanówmy się dobrze, nim zaczniemy działać.

Ręka Garrisona sięgnęła po zmięte papierosy. Wytrząsnął jednego na dłoń, czując, jak opuszcza go siła woli.

– Już przekroczyliśmy ten punkt, sir. Chang obwinia nas o śmierć Jina Jié.

Sekretarz westchnął, przeciągle, chrapliwie.

– Przykro mi, Rolandzie: odmawiam.

Na linii zapadła cisza.

Garrison odłożył słuchawkę na widelki, a potem, ponieważ nie mógł już wytrzymać, zmiotł telefon ze stołu. Aparat roztrzaskał się o ścianę. Komandor wziął papierosa i przypalił go. Lucky strike smakował jak ostatnie życzenie skazańca.

70

Centrum Konferencyjne Continental, Szanghaj

Coś zapiekło Kovica w twarz. Potem znów, z drugiej strony, i znów... trzeci ostry policzek. Wciągnął wielki haust powietrza – mógł oddychać. Był przytomny, żył. Otworzył oczy. Nachylała się nad nim Hannah, szara od pyłu, przypominająca posąg jakiejś bogini, prawie niewidoczna w półmroku.

Była cała. Kovic poczuł falę ulgi.

– Jak?...

Chwyił ją za rękę. Hannah wzruszyła ramionami.

– Zwykły fart. Najwyższy czas, żeby coś mi się udało, nie sądzisz?

Przestrzeń pod sceną była pełna ludzi, płaczących, krzyczących, pełzających po omacku w górę i po sobie nawzajem, zataczających się jak ślepcy. Hannah wzięła Kovica za rękę.

– Wstawaj. Szybko.

– Gdzie Jin Jié?

– Musimy go zabrać do szpitala.

Jin Jié żył, ale jego stan się pogarszał. Cały przód koszuli miał czerwony od krwi. Kovic wstał, podnieśli go we dwójkę, zarzucili sobie jego rękę na ramiona i powlekli go w kierunku wyjścia.

– Jeśli teraz trafi do szpitala, to już z niego nie wyjdzie. Ludzie Changa znajdą go i zabiją.

– Ma odłamki w szyi i ramieniu. Trzeba go operować.

Dotarli do wyjścia awaryjnego i małymi kroczkami, bardzo powoli, wspięli się na niską rampę prowadzącą na plac.

Centrum Konferencyjne płonęło, sinoszary dym bił kłębamii w nocne niebo. Kovic położył Jina na ziemi i rozejrzał się, wypatrując Wu. Na placu panował chaos, ratownicy biegali z noszami, ocalali wysypywali się ze środka przez drzwi, ściskając rany i obejmując się nawzajem. Dalej z ciężarówek wysiadali uzbrojeni żołnierze.

– Jezu, już się zaczęło. Musimy go stąd zabrać.

Wu nigdzie nie było widać.

– Szybciej, marnujemy czas.

Kovic zarzucił sobie Jié na ramię i razem z Hannah powlekli go w kierunku rzędu wozów transmisyjnych. W zamieszaniu nie rzucali się w oczy; pył z wybuchu pokrył wszystkich zgromadzonych taką samą warstwą szarości. Mimo to Kovic brnął przez tłum ze spuszczoną głową.

– Wy tam, stać! Odwrócić się!

Żołnierz w pełnym opancerzeniu złapał Kovica za ramię. Hannah skoczyła do przodu, kopnęła go pod kamizelkę kuloodporną, a kiedy się zgiął, poprawiła kantem dłoni w szyję.

– Dobra, idziemy dalej.

Milicja stworzyła kordon wokół budynku, żeby zatrzymać zwolenników Jié na placu. Jakaś grupa ludzi próbujących uciec zaczęła się szarpać z żołnierzami. Rozbrzmiały trzy wystrzały.

– Jezu.

Zauważył ich inny żołnierz i zaczął przepychać się w ich kierunku między rannymi. Nagle chwycił się za gardło i upadł. Kovic rozejrzał się i zobaczył w tłumie Wu, chowającego pistolet do kabury.

Nigdy wcześniej tak bardzo się nie ucieszył na jego widok. Przyspieszył kroku. Hannah z trudem za nim nadążała, głowa i kończyny Jina kołysały się bezwładnie.

– Gdzie masz samochód?

– Zastawiony, nie mogę do niego wrócić.

Jin Jié jęknął. Wciąż broczył krwią. Musieli zatamować krwotok i spróbować ustabilizować jego stan. Ale Kovic wiedział, że jeśli nie usuną odłamków, szanse z każdą minutą będą się zmniejszać. Spojrzał na wozy transmisyjne, przekazujące przez swoje talerze satelitarne obrazy chaosu całemu światu.

– Mam pomysł.

Wskazał jeden z samochodów.

– Ten, chodźcie.

Załomotał do drzwi.

– Rząd USA, otwierać.

Drzwi się uchyliły. Kovic szarpnięciem otworzył je szerzej. W środku był młody technik, którego ledwie kilka dni wcześniej uratował przed linczem. Wyglądał na tak samo przerażonego jak wtedy.

– Pamiętasz mnie?

Technik zmartwiał ze strachu.

– Ej, kolego, jesteśmy po tej samej stronie. Wszystko w porządku, potrzebujemy tylko twojej pomocy. Jak się nazywasz, synu?

– Hal.

– Potrzebny nam twój samochód, Hal.

– Proszę pana... yyy... Nie wolno mi...

Kovic wepchnął się do środka i odsunął Hala z drogi. Wu i Hannah weszli za nim, z trudem wnosząc Jina Jié przez wąskie drzwi. W samochodzie był jeszcze jeden technik ze słuchawkami na uszach. Zerwał się ze stołka.

– Ej, tu nie wolno! Wypier...

Przerwał, kiedy zobaczył zakrwawioną koszulę Jina.

– O Boże... Czy to jest?... Czy dobrze myślę?...

Kovic zgarnął wszystko z blatu – kubki po kawie, długopisy, butelki, notesy i komórki. Skinął na Hannah i Wu.

– Połóżcie go tutaj, żebym mógł go obejrzeć. Macie jakąś apteczkę?

Technik ze słuchawkami sięgnął do małej szafki i wyjął z niej niewielkie opakowanie środka odkażającego i trochę bandaży.

– Na wojnę się nie szykowaliście, co?

Kovic rozdarł koszulę Jina. Ostry odłamek przeorał szyję oraz bark Jié i utkwiał pod obojczykiem, zostawiając krwawiącą bruzdę.

– Boże...

Technik ze słuchawkami zachwiał się i oparł o rząd monitorów. Pobladł.

– Hał, zabierz kolegę i usiądźcie na chwilę w kabinie, co?

Hał zerknął na ekran. Chang, otoczony mikrofonami, wciąż przemawiał do świata.

– Cholera, Jin Jié nie żyje.

Kovic obmacywał rany Jina.

– A skoro tak twierdzi Chang, to musi być prawda. A teraz daj nam zrobić, co trzeba.

– Ale...

Technik w słuchawkach wciąż gapił się na rannego na blacie. Doszedł chyba do siebie, a w jego oczach pojawił się chciwy błysk.

Kovic złapał go za gardło.

– Nawet o tym nie myśl, bo będę musiał zabić was obu. Zresztą Jin Jié poza Chinami nikogo nie interesuje. Ale mam dla was coś lepszego: jedźcie do Pudong Royal. Na najwyższym piętrze znajdziecie martwego amerykańskiego szpiega, zastrzelonego za zdradę. Nazywa się Edward Cutler. Zróbcie z tego materiał, będziecie sławni jak Woodward i Bernstein.

Technicy popatrzyli po sobie, a potem pobiegli do szoferki. Kovic zaczął otwierać szafki, przetrząsać sprzęt, szukając czegoś, czym mógłby improwizować. Zerknął na Hannah, która podtrzymywała głowę Jina.

– Jeśli chcemy go przenieść, to najpierw musimy go doprowadzić do porządku. – Hannah wskazała miejsce, w którym utkwił odłamek. – Trzeba to wyciągnąć.

Kovic pokręcił głową.

– Nie. Pierwsza zasada pomocy polowej – zabandażuj i zostaw profesjonalistom. Największy problem to taki, że się wykrwawi. Założmy mu opaskę uciskową i wynośmy się stąd.

Jin Jié poruszył się i jęknął. Nie rokował zbyt dobrze. Hannah otarła mu czoło chusteczkami.

– Odłamek będzie dalej uszkadzał tkanki – nalegała. – Jeśli wejdzie głębiej i trafi na tętnicę...

Spod Jina wypłynęła strużka krwi.

– Trzeba go odwrócić.

Kovic obrócił Jina na bok. Na jego plecach zobaczył dużą, ciemną plamę. Hannah rozerwała koszulę.

– Cholera... – syknął Wu.

Jin Jié miał ranę wylotową pod pachą. Jakiś odłamek bomby musiał przejść przez niego na wylot.

– Jezu, co za jatka. Dobra, spróbujemy wyciągnąć największy kawałek.

– Czym?

Kovic rozejrzał się po samochodzie i znalazł butelkę wódki. Dzięki Bogu za dziennikarskie nałogi.

– To na początek.

Na wieszaku na drzwiach wisiała żółta, odblaskowa kamizelka. Kovic ściągnął ją i rzucił na podłogę, a potem szybko wygiął wieszak w kształt

przypominający szczypce do grilla. Złapał je między kciuk a palec wskazujący, a potem ścisnął tak, że oba końce się zetknęły.

– Nie jest to zbyt precyzyjne narzędzie, ale wystarczy.

– Robiłeś to już kiedyś?

Kovic uśmiechnął się – miał nadzieję, że pewnie i pokrzepiająco.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Hannah pokręciła głową.

– Jak to jest, że zawsze jesteś taki pewny siebie?

Kovic wysiłkiem woli utrzymywał uśmiech na twarzy.

– Nie jestem, po prostu chcę, żeby się udało.

Polął wódką ranę i szczypce.

– Przytrzymaj go. Wu, złap go z drugiej strony. To może trochę boleć.

Nachylił się i wsunął szczypce w ranę. Jin Jié zeszywniał jak rażony prądem. Hannah ścisnęła go za ramię.

– To dobry znak, wciąż jest z nami.

Kovic objął prowizorycznymi kleszczami ciemny, poszarpany kształt tkwiący w mięśniach ramienia Jina, tonący pod wzbierającą krwią. Potem, modląc się w duchu, ścisnął go i pociągnął.

– Eureka.

Podniósł szczypce w górę; trzymał w nich ociekający krwią odłamek wielkości piłki golfowej. Drugą ręką rzucił Hannah bandaż.

– Dobra, teraz opatrunek i możemy jechać.

– Jechać dokąd?

– Musimy go wywieźć z Szanghaju na wybrzeże. Między Maojia a Tanglu Port jest dużo dobrych plaż, z których można się ewakuować łodzią. Nasze okręty wojenne czekają w odległości paru godzin drogi RHIB-em.

– Co to takiego?

– Ponton ze sztywnym dnem, szybka łódź ratunkowa, takie morskie porsche.

Hannah podarła resztki koszuli Jina i zwinęła je w kłęb, który przycisnęła do jego rany, a potem bandażem owinęła mu bark i pachę. Jin skrzywił się z bólu i usiadł.

– Przykro mi, ale nie opuszczę miasta. Nie mogę zostawić ludzi. Mój los jest z nimi nierozzerwalnie związany. Czy nie tak, Hannah?

Kovic powiódł wzrokiem od niego do Hannah. Czemu ona go tak słuchała?

Skrzyżował ręce na piersi i oparł się o blat.

– Jin Jié, ryzykowałem życiem swoim i mojego przyjaciela, żeby pana uratować, więc nie zamierzam więcej słuchać tych majaczeń pięknoducha. Chang mówi właśnie światu, że pan nie żyje i że to wszystko nasza wina. Jeśli się dowie, że pan żyje, usmaży pana i zaprosi dziennikarzy z całego świata, żeby obejrzelili sobie szczątki. Dociera to do pana?

– Już zdecydowałem.

Obaj obejrzelili się na Hannah.

Kovic westchnął.

– Jeśli pan zostanie, ona też będzie chciała zostać. Może pan rzucić się na pożarcie wilkom, ale niech pan jej nie zabiera ze sobą.

Jin Jié pokręcił głową i smutno popatrzył na Hannah. Miał w sobie coś z porzuconego szczeniaka. Czy ona go kochała? Kovic skupił się z wysiłkiem.

– Dobrze, niech pan pomyśli o tym: kiedy Niemcy najechali Francję, co zrobił generał de Gaulle? Uciekł i przegrupował się z pomocą Brytyjczyków. Parę lat później wjechał z powrotem do Paryża jako zwycięzca – na ramionach aliantów.

Jin Jié pokręcił głową.

– Proszę sobie przypomnieć, co spotkało Czang Kaj-szeka. Porzucił swoją walkę z Mao i wycofał się na Tajwan. I nigdy już nie wrócił.

Tyle w temacie historii. Kovic obejrzał się na telewizory. Wysoki rangą wojskowy wydawał polecenia.

– Wszyscy cudzoziemcy mają się zgłosić do kompleksu Zhi You Tower i czekać na ewakuację.

Kovic westchnął przeciągle i spojrzał na Wu, który zachowywał dyplomatyczne milczenie.

– Dobrze, zrobimy, jak chcecie. Wu, zabierz nas stąd.

Otworzył drzwi. Hałas szalejącego na zewnątrz chaosu uderzył ich z pełną siłą. Znów słychać było strzały. Schodząc po schodkach, Kovic poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

– Proszę.

– Proszę co?

Wyglądała, jakby uszła z niej cała energia; zrobiła się mała, krucha i samotna.

Chwycił ją za ramiona.

– Po prostu nie chcę, żebyś przez niego zginęła.

Hannah popatrzyła na niego z mocą, używając całego swojego uroku.

– Namówię go do ucieczki. Tylko daj mi to zrobić po mojemu, dobrze? On jest zbyt dumny, żeby cię posłuchać.

71

Przekradli się między wozami transmisyjnymi i odkryli, że otacza ich kordon wojskowych ciężarówek. Hannah obwiązała głowę Jina resztką bandażu, żeby go zamaskować, a Wu podtrzymywał go, kiedy szli przez tłum.

- Jest bardzo słaby. Nie powinien iść za daleko.
- Potrzebny nam samochód. Musimy się stąd wydostać.
- Przez następny kordon milicji? Jak?

Kovic przyspieszył kroku; nie było go słycać przez kakofonię szalejącą wokół centrum konferencyjnego. Kiedy zbliżyli się do młodego żołnierza stojącego na warcie między dwiema ciężarówkami, pochylił się i z rozbiegu wyrzucił go barkiem w żołądek, a gdy chłopak się zgiął, wyrwał mu pistolet maszynowy chang feng i zdzielił go kolbą w skroń.

Otworzył drzwi samochodu.

- W tym nikt nas nie zatrzyma.

Razem wciągnęli Jina Jié do kabiny. Kovic uruchomił silnik i wrzucił jedynekę.

Siedzieli stłoczeni w czwórkę obok siebie; Jin trzymał się prosto tylko dlatego, że nie miał się jak przewrócić. Kovic wyprowadził ciężarówkę z kolumny.

- Nie wychylajcie się, o ile to możliwe.

Droga po obu stronach kordonu była pusta. Kovic wcisnął pedał gazu w podłogę i samochód nabrał rozpędu. Skrzyżowanie przed nimi blokowało dwóch policjantów na motocyklach.

Wu ścisnął go za ramię.

– Szefie, zwolnij, jedź normalnie. Nikt nie będzie gonił wojskowej ciężarówki.

– Dobrze, dobrze.

Jeden z policjantów wyszedł na jezdnię i pomachał, żeby się zatrzymali.

– Jak zajrzy do kabiny, jesteśmy załatwieni.

Policjant odwrócił się i dał sygnał czemuś, co nadjeżdżało z boku. Przez skrzyżowanie z łoskotem przetoczyły się dwa transportery opancerzone.

– To pokazówka dla dziennikarzy – powiedziała Hannah. – Żeby było jasne, że nie żartują.

– Może to coś więcej niż tylko pokaz siły.

Policjant machaniem pokazał, że mają jechać za transporterami.

– Ee, nie tam chcemy jechać.

Kovic zignorował policjanta i zaczął skręcać w lewo. Drugi skoczył przed ciężarówkę, wściekle wymachując rękami. Kovic odbił w lewo jeszcze mocniej. Motocykl pierwszego policjanta chrupnął pod kołami.

– Ups.

– Nie będzie zadowolony.

Nadjeżdżały kolejne transportery. Kovic przeskoczył przez odstęp między dwoma maszynami konwoju i przyspieszył. Ciężarówka była szybsza, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. W lusterku zobaczył, że drugi policjant ich goni. Nie ujechali dalej niż za kolejną przecznicę, kiedy zrównał się z nimi, celując z pistoletu. Kovic odbił w bok, żeby nie zderzyć się z ciężarówką nadjeżdżającą z przeciwka, a potem, kiedy policjant zaczął ich wyprzedzać, szybkim pchnięciem otworzył drzwi. Policjant uderzył w nie głową, spadł z motocykla i potoczył się do rynsztoka.

– Widziałem to tylko na filmach, nie sądziłem, że coś takiego może się udać w rzeczywistości.

Wu spojrział na niego znad telefonu.

– Odcinają wszystkie drogi wyjazdowe z miasta. Nikomu nie wolno go opuszczać.

– Wszystko jedno.

Jechali estakadą prowadzącą na wiadukt autostrady Hushan. Cała była zakorkowana, włącznie z pasami awaryjnymi; stały na nich w ścisku osobówki i minibusy pełne ludzkiego bagażu, niektóre z przyczepami wyładowanymi pudłami, a nawet zwierzętami.

– Można tu zrobić tylko jedno.

Kovic zaparł się o pedał hamulca, zawrócił na kilka razy i z rykiem pojechał z powrotem w dół, ku konsternacji kierowców zmierzających w przeciwną stronę.

– Wu, zobacz, czy satelitarny ma zasięg.

Wu poklikał na telefonie.

– Bardzo słaby sygnał. Może przejdzie SMS.

– Dobra, ty kieruj, ja będę pisał.

Kovic chwycił telefon, wstukał wiadomość i wcisnął „wyślij”.

72

USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie

Garrison wpatrywał się w SMS-a.

„Nie ma wyjazdu z Szhaju. Ewak dach Zhi You Towers. Mamy JJ całego. Bez wymówek”.

Uśmiechnął się do siebie. Kovic słusznie się domyślił, że nie zatwierdzą jego ewakuacji, ale przejęcie Jina Jié całkowicie zmieniło sytuację. Zanim jeszcze dowiedział się o jednym i drugim, Garrison już badał możliwości wyciągnięcia Kovica. Nie zamierzał wypinać się Pentagonowi. Jak powiedział sekretarz, płacili mu za podejmowanie trudnych decyzji – a on właśnie zamierzał taką podjąć, i to słuszną.

– Porucznik Duncan, proszę mi pokazać Zhi You Towers.

Duncan stuknęła w klawiaturę i na ekranie na ścianie, wyświetlającym wyciszoną transmisję CNN z miasta, pojawił się widok wieżowców z lotu ptaka. Trójka marines stojąca wokół stołu i studiująca mapę podniosła wzrok.

Recker gwizdnął.

– Kurwa... Zajebicie wysoki wieżowiec.

Garrison kaszlnął i zerknął na Duncan, która pozostała nieporuszona.

Recker spuścił wzrok.

– Ee... przepraszam, sir.

– Przeprosiny przyjęte. To bardzo trafny opis.

Trójka żołnierzy patrzyła na ekran. Wszyscy byli co najmniej o połowę młodszy od Garrisona. Czyżby znów wysyłał młodych mężczyzn w pełni sił na śmierć? Jak długo jeszcze mógł to robić? Do tej gry potrzebni byli młodszy od niego, z mniejszą wyobraźnią.

Pac wzruszył ramionami.

– Szkoda, że nie możemy się tam dostać z powietrza.

Garrison pochylił się nad mapą i palcem zakreślił okrąg wokół miasta.

– Jeśli wlecimy w przestrzeń powietrzną Szanghaju, już po nas. Zalecam, panowie, żebyście skupili się na pozytywach. Na ziemi panuje taki chaos, że będziecie wystarczająco kryci. Kompleks Zhi You znajduje się nieco ponad kilometr od brzegu. Jedziecie w ubraniach cywilnych, a ponieważ to punkt zborny dla wszystkich obcokrajowców, nie będziecie się rzucać w oczy jak choinki, jeśli trzeba będzie wejść do środka.

Irish myślał z wyprzedzeniem; dzięki Bogu, że ktoś był do tego zdolny.

– Sir, czy będą się mogli z nami spotkać na ziemi?

– O ile zdołamy się z nimi skontaktować, ale niczego nie zakładajcie. Poza tym on ma ze sobą parkę VIP-ów, więc są szanse, że będą musieli się schować gdzieś w budynku.

Zapadła cisza; do wszystkich dotarła skala przedsięwzięcia, na które się zdecydowali. Irish z wahaniem podniósł palec.

– Sir, Kovic był z Olsenem... na tej misji w Korei Północnej?

Wszyscy podnieśli wzrok, ciekawi, jak Garrison zareaguje. A więc wiedzieli. W sumie czego się spodziewał? Takie rzeczy się rozchodzą – nawet na tak wielkim okręcie. Popatrzył na każdego z nich po kolei.

– Nie będę wam kręcił: to nieoficjalna misja. Nie została autoryzowana przez nikogo nade mną. Chcę wydostać stamtąd Kovica, bo zaryzykował życiem, żeby dotrzeć do prawdy o tym, co się stało z Olsenem i resztą. Dla mnie to znaczy bardzo dużo – dla nas wszystkich.

Żaden się nie odezwał.

Pac podniósł rękę.

– Słucham.

– Sir, jak to się stało, że Kovic jako jedyny przeżył tę misję?

Spojrzenie Garrisona powędrowało na stojące na jego biurku zdjęcie jego syna, Tommy'ego.

– Niektórzy ludzie mają ponadstandardowy przydział szczęścia. I myślę, że Kovic właśnie się zastanawia, kiedy ten przydział mu się skończy.

73

Zhi You Towers, Szanghaj

Zhi You Towers, wieże po sto czterdzieści pięter każda, były najwyższymi budynkami w Szanghaju. Powyżej piątego piętra światła zostały wygaszone i wieżowce przypominały teraz dwa gigantyczne nagrobki.

– Jak to zrobimy?

Hannah obserwowała, co działo się na placu przed głównym wejściem. Utworzyła się tam długa kolejka obcokrajowców; niektórzy ciągnęli za sobą walizki, kilka osób było z dziećmi. Porządku pilnowało paru żołnierzy.

– Wu, pozbądź się ciężarówki i dostań się do środka. Ukradnij mundur, załatw nam parę sztuk broni. Spotkamy się przy windach.

Kovic odwrócił się do Hannah.

– Wejdziemy frontowymi drzwiami.

– Jakim cudem nas nie zauważą?

– Bo schowamy się na widoku. Ja będę mówił, ty tylko trzymaj się mnie. Jesteś moją żoną, a to jest twój brat. Jesteśmy Kanadyjczykami. Schowaj swoją broń do jego kieszeni, jest mniejsza szansa, że go przeszukają.

Hannah popatrzyła na niego. Geniusz czy szaleniec?

Kovic ścisnął jej rękę.

– Zaufaj mi...

Jin Jié nie wyglądał zbyt dobrze. Oczy miał na wpół zamknięte, głowę niezgrabnie przekrzywioną, jakby nie miał siły utrzymać jej prosto.

Kovic ujął go za brodę i spojrzał mu w oczy.

– Dobra: żadnego pozdrawiania tłumów. Spróbuj przez chwilę udawać,

że nie jesteś celebrytą. Może ci się spodoba.

Jin Jié słabo przytaknął, ewidentnie nie miał siły się spierać. Ale Hannah nie wyglądała na przekonaną.

– Nie widzę, jak to się ma udać.

Kovic rzucił jej swój uśmiech zwycięzcy.

– Daję słowo, uda się, tylko mi pomóż.

Już zaczął wczuwać się w rolę. Głośno utyskując, poprowadził ich na początek kolejki, obejmując ramieniem zabandażowanego grubo Jina, z Hannah przy boku. Wprost biło od niego słuszne oburzenie.

– Kto tu dowodzi? Chcę się natychmiast dowiedzieć! Widzicie, co zrobili wasi ludzie? Popatrzcie na jej brata, na Boga! To robota waszego kierowcy. Cholerny wariat. Nie uczą was jeździć? Mam na dowód zdjęcia w telefonie. Domagam się rozmowy z jakimś dowódcą! No?!

Młody milicjant wyszedł do nich i zmarszczył czoło na widok zakrwawionej koszuli Jin Jié.

– Paszporty?

Kovic machnął wolną ręką i odwrócił się jakby do publiczności.

– Paszporty? Paszporty?! Ha, ha, ha, jasne! A to dobre! Pewnie, mieliśmy wszystkie dokumenty, mieliśmy bagaż, mieliśmy biżuterię mojej żony. Chcesz zobaczyć, co zostało z naszego wynajętego samochodu? – Machnięciem ręki wskazał Hannah i Jina. – Tyle, co widać. Reszta poszła z dymem pod kołami waszej zakichanej ciężarówki.

Milicjant zrobił zakłopotaną minę; dobry początek. Kovic machnął w kierunku wejścia.

– A więc jeśli to nie zbyt wielki kłopot, chcielibyśmy tam wejść, żeby ktoś zajął się szwagrem. Chyba że chcecie mieć na głowie nieboszczyka.

Po młodym żołnierzu widać było, że prawdopodobnie nie zrozumiał ani słowa, ale przekaz do niego docierał. Postąpił krok do przodu.

– Ja... pomoc?

– Tak, właśnie o to chodzi. Ty pomoc.

Żołnierz ujął Jina pod pachę. Kovic zobaczył minę Hannah, a potem odwrócił się do ponurej rodziny na początku kolejki.

– Przepraszamy, że się tak wpychamy, ale on nie ma oprócz nas innych krewnych. – Odwrócił się do Hannah. – Widzisz, kochanie? Mundurowy to mundurowy, wszędzie na świecie są tacy sami, trzeba im umieć przemówić do rozsądku.

Inny żołnierz przytrzymał im drzwi. Na oczach całej kolejki wnieśli przez nie zabandażowanego Jina Jié.

Byli w środku.

Elegancka urzędowość westybulu zniknęła, przysłonięta manelami uchodźców. Ludzie ze wszystkich stron świata: Arabowie, Afrykanie, Hindusi, Europejczycy, rodziny i służba, wszyscy siedzieli albo leżeli obok stert bagażu, czekając nie wiadomo na co. Pomocny żołnierz, chcąc jak najszybciej pozbyć się kłopotliwych cudzoziemców, puścił Jina i czmychnął z powrotem tam, skąd przyszedł.

Recepcja była pusta. Między ludźmi kręcili się uzbrojeni żołnierze. Kilku wyposażonych w podkładki urzędników spisywało dane osobowe i sprawdzało dokumenty. Pielęgniarka rozdawała butelki z wodą. Na drugim końcu foyer, przy windach, stał Wu, całkowicie przeobrażony – w wojskowym wyposażeniu. Zdobył także pistolet maszynowy.

Jacyś bogaci z wyglądu Arabowie zajęli dla siebie portierski wózek na bagaże. Kovic wskazał na wózek, potem na Jina.

– Można?

Arabowie pozostali nieporuszeni. Po chwili najmłodszy z grupy, najwyżej dziesięcioletni, poderwał się i zaczął ściągać z wózka górę walizek, ewidentnie wyrzucając przy tym rodzicom samolubność.

– Bardzo ci dziękuję, przyjacielu, naprawdę.

Hannah położyła łagodnie Jina na wózku i zaczęli pchać go w kierunku windy.

Nagle kątem oka dostrzegła, że ktoś macha im ręką. Kovic szedł dalej, trzymając ją mocno przy sobie. Ładna blondynka w eleganckim płaszczyku odłączyła się od partnera i podbiegła.

– Hej, Hannah! Tutaj! To ja, Katie!

– O nie...

– Nic się nie stało, trzymaj się roli – szepnął Kovic. – Nie odpędzaj jej, nie zatrzymuj się.

Hannah pomachała do kobiety.

– Nie jest dobrze.

Katie podbiegła do Hannah i pocałowała ją w policzek. Co ona sobie wyobrażała, że to zjazd absolwentów?

– Boooże, akurat tutaj! Gdybym tylko wiedziała, że tu wróciłaś!

Radość na jej twarzy zniknęła, zastąpiona konsternacją na widok Kovica i Jina.

Hannah uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Co by powiedział Kovic? Bardzo jej zależało, żeby go nie zawieść. Poza tym zależało od tego ich przeżycie.

– Tak, yyy... sporo się wydarzyło.

Wskazała Kovica i wydała niepasujący do siebie, dziewczęcy chichot.

– To mój mąż. Z Kanady.

– O mój Boooooże! I ani słowa na fejsie? Cicha woda z ciebie!

Katie uśmiechnęła się szeroko do Kovica, który odpowiedział tym samym.

– Właśnie, świeżo po ślubie. Nieźle, prawda? No, miło było poznać.

– I tak... – ciągnęła Hannah. – A to mój brat... mieliśmy trochę... no, kłopotów... w mieście.

Ale Katie nie słuchała. Pomachała do mężczyzny, z którym była.

– Hej, Chip! Tutaj!

Odwróciła się do Hannah i do Kovica.

Chip podszedł do nich, marszcząc czoło. Jego długi płaszcz był pochlapany błotem. Popatrzył z niechęcią na Hannah, wręcz ociekając ksenofobią.

– Ej, co ona tu robi?

Katie zrobiła zawstydzoną minę.

– Wyszła za Kanadyjczyka, może być?

– Tak, ale co z nim?

Chip wskazał Jina, leżącego nieruchomo na wózku. Kovic go przejrzał; pretensjonalni, nadęci biali byli zmorą jego życia.

„Wiem, że masz ochotę go kopnąć w jaja, ale zachowaj spokój” – powiedział głosik w jego głowie.

Ludzie zaczęli odwracać się i gapić.

Katie patrzyła na Jina. Bandaż zsunął mu się z twarzy. Zakryła usta dłonią.

– O Boże.

Kovic pochylił się i szybko poprawił opatrunek.

– Tak, nie wygląda najlepiej. Mieliśmy wypadek samochodowy po drodze. Musimy zabrać go na górę, do lekarza.

Pchnął wózek, ale Chip stał mu na drodze i marszcząc czoło, patrzył na żonę, która gapiła się szeroko otwartymi oczami na Jina.

– Kochanie, co się stało?

Kovic zerknął na Wu, stojącego przy windach. Wu wskazał jednego

z urzędników z papierami, który szedł w ich stronę.

– Posłuchajcie – powiedział Kovic cicho, ale z naciskiem – dajcie nam po prostu iść tam, gdzie musimy, dobra? Jeśli wszyscy zachowamy spokój, to wszyscy wyjdziemy z tego w jednym kawałku.

Katie szepnęła coś do Chipa, który nadał się z oburzenia. Spojrzał znów na Jina i na pozostałych. Domyślili się, kto to jest.

Kovic złapał go mocno za ramię.

– Posłuchaj mnie, Chip – syknął mu do ucha. – Zajmij się swoją Katie, ja się zajmę swoim przyjacielem na wózku, albo zaczną gwizdać kule. Dotarło?

Nie dotarło. Chip zrobił się czerwony i wytrzeszczył oczy ze złości.

– Jak śmiesz mi grozić? Narażasz niewinnych ludzi.

Urzędnik z towarzyszącym mu żołnierzem był już zaledwie parę kroków od nich i wpatrywał się w wózek. Kovic obejrzał się na Wu, który podniósł broń. Urzędnik odwrócił się i warknął coś do żołnierza.

Kovic skinął Wu. Kula przeleciała przez trzydziestocentymetrowy odstęp między Chipem a Katie i trafiła urzędnika prosto w czoło. Katie wrzasnęła, Chip pociągnął ją na ziemię. W całym westybulu wybuchł chaos, ludzie wrzeszczeli i szukali osłony.

– Dobrze, nie wstawaj, Chip, albo będziesz następny.

Kovic wyrwał broń żołnierzowi, odepchnął Chipa i biegiem potoczył wózek do wind. Paru żołnierzy odpowiedziało Wu ogniem, ale on schował się do ekspresowej windy, stopą przytrzymując drzwi, i odstrzelił ich po jednym. Czyjaś kula zrykoszetowała od wózka i drasnęła Kovica w bok głowy. Potknął się i stracił równowagę. Hannah podtrzymała go, złapała wózek i wepchnęła go w otwarte drzwi windy.

– Dobra, na górę.

Wu zamknął drzwi i winda wystrzeliła ku niebu.

Kovic osunął się ciężko na podłogę obok wózka. Jedynym oświetleniem windy była poświata bijąca od panelu kontrolnego.

– Miło z ich strony, że nie wyłączyli wind.

Wu podał mu broń.

– Były wyłączone. Włączyłem je z powrotem.

Hannah z trudem łąpała oddech.

– Wiesz na pewno, że zabiorą nas z dachu, tak?

Kovic wzruszył ramionami.

– Nie ma innej możliwości.

Nie zabrzmiało to jak odpowiedź, jakiej oczekiwała.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Tam na dole niewiele już brakowało.

– Jasne, ale się udało, prawda?

Opanowanie Kovica doprowadzało ją do szału, ale przynajmniej jedno z nich musiało zachować spokój.

Kovic poczuł wibracje telefonu. Sygnał wrócił. Spojrzał na wyświetlacz. To była wiadomość od Garrisona, wysłana godzinę temu.

„Odmowa powietrza. Ewak na ziemi”.

Kovic wpatrywał się w ekran telefonu i czuł, że powietrze uchodzi z niego tak szybko, jak szybko winda mknęła w górę. Ryzykował w założeniu, że zostaną zabrani z dachu budynku. Cały parter był teraz terenem wroga. Jin Jié został rozpoznany; było tylko kwestią czasu, zanim Chang się o tym dowie, a wtedy będzie po nich.

Zadzwoił do Garrisona.

– To nie jest bezpieczna linia.

– Pieprzyć bezpieczne linie, gdzie są wasi ludzie?

– Zbliżają się drogą naziemną, trzydzieści minut.

– Ja już jadę na dach. Na parterze nie jest bezpiecznie. Nasza przesyłka jest uszkodzona.

– Jin Jié?

– Właśnie, dlatego pieprzyć zezwolenia, przylatujcie. Niech pan poderwie parę super hornetów.

– Odmawiam. Ta misja i tak już jest nielegalna. Nie ruszajcie się, znajdziemy was.

– Do kurwy nędzy... – Kovic prawie syczał. – Jin Jié potrzebuje pomocy lekarskiej na wczoraj.

W słuchawce na kilka sekund zapadła cisza.

– Oddzwonię.

Kovic rzucił telefon na ziemię. Unikał spojrzenia Hannah.

– Jakiś problem?

– Nie, nie, tylko kwestie logistyczne.

Całą swoją karierę oparł na kłamstwach, a teraz nagle stracił do nich serce. Ale wiedział, że nie ma wyboru.

Winda zwolniła i zatrzymała się. Byli na samej górze.

– Dobra, przygotujcie się. Nie wiemy, co tam jest.

Kovic odwrócił się do Hannah.

– Wu i ja idziemy pierwsi. Zablokuj drzwi wózkiem, żeby winda tu została. Nie daj jej odjechać. Zaczekaj z Jinem, dopóki nie powiemy, że droga wolna.

Hannah złapała go za ramię; jej wiara w niego słabła. Pozwoliła mu ich

poprowadzić i proszę, co z tego wynikło.

– Co ci powiedział ten człowiek przez telefon?

Kovic wyszczerzył zęby w fałszywym uśmiechu; w uszach dźwięczały mu słowa Garrisona. Nie przychodziło mu do głowy nic, czym mógłby pocieszyć Hannah.

– Wszystko gra. Do roboty.

Drzwi się rozsunęły i Kovic wyszedł w smolistą ciemność. Nawet awaryjne światła pogasły. Klimatyzacja nie działała, powietrze było ciepłe i duszne. Nie słychać było niczego oprócz świstu wiatru w szybie windy. Wu wyjął latarkę ze swojego nowo zdobytego munduru.

– Dobrze, że ktoś przyszedł przygotowany.

Kovic przyjrzał się najbliższym drzwiom, nasłuchując. Nacisnął klamkę – zamknięte. Wyważył drzwi kopnięciem.

Całą jedną ścianę pomieszczenia stanowiło panoramiczne okno. Znaleźli się w apartamencie dla VIP-ów, z białymi skórzanymi kanapami ustawionymi wokół olbrzymiego, czarnego, szklanego stołu. W dole rozciągało się miasto; kilka dzielnic pograżonych było w ciemności. Z paru miejsc biły w niebo słupy ognistego dymu. Apokalipsa na zewnątrz sprawiała nierealne wrażenie w zestawieniu z luksusem na pierwszym planie; dwie różne rzeczywistości, obie kruche. Kovic dał znak Hannah, że może wyjść.

– Zostaw wózek w drzwiach. Chodź tu z Jinem i zaczekajcie, a ja sprawdzę, jak wygląda dach. Wu stanie na warcie w korytarzu.

Wskazał Jina.

– Niech nie zemdleje, sprawdź mu opatrunki.

Hannah wykrzywiła się ze złością.

– Co to ma znaczyć? Nie będziesz mi wydawał poleceń.

– Dobrze, zamień się z Wu, jeśli od tego poczujesz się lepiej.

Podał jej broń. Ale Hannah nie skończyła.

– Kovic, jeśli uważasz, że mamy szansę powodzenia, to im szybciej mnie w wprowadzisz w swoje zamiary, tym lepiej. Masz jakiś plan awaryjny?

Kovic popatrzył na nią przeciągle. Czemu zachowywał się jak palant? Louise mówiła, że tak było zawsze, kiedy wpadł w jakieś gówno i nie chciał się do tego przyznać. Jak odległą przeszłością wydawało się teraz ich wspólne życie. Ale nie było czasu na refleksje czy wspomnienia. Kovic sprawdził magazynek jednego z karabinów, które Wu zabrał poborowym; był pełny. Odciągnął zamek, żeby wprowadzić nabój do komory i powoli otworzył drzwi. Korytarz był pusty.

Za szybem windy znajdowały się schody prowadzące na dach. Kovic wspiał się po omacku, cały czas nasłuchując ruchu na górze. Słyszał wyjący na zewnątrz wiatr. Wyjście wyposażone było w duże koło, niczym śluza powietrzna. Przekręcił je powoli w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i uchylił drzwi.

Teraz, kiedy został sam, nagle uświadomił sobie, jak bardzo jest wyczerpany, a co gorsza naszyły go narastające wątpliwości co do powodzenia misji. Znów dał się uwieść nadziei, polegał na jakimś złudnym, wewnętrznym przecuciu, że wystarczy bardzo chcieć, a wszystko pójdzie dobrze; że jeśli będzie sprytny i czujny, sytuacja rozwiąże się sama.

Ale to była walka, którą przegrywał. Nie był szczery z Hannah, zapewniając ją o ich szansach. Teraz dla wszystkich stało się jasne, jak bardzo ich zawiódł. Stabilizując stan Jina, kupili sobie trochę czasu, ale niewiele. Kovic robił, co mógł, żeby go uratować, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, na czym przeżyciu zależy mu najbardziej.

Wyszedł na dach. Na nocnym niebie, matowym i zasnutym dymem, nie było księżyca ani gwiazd. Chmury wisiały nisko, zabarwione na brudnofioletowo. Dach budynku okazał się o wiele większy, niż Kovic się spodziewał: duża, płaska przestrzeń, ograniczona sięgającym do piersi murkiem, doskonałe lądowisko dla helikoptera czy nawet ospreya.

W południowo-wschodnim narożniku jeżył się las kominów wentylacyjnych. Na zachód od niego betonowy, kanciasty sześcian skrywał mechanizm windy, a z jego dachu wyrastało kilka anten i trzy olbrzymie talerze satelitarne. Kovic podszedł do najbliższej krawędzi, przewiesił się przez murek i wyjrzał na ulice w dole. Nawet z tej wysokości widać było konwoje czołgów i innych wojskowych pojazdów, a także czerwone i niebieskie koguty służb ratunkowych i policji.

Nie mógł się dłużej oszukiwać. Popełnił błąd. Wpadli w pułapkę. Jak ludzie Garrisona mieli się dostać do budynku i dotrzeć tu, na górę? Rozejrzał się w desperacji za jakimś źródłem natchnienia. Obok wentylatorów znajdowały się dwa małe żurawie podtrzymujące platformę czyścicieli okien. Była o wiele za wolna i za bardzo rzucała się w oczy, ale może z lin dałoby się zmontować jakiś system szybkiego zjazdu, tak jak w kolejce linowej Tsu. Wyjrzał za murek na beton sto czterdzieści pięter poniżej. Nawet gdyby coś takiego skonstruował, jak mieli sobie poradzić z Jinem?

Miał świadomość, że zaczyna gonić w piętę.

Przyjrzał się żurawiom. Poruszały się na szynach biegnących wzdłuż krawędzi budynku tak, że platformę można było opuścić z każdej jego strony. Odsunął pokrywający ją brezent, sięgnął do środka i znalazł bezprzewodową konsolę sterującą. Nacisnął czerwony guzik, który się zaświecił. Kovic poczuł przypływ niemal dziecięcej radości. Zerwał brezent do końca, a potem sprawdzał wszystkie guziki, aż odkrył, które sterują ruchem i obrotami dźwigu, a które poruszają linami opuszczającymi gondolę. W myślach ustalił położenie apartamentu, który zajęli, i przejechał dźwigami mniej więcej nad jego okna. Potem opuścił gondolę na odpowiednią wysokość.

Pod stopami poczuł głucho uderzenie dochodzące gdzieś z wnętrza budynku. Schował konsolę i ruszył z powrotem do schodów. Wu wybiegł mu na spotkanie.

– Ktoś jest w drugiej windzie. Znów działają! Jadą na górę!

Ale zanim Kovic zdążył odpowiedzieć, jego uwagę zwrócił inny dźwięk – basowy, pulsujący łoskot dobiegający z północnej strony budynku. Poczuł iskrę nadziei, czyżby Garrison jednak po nich przyleciał? Zza krawędzi dachu wyłonił się wirnik, a potem kadłub dużego, wojskowego śmigłowca. Przez chwilę Kovic miał irracjonalną nadzieję, że to helikopter Garrisona.

Ale to była maszyna Changa.

75

Kovic pobiegł do drzwi, zatrzasnął je za sobą i przekręcił koło; tak, to ich zatrzyma. Na jakieś dwie i pół sekundy.

Razem z Wu zbiegł na dół, do apartamentu. Jin Jié leżał w półmroku na jednym z łóżek, Hannah nachylała się nad nim i próbowała go napoić. Popatrzyła na nich ze złością.

– Ma gorączkę i już bełkocze.

Jin ledwo się trzymał, w ranę musiało się wdać zakażenie, a może Kovic coś przeoczył. Podeszedł do okna. Zobaczył gondolę kilka metrów na lewo.

– W tej chwili to nasz najmniejszy problem. Wróg jest na schodach.

Pospiesznie rozejrzał się po pokoju, szukając jakiegoś pomysłu. Bezpośrednio nad drzwiami zobaczył kratkę klimatyzacji. Wskoczył na blat przy drzwiach i zaczął wpychać pod nią palce, aż wyskoczyła i spadła na dywan.

– Damy radę go tam wciągnąć?

– Jak?

– Nie wiem, ale musimy spróbować. – Przesunął do drzwi krzesło. – Wu, chodź tu.

W trójkę, wspólnymi siłami dźwignęli Jina. Kovic wszedł na blat i pociągnął go za ramiona.

Jin Jié poruszył się sennie.

– Co się dzieje?

– Zabawa w chowanego. O ile to możliwe, bez tej części ze znajdowaniem. Musisz się wcisnąć w ten kanał wentylacyjny.

Jin był bardzo blady.

– Muszę?

– Jeśli chcesz żyć.

Kovic i Hannah podnieśli go razem. Jin Jié złapał się krawędzi i wciągnął do otworu.

– Nic tak nie dodaje energii jak bliskość śmierci.

Kovic ujął Hannah za ramiona.

– Teraz ty. Najpierw nogi. Musisz leżeć twarzą do kratki.

– Ilu ich jest?

– Nie wiem. Może dwudziestu, może pięćdziesięciu.

– Nie mamy dość amunicji.

– Musi wystarczyć, każdy strzał ma trafić. Weź to.

Podał jej pistolet maszynowy, który zabrał żołnierzowi w westybulu. Hannah wcisnęła się do szybu obok Jina i obróciła na brzuch. Kovic włożył kratkę na miejsce.

– Zaczekaj, aż będziesz miała dobry widok, nie marnuj kul.

– Skąd będą wiedzieli, żeby zajrzeć do tego pokoju?

– Zwabimy ich tu.

Wu stał z uchem przy drzwiach.

– Są na korytarzu. Masz.

Podał Kovicowi jeden z dwóch pistoletów maszynowych, które przywiózł na wózku bagażowym.

Kovic poszedł do łazienki, odkręcił prysznic i zaciągnął zasłonę, po czym wyszedł. Liczył, że szum wody zdezorientuje ich prześladowców. Naprzeciwko łazienki były drzwi łączące apartament z sąsiednim. Otworzył je siłą. Po drugiej stronie znajdowały się kolejne. Odstęp między nimi wynosił nieco ponad pół metra. Kovic dał znak Wu; weszli do środka i zamknęli się w ciasnym przejściu.

Ich oddechy i uderzenia serca brzmiały w ciasnocie ogłuszająco głośno. Usłyszeli, że główne drzwi się otwierają, potem doszedł ich pomruk stłumionych głosów. Nie było gwarancji, że żołnierze nie ruszą od razu do łącznika. Kovic musiał wierzyć, że odgłos prysznicza przyciągnie ich na tyle, by kule Hannah mogły wyrządzić poważniejszą szkodę.

Ktoś zaśwycił latarką na szczelinę przy progu. Znów rozległy się głosy. Apartament wypełniał się ludźmi. Jeden z nich był tak blisko drzwi, że Kovic i Wu słyszeli, jak oddycha. Dalej, Hannah, rób swoje.

W chwili, kiedy Kovic zaczął już myśleć, że mają problem, powietrze rozdarł ostry trzask serii, zaraz potem następnej, po nich zaś kilka okrzyków i jęków. Wu i Kovic wypadli z za drzwi. Kilku żołnierzy padło, ogień Hannah zapędził pozostałych pod osłonę przy oknie. Kovic wycelował; jedna krótka seria i cała ściana szkła posypała się z brzękiem w noc. We dwóch omiatali ogniem pokój, aż kryjący się pod oknem żołnierze powypadali na zewnątrz.

Kovic odwrócił się. Drzwi na korytarz były otwarte, a nie miał pojęcia, ilu tam jeszcze może być. Zapadła prawie całkowita cisza, słyhać było tylko wycie wiatru. Kovic spojrział na kratkę, poszarpaną przez kule Hannah. Puścił jej całusa, a potem przytknął palec do ust.

Zabrał broń jednego z zabitych i dał Wu znak, żeby został na swoim miejscu. Drugi raz tej nocy upodobił się do filmowego bohatera – w każdym ręku trzymał po pistolecie maszynowym, gotowy siać ogniem z biodra. Nawet w takich okolicznościach strzelanina miała w sobie coś upajającego. Jeśli na korytarzu było więcej żołnierzy, chciał ich zobaczyć, zanim zaczną strzelać. Drzwi uchyliły się o parę centymetrów, potem o jeszcze kilka. W dymie i kurzu Kovic dostrzegł postać z pistoletem w wyciągniętych rękach.

Żołnierz wszedł do pokoju. Nie miał munduru, tylko dżinsy, kurtkę i kominiarkę. Kovic rozpoznał broń i odetchnął.

– Co tak długo?

Marines Garrisona.

76

– Wchodźcie, chłopaki. Patrzcie, jaka obsługa.

Trzech marines, Irish, Pac i Recker, wkroczyło do pokoju. Kovic zobaczył błysk w oku Wu: Ameryka znalazła się o krok bliżej.

Podając im ręce, marines rzucili okiem na trupy co najmniej dziesięciu żołnierzy, leżących na podłodze i białej skórzanej tapicerce.

– Rany, nieźle tu posprzątaście.

– No, ominęła was niezła impreza.

Zesztywnieli, słysząc, że porusza się kratka nad nimi. Hannah zrzuciła ją na podłogę, schodząc.

Kovic się odsunął.

– Ona jest z nami, pomóżcie jej zejść. W środku jest jeszcze ktoś, ranny.

Hannah wysunęła się z wentylacji i zwinnie zeskoczyła na podłogę. Nie zamierzała już więcej korzystać z niczyjej pomocy.

– To twoje VIP-y?

– Zgadza się, meldunek priorytetowy.

Wspólnymi siłami wyciągnęli Jina z kanału wentylacyjnego i postawili na nogach.

– Gość jest nieźle poobijany. Możesz chodzić, kolego?

– Po schodach długa droga, chyba że zaryzykujemy windę?

Jin Jié próbował się wyprostować.

– Wszystko w porządku, dam radę.

Uśmiechnął się, a potem zachwiał i osunął po ścianie.

Kovic zabrał go i usadził w fotelu.

– W ten sposób nigdy się stąd nie wydostaniemy. Wiedzą, że tu jesteśmy. – Wskazał podłogę. – A tam, skąd przyszli, jest jeszcze trzystu takich.

Irish wzruszył ramionami.

– Takie mamy rozkazy, ewakuacja morzem. Musimy wyjść tak, jak weszliśmy.

Hannah popatrzyła na nich zdezorientowana.

– Jak to? To nie wasz śmigłowiec słyszeliśmy?

Na jej twarzy malowała się wściekłość. Kovic nie powiedział jej o chińskim helikopterze na dachu.

Kovic i marines popatrzyli po sobie.

Hannah wskazała sufit.

– Czyli co to było?

Kovic dalej milczał.

– Przecież tak się mamy stąd wydostać. Co się dzieje?

Kovic podszedł bliżej.

– To maszyna Changa.

Hannah złapała go za koszulę i ze złością przyciągnęła do siebie.

– Mówiłeś, że Jin Jié nie może zostać w Szanghaju! – wrzasnęła. – Że nas wyciągniesz! Zgodziłam się, a teraz mamy, kurwa, przejebane! Zaufałam ci, ty... ty bydlaku!

Budynek zadrżał od następnej eksplozji. Do apartamentu wbiegł Wu.

– Następnii na schodach.

Kovic podszedł do dziury po oknie. Wiatr chłostał go po twarzy, groził wyssaniem w przepaść. Wyjął konsolę sterującą, modląc się, żeby działała. Żurawie ruszyły z ostrym, przenikliwym piskiem. Gondola zbliżyła się, ale wciąż pozostawała ponad metr od krawędzi podłogi. Kovic odwrócił się do

pozostałych.

– Idziecie?

Pac sapnął i obejrzał się na Reckera, który pokręcił głową.

– Żartujesz, prawda?

Jin Jié szeroko otworzył oczy. Złapał Hannah za ramię.

– Nie wiem, czy dam radę. Cierpię na lęk wysokości.

– Po prostu skocz. Poradzisz sobie.

Kovic stracił cierpliwość.

– Jak nie skoczysz, będziesz cierpieć na śmierć. Skoro uważasz, że możesz uratować Chiny, to dasz też radę tu wsiąść. Tylko nie patrz w dół.

Sam skoczył pierwszy. Cofnął się, zrobił kilka kroków rozbiegu, ale kiedy się wybił, wiatr pchnął gondolę ku niemu, zmniejszając szczelinę. Poleciał za daleko. Nogami trafił w podłogę, ale ciałem od bioder w górę znalazł się za barierką. Siła uderzenia wypchnęła mu powietrze z płuc. Zobaczył beton i migoczące koguty sto czterdzieści pięter niżej. Puścił broń, usiłował złapać się barierki obiema rękami – za późno. Poleciał głową w dół za krawędź i zawisł na jednej ręce.

– Facet ma skłonności samobójcze, czy jak? – spytał Pac.

Wu skoczył, wylądował idealnie w gondoli i złapał Kovica za rękę. Potem wciągnął go na górę, chwycił za pasek i przerzucił przez barierkę do środka.

– Dobrze, bardzo dobrze.

– Wiem – powiedział Wu. – Pokazywałeś mi po prostu, jak tego nie robić.

Następny skoczył Irish. Kiedy wylądował, lina podtrzymująca jeden koniec gondoli obsunęła się o kilkadziesiąt centymetrów, tak że zawisli pod kątem.

– Rany, jaki to ma udźwig?

– Około dwóch osób.

Recker złapał poręcz.

– To jak Titanic, stary.

– Kurwa, przytrzymajcie to! – wrzasnęła Hannah, ustawiając Jina. Razem z Pacem przesadzili go do środka. Hannah skoczyła ostatnia, z wprawą pokonała szczelinę.

Kovic podniósł rękę.

– Wszyscy cicho.

Musieli się teraz tylko modlić, żeby żaden z nadbiegających żołnierzy nie wyjrzał za okno.

Kovic nacisnął przycisk na pilocie, gondola zadygotała i ruszyła w górę.

Hannah popatrzyła na niego z konsternacją.

– Myślałam, że jedziemy w dół?

– Daj mi chwilę, dobrze? Chcę zobaczyć, co mamy na górze.

Pac i Irish wycelowali w okna. Kovic zatrzymał gondolę tuż pod krawędzią dachu. Wyjrzał. Helikopterem był Z-8, duży, ciężki transportowiec piechoty. Długie łopaty zwisały z wirnika jak opadające płatki jakiegoś olbrzymiego kwiatu. Kovicowi serce zabiło szybciej. Kątem oka zobaczył żołnierza, który patrolował dach i właśnie skręcił w ich stronę.

Odwrócił się do marines.

– Macie jakiś nóż?

Irish podał mu nóż bojowy KA-BAR.

Kovic czekał, patrzył, jak żołnierz się zbliża. Zdawało mu się, że trwa to całą wieczność. Kiedy strażnik znalazł się tuż nad nimi, Kovic skoczył, złapał go ramieniem za szyję i uciszył bezgłośnie dobrze wymierzonym pchnięciem noża. Potem przeciągnął go przez murek i pozwolił mu spaść.

Irish popatrzył na Z-8.

– Myślisz, że dolecisz tym z powrotem na „Valkyrie”?

Hannah zobaczyła w oczach Kovica błysk, kiedy przedstawiał plan pozostałym.

– Cokolwiek zrobimy, bierzemy załogę żywcem. Nie mam czasu czytać instrukcji. Strażników jest trzech: Irish bierze tego z tyłu, Pac tego przy dziobie, ja środkowego. I, kurwa, nie podziurawcie kadłuba. Wu, pilnujesz drzwi na schody. Nikogo nie przepuszczaj. Jin Jié zostaje tutaj, aż zabezpieczymy śmigłowiec.

Wspięli się z gondoli na dach i zaszarżowali z krzykiem. Kiedy tylko pilot ich zobaczył, uruchomił silniki. Wirnik ocknął się z drzemki i zaczął się leniwie obracać. Irish chybił swojego żołnierza, który puścił serię w ich stronę; pobiegli schować się za przybudówkę prowadzącą na schody.

Wirnik nabierał prędkości. Podmuch prawie zwał z nóg. Żołnierz z tyłu pobiegł za wirnik ogonowy.

– Nie daj mu wystartować! – Kovic odwrócił się do Wu. – Zdejmij pilota.

Wu uśmiechnął się szeroko. Zawsze lubi wyzwania, dlatego taki dobry z niego pomocnik, pomyślał Kovic.

Chińczyk pobiegł w kierunku śmigłowca, skulony, z wyciągniętą bronią. Pojedyncza kula przebiła pleksi i pilot opadł do przodu. Wu wyprostował się, odwrócił do Kovica i pokazał podniesiony kciuk, ale w tej samej chwili z za helikoptera wybiegł ostatni żołnierz. W piersi Wu pojawiła się wielka, czerwona dziura. Osunął się na kolana. Kovic popędził do niego, a Hannah załatwiła serię żołnierza.

Kovic złapał Wu i położył go na ziemi, z ręką pod jego głową. Nie mógł nic zrobić. Rana wylotowa była piętnastocentymetrowym kraterem, w którym widać było serce.

– Jezu, kurwa, nie!

Wu ścisnął go za ramię.

– Chyba jednak nie pojedę do Ameryki.

Kovic popatrzył przyjacielowi w oczy.

– Tamta droga przez Big Sur, Route...

– Route 1.

– Przewieziesz mnie po niej.

– Wiesz, jak prowadzę, jesteś pewny?

Wu się uśmiechnął i światło zniknęło z jego oczu.

Kovic zamrugał, żeby pozbyć się łez, i spojrzał na pozostałych.

– Chodźcie, idziemy.

Drzwi na klatkę schodową się otworzyły.

– Zatrzymajcie ich!

Recker opróżnił magazynek w dół schodów.

Hannah dobiegła do Kovica, ciągnąc za sobą Jina.

– Pakuj go. – Kovic obejrzał się na Paca. – Lecicie?

– Zatrzymamy tamtych. To pudło jest nieuzbrojone.

Kovic wskoczył do śmigłowca, zabrał martwemu pilotowi słuchawki i wypchnął go z kokpitu.

Hannah wgramoliła się za nim, ciągnąc Jina.

– Latałeś już czymś takim?

– Jasne.

– Kiedy?

– Jakiś czas temu.

Całkiem spory czas temu, a poza tym to był tylko lot szkoleniowy. Kovic rozejrzał się po tablicy rozdzielczej – migające lampki i zegary zlewały mu się w jedno. Złapał za stery i wszystko zaczęło mu się przypominać. Dźwignia skoku na lewo od fotela, drążek sterowy przed nim. Postawił stopy na pedałach. Usłyszał w głowie słowa instruktora: „Myśl o tym, jak o balecie,

wszystkie kończyny utrzymują cię w ruchu, w równowadze”.

Kovic nie czuł się w tej chwili bynajmniej jak baletmistrz. Przekręcił rączkę przepustnicy i usłyszał narastający jęk wałów; łopaty wirnika zeszywniały, wczepiając się w powietrze. Pociągnął dźwignię skoku i wcisnął prawy pedał, żeby skontrolować siłę zwiększonych obrotów wirnika. Maszyna stopniowo, z wysiłkiem, uniosła się w górę. W niczym nie przypominała zwinnego TH-67, na którym się szkolił, raczej ciężarówkę. Kovic musiał nabrać jak najwięcej wysokości, zanim wyleci poza obrys budynku, inaczej grawitacja zrobi swoje. Pchnął drążek do przodu, dziób opadł w dół. Pociągnął do siebie – za mocno – i ogon przejechał po dachu, omal nie urywając tylnego wirnika. Po chwili, która ciągnęła się jak wieczność, ustabilizował śmigłowiec i wznosił się dalej. Trzy metaliczne szczęknięcia ostrzegły go, że są ostrzeliwani z dołu. Obejrzał się na Hannah, która znalazła słuchawki i zdołała przypiąć Jina Jié do fotela. Kovic włączył mikrofon.

Pchnął drążek do przodu i dziób znów opadł.

– Dalej, malutka...

Siłą woli pchał śmigłowiec naprzód, ale krowiasty Z-8 się nie spieszył. Byli teraz tuż nad murkiem okalającym dach. Kovic rozpaczliwie próbował nabrać siły wznoszącej i prędkości, żeby przejść w lot poziomy i uciec z odbitego podmuchu wirnika w czystą przestrzeń. Przeleciał nad murkiem, niemal zawadzając o żurawie gondoli. Helikopter runął niczym kamień w dół, ku ulicom. Kovic otworzył przepustnicę do oporu i pociągnął drążek do siebie, próbując wyjść z nurkowania. Żadnej zmiany. Wciąż opadali i nabierali prędkości. Potem sobie przypomniał – drążek w przód, wyciągnąć się z opadania. Zrobił to, modląc się w duchu. Rozstrzygnięcie pojedynku między wirnikami a grawitacją wisiało na włosku. Śmigłowiec wyrównał lot i zaczął się wznosić.

W słuchawkach Kovica zatrzeszczał głos Hannah.

– Przepraszam, że w ciebie wątpiłam.

Kovic odwrócił się do niej i szeroko uśmiechnął.

– Nie ma problemu, wszystko miałem pod kontrolą. A teraz chodź tu i uruchom radio. Dowiedz się, dokąd mamy właściwie lecieć.

USS „Valkyrie”, Morze Południowochińskie

Kovic ocknął się nagle i wyprostował. Przez kilka chwil nie orientował się, gdzie jest. Czuł dziwne kołysanie, jakby coś było nie tak z jego równowagą. Potem spojrział w kierunku źródła światła. To był bulaj – był na pokładzie „Valkyrie”. Udało mu się.

Powinni się byli rozbić. Kiedy złapał pułap, polecili na północ, w stronę morza, i żadna inna jednostka latająca nie zwróciła na nich uwagi. Byli dla wszystkich po prostu jeszcze jedną Z-8-mką przewożącą coś dla chińskiej floty. Umiejętności nawigacyjne Kovica były zerowe, więc zajęła się tym głównie Hannah. Twierdziła także, że porwanie śmigłowca było jej pomysłem. Na swój sposób miała rację. To ona wywołała w Kovicu wstyd, który go do tego pchnął, chociaż oboje wiedzieli, że nie ma innego wyjścia, nie z Jinem Jié w takim stanie. Ale poziom paliwa był dla nich zaskoczeniem. Albo silniki piły niczym konający na pustyni, albo któryś zbiornik został przedziurawiony podczas strzelaniny. Świełka rezerwy zapaliły się, zanim zdążyli dolecieć do morza. A tam rozciągała się mgła, zwodniczo puszysta niczym miękki materac, tak skutecznie kryjąca „Valkyrie”, że musiała ich naprowadzać wieża kontrolna. Podczas lądowania Kovic na chwilę zemdlął, więc łupnęli mocno, łamiąc podwozie, a helikopter spoczął wsparty na ułamkach dwóch łopat wirnika.

Kovic pamiętał, jak odwrócił się do Hannah, wykrzywionej w grymasie pogardy.

– Zdałem?

A ona nachyliła się do niego i pocałowała go.

– Dam panu znać.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Proszę.

W progu stanął młody steward z tacą.

– Dzień dobry panu. Komandor Garrison pyta, czy zje pan z nim śniadanie.

– Która godzina?

– Siódma rano, proszę pana.

Kovic zmarszczył czoło. Kiedy lądowali, był prawie świt. Machnięciem zaprosił marynarza do środka.

– Jak długo tu jestem?

– Około dwudziestu sześciu godzin, proszę pana.

Nic dziwnego, że czuł się taki wypoczęty. Steward postawił kubek herbaty na stoliku przy koi i wskazał ubranie złożone na krześle.

– Świeże rzeczy dla pana.

Były to oficerskie spodnie i koszula w kolorze khaki. Kovic popatrzył na nie z powątpiewaniem. Nigdy w życiu nie nosił munduru. Na myśl, że miałby go teraz założyć, czuł się jak szalbierz. Ale czy nie był nim zawsze?

– Proszę mi dać dziesięć minut.

Wykapany, ogolony i ubrany Kovic poszedł za stewardem do kajuty Garrisona. Na okręcie panował ożywiony ruch; wspinając się po prawie pionowych schodach i przeciskając wąskimi korytarzami, Kovic usłyszał dobiegający z góry pulsujący łoskot wirników śmigłowców i ospreyów; na pokładzie zawyły syreny. Słyszał okrzyki załogi i szyfrowane ogłoszenia podawane przez głośniki.

– A więc zaczęło się?

– Na to wygląda, proszę pana.

Kovic wziął głęboki oddech i zapukał.

Garrison stał plecami do drzwi. Pierwszą rzeczą, jaką Kovic zauważył, było zdjęcie syna komandora, Tommy'ego. Garrison odwrócił się powoli i podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości, miał w oczach znużenie człowieka, który posłał zbyt wielu na śmierć.

– To ładne zdjęcie, prawda? Zrobione parę tygodni przed...

Kovic wyciągnął do niego rękę i po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy.

Kovic próbował rozgryźć, co się dzieje w głowie Garrisona. Może kiedyś się dowie.

Zjawili się dwaj stewardzi z tacami: jajka, boczek, grzanki i placki ziemniaczane. Nagle Kovic uświadomił sobie, jak dawno nie jadł prawdziwego posiłku.

– Pomyślałem, że pewnie będzie pan głodny.

Garrison gestem zaprosił go do stołu. Obaj zabrali się za jedzenie.

– Czy marines wrócili cało?

Garrison chciał odpowiedzieć jak najszybciej, ale bez jedzenia w ustach.

– Wywieźli ze sobą cały statek amerykańskich obywateli. – Garrison rzucił Kovicowi znaczące spojrzenie. – To jedna z zalet ewakuacji morzem.

– Mogli się wydostać śmigłowcem. Była taka możliwość. Ale moglibyśmy nie dać rady wystartować z tamtego dachu, gdyby nas nie osłaniali.

Garrison parsknął śmiechem.

– No, po tym, co pan nawyprawiał przy lądowaniu, można chyba powiedzieć, że dobrze wybrali.

– Powiedzieli, że nie wiedzą, czemu nie można nas ewakuować powietrzem.

Komandor kiwnął głową z pełnymi ustami. Nie próbował tłumaczyć ani

się usprawiedliwiać.

– Co z pozostałymi? Czy Jin Jié?...

Garrison przełknął i napił się kawy.

– Czy żyje? Pewnie. Wyjdzie z tego. Oczyszczili mu rany, przetoczyli trochę krwi. Jego... yyy... żona ma na niego oko.

Kovic spojrział na niego pytająco.

– No, tak się przedstawiła, ale niechętnie z nami rozmawia. Zakładam, że jest z MBP. Nie chciałbym mieć jej za wroga. Myśli pan, że ma jakiś swój ukryty cel?

Kovic wzruszył ramionami.

– Cóż, bez niej Jin Jié nie ma większych szans. Będzie potrzebował w swoim otoczeniu zaufanych ludzi, jeśli ma kiedykolwiek zostać wiarygodną alternatywą Changa.

Kovic przytaknął, zauważając, jak niemiła wydała mu się ta myśl.

Garrison odsunął talerz, odłożył równo nóż oraz widelec i wbił w Kovica spojrzenie swoich szarych, zmęczonych oczu.

– Kiedy mój syn... kiedy Tommy zginął, będę szczery, Kovic, życzyłem panu śmierci. Chciałem, żeby ktoś zapłacił, życie za życie.

Pokręcił głową.

– Sir, ja...

Komandor podniósł rękę.

– A teraz siedzi pan przede mną. Nie ma pan pojęcia, jak się cieszę, że się panu udało.

– Dziękuję, sir. Dziękuję, że zmienił pan zdanie. Nie muszę panu mówić, że Tommy był dobrym marine.

– Wie pan, że myślał o przejściu na ciemną stronę mocy.

– Sir?

– Do CIA. Zrobił pan na nim spore wrażenie.

Kovic wytrzymał jego spojrzenie, aż Garrison zwrócił się znów ku zdjęciu i przeciągle westchnął.

– Czy zadał pan sobie kiedyś pytanie, co pan właściwie, kurwa, robi? Po co to wszystko?

Kovic poczuł ulgę, słysząc własne wątpliwości w czyichś ustach.

– Przez parę ostatnich dni częściej niż kiedykolwiek przedtem.

Garrison wstał od stołu i zrobił krok w stronę bulaja.

– Zaczęło się. Będą mieli swoją wojnę.

– Nie powinien pan być na mostku, sir? To znaczy, to miło, że mnie pan poczęstował śniadaniem, ale...

– Kovic, byłem tam już setki razy. Można siedzieć na wielkim fotelu, udawać ważnego, wykrzykiwać rozkazy i ogólnie robić dużo zamieszania, ale tak naprawdę jest tam bardzo dużo ludzi, którzy sami wiedzą, co mają robić.

– Co będzie dalej?

– Chang porozumiał się jakoś z Rosjanami. Spodziewamy się akcji zaczepnych w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

Garrison dolał im obu kawy i pochylił się.

– Chciałem z panem porozmawiać, zanim nasze drogi się rozejdą. – Rozpromienił się, choć wciąż miał nieobecne spojrzenie. – A więc dla pana gra skończona. Zrobił pan swoje.

Kovic dopił kawę.

– Jak to, sir?

– O czternastej ląduje tu osprey z Guam. Najwyraźniej potraktują pana po VIP-owsku.

Z dziwnym wyrazem twarzy Garrison podsunął Kovicowi wydruk.

– Dłuższy urlop, może jakiś wdzięczny przydział w miłe, cywilizowane miejsce jak Paryż albo Rzym, może awans?

Kovic przeczytał wiadomość i poczuł dziwne mrowienie w żołądku. Odłożył wydruk na stół i podsunął z powrotem do komandora.

– Tu napisane, że to tylko dla pana do wglądu, sir.

Garrison podniósł brew.

– Doprawdy? Musiałem nie zauważyć.

– I ma nagłówek biura Inspektora Generalnego CIA.

Komandor milczał. Kovic odłożył widelec i odsunął krzesło od stołu.

– Czy zaskoczyło pana, sir, że prośba o ewakuację została odrzucona?

Obaj znali odpowiedź. Garrison poczerwieniał. Kovic przez chwilę się obawiał, że komandor dostanie ataku serca.

– Cutler był cholernym zdrajcą. I ten bydlak Metzger. Kiedy dogadali się z Changiem, podpisali wyroki śmierci na moich ludzi.

Kovic znów popatrzył na dokument.

– A kiedy ja ich wydałem, podpisałem swój własny.

– Komandor na mostek, komandor na mostek! – ryknął komunikat z głośnika na ścianie.

Garrison się zerwał.

– Chyba to już. Idzie pan ze mną?

– Dziękuję, sir, ale powinienem zobaczyć się z resztą.

Komandor kiwnął głową i wyszedł.

78

Jin Jié siedział na łóżku i popijał piwo korzenne z puszki. Siedząca obok niego Hannah patrzyła nieobecny wzrokiem w przestrzeń. Ona również dostała mundur, który jeszcze bardziej podkreślił jej rzeczowy, oficjalny seksapil. Oboje obejrżeli się, kiedy Kovic podszedł.

Wskazał piwo korzenne.

– Widzę, że kosztujecie miejscowych specjałów.

Jin Jié podniósł puszkę.

– Zawsze za tym przepadałem.

Wyciągnął dłoń.

– Kovic, jak mam ci dziękować?

Kovic uściśnął mu rękę. Była miękka i wilgotna.

– Nie ma potrzeby. Rozpieprzenie planu Changa to była dla mnie czysta przyjemność. Teraz będziesz dla niego zadrą, której nie będzie mógł wyciągnąć. Musisz szybko wyzdrowieć, żeby zorganizować opozycję.

– A więc uważasz, że siły postępu zwyciężą?

Kovic wzruszył ramionami. Skąd niby, kurwa, miał wiedzieć? A co do szans Jina – cóż, nigdy nie rozumiał, co Hannah i inni w nim widzieli. Jin wpatrywał się w niego z wyczekiwaniem.

Kovic zerknął na Hannah.

– Nigdy nie spekuluję na temat przyszłości. Zostawiam to wróżkom i politykom. Poza tym ja zbudowałem karierę na tym, że mówię ludziom rzeczy, których nie chcą słyszeć.

Hannah odwróciła się do Jina i wstała.

– Musisz odpoczywać.

Jin westchnął.

– Chyba tak. Nie odchodź daleko.

Hannah wzięła Kovica za ramię i wyprowadziła z lazaretu.

Na pokładzie wokół nich zawirował wiatr. W górze z rykiem przemknął super hornet. Był rześki, pogodny dzień.

– Gdzie byłeś? Myślałam, że zniknąłeś.

– Złapałem trochę snu. W każdym razie byłem pewien, że chętnie ode mnie odpoczniesz po tych kilku ostatnich dniach.

Hannah rzuciła mu to swoje gniewne spojrzenie, świadczące, że jest wręcz przeciwnie. Dwóch marynarzy zmierzyło ją wzrokiem, przebiegając obok. Kovic podszedł do niej bliżej.

– Nie sądzisz, że powinnaś mieć jakąś ochronę?

Wydęła usta i syknęła.

– Jin Jié chyba zdrowieje.

– Och, nic mu nie będzie. Uratowałeś mu życie, wyciągając z niego ten odłamek. Chirurg powiedział, że draśnięta była tętnica podobojczykowa. Jeszcze trochę i by pękła, a Jin by się wykrwawił.

W górze przemknął następny samolot.

– Chce, żebym z nim została, mam być jego prawą ręką.

Twarz Hannah niczego nie zdradzała.

– Czy to... tylko etat?

Przyciągnęła Kovica do siebie. Pachniała cudownie.

– Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie możemy być sami, choćby przez chwilę?

79

Kovic spojrział na zegarek. 13:48. Hannah patrzyła na niego pięknymi, szarymi oczami pełnymi smutku. Za niecałe piętnaście minut miał po niego przylecieć osprey.

Dotknęła go.

– Co teraz zrobisz?

– Dam ci znać.

Objął ją, a potem wstał i sięgnął po ubranie.

Za drzwiami kajuty powietrze gęste było od odgłosów lotniskowca zajmującego pozycje bojowe.

– Chodźmy na pokład, zobaczymy, co się dzieje.

Uszli zaledwie parę kroków, kiedy z dołu zawołał ich Recker. Był w pełnym oporządzeniu, gotowy do akcji.

Zeszli po schodach. Dołączyli do nich Irish i Pac, też w rynsztunku.

– Co się dzieje?

– „Titan” dostał. Jest tam cała masa danych, które nie mogą wpaść w ręce Changa. Popłyniemy tam pontonem i zabierzemy je, zanim statek zatonie.

W tym momencie Kovic zobaczył podchodzącego do lądowania ospreya z wirnikami w pozycji pionowej.

Obejrzał się na Hannah, próbującą uśmiechać się do niego przez łyżę. Spojrzął na Irisha, Paca i Reckera, niosącego dodatkowy komplet wyposażenia. Potem zauważył Garrisona na balkonie mostka, patrzącego na nich z góry.

Garrison podchwycił jego spojrzenie, kiwnął głową.

Recker wyciągnął przed siebie oporządzenie.

– Musimy już iść, sir. Rozkazy komandora.
Osprey wylądował, jego właz się otwierał.
Kovic uśmiechnął się szeroko do marines.
– No to na co jeszcze czekamy?

Podziękowania

Za nieocenioną pomoc specjalistyczną dziękuję Bradowi Auerbachowi, Ricie Auerbach i Deanowi Morrisowi w Ameryce, Jamesowi Thornileyowi w Szanghaju i Karen Strigwolt w Dulwich.

Za pilne i obojętne sprawdzanie tekstu – Julianowi Flandersowi.

Za to, że całość w ogóle doszła do skutku – Jonowi Woodowi i jego zespołowi w wydawnictwie Orion oraz mojemu cudownemu agentowi, Markowi Lucasowi.

Za wymyślenie tak płodnego świata i za zgodę, żebym się nim bawił wedle woli, dziękuję i składam wyrazy szacunku twórcom serii „Battlefield” – DICE i EA.

Na koniec zaś dziękuję mojej żonie Stephanie, która czyta i sprawdza to, co napiszę, i nigdy nie owija w bawełnę.